

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY 88

dodatek - Rue SAMUEL BECKETT: BARBARA BRAY

DICKINSON
HERBERT
CHWIN
HARTWIG
LIBERA
KĘDZIERSKI
POLKOWSKI

EMILY DICKINSON	4	Wiersze
ZBIGNIEW HERBERT	13	Ryszard albo logika młodości
STEFAN CHWIN	17	<i>Ars moriendi</i> (fragment powieści)
JULIA HARTWIG	31	*** (<i>Jak zapisać ten czas...</i>)
	32	*** (<i>Jaka niewinna twoja zielen...</i>)
ANTONI LIBERA	35	Kosmos w Dolinie Pysznej (początek większej całości)
KRYSTYNA RODOWSKA	63	Bielmo
	64	Przeciw mitowi
JANUSZ STYCZEŃ	65	Pogoń
	67	Sam z welonem
MAREK KĘDZIERSKI	69	Warszawa – Chiny (2)
JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI	101	rodzinna fotografia
	102	w metrze
MIROŚLAW DZIEŃ	103	Cały • *** (<i>Płynęliśmy statkiem wzdłuż laguny...</i>)
	104	Z Jehudy Amichaja
JAN POLKOWSKI	107	Maria i Józef
TOMASZ HRYNACZ	125	Bielmo • Oddzieleni miastami, piętami, snami
	126	Po imieniu • O czym tu?
MARCIN SAS	127	Doprowadzić do nieporządku • Wolna rozmowa o związanym języku
	128	Kaptur na głowie • Czerwiec ścina się z ciałem
	129	Czarne noce z białą bronią zawieszoną w tle
MAREK KĘDZIERSKI w rozmowie z KRZYSZTOFEM MYSZKOWSKIM	131	Pułapka Becketta (4)

PAWEŁ TAŃSKI	165	pięć tygodni
	166	widzę tylko strzępki ciepła • czuję że otwiera się wieżowiec jak teczka z rysunkami
MARCIN JURZYSTA	167	folia nie jest tym czym się wydaje • mężczyzna który właśnie sprzedał świat
	168	Mocne postanowienie poprawy
RENATA GORCZYŃSKA	169	Powrót ciepłego piechura
VYTAUTAS KARALIUS	175	Aforyzmy
TATIANA MICHAJŁOWSKAJA	177	Splot słoneczny

VARIA

STEFAN CHWIN	179	Dziennik 2015 (2)
MICHAŁ GŁOWIŃSKI	189	Małe szkice
KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	192	Addenda (39)
LESZEK SZARUGA	197	Nowa Polska (4)
PIOTR SZEWC	203	Z powodu i bez powodu (40)
ARTUR SZŁOSAREK	205	Fragmenty (4)

RECENZJE

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI	213	Norwid, promienie
TOMASZ MIZERKIEWICZ	216	Różewicz odchodzi
LESZEK SZARUGA	220	Kornhauser zdekonstruowany
NOTY O KSIĄŻKACH	224	
NOTY O AUTORACH	244	
NOWE KSIĄŻKI	256	

Numer otwierają wiersze Emily Dickinson w przekładzie Andrzeja Szuby i odszukany przez Ryszarda Krynickiego prozatorski utwór Zbigniewa Herberta.

Prezentujemy nowe wiersze Julii Hartwig, Krystyny Rodowskiej, Janusza Stycznia, Jarosława Mikołajewskiego, Mirosława Dzienia, Tomasza Hrynacza, Marcina Sasa, Pawła Tańskiego i Marcina Jurzysty oraz aforyzmy Vytautasa Karaliusa i Tatiany Michajłowskiej w przekładzie Leszka Szarugi.

W bogatej palecie prozy przedstawiamy trzeci fragment nowej powieści Stefana Chwina, początek powieści Antoniego Libery, drugą część opowieści Marka Kędzierskiego i opowiadanie Jana Polkowskiego z przygotowywanego do druku tomu oraz szkic Renaty Gorczyńskiej o *Soli ziemi* Józefa Wittlina.

Publikujemy czwartą rozmowę z cyklu *Pułapka Becketta*.

W *Variach* nowe odcinki, po nich recenzje i omówienia ważnych książek.

W dołączonym dodatku znajduje się ilustrowany unikalnymi zdjęciami scenariusz zrealizowanego w Paryżu dokumentalnego filmu Marka Kędzierskiego i Piotra Dżumały pod tytułem *Rue Samuel Beckett: Barbara Bray* – rzecz o pisarzu i jego wieloletniej przyjaciółce i współpracownicy.

Życzę ciekawej lektury.

Krzysztof Myszkowski

EMILY DICKINSON

Wiersze

w przekładzie Andrzeja Szuby

818

Nie mogłem tego wypić, Miła,
Nim Ty nie spróbowałaś pierwsza,
Chociaż już sama Myśl o Pragnieniu,
Była od Wody chłodniejsza.

839

Zawsze Mój!
Koniec Wakacji!
Czas Światła ten Dzień rozpoczął!
Punktualny jak jasna rotacja
Pór Roku i Słońca.

Stara jest łaska, lecz nowi Poddani –
I Wschód, istotnie, jest stary,
Lecz w jego Fioletowej Agendzie
Pierwszy jest każdy Poranek.

846

Już dwa razy Letnia Zieleni
Służyła Równinom –
I dwa razy Mróz siał Rzeki
Srebrzystą Pokrywą –

Dwie Jesienie nazbierały
Wiewiórkom przysmaków –
Czy Natura nie ma Jagód
Dla przelotnych Ptaków?

860

Nieobecność – jak Śmierć – odcieleśnia,
Usuwać człowieka z Ziemi –
Przesąd pomaga, podobnie miłość –
Czułość gaśnie – jak wiemy –

866

Sława – odcień, który uczeni zostawią
Na swych Zachodzących Nazwiskach –
Irys – lecz nie z Zachodu,
Co ledwie zakwitnie, już znika –

873

Wstążki z całego Roku
I zwoje Brokatu,
By raz wystąpić na Balu Natury –

Potem – ciśnięte w kąt
Jak sztuczny Koralik
Czy fałszywa Perła –
Kto zarzuci Próżność
Dziewczynie Stworzyciela?

882

Cień jakiś pada na myśli –
To jak w Południe
Chmura zasnuje potężne Słońce –
Pamiętam, są i tacy,

Nieczuli, co tego nie zauważą;
Ach, Panie,
Po co dajesz, jeśli musisz zabrać
Kochanych?

884

Piaskowe Powróśla
I Wszędobylskie Srebro,
Aby nie zatrzeć Śladu
Nazywanego Ziemią.

886

Próbują Nasz Horyzont –
Potem znikają
Jak Ptaki, co Swobody
Się dobijają.

Nasze wspomnienie o Nich –
Trwała Radość,
Nasze Wyczekiwanie –
Gra w Kości – Wątpliwość –

916

Jego Stopy – spowite w Gazę –
Jego Hełm – ze Złota,
Jego Pierś – Sam Onyks,
Inkrustuje Chryzopraz.

Jego Bezczytność – Melodia –
Jego Trud – Śpiew Religijny –
A dla Pszczoły to doświadczenie
Południa i Koniczyny!

929

Jak daleko do Nieba?
Jak do Śmierci – tą drogą –
Za Rzeką albo za Granią –
Przecież wiadomo.

Jak daleko do Piekła?
Jak do Śmierci – tą drogą –
Tak daleko, że lewa ręka
Nie odnajduje Grobu.

934

Smutno, gdy coś się kończy:
Czy Sztuka w teatrze,
Czy Pieśń na Poddaszu,
Czy Wakacje,

Czy opuszczamy Dom i później
Żegnamy ze Światem –
Rozumiemy konieczność,
Lecz chcemy wyjaśnień.

938

Piękniejszy przez to – że Odchodzi,
Dzień, co pogrąża się w Ciemności –
Chmurzy pół Słonecznej Twarzy –
I jeszcze Zwłóczy – i Przepada –

Jak Przyjaciel, który umiera –
Irytuje resztkami Rumieńca –
Tak on, gasnąc, Mrok drażni
Doskonałością – swego piękna –

946

Już sama Myśl z szacunkiem
Każe uchylić Kapelusza,
Jakbyś spotkał Personę
Na ruchliwej Ulicy.

Myśl o nieśmiertelnym Miejscu,
Trwalszym od Kruszejących Piramid
I Królestw, co jak Sady
Mijają Rdzawo z latami.

979

Najgorsze tym się Zaleca,
Że nie może już być straszniej –
Los zadrwił po raz ostatni
I cisnął najcięższym Głazem –

Okaleczony może odetchnąć,
Rozglądnać się bezpiecznie wokół –
Jeleń już nie jest pokusą,
Nie czai się Ogar – do skoku –

988

Definicja Piękna jest taka,
Że definicji nie ma –
Nieba? On i Niebo są jednym,
Tu sprawa dużo łatwiejsza.

995

To było w Białej porze Roku –
Tamto – było w Zielonej –
O Zaspach wtedy nikt nie myślał,
Jak teraz o Lewkoniach –

Spojrzenie wstecz – najlepsze, co zostaje,
Albo – wspomnienie –
Retrospekcja – połowa Perspektywy,
Czasami – prawie więcej.

996

Miniemy bez pożegnań,
Nie potrzeba
Świadectw Nieobecności,
Kiedy-m pewna,

Że Ją znajdę,
Jeśli tylko zechcę –
Dlatego nie tęsknię
Za tymi, co odeszli.

Kuba Atys



Ryszard albo logla młodości

Ryszard jak mógł bronił się przed tym. Aż dopóki kiedy
 oślołi zupełnie wypompowanymi sobą, deki. I tam u sprawnie
 gardło dno mleka. Nie jenoł tylko zapisać u kółtek jobty,
 chwał przytłumie potar polacy wnetności.

Na drugi dzień myślał dniecynie z kurotami. Chciał zoro
 wiec ale zainymale ja blegalne spojrenie Ryszarda heptal
 tej co pochylał, do ucha c bina potroszelo głow, głosno pra-
 we czoqender mowle, że nic nie rozumie. Zoroz potu poble.

Na trzeci dzień wstał już: był wroźzanie zdow, ale leżał u
 kółku bo na korystanie ^{nie mógł się z tego} ^{nie mógł się z tego} ^{nie mógł się z tego} ^{nie mógł się z tego}
 z miłosa. Totem przysła matka. Zainymale by u dniecach zad-
 wane by, zainymale rze, a chci to było bardzo kairalne, wstacy
 na sobi byli urwem Ryszard tej. Matka bez pniecy postonole:
 Signla jak mogłai matce zrobić taki ból Ryszard próbował H-
 maczyc, że to nie matce chwał zrobić tylko kocznu imemnu.

Na czwarty dzień miał się do domu. Ale dyrektora hospitala
 powiedział Ryszardowi że może go oddać tylko pod opiekę matki.
 Matka myślała na dalekim przedmieściu, jakos miał nie mógł
 tej zainymale

Richard próbował dwa słowa honoru, ale nielubił na chacie
do siebie. Sam ze szpitale me szpitalu i kowce. Siostro Ustala
popotnyła mu w puchwinie cary i wiodomie dostanie tam co
niebezpiecznej bo schowało mu buty

Richard siedział na skraj łóżka nad białym nowym przepięknym
foulardem tego - co go tu będzie w szpitalu robić. I to u niedzieli -
- cały dzień zmęczony.

ZBIGNIEW HERBERT

Ryszard albo logika młodości

Ryszard długo i zązarcie bronił się przed życiem. Ale dopiero kiedy osłabł zupełnie, wypompowano mu żołądek i lano w spieczone gardło dużo mleka. Nie jęczał, tylko zwijał się w kłębek, jakby chciał przytłumić pożar palący wewnątrzności.

Na drugi dzień przyszła dziewczyna z kwiatami. Chciała zaraz uciec, ale zatrzymało ją błagalne spojrzenie Ryszarda. Szeptał jej coś, pochylonej, do ucha, ale ona potrząsała głową i głośno, prawie arogancko mówiła, że nic nie rozumie. Zaraz potem poszła.

Na trzeci dzień wstał już; był właściwie zdrow, ale leżał w łóżku, bo na korytarzu pokazywali go palcami: to ten, co się truł z miłości – mówili ze śmiechem. Potem przyszła matka. Zatrzymała się w drzwiach, zachwiała się, załamała ręce, i choć to było bardzo teatralne, wszyscy na sali byli wzruszeni. Ryszard też. Matka bez przerwy powtarzała: synku, jak mogłeś matce zrobić taki ból. Ryszard próbował tłumaczyć, że to nie matce chciał zrobić, tylko komu innemu.

Na czwarty dzień miał iść do domu. Ale powiedziano mu, że mogą go oddać tylko pod opiekę rodzinie. Matka mieszkała na dalekim przedmieściu i jakoś nikt nie mógł jej zawiadomić.

Ryszard próbował dawać słowo honoru, ale nikt nie chciał go słuchać. Sam ze szpitala nie wyjdzie i koniec. Siostra Urszula popatrzyła mu w przekrwione oczy i widocznie dostrzegła tam coś niedobrego, bo schowała mu buty.

Ryszard siedział na skraju łóżka nad brzegiem nowej przepaści i powtarzał tępo: co ja tu będę w szpitalu robił. I to w niedzielę – cały dzień zmarnowany.

Nota

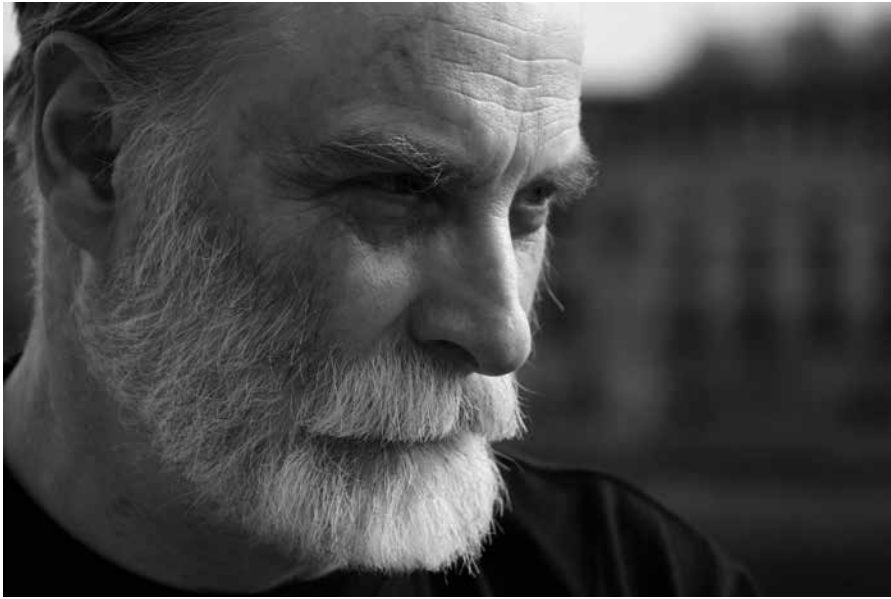
W Archiwum Zbigniewa Herberta w Bibliotece Narodowej w Warszawie zachował się jeden rękopis tego utworu, zapisany niebieskim atramentem (z nielicznymi zmianami i poprawkami naniesionymi ołówkiem) w zeszytcie szkolnym z pomarańczową okładką, na której autor wpisał tytuł *Charaktery*. Zeszyt ten zawiera też bruliony i czystopis innego tekstu: *Adrian, czyli granice inteligencji*. Jedną kartkę Zbigniew Herbert przeznaczył na wpisanie czystopisu utworu *Patryk, albo krytyk wątpliwy*, czego ostatecznie zaniechał i pozostawił ten tekst w postaci brulionu zapisanego ołówkiem na osobnej kartce, wyrwanej zapewne z tego samego zeszytu i włożonej doń luzem, podobnie jak kartki z brulionami lub czystopisami innych charakterów z tego cyklu, z których siedem: *Augustyn, Sylwester, Anastazy, czyli dzień dobry, Benedykt, Tymon, Adrian, czyli granice inteligencji, Franciszka, albo spóźniona miłość* oraz *Barbara*, zostało w latach 1950–1951 opublikowanych pod pseudonimem Patryk w tygodniku „Dziś i Jutro” (przypomniał je Paweł Kądziała w zbiorze pism rozproszonych Zbigniewa Herberta *Węzeł gordyjski* w dwóch wydaniach z lat 2001 i 2008), natomiast pięć: *Cyprian, Patryk, czyli krytyk wątpliwy, Toni albo formalista, Saturnin* oraz *Ryszard albo logika młodości*, pozostało w rękopisie.

Utwory z tego cyklu inspirowane były zapewne *Charakterami* Zofii Nałkowskiej, których nowe wydanie *Charaktery dawne i ostatnie* ukazało się w 1948 roku. W liście do Jerzego Zawieyskiego z 4 października 1950 roku (zobacz: Zbigniew Herbert / Jerzy Zawieyski, *Korespondencja 1949–1967*, z autografu do druku przygotował i przypisami opatrzył Paweł Kądziała, Warszawa 2002) Herbert wyznaje: „To, co napisał Pan o Zofii Nałkowskiej, przyprawiło mnie o zawrót głowy. Na jej świetnej prozie wiele się nauczyłem i jest to najbliższa mi z żyjących pisarek”. I dalej wprost: „[...] Lichniak uważa mnie w prozie za epigona, a nawet plagiatora Nałkowskiej. Przyjmuję to jako komplement”. Brulion jednego z tych tekstów, *Adrian, czyli granice inteligencji*, dedykowany był zresztą Zofii Nałkowskiej. Jednak charakter to dawny gatunek literacki, znany, jak wiadomo, co najmniej od Teofrasta i twórczo rozwinięty przez La Bruyère’a (w *Charakterach czyli obyczajach naszych czasów*) i Chamforta (w *Charakterach i anegdotach*). Subtelną aluzję do tego zdaje się czynić Zbigniew Herbert we wspomnianym liście do Jerzego Zawieyskiego, pisząc o redaktorach „Dziś i Jutro”: „Rostworowskiemu moje wiersze dość się podobają, a Lichniakowi bardzo nie. Więc zacytowałem im La Bruyère’a. Jeśli to,

co piszę, nie podoba ci się, dziwię się, jeśli podoba ci się, dziwię się również”. U La Bruyère’a to ostatnie zdanie jego dzieła (w przekładzie Anny Tatarkiewicz) brzmi: „Jeśli komu nie podobają się moje *Charaktery* – dziwię się. A jeśli się podobają – także się dziwię...”.

Ryszard Krynicki

Marcin Rafał Chwini



STEFAN CHWIN

Ars moriendi

(fragment powieści)

Gdy tylko wszedł do domu na Akacjowej, od razu sięgnął na półkę. Spomiędzy książek wyciągnął nowiutką encyklopedię zdrowia i w nierozpiętym płaszczu, w butach, stojąc pośrodku pokoju, szybkimi ruchami dłoni przewracał niespokojnie kartki z medycznymi ilustracjami, na których królowała sinobura czerwień i śliska, wilgotna purpura. Chciał wiedzieć, co go czeka, bo szczegóły były najważniejsze. Nie przerażała go sama śmierć – nie bał się jej nigdy – raczej ciernista droga, która do niej wiodła. Z pewnością – przymknął oczy – powinien się jakoś duchowo przygotować na to, co – jak mu powiedział doktor Karsten – miało go niebawem czekać. Przygotować się duchowo? Na festiwal okropności, w którym przymusowo miał wystąpić w roli głównej?

Usiadł w fotelu i długo patrzył w ścianę.

Katolicy mają dobrze. Jak wpadają w kłopoty, myślą o Hiobie i od razu wiedzą, co robić dalej. Ale on opowieści o Hiobie bardzo nie lubił. Szczególnie tej sceny, w której dobry, miłosierny Bóg umawia się z Szatanem, w jaki to sposób najlepiej sprawdzić, czy biedny Hiob będzie się dobrze sprawował, jeśli się go trochę przypiecze do żywego mięsa rozżarzoną żelazną szpadką. Teraz wchodził na ścieżkę Hioba, ale nie miał żadnej ochoty być Hiobem.

W jakiejś chwili, gdy rozmyślał nad tym wszystkim, dużo ciekawsze wydało mu się jednak inne pytanie: jak należałoby to zagrać? Na chorobę, która na niego spadła, mógł spojrzeć jak na powalające z nóg nieszczęście, ale także jak na udany albo nieudany scenariusz. I rolę, którą mu wyznaczył los, odegrać interesująco, to znaczy w dobrym stylu albo w stylu jak najgorszym. Zapragnął nawet przez chwilę, żeby jakaś duża stacja telewizyjna przyjechała na ulicę Akacjową i wstawiła do wszystkich pomieszczeń domu – łącznie z kuchnią, toaletą i łazienką – kamery, mikrofony, reflektory, weneckie lustra, kable, akumulatory – jak w *Big Brotherze*. Umierać w dobrym stylu – i to jeszcze na oczach milionów – wydało mu się interesujące, warte zachodu, a może nawet w jakimś sensie głębokie. Czy nie byłby to dobry sposób na zmazanie haniebnej plamy białego proszku z kwiecistej sukienki? Być lepszym od innych

w umieraniu. I jeszcze pokazać całemu światu, że w dzisiejszej paskudnej epoce jest jednak możliwe schodzić z tego świata w sposób godny, swobodny i piękny, bo mało kto potrafi dzisiaj uwierzyć, że jednak to możliwe. Niech miliony sobie popatrzą, jak krok po kroku będzie się zbliżać do bramy śmierci, opanowany, spokojny, odważny, niech sobie przemyślą swoje żałosne życie, niech się głębiej zastanowią nad sobą.

Ale szybko odeszła mu na to ochota. Być lepszym od innych w umieraniu? Po chwili ta porywająca myśl wydała mu się idiotyczna. A niby właściwie dlaczego miałby popisywać się trudną sztuką umierania przed kimkolwiek? Bo kim właściwie byli ci wszyscy ludzie, których miałby zaszczyścić takimi względami? *Ars moriendi*? Włączaliby sobie kanał siódmy i przy dobrej kolacji patrzyliby na aktualne wyczyny umierającego, który przed kamerami dawałby światu efektowny popis szlachetnego umierania wedle najlepszych receptury kultury europejskiej jak, nie przymierzając, budzący podziw kolejnych pokoleń Sokrates ze sławnego obrazu Jacques'a Louisa Davida, którego wspaniałą, ateńską śmierć oglądają w Luwrze zachwycone miliony? Ciekawe, ilu znalazłoby się chętnych, żeby to wzniosłe telewizyjne widowisko z uwagą oglądać w każdy wieczór od poniedziałku do piątku.

Którejś nocy, gdy nie mógł zasnąć, sięgnął po telewizyjnego pilota i w nocnej telewizji obejrzał film awangardowego artysty, który kamerą wideo nakręcił wielodniowe umieranie własnej matki... i podobno nieźle na tym wyszedł, bo sporo znalazło się takich, którzy chcieli zobaczyć na własne oczy przerażający i zachwycający moment, w którym ludzkie życie zamienia się w śmierć... Czyż w Internecie o każdej porze dnia i nocy miliony mieszkańców Ziemi nie oglądają transmisji na żywo z krwawych porodów, intensywnych kopulacji w stylu retro, efektownych samobójstw przy użyciu noża, operacji plastycznych z krojeniem twarzy chirurgicznym skalpelem? A wszystko to w dużych zbliżeniach, dokładnie, ze szczegółami, jakby każdy chciał poczuć z bliska świeży zapach krwi. Czy na tym tle sokratesowa godność umierania, o której przez krótką chwilę zamarzył, miałaby szansę przyciągnąć uwagę milionów fanów na całym świecie? Na ile wejść na YouTube mógłby liczyć?

Co innego gdyby żyła Monika. Miałby wtedy przed kim umierać, więc umierałby jak dobry aktor w amerykańskim filmie, mężnie, z powściągliwą, chłodną elegancją, bez zbędnych spazmów, pretensji i rozpaczy. Ale teraz? Teraz nie było Moniki, więc nie miał właściwie przed kim odegrać swojej roli ostatniej. Było mu zupełnie wszystko jedno, co o jego umieraniu powiedzą inni. A niech sobie mówią – wzruszył ramionami – co chcą. Teraz wiedział, że

ma prawo umierać byle jak. Po tym, jak go Karsten upewnił, że w dzisiejszych czasach można umrzeć bez paskudnego zwijania się z bólu w lepkiej od potu pościeli, tylko spokojnie odchodzić na drugą stronę w błogim, otępiającym znieczuleniu, przy dobrej muzyce, patrząc z wygodnego łóżka na zachodzące słońce, które ostatnimi promieniami żegna skołataną Ziemię, w żadne heroiczne znoszenie cierpień nie miał zamiaru się bawić. Skoro są środki, które mogą wygasić prawie każdy ból, będzie je brał w miarę potrzeby i zejdzie z tego świata we względnym spokoju, nie robiąc ani sobie, ani innym zbędnych przykrości. Dlaczego miałby rezygnować z pięknych osiągnięć współczesnej farmakologii, która umie złagodzić każdy niechciany ból stosownymi dawkami morfiny czy czegoś jeszcze mocniejszego? Biedny Hiob mógłby o czymś takim tylko sobie pomarzyć. Gdyby umierał dzisiaj w jakiejś renomowanej klinice pod Tel Awiwem czy Hajfą, tykałby pewnie tabletki całymi garściami, schodząc z tego świata kulturalnie, elegancko, z pogodnym uśmiechem na ustach, bez żadnych większych pretensji do Boga i ludzi.

Wedle tego, co powiedział mu Karsten, miał przed sobą parę tygodni życia, no może trochę więcej. Z punktu widzenia czasu kosmicznego – uśmiechnął się do siebie – nie więcej niż jedna sekunda. W końcu – mówił sobie – kiedy nadejdzie godzina, po prostu umrze i tyle. Po co robić od razu z tego jakieś wielkie tragedie? Nie on pierwszy, nie on ostatni. Podobno – przypomniał sobie jakiś artykuł z „New York Timesa” czy „Guardiana” – co roku umiera na Ziemi jakieś pięćdziesiąt dziewięć milionów ludzi, a rodzi się jakieś siedemdziesiąt osiem milionów, z czego jednoznacznie wynika, że śmierć właściwie nie istnieje, bo ubytek w stanie ogólnym natychmiast odrasta jak trawa po skoszeniu, i to nawet w bujnym nadmiarze. Chociaż epidemie, okropne wojny i trzęsienia ziemi wybijają milion za milionem, chociaż wybuchają wulkany, a fale tsunami pustoszą brzegi oceanów, ludzi na świecie jest coraz więcej, jakby żywe mleko ludzkiego białka wiecznie wzbierało bujną pianą bez żadnego umiarkowania w chtonicznym garnku Ziemi. Gdy o tym pomyślał, takie statystyczne ujęcie sprawy przyniosło mu pewną ulgę. Patrząc w okno, chciał teraz roztopić się w ziemskiej powszechności umierania. Ach, umrzeć tak, jak samotna kropla deszczu spada w otchłań spokojnego morza, nad którego łagodnym bezmiarem płonie wieczorne światło.

Ale kiedy tak dywagował, wmawiając sobie, że jakoś godnie i pięknie poradzi sobie z tym wszystkim, pod spodem narastało dzwonienie zębami. Po prostu wpadł w przerażenie, a przyznać się przed sobą do przerażenia nie chciał. Człowiek trzęsący się ze strachu przed śmiercią – ten widok wydał mu

się prawdziwie przykry dla oka. Gdy zaczęło się ściemniać, stanął przy oknie i długo, z głową uniesioną jak wyżeł węszący za przelatującymi kaczkami, wpatrywał się w gwiazdozbiory migoczące nad ogrodem i dachami sąsiednich domów. Z czołem przytkniętym do zimnej szyby przypomniał sobie sławny wiersz, którym podobno liczni mieszkańcy Ziemi pocieszali się w trudnych chwilach: „Idź, dokąd poszli tamci, do ciemnego kresu, po złote runo nicości, twoją ostatnią nagrodę. Idź do krainy zimnych czaszek jak Gilgamesz, Hektor, Roland”. Gdy jednak wpatrzył się w nieczytelną architekturę gwiazd, którymi ktoś pisał na niebie nad Warszawą zawiłą epopeję dalekich galaktyk, zupełnie przeszła mu ochota na maszerowanie dokądkolwiek, a już najmniej do krainy zimnych czaszek u boku jakiegoś Gilgamesza, Hektora czy Rolanda.

Przez dwa dni nic nie jadł i nie pił. Bał się wrzucić do brzucha cokolwiek. Każda zjedzona bułka mogła przyśpieszyć wewnętrzny pożar, który – jak mu się zdawało – już się rozpoczął w kiszki. Miał zostać spalony od środka żywcem, więc ubzdurał sobie, że jeśli nie będzie wrzucał paliwa do wewnętrznego pieca, spowolni proces spalania. Głodówką chciał przedłużyć życie jak miliony kobiet, które katują się morderczymi dietami, uparcie wierząc, że w ten sposób dodają sobie życiodajnej mocy. Naraz jednak – było deszczowe popołudnie – gdy zdawało mu się, że osiągnął stan błogiej obojętności, zwany przez starożytnych *serenitas*, do jakiego zachęcali ludzkość antyczni mędracy Seneka i Parmenides, jak biała glista spomiędzy zwojów mózgu wylazło nieprzyjemne pytanie: – Ale właściwie po co mam przedłużać swoje życie? Na jaką cholere?

To pytanie zbiło go z nóg. Położył się na tapczanie i ze wzrokiem utkwionym w suficie długo szukał jakiejś niepodważalnej racji, która skłaniałaby go do kontynuowania życia na Ziemi. Przerzucał w pamięci wszystkie książki, jakie dotąd przeczytał, przypominał sobie rozmowy, jakie odbył z mądrymi ludźmi, z magazynów pamięci wyciągał sławne maksymy, które od pokoleń uczyły spokoju i rozwagi w obliczu rzeczy ostatecznych, ale takiego argumentu nie znalazł. Dobrze pamiętał, jak na lekcjach religii zapewniano go, że sam Bóg jest osobiście zainteresowany tym, by każdy człowiek istniał na Ziemi jak najdłużej. Ale teraz myśli, że samemu Bogu, o ile, rzecz jasna, Bóg istnieje, osobiście zależy na jego osobistym istnieniu, wydała mu się dziwnie zachłanna, a nawet nieprzyjemnie egoistyczna. Zresztą jeśli już nawet – jak powtarzają sobie chrześcijanie – Bogu zależy na naszym indywidualnym istnieniu, to przecież zależy Mu – przekonywał siebie – na wiecznym istnieniu naszej duszy, a nie na istnieniu naszej marnej cielesnej powłoki, która sama,

naturalną rzeczy kolejną, od urodzenia do śmierci wytrwale pragnie przeobrazić się w czarne błoto. Bo czyż Ziemia – jak mówi Kościół – nie jest tylko tymczasowym miejscem tranzytu na krótkiej drodze z Ziemi na wieczne wakacje w Niebie? Oczywiście mógł teraz żarliwie tłumaczyć sobie, że na jego niepowtarzalnym istnieniu zależy sąsiadom z ulicy Akacjowej, narodowi polskiemu, Unii Europejskiej, premierowi Rzeczypospolitej, doktorowi Karstenowi, Muniakowi i pani Mirkowskiej, sekretarce z kancelarii na Nowogrodzkiej, a może nawet funkcjonariuszom policji z komisariatu przy ulicy Lubelskiej, z komisarzem Lentowskim na czele, z którym łączyły go intensywne, choć nie zawsze miłe wspomnienia, ale twierdzenie takie wydało mu się przesadne.

Co innego gdyby miał rodzinę. Wtedy sprawa byłaby dużo prostsza. Jak masz rodzinę, zwykle decydujesz się żyć dalej na Ziemi dlatego, żeby swoją śmiercią nie popsuć życia najbliższymi. Rozmyślając nad tym, przypomniał sobie słowa Andrzeja F., adwokata z kancelarii Zaleskich na Nowym Świecie, który kiedyś przy jakiejś okazji wyznał: „Odkąd mam córkę, wiem, że nie popełnię samobójstwa. Nie mógłbym jej zrobić takiego świństwa”. Te mądre słowa, które teraz wynurzyły się z magazynów pamięci, były zrozumiałe, mocne i piękne. Ale komu spoza naszej najbliższej rodziny tak naprawdę zależy na tym, byśmy istnieli na Ziemi?

Z pewnością koronnym argumentem za kontynuowaniem życia na Ziemi było dzwonienie zębami i to był – musiał przyznać – argument nie do zbicia. Wiadomo: im mocniej dzwonisz zębami ze strachu przed śmiercią, tym mocniej pragniesz żyć. Lecz jeśli teraz głównym motorem i racją najwyższą jego niepowtarzalnego istnienia miało być narastające dzwonienie zębami ze strachu przed śmiercią, jeśli wszystko, co ludzie robią na Ziemi, sprowadza się w ostateczności do tego, żeby z powodu dzwonienia zębami ze strachu przed śmiercią kurczowo trzymać się życia jak najdłużej się da, to czy w ogóle warto od rana do nocy uciekać przed nieuchronnym końcem jak przerażony szczur, którego ktoś chce przybić widelcem do podłogi?

No, oczywiście, pozostawały jeszcze przyjemności. Jeśli już umierać, to przed śmiercią pożyć sobie mocno, barwnie, z rozmachem, do ostatniej kropli wycisnąć wszystkie soki z ostatnich godzin pobytu na Ziemi, spragnionymi wargami wyssać szpik szczęścia z rozsypującej się kości życia, łapczywie pożerać zachwycające piękno krajobrazów, urodę kobiet i dzieł sztuki, by przed samą śmiercią napchać się życiem po pachy, nażreć się życiem do syta, a potem trach i do piachu... Iluż ludzi tak właśnie myśli! Ale teraz, po diagnozie doktora Karstena, na jakie to on właściwie rozkosze życia mógł jeszcze liczyć?

I kiedy takie pytanie sobie zadał, zaczął robić pośpiesznie krótki przegląd życiowych przyjemności, które mogłyby go – jak pragnął – przy życiu zatrzymać. Może, póki jeszcze żyje, przeczyta wszystkie książki, jakich w życiu nie zdążył przeczytać? Wysłucha wszystkich płyt, jakich nie zdążył wysłuchać? Obejrzy wszystkie dzieła malarstwa, filmy i sztuki teatralne, jakich nie zdążył obejrzeć? Tak, to wydało mu się sensowne. Nagle zdał sobie sprawę, że przecież – o hańbo! – przez całe życie nie zdążył przeczytać całego Prousta, więc może teraz, zanim umrze, powinien jak najszybciej nadrobić to zaniedbanie, żarłocznie pożerając tom za tomem? A potem uroczycie po przeczytaniu ostatniego tomu wydać ostatnie tchnienie ze spokojem w duszy, że się jednak całego Prousta przed śmiercią przeczytało?

Pamiętał, co robili znajomi geje, kiedy dowiadywali się od swoich doktorów Karstenów, że niebawem umrą na AIDS. Na parę miesięcy przed śmiercią, która pojawiała się na widzialnym horyzoncie, za oszczędności całego życia kupowali sobie wielką podróż do Chin, żeby zobaczyć mur chiński. Zobaczyć mur chiński i umrzeć – piękny to był z pewnością i szlachetny zamiar, tyle tylko że on nigdy nawet przez jedną sekundę nie miał żadnej ochoty zobaczyć na własne oczy muru chińskiego. Wystarczyło mu w zupełności to, co sobie dokładnie obejrzał na kanale National Geographic, więc teraz miałby się tłuc dwadzieścia siedem godzin samolotem z Warszawy do Pekinu, żeby potem przez pół godziny, nogami zdrętwiałymi od siedzenia w lotniczym fotelu, łączyć po największej ruinie świata, którą co prawda widać dość wyraźnie z Księżyca, ale która po prostu jest ciągnącą się tysiącami kilometrów kupą starych cegieł, usypaną przez biednych Chińczyków? Miałby zamykać swój jednorazowy pobyt na Ziemi widokiem czegoś takiego?

Znał stare małżeństwa, które w obliczu zbliżającej się śmierci wydawały całe swoje oszczędności na koncerty rockowe w różnych częściach świata. Samolotami Lufthansy, United Airlines, Air France, China Eastern Airlines, Ryanair latali z kraju do kraju za Bon Jovim czy Madonną. Poznał nawet kiedyś parę starców ze Stuttgartu, która wydała całą fortunę, jeżdżąc po świecie za Mickiem Jaggerem i sławnymi Rolling Stonesami. W końcu można i tak, czemu nie. Ale on sam nie odczuwał żadnej palącej potrzeby, żeby jeździć za Mickiem Jaggerem po wszystkich krajach Ziemi. Znał też ludzi, którzy czując na karku zimny oddech śmierci, wsiadali w odrzutowiec i z małym bagażem podręcznym lecieli do Lourdes, Jerozolimy czy Medjugorie. Zalewać się wodą ze świętego źródła jak butelką zmrożonej wódki, byleby tylko ugasić paniczne

dzwonienie zębami, skoro i tak co ma przyjść, to przyjdzie? To także wydało mu się nieeleganckie.

Rzecz jasna mógł się modlić, a może nawet powinien. Ale o co właściwie miałby prosić Najwyższą Istotę, o ile, oczywiście, Najwyższa Istota istnieje? Żeby cofnęła wyrok, który – na co wskazywały wyniki kolejnych badań z Wismedu – został już wydany? Bić czołem o kościelną posadzkę w Asyżu, by wyżebrać parę dodatkowych miesięcy pobytu na Ziemi? Błagać potulnie jak skazaniec, by nóż losu, który został przyłożony do gardła, nie przeciął tętnicy szyjnej od razu, tylko zaczekał jeszcze parę lat albo parę dni? Taka prośba zawstydziała go i odzierała z resztek godności. Z pewnością mógł się modlić o zmiłowanie, żeby w zamian za głęboki akt skruchy dostać po śmierci jakieś dobre miejsce w Niebie – najlepiej przy oknie z widokiem na całą Ziemię, Stary Gdańsk i Wielki Kanion – ale i to wydało mu się dość egoistyczne.

Najgorsze, że zupełnie nie pragnął pośmiertnej nagrody, o której marzyły miliony chrześcijan. Już we wczesnej młodości powiedział sobie: jak można spokojnie zgadzać się na zbawienie za cenę męczarni Niewinnego, którego zabito na Golgocie? Jak można cieszyć się radosnym życiem po śmierci, wiedząc, że za tę radosną wieczność Ktoś zapłacił tak okropnym cierpieniem, przybity gwoździami do dwóch skrzyżowanych belek? Nie chcę być zbawiony za tak przerażającą cenę, odmawiam zgody, nie przyjmuję oferty, moje serce wzdraga się przed tym, by ktoś ponosił tak straszną śmierć, żeby mnie było dobrze i przyjemnie... – powtarzał sobie za młodych lat, w porywie zranionej pychy czując nieskończoną wyższość nad milionami chrześcijan, którzy bez żadnych skrupułów chętnie zgadzali się na to, że dzięki męczarniom Mężczyzny zadręczonego na Golgocie będą mogli przez miliony lat radować się słonecznymi wakacjami w luksusowym hotelu Wieczność.

Poza tym – snuł uparcie swoją krętą myśl – nie mógł pojąć, na czym miałyby właściwie polegać wiekuiste szczęście. Przebywać po śmierci przez miliony lat w towarzystwie Osoby, która wyniszczyła całą ludzkość falami potopu, a pewnemu żydowskiemu ojcu kazała zabić własne dziecko, potem zaś, kiedy to dziecko zadrżało z przerażenia na widok noża w ręku ojca, wszystko odwołała głosem posłusznego anioła, jakby zupełnie nic się nie stało? Niebo nie przedstawiało dla niego żadnych powabów.

Bo jak to – dywagował, patrząc w rozgwieżdżone sklepienie nocy nad Warszawą – będzie można cieszyć się w Niebie wieczną radością, jeśli na przykład twoi bliscy – matka, brat, siostra – trafią do Piekła i będą tam dręczeni

przez całą wieczność? Jeśli na tym miałyby polegać szczęście wieczne, nie miał żadnej ochoty znaleźć się w Niebie.

Chwilami starał się zbliżyć do Boga, o ile, rzecz jasna, Bóg istnieje – szlaki pojednania wyznaczyło dzieciństwo – ale nie był w stanie. Nie mógł pojąć, jak można kochać kogoś, kogo nie widziało się na oczy. W dzieciństwie próbował kochać Jezusa, jak zalecała katechetka, siostra Genowefa, nie potrafił jednak wzniecić w sobie żarliwszych uczuć do Mężczyzny, którego oglądał na obrazkach rozdawanych przez księdza w trakcie kolędy. Więc to miał być Bóg – wpatrywał się z dobrą wolą w postać Jezusa ze sławnego obrazu – więc to miał być Bóg prawdziwy, ten długowłosy Pan w białej szacie do ziemi, z którego serca wytryskiwały dwa reflektory: biały i czerwony. A już żadnej sympatii nie wzbudzał w nim Bóg Ojciec, siwy, gniewny starzec z ogromną, rozwichrzoną brodą. Kochać kogoś takiego było niemożliwością. Teraz, w obliczu choroby, która z niepojętym uporem pchała go w otchłań śmierci, chętnie zanurzyłby się w ciepłą otulinę Bożej Miłości, ale nie był w stanie wykrzesać z siebie żadnych gorętszych uczuć. W dzieciństwie uczono go, że Boga należy się bać, jak jednak teraz miałby Ignąć sercem do kogoś, kogo dotąd umiał się tylko bać? Zazdrościł starym kobietom, które – chciał w to wierzyć – naprawdę kochały Oblubieńca i pragnęły umrzeć w Jego objęciach. Ale sam wstydził się marzyć o czymś takim.

Wiedział, co znaczy kochać kobietę i dziecko, ale kochać jakąś potężną, niewidzialną Istotę, która głośno zapewnia, że jest samą Miłością, a potem pali ludzi żywcem w nieszczęsnych miastach Sodoma i Gomora?

Nie był w stanie zachwycić się Scenariuszem Zbawienia, co bez trudu – jak widział – udawało się milionom ludzi na całej Ziemi. Skąd ten pomysł, by drogą do zbawienia musiało być konieczne straszne udrczenie Syna na wzgórzu Trupiej Głowy? Czy Bóg nie mógł bez tego wpuścić ludzi do Nieba? Swoim ułomnym umysłem usiłował przeniknąć przedwieczny sekret Wielkiego Scenariusza, w którym miał odegrać jedną z podrzędnych ról, co jednak miał robić? Ogluszać się zdrowaśkami, wmawiając sobie, że Bóg nas kocha, chociaż niewiele było dowodów, że kocha?

Teraz podobała mu się twarda konstatacja: koniec i szlus. Tak, to brzmiało dobrze. Żadnych tam nadziei pośmiertnych, niebiańskich nagród, oczekiwań, porywów serca, podróży do Pekinu, wizyt w Medjugorie, błagań w cyprysowych ogrodach Asyżu, namiętnych gonitw za Mickiem Jaggerem czy butelek święconej wody z krystalicznego źródła w Lourdes. Tylko co dalej? Miał się stać w obecnej chwili niewolnikiem dzwoniących zębów? Psem Pawłowa,

który słabnącymi ze zmęczenia łapami do ostatnich godzin swego pobytu na Ziemi żarłocznie zgarnia do prującego się brzucha ostatnie, jeszcze ciepłe resztki życia? Pojechać do Tajlandii, żeby w panice zdążyć przed samym końcem nażreć się tamtejszych potraw w uroczych azjatyckich knajpkach, nawąchać się do upojenia tamtejszych sosów, korzennych aromatów i kadzidełek? W upojną noc z młodzieńczą łapczywością rozgryźć ostatni w życiu owoc granatu, zerwany prosto z egzotycznego krzaka? Wypić kieliszek ryżowej wódki z euforyczną świadomością, że to najzupełniej ostatni kieliszek ryżowej wódki w życiu? Odbyc ostatni w życiu stosunek płciowy z nadzwyczajnie piękną, brązowoskórą, nieletnią Tajlandką w uroczym azjatyckim hoteliku z bambusowych żerdzi, z którego okien widać złote wieże buddyjskiej świątyni, a potem głęboko odetchnąć wiatrem Orientu i umrzeć? Jak sobie o tym pomyślał, poczuł tylko w ustach suchy smak popiołu.

A jednak żył i trzymał się całkiem nieźle. Cóż to za siła – nie mógł się nadziwić swemu ciału podczas porannej kąpieli pod prysznicem – tkwi w ludzkich mięśniach, wątrobie, trzustce, jelitach, że nawet kiedy dusza wspaniałomyślnie zgadza się na śmierć, ciało broni się do końca jak waleczny Grek Leonidas pod Termopilami! Krew biła w żyłach jak dawniej. Nogi i ręce były sprawne. Oczywiście wszystko miało się niebawem zawalić, ale na razie?

Nazajutrz w Aptece pod Orłem, do której zaszedł po południu, wykupił duże ilości środków przeciwbólowych, na wszelki wypadek, gdyby bóle zaczęły się wcześniej, niż Karsten zapowiadał, i nosił je stale przy sobie w srebrnym pudełeczku. To nawet dobrze – przekonywał siebie – że paskudne nagranie ze szklanym stolikiem i białym proszkiem puścili w telewizji. Miał przynajmniej tę sprawę za sobą. Po wizycie u Karstena czuł się tak, jakby znalazł się po drugiej, niewidocznej stronie Księżyca. Niby żył, funkcjonował, jadł, chodził, spał, telefonował, pisał na komputerze, prowadził toyotę, ale tak naprawdę jakby go nie było. Gdyby go dłużej szantażowano, pewnie zostałby bez grosza, ale na szczęście mógł jeszcze na swoich całkiem sporych oszczędnościach zupełnie spokojnie oprzeć swoją niepewną, a raczej stuprocentowo pewną przyszłość.

Pod wieczór, gdy słońce zaszło za czarne korony akacji i tylko złote smugi blasku pozostały na ciemniejącym niebie nad Warszawą, podszedł do okna wychodzącego na zachód i ogarnęła go litość tak wielka i bolesna, że poczuł pod powiekami łzy. Płacząc nad całym biednym ludzkim rodzajem, skazanym na nieuchronną śmierć, a nawet na coś gorszego, litował się nad samym sobą. Boże drogi, co robić, co robić... Gdy podszedł do lustra, na policzkach zobaczył wilgotne ślady rozpacz, a równocześnie poczuł, co go zdziwiło, że duchowe

cierpienia, jakich zaznawał, patrząc na bolesną mapę swojej twarzy, sprawiły mu jakąś wstydliwą, słodką przyjemność. Wewnętrzne spojenia, które dotąd trzymały w ryzach duszę, puściły. Ze łzami, wzbierającymi pod powiekami, współczuł teraz wszystkiemu, co żyje na Ziemi i musi umrzeć jak on. Ponieważ jednak nie miał komu zostawić swoich – niemałych wciąż – oszczędności, przez chwilę pomyślał, że kiedy koniec będzie już blisko, wyda wszystko co do ostatniego grosza na jakąś zawrotną wycieczkę na wyspy Oceanu Indyjskiego. Tak, pojedzie w ostatnią podróż swego biednego życia na Malediwy, a może na Madagaskar, albo jeszcze lepiej na Wyspę Wielkanocną, o której marzył od dzieciństwa. Zaraz jednak otrzeźwiał. Drzemiąc na leżaku pod tropikalnym słońcem na białej, oceanicznej plaży, popijając przez słomkę pomarańczowy sok z zimnej, kryształowej szklanki, skrzęcej się iskierkami lodu, miałby udawać, że pod ciepłą skórą ramion, pleców i brzucha, pieszczoną przez oceaniczny wietrzyk, białe krwinki wcale nie mnożą się nieprzytomnie jak robactwo pod korą próchniejącego drzewa?

Potem przyszło mu do głowy, że zaraz wyjdzie do przedpokoju, założy płaszcz, chwyci podręczny neseser z paroma niezbędnymi rzeczami, zbiegnie do garażu, wsiaśnie do toyoty, przekręci kluczyk w stacyjce, pojedzie na Okęcie, szybko wykupi bilet w kasie, polecą pierwszym z brzegu boeingiem do Zurychu, po czym z międzynarodowego lotniska jasno oświetlonymi ulicami szwajcarskiej metropolii od razu szybko pomknie taksówką prosto do sławnej kliniki, w której wysoko kwalifikowani lekarze skutecznie i elegancko pomagają umrzeć takim jak on. Tak, to rozwiązanie wydało mu się najsensowniejsze. Na cóż tu czekać? Na powolny rozkład tkanek i umysłu, żeby zrobić przyjemność Bogu, który, o ile istnieje, podobno – jak upiera się Kościół – jest zażartym fanem naturalnej śmierci? O nie! Nic z tego! Zapłaci szwajcarskim doktorom, ile będą chcieli, byleby tylko sprawnie i bezboleśnie przy dźwiękach dobrej muzyki – najlepiej Mahler? Haendel? Segovia? Schubert? – wyprawili go łodzią Charona na tamten świat, nie narażając przy tym schorowanego ciała na mozolne brnięcie przez paskudne fazy – czy mogły być słowa okropniejsze! – zdychania zgodnego z naturą. Po chwili uświadomił sobie jednak, że najpierw powinien sprawdzić w Internecie, czy sławna klinika nadal istnieje, bo liczni mieszkańcy Zurychu – jak kiedyś usłyszał w telewizji – podobno nie mogli już patrzeć na worki z czarnej folii, które o piątej rano codziennie wynoszono z budynku, wsuwając tanatyczny ciężar do eleganckiego karawanu z niklowanymi okuciami, więc domagali się, by zamknąć jak najszybciej podejrzany przybytek.

Zajrzał do laptopa. Na ekranie zobaczył nowoczesny pawilon kliniki, pięknie położony pod wysokimi alpejskimi świerkami nad brzegiem szwajcarskiego jeziora, pod zdjęciem przeczytał informację, jakich to usług może się tam spodziewać, zapoznał się z proponowanymi cenami (nie były wygórowane), potem rzucił okiem na najświeższe wiadomości o pogodzie, ważne dla komunikacji lotniczej, bo nie lubił, gdy podróż odrzutowcem zakłócają niemiłe turbulencje, wreszcie zniechęcony zapowiedzią upałów, które żółtą falą nadciągały nad Szwajcarię od strony spieczonej słońcem Hiszpanii, zamknął laptopa, bezradnie przyglądając włosy rozstawionymi palcami lewej dłoni.

W końcu nie pali się. Zurych może jeszcze poczekać. Miał jeszcze przed sobą – jak mu powiedział Karsten – parę tygodni, może nawet parę miesięcy życia. Kto wie, co jeszcze może się zdarzyć. A skoro ma już umrzeć, postanowił, że zanim umrze, całe swoje oszczędności przekaże na jakiś cel szlachetny, mądry i wzniosły, jak amerykańscy miliarderzy, którzy najpierw podłymi metodami zdobywają astronomiczne majątki, a potem, w obliczu nieuchronnej śmierci naturalnej, wewnętrznie rozświetleni nadzieją boskiego rozgrzeszenia i wywyższenia w oczach potomnych, wzruszeni, oczyszczeni, prawie święci, przed samym zgonem zapisują jakimś biedakom zawrotne sumy.

Tak, wszystko, co ma, zapisze na jakieś hospicjum, w którym cierpliwie umierają tacy sami jak on nieszczęśnicy. Trochę to go uspokoiło. Nawet poczuł się lepiej, gdy pomyślał, że skutecznie poprawi dolę jakiegoś biedaka, tym pięknym gestem uroczyste zamykając swój jednorazowy pobyt na Ziemi. Tyle że od razu w głowie zapaliła się czerwona lampka. Hospicjum? Nie tak dawno zobaczył w telewizji, co naprawdę dzieje się w hospicjach. On oddaje swoje pieniądze z nadzieją na Dobro i Piękno, a wszyscy ci pielęgniarze, dyrektorzy i opiekunowie starców dzielą się banknotowym łupem między sobą, dla podopiecznych zostawiając nędzne ochłapy. Przecież w każdym hospicjum personel dręczy, bije i okrada pensjonariuszy! W każdym! – upierał się z niezrozumiałą dla siebie zaciekłością. Słyszał, jak to w jednym z zakładów personel opiekuńczy dorobił się niezłego majątku, systematycznie zmniejszając racje żywnościowe podopiecznych, aż w sprawę wdała się prokuratura. Więc teraz miałby oddawać swoje pieniądze takim ludziom?

Aż się wzdrygnął. Czego nie dotknął, miało skazę. Z wierzchu porządne, a pod spodem brud. Więc komu miał oddać swoje pieniądze, które odkładał przez całe życie, z nieokreśloną nadzieją na Szczęście, Dobro i Piękno? Może Kościołowi na zbożne cele? Gdy mu tylko przyszła ta myśl do głowy, oczami duszy ujrzał od razu świeżo umyte czarne volvo biskupa sufragana

prasko-siedleckiego Antoniego, o którym niedawno rozpisywały się gazety. To może by wesprzeć jakąś szlachetną rodzinę zastępczą, która w trudzie i mozole wychowuje kilkoro osieroconych dzieci? Dobrze pamiętał telewizyjny reportaż o jakimś małżeństwie bezrobotnych, którzy wpadli na pomysł, że wezmą na wychowanie dwanaścioro dzieci, a potem swoje przybrane potomstwo traktowali jak hodowlane bydło, na którym można zarobić, aż do drzwi zapukała policja. Po tym wszystkim, co mu los zgotował, nie był w stanie uwierzyć, że na Ziemi cokolwiek może być czyste. Nie ufał nikomu i niczemu, a przede wszystkim samemu sobie.

W odruchu rozgoryczenia postanowił, że wstanie w środku nocy, wyjdzie przed dom na Akacjowej, spojrzy w rozgwieżdżone niebo, na kamiennej ścieżce między magnoliami usypie stos wszystkich banknotów, jakie posiada, pokropi benzyną i podpali. Z popiołu powstałeś, w popiół się obrócisz. Ostatecznie zdecydował, że gdy koniec będzie już blisko, otworzy książkę telefoniczną na dowolnej stronie i z zamkniętymi oczami krótkim dziobnięciem paznokcia wskaże nazwisko jakiegoś Zygmunta Malewskiego z Woli Podbeskidzkiej, Jadwigi Kuś ze Szklarskiej Poręby czy Jana Wurnego z Przebiszowa. Takiemu właśnie bliźniemu swemu, którego za żadne skarby nie chciał widzieć na własne oczy, przekaże uroczystym testamentem oszczędności, które mu pozostały, obojętne czy będzie to człowiek dobry, czy łajdak. Niech los zadecyduje o wszystkim.

W końcu dlaczego on sam miałby wyręczać tę tajemniczą, podłą instancję w trudnej, lecz koniecznej dystrybucji ludzkiego szczęścia?



KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

wszędzie, a także na www.kwartalnik.art.pl

*Wnoszę toast za zdrowie
„Kwartalnika Artystycznego”
i dalsze dziesięciolecia jego bogatej egzystencji.
Czesław Miłosz*

Elzbieta Lempp



JULIA HARTWIG

Jak zapisać ten czas
jest choroba i ból
i jest ulga w bólu
duch wciąż niepokojony
pragnienie pociechy bez trwóg
Westchnienie:
uczynź me ciało pomocnym
i daj duszę wytrwałą
daj przyjaciół oddanych
i sędziów sprawiedliwych
jeżeli zasłużyłam

Jaka niewinna twoja zieleń
jaka radosna i bezbronna
wie że uroda jej
co dzisiaj wzrusza
wkrótce utraci lekkość
i chęć zabawy z powiewem
tchnącym jeszcze nadzieją

A curved metal bench sits on a sandy beach. In the foreground, the sand is sculpted into a fan-like pattern of lines radiating from a point at the bottom. The background shows the ocean and a concrete structure.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

wszędzie, a także na www.kwartalnik.art.pl

*„Kwartalnik Artystyczny” jest pismem, na które zawsze czekam.
Wisława Szymborska*

Dariusz Golik



ANTONI LIBERA

Kosmos w Dolinie Pysznej

(początek większej całości)

Opowiem inną historię, dziwniejszą...

Tak brzmi pierwsze zdanie *Kosmosu*, ostatniej powieści Witolda Gombrowicza. I tak też mogłaby się zacząć moja opowieść – o tym, co przydarzyło mi się wkrótce po jego śmierci, w sierpniu 1969 roku, niewątpliwie w wyniku lektury tego dzieła (tego „ciemnego dzieła”, jak lubił je nazywać), a w dodatku w tej samej okolicy, gdzie toczy się jego akcja, czyli pod Zakopanem: w Dolinie Chochołowskiej, a także w Dolinie Pysznej.

Tylko od czego właściwie zaczyna się ta historia?

Wiadomo, nie ma niczego, co byłoby przyczyną. Dla ludzkiego umysłu wszystko ma jakiś powód, który odsyła do dalszych – wcześniejszych – w nieskończoność. Ten sam umysł jednakże ma również tę właściwość, że zatrzymuje się na czymś, uznając to arbitralnie za „alfę” – za punkt wyjścia. Otóż dla mnie ów punkt – to czarodziejskie Słowo, co było na początku – znajduje się w czasie mitycznym, bo znanym mi tylko z przekazu: w czasie poprzedzającym moje przyjście na świat, i to o siedem lat.

|

Chodzi o pewien upalny, czerwcowy dzień w Warszawie, na krótko przed wielką akcją likwidacyjną getta, która zaczęła się w lipcu 1942 roku.

Że Niemcy taką akcją potajemnie planują, mówiło się od dawna. W ciągu ostatnich miesięcy zapanowało jednak powszechne przekonanie, że decyzja w tej sprawie ostatecznie zapadła i że „godzina zero” wybijie lada dzień. Od tej chwili, mówiono, ratunku już nie będzie. Niemcy, jak się ich zna, nie przepuszczą nikomu. Nie będzie żadnego przekupstwa, żadnej litości, łaski. Nikt się już wtedy nie wymknie. Wszyscy pojedą „w nieznaną”. Kto więc nie marzy o tym, niech wieje póki czas – za mur, na aryjską stronę. Jest to, rzecz jasna, wyjście niezwykle ryzykowne, nieledwie desperackie, i tylko dla niektórych – tych, co „nie mają wyglądu”, a przy tym mogą liczyć na taką lub inną pomoc poza

dzielnicą zamkniętą – niemniej jeżeli tylko istnieje jakaś szansa, to trzeba z niej korzystać i wyskakiwać za burtę. Inaczej – szkoda słów.

Skakać za burtę, wiać – łatwo radzić, namawiać. Przecież na takie wyjście potrzeba znacznych środków. Najpierw trzeba opłacić nadzorcę-przemysłownika, a to już kupa forsy, a potem mieć na życie w tak zwanym okresie przejściowym, póki się nie wyrobi nieskazitelnych papierów z dobrym polskim nazwiskiem i ze świadectwem chrztu, które także kosztuje. Warto wreszcie posiadać jakieś kosztowne drobiazgi – pierścionek, złote monety – na niefart lub czarną godzinę. Kto ma taki majątek! Owszem, niektórzy mieli. Niestety moja matka nie należała do nich.

A jednak było coś, na czym mogła się oprzeć... od czego mogła z a c z a ć. Tym czymś była szwajcarska maszyna dentystyczna odziedziczona po ciotce, która zginęła jeszcze przed utworzeniem getta. Maszyna ta z resztą sprzętu z jej gabinetu w mieszkaniu przy ulicy Królewskiej została zdeponowana u zaufanych sąsiadów. „Na czas nieokreślony”, jak zostało to zgrabnie sformułowane w notatce udającej umowę, spisanej na świstku papieru, w pośpiechu, w dwóch egzemplarzach. „Aż skończy się ta wojna”, jak dodano na końcu w niezbyt formalny sposób, „albo gdy z jakichś względów trzeba to będzie spieniężyć”.

Godzina ta właśnie wybiła. Problem polegał na tym, jak o tym powiadomić niegdysiejszych sąsiadów.

Że wszystko przez ten czas mogło się u nich zmienić – że się wyprowadzili lub wpadli w tarapaty i sprzedali maszynę, słowem, że bardzo im przykro, ale nie mogą niestety wywiązać się z przyrzeczenia – o tym nie ma co mówić, bo to jest oczywiste. Taki po prostu jest świat. A jednak, choć to bolesne, lepiej się o tym przekonać, niż z góry dać za wygraną.

Tylko jak? Jak to zrobić? Wysłać za mur „umysłnego”? (Krażyli tacy kurierzy). Po pierwsze długo to trwa, a przy tym jest niepewne. Ludzie pod okupacją stali się tak nieufni, że prawie nikomu nie wierzą, a co dopiero komuś, kto zjawia się niespodzianie z tego rodzaju sprawą. Jak przekonać sąsiadów... niegdysiejszych sąsiadów, że „umysłny” przychodzi naprawdę w imieniu matki? A jeśliby się nawet znalazło taki sposób, to przecież wobec kogoś, kto tylko jest pośrednikiem – kimś obcym, nieznanym – łatwiej jest złamać słowo niż w obecności tego, któremu się je dało. Dlatego też konieczny jest kontakt bezpośredni, choćby tylko głosowy. Znaczący telefoniczny.

Telefon w getcie? W tym czasie? I jeszcze łączący z miastem leżącym poza murem?

A jakże, czemu nie! Trzeba znać tylko człowieka, który ma dostęp do niego, a jeszcze lepiej do kabli i umie się do nich podłączyć. To stary pajęczarz Szmul, który przed wojną pracował w telekomunikacji, ciągnął linie w Śródmieściu, zna ich rozkład na pamięć, a nade wszystko posiada taki monterski aparat (sama słuchawka z tarczą), którym się można podpiąć w stosownym punkcie sieci.

Taka usługa, rzecz jasna, także ma swoją cenę, lecz nie ma co żałować, trzeba za to zapłacić, bo to jedyny krok, który otwiera drogę. Tym bardziej że telefoniarz policzy sobie pewnie w danym wypadku mniej – po pierwsze ze względu na to, że matka swego czasu uczyła jego dzieci, lecz nade wszystko dlatego, że postawione zadanie nie jest specjalnie trudne. A nie jest trudne dlatego, że ulica Królewska ciągnie się tuż za murem. Trzeba więc tylko się udać do stosownej piwnicy w budynku na końcu Grzybowskiej, dochodzącej w to miejsce od drugiej strony muru, i tam w odpowiedniej puszcze wpiąć się w linię idącą dalej w kierunku Królewskiej.

Akcja ta, wzbudzająca wielorakie obawy – czy w ogóle się uda? czy niedysiejsi sąsiedzi będą akurat w domu? czy ten, kto podejmie telefon, pozna matkę po głosie? czy się nie wyprze wszystkiego lub odmówi pomocy? – została uwieńczona nadspodziewanym sukcesem. Sukcesem przyprawiającym dosłownie o zawrót głowy, tym bardziej że rozmównicą był wierzchołek drabiny przystawionej do ściany pod puszką telefoniczną, a cała długa rozmowa odbywała się w mroku.

A więc tak, oczywiście, wszystko jest po staremu! Jak widać, a raczej słychać, w dalszym ciągu mieszkają przy ulicy Królewskiej i przechowują maszyny, i resztę wyposażenia, i jak najchętniej pomogą. Tym bardziej że nie tak dawno skurczyło im się miejsce: musieli przyjąć do siebie pewną dalszą rodzinę.

A więc tak, jak najbardziej, chętnie pozbędą się tego, bo tylko im to zawadza. Tylko komu to sprzedać? Jest jakiś klient? Nabywca? Bo szukać takiego, pytać czy dawać ogłoszenie to nazbyt kłopotliwe. Do tego, proszę wybaczyć, ale nie mają głowy. Poza tym to zawsze trwa, a skoro, jak słyszą, czas nagli, proponują załatwić całą sprawę od ręki: po prostu sami to kupią, a potem będą się martwić. Pytanie tylko, za ile.

W „umowie” o depozycie była podana wartość powierzonego sprzętu – nazwano ją szacunkową, co faktycznie znaczyło, że była zanizona – i matka ją wymieniła.

No nieee, w słuchawce z tarczą rozległ się jęk zawodu. Tyle to nie da rady! Po pierwsze nie wiadomo, czy to tyle jest warte, a po drugie po prostu nie mają takich pieniędzy. Wręcz przeciwnie, biedują, z trudem im starcza na życie. Więc ile?, proszę powiedzieć.

Matka wiedziała dokładnie, ile potrzeba na wyjście, więc podwoiła tę sumę. Była to – „szacunkowo” – zaledwie jedna trzecia wartości samej maszyny. A jednak i tę cenę uznano za zbyt wysoką.

To było do przewidzenia.

Na ile więc może liczyć, matka zadała w końcu zasadnicze pytanie. Powiedzmy na trzy czwarte (z tego, co wymieniła). To wszystko, co w tej chwili mogą zaproponować.

W porządku, niech tak będzie, niech przygotują to, a ona za dzień lub dwa znów zadzwoni i powie, gdzie i o jakiej porze mają przyjść z tą gotówką.

Kiedy zeszła z drabiny, pajęczarz Szmul zapytał, czy ten, co ma ją puścić, jest sprawdzony i pewny, bo bardzo różnie z tym bywa. Odrzekła, że jak na razie w ogóle nie ma nikogo, bo póki nie było forsy, nie zajmowała się tym. Wtedy zaproponował, że może ją skontaktować z takim jednym „tragarzem”, co przeprowadza ludzi, z którym się można dogadać i który jest w miarę pewny. W każdym razie dotychczas jeszcze nikogo nie wydał.

Spotkali się z nim nazajutrz. Nadzorował brygadę wychodzącą na Wolę – na odgruzowywanie. Wyjaśnił krótko zasady. Osoba, która chce uciec, dołącza do wychodzących dosłownie w ostatniej chwili – na znak nadzorującego. Jest poza ewidencją, więc musi liczyć się z tym, że jeśli ktoś wstrzyma grupę i znacznie sprawdzać listę, to łatwo ją wyłuska.

Na miejscu, na rogu Leszna i ulicy Młynarskiej, trzeba pracować co najmniej przez siedem–osiem godzin. Za potrzebą się chodzi do kibla w jednym z podwórek. I to tam się załatwia tak zwane formalności: wręcza się pięć górali i spływa drugą bramą. Ale to ryzykowne, bo o tym procederze wiedzą już szmalcownicy i tylko tam czekają. Odradza więc ten manewr. Lepiej sprowadzić kogoś, kto podjedzie tam rykszą, i razem z nim odjechać. Warto też zabrać ze sobą jakieś ciuchy na zmianę, aby przebrać się w kiblu i wyglądać inaczej, gdy się będzie odjeżdżał.

To wszystko. Reszta to fart. Jeśli więc jest gotowa, niech stawi się w punkcie zbornym na kwadrans przed ósmą rano.

Sąsiad z Królewskiej, z rykszą, został obstalowany na trzecią po południu. Miał podjechać pod bramę i czekać, czytając gazetę. Pieniądze miał podzielić na trzy nierówne części i trzymać je w różnych kieszeniach. Główny plik – dla

„tragarza” – powinien mieć pod ręką. Gdy matka z nim podejdzie i wejdą na podwórze, sąsiad ma do nich dołączyć i jeśli będą warunki, to znaczy nie będzie świadków, wręczyć pod kiblem forszę. Wtedy „tragarza” odejdzie i stanie w bramie domu, udając, że czeka na kogoś. W tym czasie matka w kiblu zmienia szybko ubranie – na jakieś barwne, lepsze – i wzięwszy sąsiada pod rękę, wyjdzie z nim na ulicę. Tam wsiądą zaraz do rykszy i spokojnie odjadą.

Do tego momentu akcja toczyła się jak po maśle. Wszystko szło zgodnie z planem. Gdy jednak tylko ryksza tryumfalnie ruszyła, pomyślny wiatr nagle ustał. Z sąsiedniej bramy wypadło dwóch takich w średnim wieku i zatrzymało pojazd. Spyтали kpiarskim tonem, czy ta pani przypadkiem nie urwała się z pracy. Roboty jeszcze trwają. Fajrantu jeszcze nie było. Zdenerwowany sąsiad próbował iść w zaparte, mówiąc, że biorą ich... wyraźnie za kogoś innego. Ale tamci odrzekli, że wszystko widzieli pod kiblem i że za przemilczenie nielegalnej transakcji należy się prowizja. Matka mruknęła pod nosem, by sąsiad im zapłacił. Zrobił to bez wahania, wręczając drugi plik.

„To za tą panią”, rzekł ten, który odebrał pieniądze, „a za pana to pies?”

„Co za mnie? Jakie za mnie?”, obruszył się na to sąsiad. „Za kogo wy mnie bierzecie?”

„Za gnidę, za pomagiera”, wyjaśnił spokojnie drugi. „A pomagierzy też płacą. Czyż nie łamią przepisów?”

Sąsiad trzęsącą się ręką wręczył mu trzeci plik.

Dopiero wtedy, spluwając, leniwie zeszli z drogi.

Przez kilka minut po tym jechali, nic nie mówiąc – w napięciu, czy lada chwila znów ich ktoś nie zatrzyma i nie przekreśli jednak dotychczasowych starań. Lecz nic takiego nie zaszło. Wreszcie znaleźli się w centrum, a tam już było bezpieczniej.

Sąsiad zapytał matkę, czy ma ją dokądś podwieźć. Wyczuła, że wciąż się boi i chce się od niej uwolnić. Postanowiła jednak nie pomagać mu w tym. Powiedziała znacząco, że bez grosza w kieszeni właściwie nie ma gdzie iść, więc jeśli nie zamierza wspomóc jej jeszcze jakoś, to może ją zostawić choćby na środku ulicy.

Pojechał na Królewską. Pomyślała przez chwilę, że może jednak ją weźmie na przechowanie do siebie, przynajmniej na kilka dni, póki nie znajdzie sobie jakiegos innego lokum. Lecz taka propozycja nie padła z jego strony. Na miejscu powiedział tylko, by jeszcze nie odchodziła, lecz zaczekała chwilę, po czym pobiegł na górę i wrócił stamtąd zaraz, i wręczył jej w papierku złoty pierścionek ciotki.

„To wszystko, co mogę jeszcze dla pani dzisiaj zrobić”, powiedział lekko zmieszany i szybko się pożegnał.

Została sama z pierścionkiem, zastanawiając się, kiedy i z jakiego powodu trafił w ręce sąsiada. Ukryła go wreszcie w staniku i wyszła na ulicę. Jakieś sto metrów od niej widniał mur na Granicznej, oddzielający Królewską od ulicy Grzybowskiej. Dopiero co tam była. Dom, z którego piwnicy dzwoniła do sąsiadów, znajdował się tuż-tuż. Miała go jak na dłoni. Lecz teraz była z t e j strony. Po stronie szansy, nadziei. W danych warunkach wprawdzie miało to gorzki smak – no bo co to za szansa, kiedy nie ma się domu, cały majątek stanowi jeden mały pierścionek, a w dodatku za pasem godzina policyjna – niemniej wolność to wolność, choćby w podbitym kraju, pozwalającym jednak tak lub inaczej żyć.

Nieraz, nie mogąc spać, myślała o takiej chwili... o takiej s y t u a c j i, w jakiej się właśnie znalazła. Co będzie, gdy straci nagle takie lub inne zaplecze – lokum, pieniądze, wszystko – i wyląduje na bruku? Co zrobi? Dokąd pójdzie? Kogo poprosi o pomoc? I rozważała wtedy, czy byłaby gotowa zwrócić się o nią do osób, które darzyła uznaniem i ogromnym szacunkiem, które jednak nie były bliskimi jej przyjaciółmi, a co najwyżej miłymi i życzliwymi ludźmi, znanymi jej ze studiów i z ministerstwa oświaty. Do takich, jak na przykład stary profesor K., wybitny filolog klasyczny, albo pani Uklejska, działaczka młodzieżowa i dyrektorka szkoły, która na przekór wstrętom czynionym przez endeków przyjęła ją jednak do pracy w trzydziestym ósmym roku. Otóż gdy rozważała tego rodzaju kwestie, wyobrażając sobie sytuacje krytyczne, uprzytamniała sobie, że gdyby nawet życie zależało od tego, nie byłaby jednak zdolna zwrócić się do tych ludzi – ot tak, znienacka, z marszu – z prośbą o przechowanie, „bo ludzi, których się ceni, szanuje i podziwia, nie można stawiać w obliczu tak piekielnego wyboru, jakim jest wybór pomiędzy śmiertelnym zagrożeniem a wstydliwą odmową”. Można najwyżej z dystansu – przez jakichś pośredników – dawać do zrozumienia, że ma się jakieś kłopoty i bardzo by się przydała taka lub inna pomoc. To właśnie między innymi tego rodzaju opory i ich dotkliwa świadomość wstrzymywały ją długo przed podjęciem decyzji. I oto ledwo w końcu zdobyła się na ten krok, od razu musiała się zmierzyć z tą traumatyczną sprawą.

Zgodnie z pierwotnym planem, miała się teraz udać na ulicę Próchnika na górnym Żoliborzu, gdzie mieszkał dawny woźny z gimnazjum, w którym uczyła. Zajmował się obecnie handlem i pośrednictwem, głównie w wynajdywaniu pokoi do wynajęcia. Był w miarę zaufany i bardzo przychylny matce, bo,

jak pajęczarz Szmul, miał wobec niej dług wdzięczności – za to, że jego córkę, dziewczynę niezbyt lotną, przepchnęła do matury. Jednakże znajomość z nim nie wykraczała poza granice życzliwości i – na arenie życia, zwłaszcza pod okupacją – podlegała zasadzie „kochajmy się jak bracia, a liczymy się jak żydzi”. Czyli że wszystko miało swój wymiar finansowy. Przystugi miały swój cennik, nie mówiąc o transakcjach, a wynajęcie pokoju, w dodatku „zaufanego”, było właśnie transakcją, i to w ścisłym znaczeniu. Tak więc bez żadnych środków – z jednym, żalonym pierścionkiem – nie było sensu się zgłaszać do dawnego woźnego na ulicę Próchnika. Mogło to nawet zaszkodzić.

Drugi wariant działania, niejako awaryjny, zakładał jazdę do Lasek – podwarszawskiej osady, gdzie znajdował się zakład dla niewidomych dzieci, prowadzony przez siostry z zakonu franciszkanek, z których jedna, w przeszłości, w okresie wspólnych studiów, przyjaźniła się z matką. Samo to oczywiście nie było jeszcze podstawą, by szukać tam schronienia. Jednak siostra Franciszka nie tak dawno, na wiosnę (gdy tylko zaczęły krążyć pogłoski o likwidacji), sama, na własną rękę, zdobyła jej adres za murem i przysłała tam list, który kończył się zdaniem, że jeśliby przypadkiem przeszła na drugą stronę, to może na nią liczyć. Było to budujące, a nawet w pewnym stopniu wpłynęło na decyzję. Ale plan ten zakładał przynajmniej dzień lub dwa na akcję przygotowawczą. Aby wdrożyć go w życie... *s p r ó b o w a ć* wdrożyć w życie, trzeba było na wstępie dotrzeć do siostry Franciszki, czyli pojechać do Lasek, dokąd nie kursowała komunikacja miejska, a był to dystans co najmniej piętnastu kilometrów. Jak go pokonać bez grosza, mając w dodatku na karku godzinę policyjną? To nie wchodziło w grę. Przynajmniej w tym momencie.

Co robić więc? Gdzie iść? Na jaką postawić kartę?

Ruszyła w końcu przed siebie, nie mając żadnego celu. Po prostu nie mogła dłużej stać bezczynnie i czekać na nie wiadomo co, czując, jak czas ucieka. Jego złowrogi upływ stłumiła pozorem działania.

Szła, powtarzając sobie sentencje Horacego, które znała na pamięć. *Stanie się, co się stanie... Nie pytaj, co będzie jutro... Pamiętaj, by w trudnych chwilach zachować równowagę.*

I tak – nie wiadomo czemu i nie wiadomo którędy – dotarła na Mokotów, na ulicę Narbutta. A tam zdarzyło się coś, co dla jednych jest cudem, a dla innych przypadkiem albo szczęśliwym trafem, wszelako dla jednych i drugich stanowi tajemnicę.

Nagle doszedł ją z boku znajomy kobiecy głos: „Pani Ido! To pani?”.

Nie dowierzając uszom, spojrzała w tamtą stronę.

Nie, nie myliła się: była to pani Uklejska.

„Co pani tutaj robi?”, eksdyrektorka szkoły nie mogła się nadziwić.

„Gram z losem”, odrzekła matka i przedstawiła w skrócie swoje ostatnie przeżycia.

Skrót obejmował głównie incydent z szantażystami („bo nie wypada się skarżyć, zwłaszcza osobom szlachetnym, na pospolitych bandziorów, którzy, formalnie rzecz biorąc, są ich pobratymcami; bo przecież to zawstydzia i byłoby odebrane jako milczący wyrzut, a nawet jako wezwanie do wyrównania krzywdy wyrządzonej przez innych”) – oraz podsumowanie powstałej sytuacji, to znaczy, że nie ma lokum i nie ma dokąd pójść.

Wydobyła to od niej dopiero pani Uklejska, i to z niejakim trudem, długim szeregiem pytań.

„Nie ma pani gdzie spać, nie ma pani papierów, i nic pani nie mówi?”, wykrzyknęła na koniec, po czym zabrała matkę do swojego mieszkania przy ulicy Rejtana, która się znajdowała jedną przecznicą dalej.

Tam od razu spalono całą jej garderobę (brudną, cuchnącą, zawszoną), przygotowano kąpiel i dezynfekcję skóry, i dano nowe ubranie, w tym również koszulę nocną. Potem była kolacja, przy której nakreślono plan na najbliższe dni.

Zacznie się oczywiście od wyrobienia papierów. Do tego potrzebne jest zdjęcie. Wykona je znajomy zaufany fotograf, którego się tu sprowadzi, bo matka nie powinna na razie wychodzić z domu. Zdobyciem lewej *kennkarty* zajmie się osobiście córka pani Uklejskiej, która działa w podziemiu. Odciski palców się zdejmie, jak karta będzie gotowa. To wszystko może zająć od pięciu do siedmiu dni. Przez ten czas matka będzie mieszkała u nich w domu, lecz w ciągu dnia niestety musi siedzieć w spiżarni, bo ciągle ktoś przychodzi, a nie wszyscy są pewni, więc lepiej, by nikt jej nie widział. Gdy tylko lewe papiery zostaną wystawione, wynajdzie się jej wtedy jakieś płatne zajęcie, a wraz z nim nowe lokum, bo tutaj mimo wszystko nie może zostać dłużej. Tutaj jest punkt kontaktowy, tutaj zbyt wiele się dzieje.

Matka dziękując za wszystko, stwierdziła, że utrzymanie, nie mówiąc o lewych papierach, na pewno sporo kosztuje, więc chciałaby przynajmniej w miarę swych możliwości partycypować w kosztach, i położyła na stole złoty pierścionek ciotki.

„Pani Ido! Doprawdy!”, zachnęła się pani Uklejska. „Co też pani wyprawia! Proszę natychmiast to zabrać. Przecież to jest pamiątka!”

Matka zabrała pierścionek i po raz pierwszy od lat wsunęła go sobie na palec.

Papiery były gotowe dopiero po tygodniu. Matka zwała się odtąd Cecylia Poletyło i pochodziła z Łowicza. Jej wyuczonym zawodem było krawiectwo damskie, wykonywanym zaś – sprzątanie i gotowanie. Była po prostu *Hausfrau* (gospodynią domową), wyznania oczywiście rzymskokatolickiego.

Najważniejszą nowiną była jednak możliwość nowego miejsca pobytu i związanej z nim pracy. Otóż państwo ER-yńscy, ze znanej rodziny ziemiańskiej, skoligaconej w dodatku z arystokracją angielską, potrzebują na gwałt guwernantki dla syna – trzynastolatka Lucjana. Mieszkają w majątku pod Grójcem i dobrze im się powodzi. Pani Uklejska wprawdzie, jako osoba wyrosła w domu inteligentkim i w duchu demokratycznym, nie przepada specjalnie za ich stylem i szykiem, za tymi wszystkimi formami, manierami i pozą, niemniej dobrze ich zna i może za nich ręczyć. Są to ludzie bezwzględnie uczciwi i honorowi, i można na nich polegać. W dodatku są inaczej traktowani przez Niemców, bez porównania łagodniej, a nawet z dozą szacunku. Oczywiście nie robi to dobrego wrażenia i wielu ludzi się krzywi, a nawet ma za świadectwo cichej kolaboracji, ale to nie jest tak, to tylko pewna taktyka: gra na snobizmie Niemców. W danych okolicznościach jest to nawet korzystne, bo, jak mówi przysłowie, najciemniej jest pod latarnią. Inaczej mówiąc, w majątku, „pod pańskim parasolem”, matka będzie bezpieczna jak w żadnym innym miejscu.

Matka, oględnie mówiąc, nie była zachwycona tą nową perspektywą. Podobnie jak pani Uklejska nie miała nabożeństwa do ludzi z wyższej sfery i czuła się nieswojo w kontaktach z błękitną krwią. Poza tym wyobrażenie oficerów niemieckich zjeżdżających czasami z niespodzianą wizytą napawało ją lękiem. Ale nie miała wyboru, nie mogła przecież odmówić. Nie mogła w danych warunkach odrzucić propozycji. Spytała więc tylko chłodno, zdradzając brak entuzjazmu, czego właściwie ma uczyć tego trzynastolatka.

„Wszystkiego, a głównie języków”, odrzekła pani Uklejska. „Francuskiego, łaciny, historii starożytnej, a może nawet greki”.

Po prostu jak znalazł dla niej. Będzie zadowolona. To bardzo zdolny chłopiec. A oni sami dość skromni. Nie sadzą się, nie wynoszą. A jak tylko zobaczą, że ten ich beniaminek (Lucjan jest jedynakiem) robi szybkie postępy, na pewno to docenią. Potrafią się odwdzięczyć.

Matka skinęła głową, że oczywiście się godzi i jest do dyspozycji.

W ciągu kolejnych dni załatwiono przepustkę na przejazd pociągiem do Grójca i trzydziestego czerwca, w asyście pani Uklejskiej, matka ruszyła w drogę.

Szczęśliwie zarówno w wagonie, jak na peronie dworca obyło się bez kontroli. Na placyku przed stacją czekała bryczka z woźnicą, wysłana przez państwa ER-yńskich. Do majątku przybyli po południu, przed piątą.

Panował tam sielski spokój i senna atmosfera. Jakaś kobieta ze służby zaprowadziła matkę do jej nowego lokum. Był to pokój na piętrze w masywnej oficynie. Łóżko, stolik, dwa krzesła i niewielka komoda. W jednym rogu przy drzwiach – miednica na stelażu, a pod nią dzbanek z wodą; w drugim – stojący wieszak. Wszystko to było zgrzebne, surowe, „podstawowe”, dla matki jednak miało smak prawdziwego luksusu. Od wielu lat nie żyła w tego rodzaju warunkach. Sama w pokoju! W ciszy! Jak przed wojną na pensji! A zwłaszcza że już nie musi bez przerwy o coś walczyć, ubiegać się, uganiać lub błąkać po ulicach, by odwlec moment powrotu do jakiejś zatęchłej nory, pełnej nieszczęśliwych ludzi, cuchnących i hałaśliwych.

Jak to wszystko się skończy?, myślała pełna obaw. Nie przyjdzie za to zapłacić nazbyt wysokiej ceny?

Na razie jednak przyszła tylko pani Uklejska. Wróciła z głównego budynku, dokąd poszła niezwłocznie po przyjeździe na miejsce, by spotkać tam gospodarzy i przywitać się z nimi. Oznajmiła, że proszą na kawę do salonu. Chcą matkę zobaczyć... p o z n a ć i porozmawiać o pracy, jaką ma u nich podjąć, czyli o lekcjach z Lucjanem.

Matkę ogarnął niepokój, że może jednak jej los nie jest wciąż przesądzony. Być może, wbrew nadziejom i woli pani Uklejskiej, nie zostanie tu jednak, bo z takich czy innych względów nie spodoba się państwu. Czyż nie jest znaczący lapsus w ustach pani Uklejskiej – że powiedziała „zobaczyć”, nim powiedziała „poznać”? To do niej niepodobne. Nie wyraziłaby się w ten sposób sama z siebie. Musiała mimowolnie powtórzyć, co usłyszała. A więc chcą przede wszystkim z o b a c z y ć j ą, o b e j r z e ć, czyli przekonać się, czy i na ile „wygląda”. Ten niewinny czasownik od dawna miał inny sens.

Lecz wygląd to jeszcze nie wszystko. Powiedzmy, że go przełkną, czyli uznają za względny – nierzucający się w oczy, niejednoznaczny, „dobry” – to jednak oprócz tego jest jeszcze kwestia obycia, a zwłaszcza kwalifikacji. Będą się jej przyglądać i patrzeć, czy się nadaje na guwernantkę ich syna. A może nawet zechcą sprawdzić ją w jakiejś mierze, na przykład zaczną mówić od razu po francusku, by zbadać, jak sobie radzi. Nie miała z tym problemu, mówiła całkiem biegle, jednak taki egzamin zawstydzałby ją, upokarzał. Kto przed kim miał go zdawać! Magister filologii z gotowym doktoratem (nieobronionym jedynie wskutek wybuchu wojny) przed państwem z wyższej sfery, traktującym

naukę na ogół protekcjonalnie? Gorzkie, poniżające. Lecz cóż, trzeba to przełknąć. Inaczej szczęśliwa karta może się jeszcze odwrócić.

Te wszystkie obawy jednak okazały się płonne. „Jaśniepaństwo” ER-yńscy, jak zapewniała o tym solennie pani Uklejska, okazali się ludźmi niezwykle delikatnymi, bez cienia wyniosłości i wielkopańskiej pozy. Nie było żadnych „ogłędzin” ani żadnego „sprawdzianu”, była normalna rozmowa – rzeczowa i przyjazna.

Lekcje z Lucjanem codziennie – od dziewiątej do drugiej. Francuski, łacina, historia, ewentualnie logika, bo Lucjan ma ścisły umysł i bardzo dobrze gra w szachy. Popołudniami godzina konwersacji francuskiej: swobodne rozmówki o wszystkim, najlepiej wokół podróży – na temat dworców, hoteli, restauracji i sklepów. Po to, by opanował niezbędne kwestie i zwroty. Lecz z czasem – rozszerzyć zakres. Dyskutować o książkach albo o takich lub innych zdarzeniach historycznych. Po polsku dbać o język, o dobre wystowienie. W miarę możliwości wyjaśnić zasady retoryki i prowadzenia sporów.

To wszystko za mieszkanie i pełne wyżywienie, i za pomoc lekarską, gdyby zaszła potrzeba. Z czasem być może jeszcze dostanie kieszonkowe, ale na razie nie, bo sytuacja jest trudna. Zresztą i tak by nie miała okazji korzystać z niego, nie opuszczając majątku. Aha, i jeszcze jedno, o czym powinna wiedzieć. Czasem bywają tu Niemcy. Ale nie ma obawy, nie robią żadnych kontroli. Lecz mimo wszystko lepiej nie pokazywać się im. O ich przyjazdach będzie zawczasu zawiadamiana.

„A jeśli zjawią się nagle, ot tak, bez zapowiedzi?”, odezwała się matka. „Na przykład w czasie lekcji”.

„Trzeba zachować spokój”, powiedział pan ER-yński. „Robić swoje. Być sobą. Zachowywać się tak, jak gdyby nigdy nic. Lecz takich niespodzianek raczej nie będzie”, zapewnił.

„A co z podręcznikami?”, spytała tym samym tonem, jakby chodziło o sprawę tego samego rodzaju.

Pan ER-yński wyjaśnił, że Lucjan ma wiele książek do rozmaitych przedmiotów, lecz jeśli matka uzna, że są nieodpowiednie lub niewystarczające, to się sprowadzi nowe – takie, jakie potrzeba.

W obliczu porozumienia i braku dalszych pytań zawezwano Lucjana.

Do salonu wszedł chłopiec o jeszcze dziecinnym wyglądzie, a jednocześnie poważny, o smutnym wyrazie twarzy. Przywitał się szarmancko z panią Uklejską i z matką, po czym wycofał się i stanął nieśmiało z boku.

„Od jutra będzie cię uczyć”, oznajmił pan ER-yński, „pani Cecylia...”, urwał i zwrócił się do matki: „przepraszam panią bardzo, jak pani godność?... nazwisko?”

„Cecylia Poetyło”, odpowiedziała głośno, za matkę, pani Uklejska.

„No właśnie”, rzekł pan ER-yński, odrobinę zmieszany, i żeby to zatuzsować, zaproponował jowialnie, by przejść do biblioteki, gdzie miały odbywać się lekcje.

Codziennie lekcje z Lucjanem – z niewielkimi przerwami – trwały ponad dwa lata, do grudnia 1944. Lucjan zrobił w tym czasie kolosalne postępy. Okazał się rzeczywiście niezwykle uzdolniony. Miał doskonałą pamięć i żywą inteligencję. Wszystko chwycił z łatwością i w niebywałym tempie przyswajał sobie materiał. Praca z nim była nie tylko pedagogiczną sielanką, jak nazywała to matka, ale również wyzwaniem, by sprostać wychowankowi. Skłaniała do poszerzania zasobu własnej wiedzy i udoskonalania własnych umiejętności, tak aby zawsze być dalej, choćby o kilka kroków, i nie dać się zaskoczyć takim czy innym pytaniem.

Matka do wspomnień tych wracała z sentymentem, a nawet z nietypową dla siebie egzaltacją. Mówiła, że nigdy wcześniej ani też nigdy potem nie miała takiego ucznia. I że wszystko to razem było czymś wyjątkowym – cudownym, niepojętym – jedynym w swoim rodzaju. Wokół potworne rzeczy, hekatomba, dno piekła, a ona – jak w oku cyklonu, jakby w innym wymiarze: na wsi, sama w pokoju, w zaciszu biblioteki. Tych idyllicznych wspomnień nie zdołały zakłócić nawet dławiące obawy o los najbliższych osób – takich jak matka i siostra, z którymi straciła kontakt, ani momenty grozy towarzyszące wizytom oficerów niemieckich, zwłaszcza tym niespodzianym, do jakich – na przekór temu, co mówił pan ER-yński – jednakże dochodziło. A jeden incydent, doprawdy, mógł pozostawić ślad i uraz na całe życie.

Wpadli wtedy znienacka większą grupą niż zwykle: motocykl z koszem, auto i mała furgonetka. Przyjechali po żywność przed jakimiś świętami. Ziemniaki, warzywa, wędliny i wecki z przetworami, które bardzo cenili. Dwaj wyżsi rangą (z auta) zostali podjęci w salonie przez pana ER-yńskiego. Reszta została na zewnątrz, nadzorując kontyngent i jego załadunek.

Otóż jeden z tej reszty, zapewne podoficer, w każdym razie stojący niżej od tamtych dwóch, a wyżej od kierowców i pozostałych żołnierzy (przyjechał rozwalony w przyczepie motocykla), wyraźnie nudząc się, a jednocześnie zły,

że musi stać na dworze, a nie siedzieć w salonie i popijać tam koniak, zbliżył się do budynku i wolno wszedł do środka. Matka widziała tę scenę przez okno w bibliotece, gdzie siedziała z Lucjanem. Niby nie było w tym nic szczególnie złowieszczo – można było pomyśleć, że idzie do przełożonych, aby ich powiadomić o wykonaniu zadania – a jednak matkę zdjął strach. Jak okazało się wkrótce, przeczucie było słuszne.

Bo nie minęło pięć minut, jak drzwi uchyliły się wolno i ów znudzony-ciekawski wkroczył do biblioteki. Lucjan zerwał się z miejsca jak karny uczeń na wejście nauczyciela do klasy. Matka, mając w pamięci, co mówił pan ER-ynski – że w takich sytuacjach należy zachować spokój – siedziała nieporuszona, jak gdyby nigdy nic.

„Kim jesteś?“, spytał żołnierz, podchodząc do Lucjana.

Lucjan przedstawił się, dodając, że jest synem właścicieli majątku.

„A ta pani, co s i e d z i?“, żołnierz spojrzał na matkę, akcentując czasownik.

„To moja guwernantka“, odrzekł niepewnie Lucjan. „Właśnie ma ze mną lekcję“.

Wtedy wścibski *Feldwebel* ruszył w kierunku matki i stanął przed nią w rozroku, trzymając ręce z tyłu. Matka nie wytrzymała i też podniosła się z miejsca. *Feldwebel* wykonał gest oznaczający „no, wreszcie“ i przyjrzał się jej uważnie. Nie pochyliła głowy, lecz nie patrzyła mu w oczy. Wzrokiem błędziła po stole i leżących tam książkach.

„Więc czego pani go uczy?“, też spojrzał w tamtą stronę.

„Francuskiego... łaciny...“, odpowiedziała matka.

„Czemu nie niemieckiego?“, uśmiechnął się zaczepnie.

Wzruszyła ramionami.

Znów przyjrzał się jej uważnie, tym razem mrując oczy. Myślała, że to koniec – że odkrył jej tajemnicę – ale on tylko patrzył i uśmiechał się kpiąco, jakby bawił się strachem, który wyczuł w jej twarzy. Wreszcie odwrócił się i zaczął wolno chodzić wzdłuż regałów z książkami, oglądając ich grzbiety. A skoro matka i Lucjan dalej stali w milczeniu, rzucił im krótko: „*arbeiten*“.

Matce wydało się, że chce ją w ten sposób sprawdzić. Obawiając się jednak, że dźwięk francuskiej mowy może go łatwo rozjuszyć, otworzyła podręcznik z tekstami łacińskimi i głośno zaczęła czytać przemowę Cycerona przeciwko Katylinie, którą znała na pamięć. Wykluczała stanowczo, że człowiek ten może to znać i w ogóle zna łacinę, a jednak wymawiając owe słynne pytania, od których zaczyna się tekst, pytania pełne gniewu, szyderstwa i pogardy, uznała, że ten wybór nie był najstosowniejszy i zemści się za chwilę. Wprawdzie nie

stało się tak, niemniej butny *Feldwebel* napędził jej jeszcze strachu pod sam koniec wizyty. Na podjeździe przed domem zbliżył się mianowicie do jednego z tych dwóch, co przyjechali autem – do najwyższego szarż – odciągnął go na stronę i konfidencjonalnie gadał mu coś przez chwilę. Matka, która patrzyła na to wszystko przez okno, widziała w tym tylko jedno: że informuje go o poczynionym „odkryciu”. I to jej przekonanie było tak niezachwiane, że nie zdołał go rozwiać ani brak bezpośredniej reakcji oficera, ani brak innych następstw. Mrożącą krew w żyłach myśl, że ktoś ją demaskuje, zachowała na zawsze.

A jednak mimo tej traumy ów ponad dwuletni pobyt w majątku państwa ER-yńskich – o czym była już mowa – pozostał w pamięci matki nie tylko jako oaza względnego bezpieczeństwa, lecz jako czas zaklęty – „na czarodziejskiej górze”. Bez umiaru wracała do zdolności Lucjana i jego postępów w nauce. Rozwodziła się długo, cóż to za doświadczenie prowadzić takiego ucznia, który „na twoich oczach” prześciga nauczyciela. Jest to niezwykle rzadkie, a jej się przydarzyło. Miała szalone szczęście. Bo nic nie jest tak cenne jak jasny, piękny umysł i jego właściwy rozwój; nic nie ma takiej wartości jak głód wiedzy i talent, jak nauka i myśl.

Z pewnością. Niemniej jednak nie da się w życiu zachować bezwzględnej konsekwencji. Dlatego też gdy tylko doszły do matki wieści, że jej najbliżsi żyją i rozpytują o nią (miało to miejsce w grudniu czterdziestego czwartego, na krótko przed ofensywą wojsk sowieckich na zachód), natychmiast podjęła decyzję, by się z nimi zobaczyć, i opuściła majątek.

Pożegnanie z Lucjanem i jego rodzicami, chociaż pełne emocji – jak każde rozstanie ludzi, którzy się polubili i mają wobec siebie niemały dług wdzięczności – nie było jednak smutne. W obliczu końca wojny nikt nie traktował tego jako rozstania na zawsze. Przeciwnie, zakładano, że kiedy tylko wszystko wróci do względnej normy i przyjdzie stabilizacja, odnowią zaraz kontakty. A może i naukę w takiej czy innej formie. W każdym razie to wszystko, co przeszli przez ten czas – co sobie zawdzięczają – łączy na całe życie. Tak więc na pewno będą wracać do siebie nie raz.

Takie były nadzieje, życzenia, deklaracje. Lecz wir nowego życia, jakie na zgliszczach starego zaczęło się odradzać, wyparł owe zaklęcia i posłał na dalszą orbitę. Nie żeby zaraz poszły w bezduszne zapomnienie, po prostu nie było okazji, by się widywać, spotykać. Uwagę absorbowały dziesiątki innych spraw. Spełnienie składanych sobie przy rozstaniu przyrzeczeń odkładano bezwiednie na jakąś dalszą przyszłość – gdy przyjdzie na to czas. Na razie „działa się dzieje”, jak pisał z innej okazji rewolucyjny poeta.

Ku zaskoczeniu matki, urwany kontakt pierwsi wznowili państwo ER-yńscy, odnajdując ją w mieście w półtora roku później – jesienią 1946 – w trzy czy cztery miesiące po pogromie kieleckim.

Spotkali się w jakimś mieszkaniu przy ulicy Chocimskiej. Pan ER-yński już w drzwiach wydał się matce zmieniony. Wyraźnie schudł, posiwiiał, podupał na wyglądzie. Dawniej zawsze zadbany, w tweedowych marynarkach, wyglansowanych butach i dobrze skrojonych spodniach zaprasowanych w kant, teraz przyjął ją w kapciach, nie najświeższej koszuli i w cerowanym swetrze. Był też nieogolony, co ani razu w majątku nie przydarzyło mu się. Podjęli matkę w pokoju cieką herbatą i ciastem.

Pan ER-yński zapytał, jak się matce powodzi w nowej rzeczywistości. Odrzekła, że nie najgorzej, że jakoś sobie radzi: właśnie dostała pracę w otwartym na nowo liceum na Starym Żoliborzu.

„A co się stało w Kielcach, nie niepokoi pani?“, zapytał pan ER-yński.

Matka wiedziała, rzecz jasna, co się tam wydarzyło, lecz wypierała to z głowy jako coś niejasnego – o niewiadomym podłożu. Nie chciało jej się wierzyć... czy też wolała nie wierzyć, że pogrom był spontaniczny. Sądziła, że do tej akcji przyłożył rękę ktoś z zewnątrz; że była to, krótko mówiąc, prowokacja UB, zlecona najpewniej przez Ruskich, którzy chcieli w tym czasie skompromitować Polskę w oczach opinii publicznej zachodnich sojuszników. Przekonanie to wprawdzie nie było zbyt budujące – bo cóż to za różnica, czy ktoś morduje sam z siebie, czy z poduszczenia władzy? – niemniej tłumilo strach przed ekscesami motłochu i pozwalało się ludzić, że w nowej rzeczywistości wszystko się jakoś ułoży. Dlatego też odrzekła, że owszem, słyszała o tym i bardzo ją to przejęło, lecz nie chce z tego wyciągać nazbyt dalekich wniosków. Woli nie uogólniać.

Na to państwo ER-yńscy powiedzieli z ironią, że podziwiają jej spokój, zimną krew i optymizm, bo oni widzą przyszłość w jak najczarniejszych barwach. Na razie stracili ziemię i dom z wyposażeniem. Nie ma już księgozbioru, który stał w bibliotece. Nie ma mebli, obrazów, porcelany i srebra. Lecz to dopiero początek. Bo wkrótce zaczną się dalsze szykany i represje, bez porównania gorsze. Aresztowania, więzienie, a nawet zsyłka na Sybir. Czy matka naprawdę nie widzi, co się dzieje w tym kraju i dokąd to wszystko zmierza? Że jest to rewolucja w najgorszym, bandyckim stylu, w dodatku dokonywana przez obce nam mocarstwo wyzute z czci i wiary – przez krwawych bolszewików?

„Pani Cecyljo! To koniec!”, mówił łamiącym się głosem opanowany zazwyczaj, milkliwy pan ER-yński. „Nie chce się wierzyć, ale... po raz kolejny przyszło dożyć nam *finis Poloniae*”.

Matka słuchając tego, zaczęła się zastanawiać, do czego właściwie zmierza. Po co ta jeremiada? Po co cały ten wywód? I nagle przyszło jej na myśl, że może chodzi o rewanz.

Oto w nowych warunkach ich role się odwróciły. Teraz, za komunistów, to oni są wyklęci, zaszczuci, prześladowani, a ona, przedstawicielka „zdrowego świata pracy”, cieszy się względnym spokojem, a nawet przywilejami: dostała od razu posadę, i to w swoim zawodzie. Lecz nawet jeśli tak jest, co może dla nich zrobić? Będąc mało znaczącą nauczycielką w liceum, a nade wszystko nie mając żadnych kontaktów z władzą. Na czym by miała polegać ewentualna przysługa, nie mówiąc o pomocy porównywalnej do tej, jakiej doznała od nich? Nie, to nie może być to, chodzi o coś innego. Czyż nie zaczęli rozmowy od tego, co stało się w Kielcach?

Aby coś wysondować, spytała o Lucjana. Jak się czuje, co robi, czy chodzi już do szkoły. Bo jeśli jest z tym problem, to tutaj może pomóc. Załatwi mu miejsce u siebie, weźmie do swojej klasy. I już zatroszczy się, aby dostał maturę.

To, co jej przyszło usłyszeć, nie tylko ją zdumiało, ale oszołomiło.

Otóż tak, rzeczywiście, chodzi im o Lucjana, tylko że nieco inaczej wyobrażają sobie jego dalszą naukę i w ogóle całą przyszłość. Rzecz w tym, że emigrują – wyjeżdżają do Anglii, gdzie mają dalszą rodzinę – i proponują jej... by zrobiła to samo. Znow pouczy Lucjana, nim pójdzie on do college’u. A później jej pomogą, tym bardziej że ich rodzina ma wysoką pozycję i rozmaite koneksje. – Doprawdy, nie ma sensu zostawać tutaj dłużej. To zresztą ostatni dzwonek, za chwilę ostatecznie zamkną wszystkie granice i nikt się już nie wymknie. Czy taka sytuacja nic jej nie przypomina? Z niczym się nie kojarzy? Zresztą niech zwróci uwagę, co po wypadkach kieleckich robią jej pobratymcy. (Odnutowała, że użył tego samego słowa co ona w odniesieniu do szmalcowników jako rodaków pani Uklejskiej). Wyjeżdżają masowo! Czy myśli, że z obawy przed kolejnym pogromem? Oczywiście to też, lecz przede wszystkim dlatego, by uciec przed komuną. Ten okropny incydent traktują jako pretekst. O, dobrze wiedzą, co robią! Powinna wziąć z nich przykład! – A zatem co o tym myśli? Byłaby skłonna wyjechać?

Dla matki ta propozycja była tak szokująca, tak nieoczekiwana, że niemal straciła mowę. Zupełnie nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. Odrzekła wreszcie niepewnie, że jest to, bądź co bądź, decyzja na całe życie, więc musi

się zastanowić. Lecz oczywiście dziękuje i docenia ich troskę. Jak tylko coś postanowi, natychmiast da im znać.

Nie wiedząc, co o tym sądzić, poszła do pani Uklejskiej, aby się jej poradzić.

O co może tu chodzić? Czy rzeczywiście o to, by w okresie przejściowym Lucjan miał wychowawcę? Jakoś trudno to uznać za wiarygodny powód. Lucjan jest tak uzdolniony, tak szybko się rozwija, że niepotrzebny mu wcale domowy nauczyciel. A skoro nie to, to co? Czyżby wypadki w Kielcach, jakkolwiek je rozumieją, aż tak nimi wstrząsnęły, że pragną okupić hańbę swych, bądź co bądź „pobratymców”? Odreagować wstyd za nich? Pokazać, co to honor? Byłoby to, doprawdy, niebywale szlachetne, ale czy tak jest w istocie?

Pani Uklejska przez chwilę zagadkowo milczała. Wreszcie ściszym głosem zaczęła mówić, co myśli, to znaczy, jak rozumie motywy państwa ER-yńskich.

Otóż istotą rzeczy są ich niejednoznaczne powiązania z Niemcami. Wprawdzie to nie nowina, bo nie kryli się z tym, co więcej, jak wiadomo... jak matka wie najlepiej, robili z nich użytek zasadniczo właściwy – starali się pomagać, chronili przed represjami – niemniej istnieją też sprawy niejasne, podejrzane, o których różnie się mówi. (Chodzi o skup dzieł sztuki i drogocennych przedmiotów rabowanych przez Niemców, którzy nie mając okazji, by je natychmiast przerzucić czy wywozić do Rzeszy, proponowali ich sprzedaż po zaniżonych cenach). Teraz, w czasie rozliczeń, ściągnęło to na nich kłopoty. Bardzo poważne kłopoty. Bo ludzie z pobliskiej wsi, judzeni przez nową władzę przeciwko „jaśniepanom” i zachęceni do tego, by oskarżali ich o wszelkie możliwe zbrodnie, złożyli doniesienie, że pan i pani ER-yńska współpracowali z Niemcami: że kosztem „polskiego chłopca”, kosztem „ludowych mas” wystugiwali się im, i jeszcze się wzbogacili na „pożydowskim mieniu”, odkupowanym za bezcen od oficerów Wehrmachtu.

Matka ma chyba świadomość, co znaczy taki zarzut. Za tego rodzaju winy idzie się do więzienia, i to na wiele lat, a nawet, przy złym wietrze, można zapłacić głową. Dlatego uciekają, dlatego emigrują. A matkę chcą mieć przy sobie jako żywe świadectwo – na dowód, że ratowali. Bo utrwalona zła sława może się wlec za nimi nawet i za granicą, a już szczególnie w Anglii, gdzie jest sporo Polaków.

Oto wytłumaczenie całej tej sytuacji.

Żywe świadectwo... alibi... osoba jako dowód... Matka przez wiele godzin zastanawiała się, jak powinna postąpić, to znaczy, jak odpowiedzieć na pomysły państwa ER-yńskich, bo od początku wiedziała, że nie wyjedzie z kraju.

Przyjęli ją, przechowali – ważyła niedawną przeszłość – ocalili jej życie. W dodatku zapewnili nadzwyczajne warunki: żyło się u nich jak w raj, gdy wokół było piekło. I jeszcze to, że mogła zajmować się tym, co lubi i co najbardziej ceni. Uczyć kultury klasycznej – greki, łaciny, logiki, historii starożytnej. I że uczniem był chłopiec wybitnie uzdolniony, wręcz utalentowany. A że jego rodzice, czyli jej dobroczyńcy, mieli konszachty z Niemcami, że w taki czy inny sposób współpracowali z nimi, a może nawet jakoś wystugiwali się im – nie chciała o tym nic wiedzieć. W każdym razie nie chciała... wołała nie oceniać.

Z drugiej strony jednakże, być żywym świadkiem obrony, dowodzić własną osobą, że oto na innym polu mają bezwzględną zasługę, też nie miała ochoty. Zwłaszcza na zawołanie, z byle jakiej okazji. Byłoby to żalosne, niesmaczne, żenujące. – Ale jak się uchylić? Jak odrzucić dwuznaczną złożoną jej propozycję, skoro im tyle zawdzięcza?

Odpowiedziała w końcu, że przez ostatni rok wiele się u niej zmieniło. Związała się z kimś, poważnie, i wkrótce wychodzi za mąż, a wyjazd we dwie osoby – z najprzeróżniejszych powodów, o których wiele by mówić – po prostu nie wchodzi w grę. Dlatego też jeszcze raz dziękuje im za wszystko, lecz nie może skorzystać z tej hojnej propozycji. Los przekonał ją o tym, że jej miejsce jest tu – na dobre i na złe.

Wprawdzie o ślubie w tym czasie nie było jeszcze mowy, niemniej zamiary już były. Bo był kandydat na męża, a był nim mój przyszły ojciec.

Matka poznała go w getcie w czterdziestym pierwszym roku, mniej więcej rok z kawałkiem przed wyjściem na stronę aryjską. Stało się to w mieszkaniu przy ulicy Żelaznej, gdzie grono profesorów, ich asystentów i uczniów z wydziału filozofii i filologii klasycznej dawnego uniwersytetu urządzało czasami zebrania naukowe, „by nie popaść w depresję i nie dać się zdegradować; by zachować kondycję, godność i ideały, czyli zajmować się tym, co jest jedynie ważne, to znaczy myślą i prawdą”.

Były to konwentykle, doprawdy, osobliwe, jedyne w swoim rodzaju. Garstka dziwacznych postaci, wynędzniałych, wychudłych, o szarej, niezdrowej cerze, dyskutowała namiętnie przez dwie czy trzy godziny o jakichś najzupełniej abstrakcyjnych problemach. Takich jak „indeterminizm w fizyce a w biologii” albo „pojęcie przypadku”. Bywały też tematy z dziedziny literatury, choć zwykle powiązane z kwestiami filozofii.

Tak właśnie było tym razem. Temat debaty brzmiał: „O wartości logicznej sentencji Teognisa *Najlepiej się nie urodzić*”. Zaciekawiał on matkę przede wszystkim dlatego, że znała tę maksymę jako wers Sofoklesa (z chóru *Edypa w Kolonos*), a nie jako myśl Teognisa, starszego o blisko sto lat. Poza tym była w tym czasie tak udręczona wszystkim i zniechęcona do życia, że miała ochotę posłuchać, co o tym dziwnym zdaniu mają do powiedzenia logicy-formaliści ze szkoły analitycznej. Wreszcie, udział w zebraniu pozwalał spędzić czas w nieco lepszych warunkach, niż dane to było gdzie indziej.

Przyszła na to spotkanie na kwadrans przed rozpoczęciem. Było już kilka osób. W większości znała je, przynajmniej wiedziała, kim są. Niektórych jednak z tej grupki widziała po raz pierwszy. To właśnie jeden z nich miał z czasem stać się jej mężem, a potem moim ojcem.

Ujrzała go przy stole z panią profesor K., gdy referował jej coś, trzymając kartkę w ręku. Okazało się wkrótce, że miał otworzyć spotkanie, przedstawiając historię tytułowego motywu zarówno w filozofii, jak i w literaturze. Bo, jak wyjaśnił na wstępie, ów słynny sąd Teognisa nie jest incydentalny, lecz w rozmaitych kontekstach, w takich lub innych pismach, nieustannie powraca. Podobne zdania padają już w Starym Testamencie, a potem w Ewangelii, a także u Sofoklesa, Szekspira, Calderona i wielu, wielu innych, aż po Schopenhauera. Lista wszystkich cytatów byłaby dosyć długa, co świadczy, jak żywotna jest ta myśl wroga życiu. – Będziemy dziś rozważali, kończył swe zagajenie, czy istnieje podstawa, na jakiej można stwierdzić, że życie nie ma wartości, albo odwrotnie, że ma. I czy, logicznie rzecz biorąc, to zdanie jest prawomocne.

Referat wygłosiła pani profesor K. Zaczęła od definicji. Czasownik „urodzić się” jest czasownikiem zwrotnym, a zatem w orzeczeniu odnosi się do podmiotu, który jest jednocześnie przyczyną i skutkiem czynności, sprawcą i jego ofiarą. W wypadku aktu narodzin sprawstwo jest jednak pozorne, a w każdym razie względne, dlatego też definicję podaje się w formie biernej jako „być urodzonym” albo też „być wydanym...” – tutaj pośród słuchaczy rozległ się dziwny szmer – „być wydanym n a ś w i a t”, zakończyła z naciskiem pani profesor K.

A zatem w ścisłym sensie nie jest to wcale czynność, tylko skutek czynności, skutek czegoś innego. Czasownik „urodzić się”, jakkolwiek odpowiada pewnej rzeczywistości, falsyfikuje ją jednak, przypisując jej sens, którego nie posiada, a mianowicie celowość, a idąc dalej, wolę. Należy więc uznać go, jak wiele innych wyrazów, na przykład zaimek „ja”, za lingwistyczną ułudę. Nie ma

czegoś takiego jak „urodzenie się”, jest tylko „urodzenie”, „urodzenie przez kogoś”. Nie można samemu „się wydać”, można być tylko „wydanym”.

Ergo: w danym wypadku nie ma alternatywy, jaka istnieje w życiu, a mianowicie że zawsze można się go pozbawić. „Albo, albo” istnieje jedynie „w”, nie „poza”. Jesteśmy zawsze już-w-życiu, inaczej nie istniejemy. Poza życiem nas nie ma, jak stwierdził to już Epikur.

Podsumowując wywód: skoro przyście na świat nie ma logicznej symetrii, lecz jest asymetryczne, tak samo jak upływ czasu, nie ma też i negacji: własnego przeciwieństwa. Krótko i węzłowato: nie można się nie urodzić. A skoro to niemożliwe, nie można też tego oceniać, a zwłaszcza stopniować oceny. Ponieważ jest nonsensem oceniać coś, czego nie ma.

Dyskusja, jaką wywołał referat pani profesor, była bardzo namiętna i trwała ponad godzinę. Matka myślała, że śni. Nie mogła pojąć, jak można tak gwałtownie się spierać o tak abstrakcyjne rzeczy, zwłaszcza w okolicznościach, najdelikatniej mówiąc, nie do pozazdroszczenia. Co tym ludziom dawało dowodzenie swych racji? Co miałyby dać wygrana jednej z walczących stron? Ten spór kojarzył się jej z religijnymi kłótniami wśród starożytnych Żydów – na przykład o istnienie lub nieistnienie aniołów, albo o coś w Talmudzie już w nowożytnych czasach – kłótniami toczonymi w obliczu niebezpieczeństwa czy wręcz w obliczu zagłady. Widziała w tym fanatyzm i pychę intelektu, i nazywała to *hybris*. Zebranie, na które przyszła, zamiast dać chwilę wytchnienia, tylko ją rozstroiło. Na koniec chciała jeszcze podejść do pani profesor, aby się z nią pożegnać, zamienić parę słów, a przy okazji poznać moderatora dyskusji, który otworzył spotkanie, lecz nie zrobiła tego. Zauważyła tylko, że odprowadził ją wzrokiem, gdy opuszczała mieszkanie.

Ponownie los ich zetknął dopiero po czterech latach, we wrześniu 1945, w okresie przywracania regularnej nauki w szkołach i na uczelniach. Spotkali się na Zjeździe Nauczycielstwa Polskiego, który formalnie służył przyjęciu nowego ustroju w oświacie i szkolnictwie, faktycznie zaś pełnił funkcję społecznej giełdy pracy. Szukano tam starych kontaktów, nawiązywano nowe, tworzone załączki zespołów, dobierano się wzajem.

Matka znów jako pierwsza dostrzegła ojca w tłumie. W pierwszym momencie zresztą miała poważną wątpliwość, czy to na pewno on. Tak bardzo był zmieniony. Jeszcze chudszy niż wtedy, na owym seminarium, i ostrzyżony na jeża, w niezgrabnej marynarce i nazbyt obszernych spodniach. Poza tym dziwiło ją, że w ogóle tam się znalazł. Sądziła, że należy do wyższej gildii w nauce. Upewniwszy się jednak, postanowiła podejść.

Spytała, czy ją poznaje. Przyglądał się jej chwilę, po czym z bladym uśmiechem wycelował w nią palec i powiedział półgłosem: „Żelazna 70. *Najlepiej się nie urodzić*”.

„Ma pan pamięć”, stwierdziła i zapytała go, czemu właściwie tu przyszedł. Sądziła, że jego miejsce jest na uniwersytecie.

Odpowiedział, że by ło. A teraz – nie wiadomo. I nie wie, po co przyszedł, bo nie zna tu nikogo. A zresztą gdyby nawet, co miałyby to dać? Nie widzi dla siebie perspektyw.

W tych krótkich, rwanych zdaniach słyhać było znużenie, apatię i rezygnację. A oczy i wyraz twarzy dopowiadały resztę. Ten małomówny człowiek z pewnością przeszedł zbyt wiele, a raczej – ponad miarę.

„Jak pan przetrwał?”, spytała.

„A pani?”, odwrócił pytanie.

„W majątku ziemskim pod Grójcem”.

„Nie miałem tyle szczęścia”.

Wyszli ze Zjazdu razem.

Powiedział, że po Powstaniu wylądował w Ursusie i mieszka tam do tej pory, i że dojeżdża do siebie kolejką EKD, która wyrusza z centrum, z ulicy Nowogrodzkiej, i że tam właśnie zmierza. Odrzekła, niezgodnie z prawdą, że idzie w tę samą stronę, więc chętnie go odprowadzi. Liczyła, że podczas marszu będzie bardziej rozmowny i powie o sobie coś więcej. Tak się jednak nie stało. Zagadywała na próżno. Szedł z rękami w kieszeniach i pochyloną głową, słuchając tego, co mówi, lecz sam się nie odzywał. A gdy od czasu do czasu zadawała pytanie, odpowiadał niechętnie i monosylabami. Jedyne, co ujawnił, to że był członkiem AK i brał udział w Powstaniu, w obronie Politechniki, i że pod koniec walk widział straszliwe rzeczy. Ale o innych sprawach... o wcześniejszych przeżyciach nie padło nawet słowo. Stało się dla niej jasne, że nie chce o tym mówić. Przestała dopytywać.

Czekając na odjazd kolejki z ulicy Nowogrodzkiej, spytała jednak jeszcze, czy gdyby się okazało, że w szkole RTPD*, gdzie właśnie zaczęła uczyć, bez wyznawanej szkole imienia Limanowskiego, jest jeszcze wolny etat, gotów byłby go przyjąć? Zrobił niejasną minę, wzruszając ramionami. Zdawało się to mówić: „czy ja wiem? raczej nie”, ale gdy wagon ruszył, dorzucił jeszcze: „być może” i wykrzyknął swój adres.

* Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.

Wolne etaty w liceum imienia Limanowskiego oczywiście wciąż były, zwłaszcza na stanowiska przedmiotów humanistycznych. Wiadomość o tym matka przesłała ojcu w liście, podając swój adres zwrotny, a także adres szkoły. Ale na żaden z nich odpowiedź nie nadeszła. Nie stawiał się też osobiście.

Mniej więcej po miesiącu, w pewną słoneczną niedzielę, matka w nagłym odruchu wybrała się do Ursusa. W tym czasie taka wycieczka to była cała wyprawa. Najpierw piesza wędrówka wśród ruin na Nowogrodzką; potem długie czekanie na najbliższą kolejkę, która w niedzielę jeździła co półtorej godziny; następnie wolna jazda przez miasto i peryferie, a wreszcie, znowu pieszo, żmudne szukanie adresu.

Odnalazła go w końcu. Był to niewielki domek pokryty starą dachówką i otoczony krzewami. Dzwonek przy furtce nie działał. Weszła więc na posesję i zastukała do drzwi. Po długim oczekiwaniu otworzyła jej w końcu drobna, stara kobieta o wyrazistych rysach i siwych, krótkich włosach. Matka spytała o ojca. Czy w ogóle tam mieszka.

„A pani w jakiej sprawie?“, kobieta patrzyła nieufnie.

„W sprawie pracy“, odrzekła. „Ma propozycję pracy. Pytanie, czy ją przyjmuje. Sprawa jest dosyć pilna“.

Kobieta przymknęła drzwi i poszła w głąb mieszkania. Wreszcie, po dłuższej chwili, wpuściła ją do środka i wolno zaprowadziła do pokoju na piętrze.

Ojciec w starym szlafroku siedział na metalowym, niepościelonym łóżku. Nie wstał, by się przywitać. Uniósł jedynie rękę, po czym wskazał na krzesło stojące przy stoliku.

Spytała, czy jest chory. Nie, nie jest. A dostał list? Tak, dostał, lecz nie odpisał. Dlaczego? Trudno powiedzieć, nie mógł się zdecydować.

Co mu jest? Co się dzieje?

Pokręcił na to głową i wykonał gest ręką, jakby opędział się przed tymi pytaniami.

Stało się oczywiste, co mu jest – „co się dzieje“. Był w stanie skrajnej depresji. Stracił poczucie sensu. Nie miał ochoty żyć.

Znała to z doświadczenia. Bywała w takim stanie. I doskonale wiedziała, że aby z tego wyjść, potrzeba głównie woli. Jeżeli nie ma się w sobie dostatecznej energii, jeśli nie znajdzie się w sobie dostatecznego motywu, to wszelka pomoc z zewnątrz okaże się daremna. W tego rodzaju przypadkach decydujący jest instykt – duch samozachowawczy. Dlatego wahała się, czy próbować go „wskrzesać“, czy zostawić w spokoju. W sukurs przyszła jej w końcu

formuła siostry Franciszki: jeżeli stłumi apatię i „przejdzie na drugą stronę”, czyli na stronę życia, to może na nią liczyć.

A jednak, już na odchodnym – na dole, w korytarzu – zwróciła się jeszcze nagle do starej, siwej kobiety, że gdyby zaszła potrzeba, to żeby dzwonić do szkoły, gdzie można ją zastać za dnia, i zostawić wiadomość. I wręczyła jej kartkę z numerem telefonu i ze swoim nazwiskiem.

Stara kobieta jednak, a zwłaszcza jej lokator nie odezwali się – ani przez pierwsze dni od wizyty w Ursusie, ani przez wiele następnych. Budziło to niepokój i napawało goryczą. Bo brak sygnału oznaczał, że nie jest nikomu potrzebna – chociażby do pomocy, jeśli już nie do życia. W końcu straciła nadzieję i pogodziła się z tym.

A jednak telefon zadzwonił. Nastąpiło to wprawdzie po dobrych kilku miesiącach i w nieco innej formie, niż spodziewała się tego, lecz doczekała się. Dzwoniła stara kobieta, prosząc o pilny kontakt. Nie chciała przez telefon wyjaśnić, o co chodzi. Nalegała jedynie, by przybyć jak najszybciej.

Matka zwolniła się z lekcji i pełna najgorszych przeczuczeń ruszyła na Nowogrodzką, a stamtąd do Ursusa. Była niemal pewna, że stało się coś złego. Pytanie tylko co. Zabił się? Usiłował? I teraz go ratują? W jakim jest stanie, krytycznym? Przytomny? Nieprzytomny? Przypuszczenia te jednak okazały się mylne. Chodziło o coś innego, całkowicie innego.

Około siódmej rano przyjechali z UB i zabrali go z domu. Na razie niedaleko, na posterunek milicji, ale mają go wkrótce odstawić na Rakowiecką. Chodzi prawdopodobnie o kontakty z AK, o dawną przynależność do tej organizacji i o udział w Powstaniu. Jeśli więc matka zna kogoś, kto mógłby się za nim wstawić i wyciągnąć go z tego, to niech natychmiast działa, bo jak dłużej to potrwa i zajdzie za daleko, to może być za późno.

Słuchała tej relacji z niedowierzaniem i grozą. Wszystkiego się spodziewała, tylko nie czegoś takiego. Represjonować człowieka z lewicy, z PPS-u (o czym wspomniał przypadkiem)? Po tym wszystkim, co przeszedł? Z tego rodzaju piętnem?

Wstrząśnięta, zbita z tropu nie wiedziała, co począć, a nawet co powiedzieć. Wymamrotała tylko: „Ba, ale co ja mogę?”. Na co stara kobieta spojrzała jej prosto w oczy, po czym zrobiła minę, jakby chciała powiedzieć, że sądziła inaczej, czyli że może wiele, i pożegnała ją.

Matkę ukłuło to. Bo jawnie sugerowało, że ma kontakty w UB. Skąd takie przypuszczenie? A skąd by jak nie z wyglądu! Ta stara kobiecina nie mogła przecież wiedzieć o jej przyrodnim bracie (synu z pierwszego małżeństwa

dawno zmarłego ojca), który, faktycznie, pracował w Urzędzie Bezpieczeństwa, lecz nosił inne nazwisko i stronił od rodziny, zresztą ze wzajemnością. A więc to podejrzenie, czy nawet założenie, wysnuła wyłącznie z wyglądu i z przekonania o tym, że jest to twarz bezpieki. Nadzwyczaj gorzka pigułka. Tym bardziej że trafiła; że zbieg okoliczności potwierdzał ten stereotyp.

Okropne było to wszystko. Aczkolwiek drugorzędne. Zasadniczym problemem był kontakt z przyrodnim bratem. Lecz nie chodziło o to, gdzie i jak go odszukać – było wiadomo, gdzie mieszka lub gdzie go można spotkać; chodziło o ambicję – o dumę i o honor.

W rodzinie był nielubiany, a wręcz gardzono nim. Uważano go zawsze za czarną owcę, wyrodka – człowieka bez skrupułów, chciwego i przebiegłego. Wypominano mu nieraz jakieś niegodziwości i mętne interesy z okresu okupacji. A odkąd wstąpił do służby i został majorem UB, zaczęto go unikać i zawieszono kontakty. Mówiono, że więzi z nim mogą rodzinie zaszkodzić. Nie w kartotekach Urzędu – aż o taką gorliwość nie posądzano go jednak – lecz w życiu codziennym, wśród ludzi. Sądzono, że pokrewieństwo z tego rodzaju postacią może się kiedyś zemścić.

A więc jeżeli matka chciała ratować ojca, musiała przede wszystkim zmierzyć się z samą sobą – zapomnieć o niechęci, przezwyciężyć skrupuły. Było to niewygodne, ba, upokarzające. Ponieważ pokazywało, że z jakiegoś powodu bardzo jej na czymś zależy. A z jakiego? I na czym? Jaki ma w tym interes, by wspierać tego człowieka?

Ale upokorzenie to mimo wszystko pół biedy. Przykre, lecz można wytrzymać. Bez porównania gorsze jest zaciągnięcie długu, nieme zobowiązanie. W tego rodzaju sprawach, zwłaszcza w tej instytucji, nie ma niczego za nic, wszystko jest zawsze za coś. Co zrobi, jeśli Urząd... postawi jakieś warunki?

Ucięła jednak te myśli i jeszcze tego dnia spotkała się z krewniakiem. Był oczywiście zdumiony, że zgłasza się do niego.

Poszli do restauracji. Przedstawiła mu sprawę.

„A kto to jest?”, zapytał.

„Nauczyciel”, odrzekła. „Związany z PPS-em. Właśnie miał zacząć pracować w liceum Limanowskiego”.

„A za co go zatrzymali?”

Matka odpowiedziała, że właśnie tego nikt nie wie, więc pewnie przez pomyłkę.

Uśmiechnął się pobłaźliwie i kiwnął drwiąco głową.

„Musi coś być”, powiedział.

„No to wyjaśnij to!”, odrzekła wyzywająco.

Milczał przez dłuższą chwilę, po czym zapytał: „Z naszych?”.

Matkę zamurowało. Czuła, że czerwienieje. Ze wstydu i ze wstrętu. Ale opanowała się i powiedziała chłodno: „A co to ma do rzeczy?”.

„Ma”, odpowiedział spokojnie. I dorzucił: „No więc?”.

„Tak, z naszych”, wycedziła. „Stracił całą rodzinę”.

Przyrodni brat pokiwał ze zrozumieniem głową i powiedział po chwili: „Zobaczę, co się da zrobić”.

„Byłabym zbudowana”, odpowiedziała cierpko, zbierając się do odejścia.

„I jeszcze jedno”, powiedział. „Czemu ci na tym zależy?”

„To także ma znaczenie?”

„Oczywiście”, powiedział.

„To jest mój narzeczonny”, matka zagrała *va banque*.

„Aha”, uśmiechnął się i pozwolił jej odejść.

Kolejny dzień i następne nie przyniosły niczego, co można byłoby uznać za skutek interwencji. Ani więc ojciec nie został wypuszczony z aresztu, ani nawet niczego nie zdołano wyjaśnić. Przyrodni brat się odezwał dopiero po tygodniu.

„Tragedii nie ma”, powiedział. „Ale i nie jest za dobrze. Po co się pchał do AK? Po co mu byli ci głupcy? P o w s t a n i e! Jego sprawa? Było się trzymać z AL. Byłby teraz przy władzy, a nie kiblował w pudle. W dodatku stawia opór. Nie chce niczego podpisać. Dlatego tak długo to trwa”. – Może więc go przekona? Napisze do niego kartkę. A on już ją doręczy. I zadba o szybkie zwolnienie.

Matka czuła, że blednie.

„To nic by nie dało”, rzekła, próbując się opanować. Jest niezależny, uparty. Lecz przede wszystkim nie zna jej charakteru pisma. Więc wzięłyby to za fałszywkę.

Nie zna jej pisma? Przyjacieli?... to znaczy, n a r z e c z o n y?

„Wyobraź sobie, że nie”, stwierdziła twardo matka. „Bywa tak. Takie czasy”.

Potrzeba w takim razie czyjegoś poręczenia. Niech ktoś z RTPD albo z uniwersytetu napisze mu opinię. Że go zna i popiera, i może za niego ręczyć. No i że jest potrzebny na jakimś froncie pracy.

Matka długo myślała, do kogo się z tym zwrócić. To musiał być ktoś znaczący – z nazwiskiem i pozycją. A jednocześnie odważny. Kto nie bałby się możliwych skutków swej interwencji, takich jak choćby wezwanie do złożenia wyjaśnień i dodatkowych świadectw, nie mówiąc o uwikłaniach poważniejszej natury.

Budziło to w niej rozterkę podobną do tej dawnej: czy ludzi, których się ceni, szanuje i podziwia, wolno stawiać w obliczu tak trudnego wyboru, jak wybór między ryzykiem a wstydliwą odmową? Czy wolno ich narażać dla jakiejś swojej korzyści? Wtedy sądziła, że nie. Teraz, że jednak można. Obecnie, bądź co bądź, nie groziło to śmiercią. I nie chodziło o nią, lecz o kogoś innego. Wprawdzie osoba ta... nie była jej obojętna, ale czy to argument? We wszystkim, co się robi, jest motyw osobisty.

Z nielicznych kandydatów, jacy jej przyszli do głowy, wybrała ostatecznie panią profesor K. Spełniała wszelkie kryteria. Na uniwersytecie była autorytetem, znała ojca sprzed wojny i bardzo go ceniła. Odznaczała się wreszcie niepospolitą odwagą. Matka udała się do niej już następnego dnia.

Pani profesor K. przyjęła ją w gabinecie katedry logiki formalnej, którą znów kierowała. Była niezwykle życzliwa. Przejęła się sprawą ojca i nie zawiodła matki. Opinię i poręczenie napisała od ręki. Następnie poleciła przepisać je na maszynie i opatrzyć papiery licznymi pieczęciami. W końcu – sprawdzivszy tekst – złożyła pod nim autograf. Ku zaskoczeniu matki, wpisane przez nią nazwisko składało się z dwóch członów, z których pierwszy brzmiał: „Sztajnberg”.

„Pani profesor wróciła do starego nazwiska?”, matce wyrwało się.

„Zgodnie z dokumentami”, wyjaśniła rzeczowo pani profesor K. „To urzędowe pismo”, dorzuciła z naciskiem.

Matka w nagłym olśnieniu pojęła wtedy dwie rzeczy: jaką rolę właściwie pełni rodowe nazwisko pani profesor K. w piśmie adresowanym do organów UB, a także – czy przede wszystkim – dlaczego wybrała ją właśnie, a nie kogoś innego jako poręczyciela, czego dotychczas w pełni nie była jednak świadoma. Nie, nie chodziło o to, że pani profesor K. jest bardziej wpływowa niż inni czy że jej interwencja będzie bardziej skuteczna. Chodziło wyłącznie o to, że się nazywa Sztajnberg, a zatem że jest... „z naszych”.

Było to dla niej straszne. Udowadniało bowiem, że wbrew wszelkim pozorom – wbrew kolosalnym wysiłkom – nie wyzwoliła się wcale z atawistycznych odruchów. Że podział na „swoich” i „obcych”, którym tak się brzydziła, nadal w niej pokutuje. I nie miało znaczenia, o jaką sprawę tu chodzi – o skargę, zaufanie czy ryzykowną pomoc – znaczenie miało jedynie, że z tego typu rzeczami (jak widać nieświadomie) zwraca się tylko do „swoich”.

„Nie-swoich” oszczędzała: „nie-swoich” nie narażała, „nie-swoich” nie zawstydziała ani nie potępiała. Natomiast „swoich”, owszem. I jakkolwiek był powód takiego postępowania – poczucie dumy, godności, obawa przed odrzuceniem albo nawet odwetem – świadczyło to o jednym: że dzieli bezwiednie

ludzi według dziedzictwa krwi. A to ją stawiało na równi z każdym, kto robił to samo, po którejkolwiek był stronie, cokolwiek miał na względzie: wrogość czy solidarność, awersję czy lojalność. Wedle tego kryterium niczym się nie różniła od przyrodniego brata, który gotów był pomóc wydostać ojca z aresztu głównie z powodu „rasy”, a w znacznie mniejszym stopniu, że był dla matki, kim był.

Opinia i poręczenie pani profesor K. ...profesor Sztajnberg-K. zostały dostarczone do kancelarii Urzędu i następnego dnia ojciec wyszedł na wolność. Matka, powiadomiona przez przyrodniego brata o godzinie zwolnienia, czekała na ojca pod bramą.

„A więc to pani zawdzięczam”, powiedział nieco zdziwiony.

„A skądże! Co ja mogę!”, zaprzeczyła nerwowo. „Wszystko zawdzięcza pan... pani profesor K. To ona, bez wahania, poręczyła za pana. Ja byłam tylko gońcem”.

„Między kim a kim?”, spytał.

„Między tą starszą panią, u której pan teraz mieszka, a panią profesor K.”.

„Zawiadomiła panią? Jak panią odnalazła?”

„Zostawiłam jej numer telefonu do szkoły, w której ma pan pracować”.

„Ja mam pracować w szkole? Kto pani to powiedział?”

„Nie musiał mi nikt mówić. Sama to załatwiłam. A teraz to pan już musi. Aby mieć jakąś podkładkę... aby mieć jakąś ochronę”.

Szli przez chwilę w milczeniu.

„Dziękuję ci”, powiedział, przechodząc nagle na „ty”.

„Nie ma za co”, odrzekła. „Jeszcze nie podpisałeś”.

„Czego?!”, obruszył się.

„Umowy. Umowy o pracę”.

„No tak”, uśmiechnął się. „To jedźmy ją podpisać”.



**KWARTALNIK
ARTYSTYCZNY**

wszędzie, a także na www.kwartalnik.art.pl

*Druk w „Kwartalniku Artystycznym” uważam za wyróżnienie.
Julia Hartwig*

KRYSTYNA RODOWSKA

Bielmo

Jak zwykle bielmo na oczach
styczniowej, lutowej szyby.
Ile oczu ma zamglona szyba?
Żyjemy po omacku. Niektórzy wierzą
że przyjdzie światło i nas wyzwoli.
Niektórzy – ci z przerostem wyobraźni
i niepoprawnej skłonności do zachwyty.
Dla nich dzień wstaje prawie zawsze
na równe nogi. Jeszcze jeden.
Podarowany. Nie wiadomo
przez kogo, ale także tobie...
„Nic dawnego pod słońcem” – przypomina
mistrz paradoksu, Jorge Luis B.
który czarno(biało?) – widzi
w moim ciebie.

Przeciw mitowi

Grażynie Banaszkiewicz, znawczyni „gołębiów”

Znów jak co roku ten głos
Zbójceki i barbarzyński
(Kto tu mówił o „czułym gruchaniu”?)
O Gołębicy ludziom Zesłanej?)

Przezywam je „gołębiory”
O świcie na skraju zimy
Gulgocą wniebogłosy
I tak do jesieni

Upierzonym orgazmem zanosi się balkon
Zawłaszczony

JANUSZ STYCZEŃ

Pogoń

dziewczyna w sukni ślubnej pędzi na koniu,
chce zdążyć na swój ślub,
ciągle jest spóźniona, jej życie polega na spóźnieniach,
może spóźniła się na całe swoje życie,
ona chce zmusić konia do maksymalnego galopu,
koń nie daje rady przyspieszyć,
tak jakby to był Los, który nigdy nie przyspieszy,
jeżeli nie musi,
dziewczyna dostaje hysterii, jej życie nigdy nie mogło przyspieszyć,
dziewczyna gwałtownie zeskakuje z konia,
przewraca się na ziemię,
jej suknia ślubna brudzi się od ziemi,
jej życie zawsze brudziło się od ziemi,
dziewczyna się podnosi, usiłuje otrzepać suknię ślubną,
nadal pełno ziemi jest na sukni ślubnej,
nie otrzepała swojego życia z ziemi,
dziewczyna zostawia konia, biegnie,
jakby chciała zostawić Czas,
brzeg sukni ślubnej trzyma w jednej ręce,
jakby swoje życie nagle wzięła w jedną rękę,
teraz suknia ślubna nie przeszkadza jej w biegu,
widać jej bieliznę, dziewczyna wysoko podniosła suknię ślubną,
nie wstydzi się niczego, ona jest, jaka jest,
może pokazać się światu naga,
dziewczyna coraz szybciej biegnie,
nie ogląda się na życie,
dziewczyna nie słyszy stąpania konia,
tak daleko wyprzedziła swoje życie,
dziewczyna dobiega do kościoła, otwiera drzwi,
zapomina, że jej suknia ślubna jest ubrudzona ziemią,

wszyscy ludzie w kościele odwracają się,
dziewczyna w brudnej sukni ślubnej biegnie do ołtarza,
jej narzeczony bierze ślub z inną kobietą,
w czystej sukni ślubnej,
dziewczyna w brudnej sukni ślubnej pada na podłogę,
mężczyźni z kilku ławek podbiegają do leżącej
i wynoszą ją poza kościół,
dziewczyna jest pewna, że oczyściła swoje serce,
jej suknia ślubna jest jak życie, biała niewinność
coraz bardziej poplamiona ziemią dziejącego się życia,
jeszcze tylko trochę sobie odpocznie,
tu na chodniku pod kościołem,
jakby chciała nacieszyć się swoim oczyszczonym sercem,
nie odszuka konia, to nie był jej koń,
to nie było jej życie,
jej życie teraz dopiero się zaczyna

Sam z welonem

mężczyzna nawet nie zdjął płaszcza,
nie zdjął marynarki i spodni,
rzucił się na kanapę w płaszczu,
kanapa jest przykryta welonem, bezładnie,
mężczyzna zatopił twarz w welonie,
jakby zatopił twarz w źródle,
jakby chciał się przemyć welonem,
jakby chciał się przemyć ślubem, który się nie stał,
ten nie stający się ślub jednym skrzydłem welonu osunął się
na podłogę,

mężczyzna jakby tego nie zauważył,
kapelusz mężczyzny leży na podłodze,
nieodbyty ślub tym kapeluszem kłania się mężczyźnie,
nieodbyty ślub jest coraz bardziej agresywny,
mężczyzna spada z kanapy, jakby zrzucił go
nieodbyty ślub,
ale mężczyzna spadł razem z welonem,
mężczyzna jest tego pewny, nie odbierze mu welonu
agresja nieodbytego ślubu,
sprawdza szczelność owinięcia welonem
i wciąż myśli o kobiecie, która tuż przed ślubem
dowiedziała się o mężczyźnie coś, czego nie powinna
nigdy wiedzieć,
ona uciekła spod kościoła,
nie doszło do ślubu,
ona rzuciła w mężczyznę welonem i powiedziała,
owiń się welonem i zapomnij o mnie,
owiń się jeszcze bardziej, niech welon ci się śni,
a nie ja



MAREK KĘDZIERSKI

Warszawa – Chiny (2)

Shanghai City

O szóstej rano egipskie ciemności. Ale miasto już zbudziło się do życia. Słyszę je, wybudzony ze snu, dwu-, trzygodzinnego. Wyglądam przez okno, ale widzę tylko ciemność. Moje oczy – swoim zwyczajem – szukają punktu. Orientacji. Oparcia. Choćby zaczepienia. W milionowym mieście, wielomilionowym, w mieście miliona budynków. Daremnie. Skąd ten hałas – daleki, ale tuż przed oknem, tuż za oknem – skąd głosy ludzi? Dopiero kiedy w ten przytłumiany nocą zgiełk wtapia się warkot silnika, a żółtawe światła autobusu omiatają figury ludzkie, skontrapunktowane z brązową zielenią straganów, moje oczy znajdują to, czego wypatrywały. Wczepiają się w rzeczywistość. Wgryzają się. W tu i teraz. Tu, czyli hotel *Hong Feng*, *Czerwony Wiatr*, teraz – to znaczy wczesnym rankiem, to mój pierwszy ranek w Szanghaju. Rzut oka w głąb pokoju wystarczy, by upewnić się, że jest już po siódmej. W strefie ciemności obok łóżka jarzą się wielkie, zielone cyfry radiowego zegara. Kiedy warczy następny pojazd, tym razem ciężarówka, wiem, mniej więcej, co zobaczą oczy. Dalszy ciąg wygasłego obrazu. Nie, to nie kramy, jarzyny i owoce leżą wprost na pokrzywionych płytach trotuaru. *Black-out*. A kiedy kilka kolejnych minut później dwa autobusy biorą w krzyżowy ogień anonimowo spłaszczoną geometrią mojego wzroku sylwetki ludzi na tle rozłożonej wprost na chodniku zieleniny, wiem, że odsłona kolejnego autobusu mijającego targ uliczny uzupełni (w mojej głowie) obraz tego *qui pro quo*, które dzieje się wprost przed moimi skierowanymi pionowo ku ziemi oczyma. O palmę pierwszeństwa walczą tam pomieszanie z poplątaniem. Szeroki chodnik wzdłuż wąskiej jezdni. O siódmej dwadzieścia dwie w tym obcym miejscu ulica kipiąca życiem. Targowisko. W ciemności. Mam bardzo słabe oczy. Zmęczenie, brak snu dodatkowo je osłabiają. Nawet gdy wkładam okulary. Dziesiąte piętro hotelu uniwersyteckiego w centrum miasta. W którym jestem na krótko przed czterdziestymi urodzinami. Pierwszy raz w życiu Szanghaj. No proszę. Nigdy nie jest za późno. Może.

Mam trzydzieści sześć lat. Ocalałem, ale czas robi swoje. Nie jestem już sobą. Za każdym razem tak mówisz, mówi mi Pattie. Wciąż ciekawy świata – wciąż tak uważa. Świata, owszem. Ale nie naszego. Nie wiem, czy z naszego coś można jeszcze wykrzesać. Ten związek jeszcze nie za burtą, ale bywają okresy, kiedy się duszę. Ona zresztą też, tak czuję. Czuję, że zejdem z pokładu. W miarę dyskretnie. Broń Boże bez hałasu. Albo że ona podejdzie z tyłu i wypchnie mnie za burtę. Nie jestem już z Bianką z Kedar Street. Ale wciąż wszystko czarno-białe. Czasami czuję się jak zestrzelony samolot. W korkociągu, koci mnie powiedzieć. Ale tylko w tej, tak to nazwijmy, sferze życia. W inne klocki wiem, jak się bawić. Wszystko, wszystko inne, powiedziałbyś, że w najlepszym porządku. Zdrowie, praca. *Sound as a bell*, okaz zdrowia, no, może niezupełnie. W pracy spory postęp, wszystko zmierza we właściwym kierunku. Według przewidywalnego scenariusza, który akurat u mnie się sprawdza. I teraz ta podróż, do kraju, gdzie domy wyrastają dosłownie jak grzyby... po kolejnym wstrząsie, ziemi. *Business trip* z grupą kolegów po fachu. Z krajów nordyckich i z Niemiec głównie. Jeszcze jeden kongres. W Stolicy Wschodu – nazwę miasta potrafię bezbłędnie napisać w oryginale. W odróżnieniu od moich kolegów po fachu. Znakami. Po tylu latach przerwy. Ale najpierw miasto nad morzem. Hotel *Czerwony Wiatr. Hong Feng. Shanghai City*. Lipiec 1992 roku.

Windą z jedenastego piętra na dół. Wychodzę z hotelu. Mężczyzna w jaskrawozielonej koszuli. Na ulicy, na której o świcie sprzedawano jarzyny i owoce, teraz zaimprovizowane przenośne kramy z tekstyliami. Na krzesłach i stołkach. Mężczyzna uśmiecha się i przyjaźnie zaprasza do odwiedzenia krzeselka, na którym starannie ułożył kilkanaście T-shirtów. *Hundred yuan*. Wskazuję palcem żółty trykot. Twarz mężczyzny natychmiast się rozpogadza. Może jestem dzisiaj jego pierwszym klientem. Rozkłada wybraną przeze mnie koszulkę i przykładając ją do piersi, demonstruje czarny rysunek, jakby maczugi, z nadrukiem:

*Touch Sledge Hammer Peak
Live to One Hundred and Thirty.*

Dobrze. Niech będzie. Poczekam.

Air Moscow

Wielkie lotnisko. Na którym miałem tylko przesiąść się do innej maszyny. Dwadzieścia pięć minut na tym lotnisku całkowicie by wystarczyło. Ale mój samolot z Warszawy spóźnił się ponad godzinę. Kiedy lądował, z pasa startowego w szarzące niebo wzbijała się inna maszyna liniowa. Z Ursulą na pokładzie. Widziała lądowanie mojego samolotu, a ja start jej maszyny, ogon odrywającego się od rosyjskiej ziemi iluszyzna z Ursulą w środku.

Looks like we are stuck... mój sąsiad z samolotu do Moskwy też miał lecieć do Szanghaju. Nic z tego. Jutro. I tak dobrze, że na następny nie trzeba czekać dwa dni, albo tygodnie. Nie powinienem był tak łatwo przystać na propozycję Ursuli, byśmy w chińską przestrzeń powietrzną wlecieli wspólnie rosyjskim samolotem. To ona wymyśliła sobie, a więc nam, przystanek Moskwa. Razem z Moskwy do Szanghaju, a do Moskwy jednego dnia, oddzielnie, ona z Frankfurtu, ja z Warszawy. Ale właśnie dlatego, że to był tak niedorzeczny pomysł, zgodziłem się bez wahania.

Ojciec Ursuli przeszedł właśnie na emeryturę. Miał we Frankfurcie sklep z farbami. Mój ojciec niedawno wprowadził się do nowej rezydencji przy Górnośląskiej. Opowiadał o tej przeprowadzce, a teraz nagle nabrał wody w usta. Siostra pisała, że z ojcem chyba niewyraźnie. Może chory? Nagłe postanowienie, by go odwiedzić. W drodze do Szanghaju przystanek Warszawa. A w drodze z Warszawy przystanek w Moskwie.

Tyle mówiłeś mi o Szanghaju, że kiedy zaprosiła mnie tam Gaby, od razu się zgodziłam. Gaby to dobra przyjaciółka Ursuli. Uczy niemieckiego studentów w Szanghaju. Kiedy powiedziałaś mi, że masz kongres w Tokio, pomyślałam, że pofruniemy tam razem, ty po drodze zatrzymasz się w Szanghaju, a ja bardzo chętnie zobaczę się z Gaby. Przy okazji może znajdę materiał do nowego programu. Ursula pracuje dla Heskiego Radia. Według niej, najdogodniejsze połączenie do Tokio *via* Szanghaj jest najpierw Aerofłotem, a następnie Air Japan. Znała lotnisko Szeremietiewo, w zeszłym roku robiła dla Heskiego Radia cykl o *undergroundzie* w epoce Jelcyna. Będę na ciebie czekać w barze *Trojka*. Nad kieliszkiem stolicznej, powiedziałam. Przystanek Moskwa, świetny pomysł, ale, jak widać na załączonym obrazku, za sprawą rozkładu jazdy maszyn Aerofłotu, utknąłem na dobre na tym przystanku, w części tranzytowej.

What is she saying?, pyta mój sąsiad, który godzinę wcześniej wylał mi na spodnie szklanę jamesona. On też leci do Chin. *Fly Aeroflot!* Wyjaśniam mu, co mówiła stewardesa. Spóźnienie oznacza całodobowy postój w Moskwie. I tak dobrze, że nie dłużej. Sąsiad mieszka w Galway. *But I am originally from Cork*, wyjaśnia kilkakrotnie w drodze do przeszklonej budki terminalu. Sam. *Very Irish*. Towarzysz niedoli. Pani w mundurze, o raczej ekstremalnym makijażu, wyjaśnia, że będziemy nocować w hotelu obok lotniska. Na koszt Aeroflotu. I że nie musimy ubiegać się o wizę. Dwa przywileje na koszt firmy. A ściśle mówiąc, z własnej kieszeni będziemy musieli zapłacić tylko połowę hotelu.

Transport więźniów. Czerwony otok usztywnionej czapki żołnierza z kałasznikowem. Z twarzą jak naleśnik. Jazda zdezelowanym „autokarem”, w którego drzwiach ledwie się mieści moja japońska makieta, dwukrotna kontrola: przy wyjeździe z sektora „międzynarodowego” i z terenu lotniska. Dwieście pięćdziesiąt metrów od terminalu wznoszą się stumetrowe konstrukcje. Dwa hotele. Drapacze chmur. Obok pierwszego, nowego, przejeżdżamy, nie zatrzymując się. Do tego naprzeciw, starszego. Przed wąskimi drzwiami – wyglądają jak wejście od kuchni – ten sam otok na czapce, z bronią w ręku. Po kolejnej kontroli paszportów wita nas pani z wyhaftowanym cyrylicą napisem *Inturist*. Wyjaśnia, że jako gościom Aeroflotu będą nam przysługiwać dwa bezpłatne posiłki. Oprócz pokoju w hotelu tranzytowym. Na koszt Aeroflotu, w połowie.

Mój pokój jest na dziewiątym piętrze, więc umawiam się z Samem w restauracji na pierwszym i wsiadam do windy. Windę obsługuje pękata blondynka w mundurze, czapka saperka, bez śladu czerwieni. Jej oczy na poziomie moich niczego nie zdradzają. Winda wypluwa mnie na jeszcze jedną panią, która wita mnie zza zagrządzającego drogę biurka, informując, że jest kierowniczką piętra. Nie podoba mi się ta winda, ale wydaje się, że nie będę mógł korzystać z dobrodziejstw schodów. *Nielzja*, pani informuje, że bez wizy można poruszać się tylko windą. Pokój zniewala. W przedpokoju i łazience rozprute ściany i zdjęte osłony z poźółkłej dykty, wodociągowej i kanalizacyjnej infrastruktury widać od podszewki. Rury nie były szczelne, albo zardzewiały, i dlatego ktoś wydobyl je z czeluści muru. Prysznic? Ale jak? Tak po prostu, w gorszej już bywałem opresji. Biorę prysznic i zaraz po wyjściu z kabiny widzę, że droga do pokoju nie będzie usłana różami, tylko... Co to takiego?, pytam się, wykonując slalom wśród małych (no, nie takich małych), szybko-bieżnych owadów. I sobie odpowiadam.

Komplimentieri sapier. Sam czeka już w jadłodajni. Do naszego kwadratowego stolika podchodzi *coiffure gonflée*, korpulentna pani o nadmuchanej fryzurze, mundurek jak ten trzydzieści lat temu w windzie PKiN-u, przynosi posiłek: suche pieczywo, dwie kostki masła na głowę i trzy prostopadłościany żółtego, spoconego sera. Sam jest w świetnym humorze. Opowiada o swojej firmie, która specjalizuje się w obróbce betonu. To jego czwarta podróż do Szanghaju. Pierwszy raz w drodze potrzebował dwóch jamesonów. Teraz wystarczy mu jeden. Czyli połowa. Ładna połowa! Mam wpaść do jego pokoju. Bo chce wwozić tylko zamknięte butelki. Sympatyczny gość. Chyba obaj jesteśmy sympatycznymi gośćmi. W każdym razie się nie uskarżamy.

Wow! – wyrywa mu się na widok młodej dziewczyny o urodzie w stylu późniejszej Julii Tymoszenko. Za parę minut, nim zniknął ostatni prostopadłościący sera, obok naszego stolika przechodzi inna kobieta o nader zdecydowanym, niepowściągliwym makijażu i znika za drzwiami równie niedyskretnej toalety. Nie widziałem tych pań w samolocie, niepokoi się Sam. Może spóźnił się nie tylko nasz samolot, głośno się zastanawiam. I w trakcie rozmowy z Samem zaczynam, najpierw zaczynają moje oczy, rejestrować przemierzające się obok nas postaci: panie, uderzające podobnym makijażem, i panowie w garniturach. Kilka stołów dalej, w drugiej części stołówki, oddzielonej przeszklonymi drzwiami z czasów Breżniewa, zauważam znacznie bardziej wyrafinowane potrawy. A kiedy idę do toalety i stwierdzam, że jest zajęta, kieruję się w przeciwną stronę i naraz za szklanymi drzwiami, po drugiej stronie lustra, otwiera się przede mną inna rzeczywistość. Restauracja, w której wszyscy mówią w lokalnym języku i nie wyglądają na turystów bez wizy tranzytowej. Na swój sposób elegancka restauracja. Mężczyźni, niektórzy eleganccy, przystojni, kobiety, niektóre smukłe, wytworne, konwersują w niewymuszonej atmosferze. Drzwi do toalety po tej stronie zaklejone taśmą klejącą. To tłumaczyłoby pojawianie się wytwornego świata po stronie spoconego sera. Zdjęty ciekawością, jak to się mówi, nie mogę oprzeć się pokusie kontynuowania mojej eskapady, widzę schody, schodzę na parter i odnajduję się w lobby hotelu. Z prawdziwego zdarzenia. Bez wartownika w czerwonym otoku. Trochę nie wierzę własnym oczom, ale to prawda, wydostaję się na zewnątrz, przed główne wejście hotelu. Dla wszystkich, dla tych uprzywilejowanych, którzy mają prawo poruszać się po rosyjskiej ziemi. I z tej perspektywy patrzę na tę część budynku, na drzwi, przez które my weszliśmy. Tam wciąż umundurowany strażnik na warcie.

Chłonę tę nagłą wolność i ten powiew elegancji jeszcze przez kilka dobrych minut i w drodze powrotnej w mojej głowie rodzi się myśl, pomysł, który krystalizuje się podczas stumetrowego marszu, z powrotem do naszej sali. *Listen Sam*, mówię ściszym głosem, ten hotel nie jest szczelny, do restauracji można wejść z dwóch stron, wojskowej, tak jak my, pod nadzorem żołnierzy z karabinami, albo z cywilnej, gdzie wszyscy mogą swobodnie chodzić tam i z powrotem. To co, jedziemy do miasta?, rzucam myśl niemal kokieteryjnie. Zamiast spotykać się w twoim pokoju, zrobimy sobie wypad do miasta. Miasta?, pyta. Tak, do centrum tego kraju. Znasz tę metropolię? Ja nigdy nie byłem.

Kolejna zgrabna pani, przechodząca przez szklane drzwi, pomaga Samowi podjąć decyzję. OK. Umawiamy się, że ja przejdę do hotelu naprzeciw, przed którym jest postój taksówek, wsiądę do taksówki i po rosyjsku każę się wieźć do centrum, a potem dam znak Samowi, że ma przez restaurację wyjść przed hotel i przyłączyć się do nas. Ponownie przemierzam szlak restauracyjny, negocjuję z kierowcą cenę, ustalamy, że zawiezie nas na godzinę do centrum, a potem wrócimy. Wszystko w dojcemarkach, zgoda. Ruszamy, kątem oka dostrzegam sylwetkę Sama w oknie, kiedy jednak taksówkarz zatrzymuje auto przed „naszym” hotelem, to okno jest puste. Sam pojawia się w nim dopiero po długiej chwili. Macham ręką, a on podnosi rękę – w geście pożegnania! Pokazując na migi, że idzie spać. Zaciskam zęby, ale nie można powiedzieć, że mnie rozżłościł. Trudno.

Jadę sam. Sosnowy las, od czasu do czasu brzozy, zamierające promienie wieczornego słońca, zmierzch dobrze po dziewiątej, ja w taksówce, wciąż zastanawiając się, dlaczego Sam w ostatniej chwili zrezygnował. Gdyby nie on, pewnie nie wymyśliłbym tego scenariusza. Dokąd do centrum?, pyta taksówkarz. *Zemlianoi val*, strzelam na chybił trafił. *Wy odkuda? Z Łotwy?* W jego pytaniu wyczuwam jakąś podejrzliwość, mój rosyjski jest chyba dość zardzewiały, facet raczej oszczędnie odpowiada na moje pytania, robi mi się trochę nieswojo, żartobliwy nastrój szybko się ulatnia. Moja figlarność musi mieć świadka. Kumpla. Inaczej zanika. Więdnie i zamiera. Przeradza się w swoje markotne przeciwieństwo. Po co właściwie tam jadę? Gdyby nie Sam, może na myśl by mi nie przyszła podróż do miasta. Poprzestałbym na wyjściu przed hotel. Tak jak w Alpach, sam nie zdobywałbym trzytysięczników, zawróciłbym pięćset metrów niżej. Podróż jest długa, ulice pachną mieszanką brzozywych liści i wysuszonego upałem kurzu. Kiedy docieramy do Taganki, mówię

taksówkarzowi, żeby czekał. Pyta, czy mogę uregulować. Chcę dać mu całą uzgodnioną sumę, ale w ostatnim momencie mówię: trzydzieści marek, reszta kiedy wrócę. Każę mu czekać. Wchodzę w wieczorny tłum. Szerokim, nierównym chodnikiem płynie fala ludzi. Tłum, milczący tłum – choć niektórzy są bardzo głośni. Wielu zatacza się z tym pijackim wyrazem twarzy, skupionym na... na czym? Na niczym. Prócz tego, żeby nie upaść. Oglądam witrynę teatru, rejestruję nazwiska, ale zdaję sobie sprawę, że włącza się u mnie znajomy mechanizm, już zaświeciła się lampka. A co, jeśli taksówkarz odjedzie? Albo mnie zadenuncjuje? Ale przecież nie wie, że jestem nielegalny. W jego zachowaniu nic nie wskazywało na nieufność, no ale co ja o tym wiem? Niezbyt dobrze odczytuję zachowanie ludzi – z pewnymi wyjątkami. Jeśli trafiam, to albo od razu, albo po bardzo długim czasie. Po długiej obserwacji. Najczęściej jednak, jeśli nie od razu, to raczej nigdy. Albo po długiej, upartej obserwacji. Patrzę na pijanych i niepijanych wokół, na wystawy sklepowe, dość krzykliwe, ale nie będę zbyt pośpiesznie ferować wyroków, tym bardziej że patrząc, łapię się na tym, że nie patrzę uważnie, że wzrokiem skanującym rzeczywistość, całkowicie jej oddanym, tylko patrząc, myślę coraz bardziej o tym, co zrobię, jeśli taksówka już na mnie nie czeka. Miałem już różne sytuacje z taksówkarzami i z policją, choćby w New Delhi czy w samym centrum Johannesburga, ale dociera do mnie, zdaję sobie nagle sprawę, że smaczki moskiewskie są zupełnie inne – tak jak różnica między karaluchami w luksusowym apartamencie Edwina Lutyensa w *Tadž Mahal* w New Delhi, przedostającymi się do pokoju przez mikroskopijne szczeliny wzdłuż rur wodociągowych i przewodów klimatyzacyjnych, a pluskwami paradującymi obok śmierzącego tytoniem łóżka w moim aktualnym pokoju, sponsorowanym w połowie przez Aerofłot. No więc co zrobię, jeśli taksówka nie czeka już na mnie. Po prostu wezmę inną, mówię sobie, przyspieszając kroku, coraz szybszym krokiem krocząc szerokim chodnikiem pośród ciemnego tłumu. Półmrok zaczęły już nieśmiało rozświetlać uliczne latarnie. A jeśli wiedział, że to, co robię, jest nielegalne? Nie, nie, nie gadaj bzdur, mówię sobie spokojnie (łatwo mówić), ale nie można ukryć, nie mogę ukryć nawet przed sobą, że idę coraz szybszym krokiem. Kiedy docieram do zaułka i nie widzę taksówki, jestem na najlepszej drodze, by się z sobą rozprawić. Ale nie.

A może to nie tu było? Na szczęście mam hotelową mapkę z planem centrum. Co za głupiec! Przecież to Marksistkaja ulica, ale z drugiej strony. Mówię sobie: dość tego nonsensu, basta, bez paniki. I za chwilę rzeczywiście po drugiej stronie Marksistkiej ulicy zauważam szarą wołgę.

Wszystko więc w porządku, logiczna konstatacja, taksówkarz pyta, czy wszystko załatwiłem. *Da!* Teraz do hotelu, bo muszę się wyspać. Przed odlotem?, pyta taksówkarz. Tak, przed odlotem. Na szczęście nie pyta, o której ten odlot ani dokąd. No dobrze, a co, jeśli hotel już zamknięty? Dojeżdżamy. Taksówkarz puszcza mnie wolno w miejscu, gdzie zaczęła się cała ta eskapada. Sto metrów to małe piwo. Tyle dzieli mnie od mojego hotelu. Kilka brzózek i pusty plac przed „moim” hotelem.

W chwili, gdy z pewnym fatalizmem spoglądam na nierozświetlone wejście do hotelu, coś staje na mojej drodze i ją zagradza. Pies. Trudno powiedzieć, jaka rasa. Brązowy. Mieszany. Kundelek, ale taki wilczy. Patrzy na mnie bez przyjaźni. Łypie okiem. Wilczym. Przepuści? Nie przepuści? A jeśli nie, to czy rzuci się na mnie, czy tylko zacznie ujadać? Chyba jednak ruszy do ataku, powali mnie i będzie szarpać moje ciało i dławić się moją krwią. Wtedy wyjdę z budynku portierzy, a z bocznego wyjścia żołdak w czapce z krwistoczerwonym otokiem, który zamknie mnie za nielegalne przekroczenie granicy. Taki będzie koniec tego niezapomnianego wieczoru pod Moskwą.

Kiedy zwalniam kroku, z ciemności wyłania się druga sylwetka. Drugi pies, jaśniejszej maści, biały, może beżowy. Ale to nie koniec, jest i trzeci. I czwarty. Psy różnej maści, rasy, wielkości. Zatrzymać się, ominąć łukiem czy iść prosto na nie? Wybieram to ostatnie, ale i tak zaczynam zataczać lekki łuk. One za mną, przede mną, obok, ale jeszcze nie na mnie. Chart, ogar, kundel, pudel, spaniel, wilczur, wodołaz i mops wspólną mają nazwę. Pamiętam, pies się za nim nie obejrzy, więc nie tracę nadziei. Ale gdzie jest mój Banko? Czy wiedzą, że idę jakby nigdy nic, naprawdę jednak boję się o wizę? Czuję, jak mnie obwąchują, czuję dotknięcia ich pysków w zgięciach moich kolan. I lekkie warczenie. Nie wróży to dobrze. Więc staję. Zdecydowanie. Zatrzymuję się, podkreślając tym, że to ja kontroluję sytuację. Wyzywająco oglądam się za siebie. Nastroje eskorty trudne do odczytania. *Dawaj*, mówię, z akcentem na drugą sylabę, ruszam w kierunku mojego hotelu, przede mną tworzy się szpaler. Przechodzę przez ten szpaler nietknięty. Drzwi, ciemne, ale niezamknięte, recepcja w półmroku, przechodzę, jestem już na schodach restauracji. *Zakryte*, woła za mną portier. *Ja szto to zabył w riestoranie*, rzucam w jego stronę i, nie oglądając się, idę dalej. Nie woła za mną. Pusta sala, ta lepsza, ale co będzie, jeśli drzwi do mojej części, dla bezwizowców, już zamknięto? Drzwi są zamknięte, na klucz, ale klucz jest w zamku. Po mojej stronie. Przedostaję

się na drugą stronę. Sprowadzam windę na pierwsze piętro. A na dziewiątym biurko puste. Nie ma nawet krzesła. Moja oprawczyni, kierowniczką piętra, już zeszła ze stanowiska.

Zapalam światło. W pokoju. Wreszcie w pokoju. Karaluchy rozbiegają się na wszystkie strony świata. Pędzą po pięciu ścianach, niezgrabnie pokonują brudne nierówności w wykładzinie podłogi. Łazienka. Coś w rodzaju umywalki. Goła żarówka. Jak u Bacona. Wchodzę na palcach. Patrę pod nogi. Spoglądam w lustro.

Po co to robisz? Pytam siebie. I odpowiadam sobie. Po to.

Warsaw City

Spóźnienie w Szanghaju i przystanek w Moskwie spowodowane pomyślnym umieszczeniem Warszawy na moim szlaku Göteborg – Szanghaj. Aby odwiedzić ojca na Górnoląskiej.

Górnoląska. Jeszcze jeden adres. Niedaleko Sejmu. Proszę siąść, zaczekaj chwilę, jeśli możesz, prosi ojciec, i prowadzi mnie przez przestronny, pustawy salon, pełen zamkniętych drzwi do, jak mi niemam, następnych pokojów. Wprowadza mnie do jednego z nich. A w nim regały. Zaraz wróć, mówi i znika, zamykając za sobą drzwi. Rozglądam się wokół, wciąż trudno mi uwierzyć, że ojciec przeprowadził się do apartamentu skrojonego na miarę postkomunistycznej elity, czyli w większości, tak zwanej znakomitej – aferzystów, korzystających z zamieszania po załamaniu się zmurszałego systemu. Totalnego. To mieszkanie w nowobogackim budynku, dla nuworyszowej elity, myślę sobie, czekając. Widać po klamkach, drzwiach, ich wykończeniu, ścianach – szlachetne materiały, których szlachetności zaprzecza design. Ostentacyjnie szlachetne wykończenie, bogate aż do bólu (mojej) głowy, ma bić po oczach, ale raczej wali po gębie.

Ojciec to typ zbieracza. Nagromadził tyle rzeczy. Szperacz. A teraz chciało mu się z całym tym kramem przeprowadzić na Górnoląską, na stare lata. Stare lata, ciśnię mi się na usta, choć patrząc na niego, jak się ubiera, jak się porusza, jak rozmawia i gestykuje, nie ma się wrażenia, że to stary człowiek. Przeciwnie. Rzeklibyś, rzeklibyście: sportowy duch. Wciąż w ruchu.

Jak kiedyś. Dobrze zachowany sześćdziesięciolatek. Co mu właściwie dolega?, kiedy pytałem siostrę przez telefon, nie wiedziała, lub nie chciała powiedzieć. Zapytaj sam, przecież masz z nim lepszy kontakt, odpowiedziała. Wiesz, jaki jest ojciec. Nigdy nie rozgłasza takich rzeczy. Lepszy kontakt! Nieprawda. Niezupełnie.

Przez zamknięte drzwi pokoju, w którym czekam, słyszę jakby odgłos zamykanych drzwi i dostrzegam jakby przesuwający się cień. Może ojciec ma gościa, z którym teraz się żegna i odprowadza go do drzwi wejściowych? Czy po prostu był to odgłos zamknięcia drzwi, na przykład, z salonu do kuchni? Lub łazienki. Lub toalety. Ale może się przesłyszałem. Mam słaby słuch, nie generalnie, ale na pewnych frekwencjach raczej przytępiony. Zdarza mi się słyszeć stłumione głosy, które w rzeczywistości takie nie są. Nie znam rozkładu nowego mieszkania. Ale sam pokój, w którym teraz czekam, przypomina mi z grubsza pokój na Jaracza, tak zwaną bibliotekę. Choć jest zupełnie inny. Dwie ściany kompletnie zabudowane regałami, ze szlachetnego drewna, oczywiście, ale potraktowanego przemysłowo, aż pod sufit. Dwie wolne od książek. Na jednej z tych drugich te same portrety na ścianach jak na Jaracza, na jednym siostra, na drugim ja, pastele namalowane przez kuzynkę babci, Bietkę. Kiedy babci w 1959 roku pierwszy raz po wojnie pozwolono pojechać do Grodna i odwiedzić Bietkę, wróciła z tymi portretami, wykonanymi przez Bietkę na brudnobeżowym papierze do pakowania na podstawie fotografii, czarno-białych oczywiście. Pastele. Dość sprawnie zrobione. Z datą 1959. Dwie dziewczęce twarze. Dziewczęcy lok nad moim czołem.

Gdzie się zatrzymałeś? Nie czeka na odpowiedź. Wiesz, że zawsze możesz tu się zatrzymać, ilekroć jesteś w Warszawie. Co słyhać? Nad czym pracujesz? Opowiadam w dużym skrócie o projekcie w Rotterdamie, nie wspominając o Trondheim.

Opowiadam, a on słucha. Ja mówię, ojciec słucha. Jak zawsze. Jest, jak to się mówi, dobrym słuchaczem. Inni słuchają nieuważnie. On słucha z uwagą. W odróżnieniu od tyłu jego kolegów i moich krewnych, którym słuchanie przychodziło z trudem. Którzy w połowie zdania przerywali. Może mówiłem zbyt wieloma zakolami. Wtedy, gdy szło o coś ważnego, mówiłem mniej bezpośrednio. Nie, nie tyle mniej bezpośrednio, ile...? No, może za dużo dywagacji.

Chcieli czegoś prostego. Po prostu wprost. Nie okrężną drogą, niepewnie, cofając się, zygzakami.

Nie, ojciec, który mówił prosto, i wprost, umiał też słuchać. I czasami zadziwiał mnie trzeźwą uwagą, dowodzącą, że cały czas panuje nad moją narracją, rozlewającą się na boki i wylewającą na marginesy. Wtedy akurat, kiedy zaczynałem wątpić. I pytać, się, po co właściwie o tym opowiadam. W taki sposób. W jedyny sposób, w jaki potrafiłem. Nie, w jaki chciałem.

Kiedy kończę swą narrację, ojciec pyta, czy zastanawiam się nad powrotem. Powrotem? Czy myślę o tym, żeby wrócić do kraju. Do kraju? Tak, tu, do Warszawy. Tutaj tyle się teraz dzieje. To znaczy? Po trzech latach od Zmiany – tu słyszę, że mówi zmiana dużą literą. Tak, po trzech latach od Zmiany widać już zmiany. Wiem. Robię gest i minę, które mają świadczyć o tym, że się nad tym nie zastanawiam. Nad powrotem. Nie zastanawiałem się nad tym..., zaczynam. Ojciec znowu podrywa się z krzesła i przeprosza mnie, na chwilę. Zostawia mnie, tym razem nie zamykając drzwi. Widzę go kątem oka, moje oczy bezwiednie śledzą jego ruchy, energiczny chód wyraźnie powolnieje po wyjściu z pokoju. Otwiera drzwi, nie wiem dokąd, i zamyka je za sobą. Pewnie łazienka, mówię sobie. Pewnie toaleta. Może *prostatitis*. Dlatego musi wciąż biegać do toalety. A może jelita. Szczupłe, wygimnastykowane ciało, zgoda, ale jak długo jeszcze, tego nie da się przechytryć. Pewnego dnia zobaczy siebie takim, jakim się staje, jakim się stanie, jeżeli nie stał się jeszcze, ujrzy stare, jeszcze zwinne, ale już workujące się ciało. Dotrze do niego, że noc w noc, codziennie, kości się demineralizują, mięśnie kurczą, skóra puszcza, *epidermis* podlega nieubłaganej ewolucji, kolagen i testosteron w nagłym odwróceniu, wszystko w jedną stronę, akcje ostro w dół. Aby osłodzić mu następne lata.

Pokój jak na Jaracza. Znane mi z widzenia książki. Tu stoją jego, ojca, dawne. Guderian *Erinnerungen* de Gaulle *Memoires* Koniew *Zapiski* Montgomery *Memoirs*. Kolekcja pamiętników przywódców (z) drugiej wojny światowej, wielcy dowódcy walczących z sobą armii. Specjalizacja historyka. Współczuję. Zawsze mu tego współczułem, z odrobiną ironii. Jaką historię mógł wykładać krajowym studentom? Zastanawiam się, ile zasadniczych faktów musiał pomijać milczeniem. Albo sugerować nieśmiałą aluzją. A ile marginalnych wyolbrzymiać, aby zostawili go w spokoju. Profesora zwyczajnego. Mówić o tym, o czym profesor przyzwoity powinien zwyczajnie milczeć.

Co mu jest? Nie słyszałem, żeby na coś chorował. Rozmawialiśmy przez telefon od czasu do czasu, ale od naszego spotkania upłynęły już trzy lata. Po śmierci jego brata. Rzutki, energiczny. Jak za dawnych czasów. W dawnych latach. Dobre czasy. Dla niego. Niewiele się zmienił. Tak na pierwszy rzut oka. No, może na twarzy, zmarszczki w każdą stronę. I nieco bardziej podkrążone oczy. Zawsze miał worki pod oczami. I tę ukośną linię powyżej oczu. Bliznę, która nie tłumaczyła się upływem czasu. Tylko uderzeniem maszyny, które niemal przypłacił utratą oka. Gdyby nie okulary ochronne, teraz by mnie nie widział. Ale i teraz, dwadzieścia lat po wypadku, ma dobre oczy. W miarę dobry wzrok. Okulary, jak mówi, chyba z tego zadowolony, wkłada tylko do jazdy samochodem w ciemności. W nocy. I w teatrze, ale tylko kiedy ma miejsce daleko od sceny. I zależy mu na tym, aby w miarę dobrze widzieć twarz aktora. Obserwować. Dodawać kolejne obserwacje. Całe życie zbierał i dodawał. Obserwacje i myśli. Myśli i rzeczy. Rzeczy, włączając książki, antyki, papiery. Kobiety. Teraz został sam, po śmierci mamy stara się trzymać fason. Dotąd sądziłem, że całkiem dobrze mu to wychodzi. Wraca do pokoju. Teraz znowu idzie lekko. Krokiem sprężystym. Wysportowane ciało. Ale może toczy je choroba. Co mogło w jego zachowaniu uderzyć siostrę? Siostra ma słaby wzrok, ale zna się na ludziach. Oboje jesteśmy krótkowidzami. Odziedziczyliśmy słabe oczy po mamie, podobnie jak raczej kręłą figurę. Lekką skłonność do otyłości. Choć mama nabrała wagi dopiero po czterdziestce.

Siostra też go nie lubiła. Choć właściwie, szczerze mówiąc, w jego postępowaniu niby nie było niczego nagannego. Czegóż, za co można by go było zasadniczo potępić. Niczego co by go dyskwalifikowało. A jednak jest dla mnie ojcem niezupełnie z mojej bajki. Z innego rozdania. Wady i słabości matki bliższe mi były niż „nienaganność” ojca. Może zanadto starał się być dobry. Wbrew pozorom, łatwo jest być dobrym, choć niby sporo to kosztuje wysiłku. Bombardował swą dobrocią. A jednak nie był hojny. I gdzieś w środku coś się w nim blokowało, marzło na kość.

Pyta, jak długo będę w Warszawie. Do jutra. Już jutro wracasz? To tak na chwilę? Nie mówię mu, że jestem tu z jego powodu. Nie, nie wracam, jutro lecę dalej. Dokąd? Do Stolicy Wschodu. Stolicy wschodu?, myśli przez sekundę, Tonkin? Tokio, mówię. Ale brawo! *Chapeau*. Tonkin też pisze się tymi znakami. Najpierw jednak przystanek Warszawa. Przystanek tutaj, a jutro Tokio? Nie, Tokio za tydzień. A jutro? Co jutro? Chiny. Chiny? Warszawa – Chiny.

Naprawdę? Jedziesz do Chin. Tak. Jutro mam stąd samolot. Jutro Szanghaj, a w środę za tydzień koleją do Hangzhou. Hang-ding stamtąd pochodzi. To jego miasto. A ty masz z nim kontakt? Nie? Przecież mieszka parę ulic dalej. Hoża? Jeśli dobrze pamiętam. Tak. Wciąż Hoża. Trzydzieści siedem. Nie mam kontaktu, niestety. Ostatnio miałem sporo rzeczy na głowie. Przeprowadzka. To kosztuje sporo energii. Nie tylko przeprowadzka. Różne inne rzeczy. Na głowie.

Nagle włącza mu się lampka Chiny. A więc Jenlan. Twoja matka jej nie lubiła. Jej? Twojej żony. Nie znosiła. Nie ma co owijać w bawełnę. Ale zaciskała zęby, nie dając po sobie poznać, jak bardzo. Starła się. Ale ty to rozpoznałeś. Co takiego? Tę jej antypatię. Niechęć. Zresztą wzajemną. Odwzajemnioną. Z nawiązką. Nie wiem, czy zauważyłeś. Nie musisz się silić na ironię – to moja kwestia. Ojciec spuszcza z tonu. Na chwilę. Pamiętam, jak cię urządziła. Urządziła? Takie słowo? Mówiłeś matce, że rzucała się na ciebie z pięściami i wyrwała włosy. Już nie pamiętasz, jak wtedy, w lipcu...? Przerrywam mu: Rzuciła talerzem, chcesz powiedzieć. Tak, kiedy ci zszywali stopę w pogotowiu. I źle zszyli. Za dwadzieścia lat będziesz miał w stopie bóle. Już mam – zamykam temat. Tak. Pamiętał daty wydarzeń. Nanizywał na siatkę dni i miesiący, i lat bezbłędnie, nigdy go nie złapałem na pomyłce. A mnie, tak jak mamie, wszystko się zlewa, często, w jeden strumień. Jeden nurt.

Intelektualnie, cenilem na ogół jego spostrzeżenia, co nie znaczy, że były sympatyczne, nawet jeśli intelektualnie się z nimi zgadzałem. Nie czuł mnie. A ja nie czułem empatii. Choćby te jego uwagi na temat architektury, a teraz przy okazji Chin. Jak ci architekci niszczą planetę! Niby racja, również jestem tego zdania, ale słuchając go, srożyłem się i wewnątrz protestowałem. Każdy tak może.

Kiedy dzwoni telefon i ojciec po raz trzeci wychodzi z pokoju, oczy moje zatrzymują się na następnym regale. To są książki mamy. Widzę, że ojciec zebrał je razem na raz, dwa, trzy... na czterech półkach. Znane mi od dzieciństwa grzbiety. Emil Ludwig *Nil*, Paul de Kruif *Łowcy mikroarów*, *Chemia organiczna*, a tuż obok, także *king-size*, *MDM Marszałkowska 1730–1954*. Ogromny tom. Pamiętam, że wiele razy wpatrywałem się w te fotografie. Żydowski chłopiec z podniesionymi do góry rękami, wyprowadzany pod lufą umundurowanego oprawcy. Goły chłopiec w kąpieli w nowej, postawionej rękami

przodownika pracy robotniczej, wannie na MDM-ie. Ciężki tom w grubej, sztywnej, płóciennej oprawie. Z dedykacją, którą tyle razy rozszyfrowywałem literka po literce.

Miasto na wyspach, dokument z 1958 roku, pokazuje pustynię wokół Pałacu Kultury. Chłodna, Ogrodowa, Poznańska, nawet Krucza. Wcześniej niż moje wspomnienia Pałacu Kultury. Miasto, którego na nic nie stać, a jednocześnie funduje sobie wielki propagandowy festiwal młodzieży. *Na prawo most, na lewo most*. Co za kretyński pomysł, nazwać tak książkę. Zdjęcia tłumu otwartych ust na ulicach. Chłopaki śpiewają, pewnie *Szła dziewczeczka...* Nonsens. Chwileczkę, tu też dedykacja. Ale to nie jest pismo ojca. Po angielsku: „*To Barbara. The same streets we danced on together. Very fondly, John. August 17th, 1955*”. Hm, *Danced in the streets of Warsaw? My mother with John?* Nie pamiętam tej książki. No nic, jedźmy dalej, dalej, proszę, jest i moja półka: Klimek S. *Studia nad kranjologią Azji północnej, środkowej i wschodniej* – Kosmos A., Lwów 1928. A obok Ireneusz Michalski *Les éléments raciaux des Chinois, Składniki rasowe Chińczyków*. Dwujęzyczna.

Wyjmuję *MDM*, i w chwili, kiedy otwieram opasy tom, wchodzi ojciec. Czytam na głos dedykację: *Barbarze, w Noc Sylwestrową*. Pokazuję. Tak, mówi ojciec. Poznaliśmy się w Wigilię. A w sylwestra dałem mamie tę książkę. Pamiętam tę datę. 31.12.1955. Po festiwalu? Jesteś pewien? Chyba przed festiwalem. Nie, mówi ojciec, w czasie festiwalu jeszcze się nie znaliśmy. Zaraz, zaraz. Ja urodziłem się 8 marca. Więc to chyba musiał być pięćdziesiąty czwarty, mówię. Tak, w dzień kobiet. To musiał być grudzień pięćdziesiątego czwartego, skoro ja się urodziłem w marcu pięćdziesiątego szóstego. Ojciec patrzy na mnie, jakby nie zrozumiał. Albo liczył lata. Wreszcie przyznaje: masz rację. Znowu telefon. Chwileczkę.

Na jedynej niezastłoniętej regałami ścianie lustro w srebrnej ramie i olbrzymi obraz Altdorfera. Ojciec i córka. Dwa metry na metr. Prezent od siostry. Skala jeden do jednego. Jeszcze z czasów, gdy miała praktykę w Kunsthistorisches Museum. Wierna kopia. Na sąsiedniej ścianie również półki ze znajomymi okładkami. *Kranjologia stosowana*. Świetny tytuł. Na czasie. Odwracam głowę i patrzę na twarz w lustrze. Kraniologia. Twarz i głowa. Pierwsza nieogolona, druga kudłata. Nadejdzie taki moment, kiedy czaszka się uwydatni, włosy przeredzą. *When I get older, losing my hair, many years from now!* Tak jak

u ojca. Włosy są kłamstwem, *kranium* jest prawdą, tak, pamiętam, Giacometti, słyszałem.

Na koniec, pytam go, jak zdrowie, czy dobrze się czuje. Nie ma powodu się uskarżać – to wszystko, co mi komunikuje. To nie wszystko. Ani słowa więcej. Wychodzę.

Teraz już lecę tym zdezelowanym samolotem Aerofłotu i myślę o książkach, które zostały po mamie. I jej papierach. O sylwestrowej nocy, kiedy się poznali. O świętojańskiej, kiedy zostałem poczęty.

Czerwony Wiatr

Targ w ciemności. Zapachy. Wilgoć w powietrzu. Przy temperaturach w okolicach trzydziestu stopni rano, czterdziestu po południu i wilgotności powietrza zbliżającej się do stu procent.

Po śniadaniu wracam z *Hongse Feng Cafeteria*, otwieram okno, pokój natchmiast wypełnia się dusznym upałem. Spoglądam w dół, ani śladu targu na trotuarze, za to przestrzeń między szerokim chodnikiem a budynkiem hotelu uległa transformacji. Teraz to plac budowy. Między hotelem a skrzyżowaniem, i dalej, między moim skrzyżowaniem a następnym. Pierwszym, drugim, trzecim, czwartym. I tak dalej. Całe miasto to jedno wielkie skrzyżowanie. I gigantyczny plac budowy. Jakby Ścianę Wschodnią, cztery razy wyższą, stawiać jednocześnie na całym terenie Wielkiej Warszawy. I w ten sposób stawiać. Szybko i bez pośpiechu. Praca u podstaw. Wszystko musi teraz być postawione od podstaw, pracownicy, we wspólnym wysiłku. Ludzi-mrówek. Pośpiesznie. Ale w spokoju.

Szkice sceptyczne. Lektura Russella jeszcze w polskim przekładzie z lat pięćdziesiątych w serii, do której okładkę projektował Młodożeniec. Filozof pisze, że gdy poznał Chiny, zaczął uważać lenistwo za jedną z największych zalet, na jakie mogą się zdobyć masy ludzkie. W Chinach aż do lat pięćdziesiątych przemysł był za mało sprawny, by produkować samochody lub bomby, państwo nie posiadało sprawności potrzebnej do kształcenia własnych obywateli lub zabijania cudzych, policja nie umiała chwycić ani bandytów, ani bolszewików.

W rezultacie Chiny cieszyły się większą swobodą niż jakikolwiek kraj europejski, a poczucie ogólnej szczęśliwości istniało tam w stopniu wprost zdumiewającym wobec ubóstwa całego niemal społeczeństwa. A teraz?, pytam się, patrząc z dziewiątego piętra.

Ludzie-mrówki. Z perspektywy mojego pokoju w *Czerwonym Wietrze* wszędzie wokół wre praca, ludzie uwijają się jak mrówki. Praca od podstaw. Robią wszystko, jak widzę, od A do Z. Wszystko na moich oczach. W komunizmie mówiło się o pracy chałupniczej. Właśnie to słowo przychodzi do głowy, kiedy z góry patrzy się na robotników. Robotnicy w szarych, czarnych spodniach kroju spodni wyjściowych, i w białych, nie sprawdzałem, ale chyba nylonowych koszulach. Barakowozy i wozobudy obok placu budowy. Niezliczone place budowy. Place budów. Budy placów budowy. Siła robocza rekrutowana na prowincji, jak mniemam. Przyjeżdżają bez zbytnich i zbędnych z punktu widzenia pracodawcy wymagań. Dostają pensję i pryczę w barakowozie. Obie raczej skromne. Rano przystępują do pracy, nie muszą dojeżdżać. Na wyeksponowanym miejscu betoniarka. Z barakowozów, przeznaczonych na składowisko-magazyn, wynoszą na plecach worki cementu. W tym czasie ciężarówki przywożą piasek. Kilkanaście betoniarek w akcji równoległej. Kilkudziesięciu robotników. Może kilkuset. Mniej więcej dwa razy więcej ludzi przenosi piasek niż worki z cementem. Kiedy dwaj mężczyźni lub dwóch mężczyzn w czarnych spodniach i nylonowych koszulach wsypują lub wysypuje do betoniarki piasek, jeden wysypuje do niej cement. Na w ten sposób pomieszaną mieszankę czekają już inni, następni, których zadanie, jak się wydaje, polega na tym, aby wypełnić betonową mazią pudełka podobne do tych, w które na Zachodzie wkłada się pizzę, rozwożoną po domach. Tą mazią wypełniają formy. Gdy tylko beton zastygnie, robotnicy wyjmują z tych pudełek gotowe płyty i natychmiast układają je na wznoszonych częściach konstrukcji. Mrówcza praca. Chałupnicza przedsiębiorczość. W środku wielomilionowej metropolii – wioska (porównaj: Döblin *Berlin Alexanderplatz*, Broch *Lunatyca*).

Upał, ale nie taki jak podczas upałów w Europie. Gorszy. Wilgotny, jak na wschodnim wybrzeżu Stanów. Upał niekoniecznie oznacza nasłonecznienie, ale i bez słońca jest nieznośny. Tym bardziej że niemal przez cały czas miasto spowija opona. Opary smogu ustępują na godzinkę wczesnym rankiem, w sam czas, by spaliny pojazdów mechanicznych zabiły ciszę i powietrze, kiedy z mieszkań wylegają masy, by udać się do pracy. Ulice wypełnione

rowerami, ale nawet te nieliczne – proporcjonalnie – autobusy i ciężarówki skutecznie niszczą to, co wdziera się do płuc. Pył w powietrzu.

Hałas. Kiedy coś przestaje warczeć, natychmiast coś innego zaczyna warkotać. Bez wytchnienia. Maszyny. Hałas autobusów, smrodliwych ciężarówek. Po części marki Ził. Pamiętam nowsze ziły na polskich drogach jeszcze z czasów Gomułki. Przy tym wszystkim ulgę przynoszą cichobieżne silniki trolejbusów i zapach ich opon.

Ludzie. Wszędzie ludzie. Poruszający się cały czas ludzie. Nawet jeśli nie widać, że się spieszą. Ja nie widzę. Chyba nie mają czasu, by przystanąć. Muszą go jednak znaleźć w między-czasie, czas na wytchnienie. Ci, którzy nie idą, nie jadą, jedzą w garkuchniach, ci, którzy nie jedzą, ucinają drzemki, przysypiają na ulicy, na ławce, na stołku, na krzesłach. Wychodzą z krzesłem przed dom, przykrywają się gazetą i drzemią. Śnią? O łąkach i polach ryżowych? Na których inni śnią o Szanghaju. O barakowozach przed *Czerwonym Wiatrem*, wreszcie się wyrwą do lepszego życia i staną się częścią miasta.

Wracam do hotelu. Kładę się i próbuję zasnąć. Nie mogę. Wychodzę. Dwie kobiety, prawdopodobnie pracowniczki hotelu, ciągną za sobą dwa krzesła. Powłóczą. Z tyłu, jakby to były walizki na kółkach. Krzesła nie mają jednak kółek. Przy każdej nieznacznie odstającej od poziomu płyty trotuaru krzesła podskakują w rytmie kobiecych kroków. Idę za nimi jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Wspólnie pokonujemy ten dystans, ludzie i krzesła, na tym szlaku są w tym momencie jedynie nogi, dziesięć nóg, nogi młodych Chinek, nogi krzesel i moje nogi. Największego uszczerbku, czysto mechanicznie, doznają nogi szuranych po trotuarze krzesel. Ale to nie moja wina. Nie chcę myśleć, nawet sobie wyobrażać, w jakim stanie dotrą do miejsca przeznaczenia. Nie wiem, dokąd uprowadzą je dwie dziewczyny.

Shanghai melange

Zapachy. Zawsze, kiedy wracam do Göteborga, już na lotnisku mówi mi nos, że jestem w Szwecji. Tu lotnisko mi mówiło, że daleko i blisko. Daleko Göteborga, daleko Warszawy, ale bliżej tej drugiej niż pierwszego. Tu, w środku miasta i w środku lata, zapach mazutu i kerozyny miesza się z wyziewami

źle spalonego diesla ze zdezelowanych ciężarówek i spalinami ziejących trupem wołg, pobied, polonezów, skód, fiatów 125p i lokalnych produktów typu Czerwony Sztandar. Materia organiczna, materia nieorganiczna, niczym nieograniczone, wszystko atakuje nozdrza, zwłaszcza te przybyłe z daleka, nieprzywykłe. Inwazji na nos dokonuje też rdzewiejący złom, na przykład metali, wylewany wszędzie cement (chodząc po mieście, można się przekonać, że inaczej pachnie, nim zastygnie, inaczej potem), do tego zapachy miejskich kanałów, zapach kurzu, ale i zapachy żywności, owoców, gotowania, smażenia, tłuszczu i pary, fetor barów, garkuchni, jakby Naschmarkt rozciągnąć na obszar całego Wiednia. Zapach resztek organicznych w nieuniknionym procesie rozkładu. Resztki, których przyszłość zmienia się nieustannie w przeszłość, z obu równy fetor jak terażniejszość. Pamięć rzeczy – zapachem krzykliwie żądająca niezapomnienia.

Garkuchnie przypominają: JEŚĆ! A je się wszystko, wszystko, co żyje lub niedawno umarło, co rośnie, chodzi, czołga się, pływa i lata, pączkuje i kwitnie, wzrasta i wędnie, najlepiej zanim zgnije. Wszystko, najlepiej gdyby od tego się nie chorowało, a przynajmniej nie od razu, wszystko, od czego trudno się rozchorować i raczej się nie umiera. Zwyczaj. Wymuszone przez demografię. Wielkie tąpnięcie, wymuszone przez rewolucję kulturalną, na szczęście Deng Xiaoping odwrócił kurs na najgorsze swego przyjaciela Mao. Jeść wszystko, co rośnie i wyrasta, i wszystko, co się rusza. Rośliny i zwierzęta. Warzywa i owoce, jak na „moim” targu. Ale i – w dzielnicy handlowej w pobliżu mojego hotelu i miasteczka Gaby. Ursula uwielbia klimaty autentyczne i miejsca nie dla turystów – wchodzimy do hali targowej, tym razem pod dachem. Jatki z mięsem. Z haków zwisają, częściowo mokre, odarte ze skóry ciała zwierząt. Mniejszych w całości, większych w większych kawałkach. Koń, mówię Ursuli. Ten znak. A to?, pyta. Koza? Podchodzę, ale nie widzę podpisu. Pytam sprzedawcę, co to? Najprostsze pytanie *Shenma? Gou*. Odpowiada. Co on powiedział? Ursula doskonale reprodukuje słowo *gou. Gou?* Czyli co? Pies, mówię. Cała ściana z psami zawieszonymi na hakach. Mimika Ursuli zaprzecza jej duchowemu otwarciu na to, co inne. Wychodzimy z hali. Siadamy na ławeczce. Wyjmuję notes i zaczynam demonstrację. *Gou* to się tak pisze: 狗 .

Jest inne słowo oznaczające psa. *Quan*. To jeden z najprostszych znaków: 犬 .

Tłumaczę. Jeśli dodamy do człowieka kreskę poziomą u góry, to oznacza duży.

Po dodaniu do dużego kropki robi się z tego pies. Ale jeśli zamiast drugiej nogi człowieka w dużym dodać miecz, robi się z tego – przyjaciel. 友 . Pies przyjaciel, w sam raz do zjedzenia.

Kolacja z Gaby w restauracji wysoko pod niebem. Chociaż to tylko szóste piętro. Z widokiem na Bund. Bund to najbardziej charakterystyczna część centrum miasta. Popadła w zapomnienie. Teraz w szybkim tempie dokonywana jest rewitalizacja Bundu. Z okien restauracji widać całą płataninę i bryły, z których można wywieść przyszłe kształty. W czym pomagają fotografie na ścianach w naszej sali. Lokal dla zagranicznych gości, większość tych mówiących po chińsku jest z Tajwanu. Niektórzy panowie w krótkich spodniach, co jest tolerowane tylko u cudzoziemców. Kelner pyta, czy będziemy jeść mięso, czy ryby? Ryby. To proszę, uprzejmie zaprasza, by pójść za nim, wchodzimy do akwarium, Gaby stała się kierownikiem wycieczki, kiwa głową, gdy kelner objaśnia, jaki mamy wybór. Wybierzcie państwo sami. Sandacz? Ten zielonkawy? Ten? Nie? Nie ten, tylko tamten z czerwoną plamką, teraz popłynął w drugą stronę.

Nad sandaczem z czerwoną plamką. Rozmowa o Chinach. Gaby chwali tutejsze pozytywy. Sumiennosc ludzi. Przedsiębiorczość i pracowitość, choć nie przekładają się one na dobrobyt. Z powodu liczby ludności. Problemy na niespotykaną skalę, już choćby z powodu liczby ludności. Tak się wszędzie mówi. Mówią władze. Mówi partia. Przewyciężać trudności. I przewyciężają. Tłumiąc wszelki sprzeciw. Kto nie z nami, ten przeciw nam.

Brak wielu rzeczy, kultura materialnego braku. Ale i pozytywy, Gaby kontuuje: uśmiech na twarzach ludzi, i, że tak powie, pozytywne negatywy kultury braku: brak otyłych, relatywnie mówiąc, bo otyłość ciał jest funkcją nadmiaru odżywiania i niedoboru ruchu. Dieta uboga w tłuszcze, miliony ludzi na rowerach, to znaczy, że znacznie rzadziej dotknie ich choroba serca. Albo spotka wypadek. Brak plag, niszczących sąsiednie społeczeństwa, mało alkoholików, niska przestępczość. Dobrze, mówię, ale to wszystko ludzie zawdzięczają... – Gaby mi przerywa. Wiem, co chcesz powiedzieć, mówi. Opresji. Tak, opresji. To system opresji.

Z powrotem do hotelu. Noc.

Samochód czyli rower

Wychodzę po kontynentalnym śniadaniu, które postanowiłem jadać w hotelu, wolę to od śniadań z Ursulą u Gaby. Wiadomo, o której godzinie. Ja nie śpię długo. Idę po rower, który mam pożyczyć od koleżanki Gaby. Zatrzymuję się na ulicy, na której kupiłem żółtą koszulkę, teraz ostrzą tu noże i handlują butlami z gazem oraz – jak by to elegancko nazwać? – galanterią metalową? Zamykam oczy, słucham odgłosów, otwieram nozdrza, próbuję rozpoznać choć część zapachów, czuję, jak wibruje moje ciało, całą swoją powierzchnią. W pewnej chwili jakbym poczuł dotknięcie, ktoś się o mnie otarł, otwieram oczy i, żeby nie stracić równowagi, chwytam się metalowego pręta. Znowu zamykam oczy i próbuję zamknąć wszystko, prócz tego dotyku. Teraz świat mam – albo on mnie ma – jedynie przez dotyk. Chłodny, wilgotny, lekki dotyk metalu.

W otwartych nagle oczach pojawia się neon restauracji. Kwadratki, te same, które dwoiły się i troiły, kiedy kręciłem się, aż do zawrotu głowy, wokół drążka znaku drogowego, a moja dłoń wyczuwała czerwoną, chropowatą powierzchnię zimnego metalu, na Marszałkowskiej przed Szanghajem.

Rower. Po chińsku zwie się 自行車 *zìxíngchē*. Trzeci znak oznacza pojazd, wehikuł. Drugi – chodzić. Pierwszy – sam, samemu, jak w angielskim *self*. Zatem „samochodzący pojazd”. Samochód. Natomiast samochód pisze się 汽車 *qìchē*, 汽 *qi* oznacza parę. Czyli samochód to po chińsku parowóz, a rower to jest samochód.

Więc idę pożyczyć ten samochód od koleżanki Gaby, mieszkającej na terenie tego samego miasteczka akademickiego, odbieram go, podjeżdżam nim pod dom Gaby, gdzie czeka już na mnie Ursula ze swoim, pożyczonym od Gaby. Jej rumak jest czarny, mój czerwony. Oba mają kosze nad przednim błotnikiem, co jak widzę jest tutaj rzadkością. Dwie damki, moja marki Crescent, jej marki nie mogę odczytać. Z terenu miasteczka wydostajemy się na mniejszą ulicę, a z niej dosłownie wpływamy na większą aleję. Porwani przez falę wpływającą wreszcie na Yanan Xi Lu. Musimy się trzymać blisko siebie, wmieszani w rzekę metalu i białych koszul. Nieliczne samochody torują sobie drogę dosyć nachalnie, zostawiając za sobą niebieski obłok spalin. Większość rowerów ma srebrne błotniki, większość rowerzystów jedzie w pozycji

zbliżonej do pionu. Prawie wszystkie rowery mają prosty bagażnik nad tylnym błotnikiem, wszystkie rowery mają osłonę łańcucha, żaden nie ma pompki na ramie, ramy są w czterech, najwyżej pięciu kolorach, obręcze kół, szprychy, piasty, kierownice, wyczyszczone do połysku, lśnią czystością w zakurzonej powietrzu. Nie widzę na naszym szlaku świateł, sygnalizacji świetlnej, nie widzę kolizji czy niebezpiecznych sytuacji.

Rower musi wystarczyć tym milionom ludzi nie tylko do codziennego przemieszczania się, głównie z pracy do domu. Nie widzę, żeby ludzie wozili rowerami proste zakupy. To, czego im potrzeba na co dzień, kupują pewnie w pobliżu miejsca zamieszkania. Ale widzę, że dla tak zwanego szarego człowieka rower jest też głównym środkiem transportu towarów. Robię całą kolekcję fotografii przedmiotów, które przewozi się na rowerze. Nie na rykszy czy dwukołowej platformie, ciągniętej jak przyczepa, tylko na rowerze solo. Małe, większe, a nawet olbrzymie meble na tylnym bagażniku, nawet okazały kredens przytroczony linami do ramy, na rowerze prowadzonym przez dwóch mężczyzn. Gruby materac, owinięty wokół tylnego koła. Trzy żywe koguty w trzypiętrowej klatce umocowanej obok tylnego koła nad łańcuchem, dopiero na niej klatka z gołębiami, czwarta kondygnacja w poprzek na bagażniku, nad kogutami wystaje metr po obu stronach. Arbuzy, ananasy, ale tylko w handlowych ilościach, też na rowerach. Dwumetrowej wysokości paczka z tysiącami czerwonych goździków – wbrew pozorom musi być niezłym ciężarem dla całej konstrukcji.

Rowery psują się chyba często, ponieważ co kilkaset metrów widzimy zaimprovizowane punkty naprawy. Błyskawiczna zmiana dętki i regulacja hamulców na postawionych do góry kołami pojazdach, no i oczywiście smarowanie łańcucha, dopompowanie opon oraz dokręcanie wszystkiego, co się odkręca – to już w pozycji klasycznej, z kołami na ziemi. A kiedy tacy jak my chcą zatrzymać się i pójść pieszo, znajdzie się ktoś, na ogół starsza kobieta, która daje nam do zrozumienia, że chętnie popilnuje rowerów. Za kilka juanów.

Idziemy w kierunku otwartej od niedawna dla turystów świątyni buddyjskiej. Po drodze podchodzi do nas mężczyzna i pyta, czy jesteśmy z Europy i czy mógłby z nami trochę porozmawiać po angielsku. Pyta, skąd jesteśmy i czy w naszych krajach wszyscy mówią po angielsku. Po pięciu minutach

uprzejmie dziękuje i odchodzi. To jeszcze jeden pozytywny negatyw, w rozumieniu Gaby. Ludzie są po prostu ciekawi obcych, uczą się języków, ciekawi świata, i po latach rewolucji kulturalnej nikt im tego wyraźnie nie zabrania.

Gubimy się w labiryncie małych uliczek i zamiast do świątyni trafiamy nad kanał, nad który po naszej stronie podjeżdżają szambaiki, by wypluć do wody swój ładunek. Po drugiej stronie, na drugim brzegu, kobiety spokojnie kończą pranie. Robi mi się niedobrze. Człowiek, który przyłącza się do nas, aby porozmawiać tym razem po niemiecku, wyjaśnia, że niedługo na potrzeby aseptyzacji zostanie oddany do użytku nowoczesny kompleks nad rzeką. Wtedy kanał w centrum miasta zostanie oddany mieszkańcom. Okazji do rozmowy po niemiecku jest znacznie mniej niż po angielsku. Tym bardziej jest mu miło, że może z nami rozmawiać po niemiecku. Mówimy o sobie, Ursula i ja, mężczyzna kiwa głową, lubi Niemcy i Skandynawię, słyszał o Polsce. W Chinach jeżdżą warszawy i polonezy. Oettinger, Krombacher, Bitburger, Warsteiner, Dortmunder, wymienia jednym tchem. Trochę trzeba się wysilić, żeby to zrozumieć, ale mogę tylko zrewanżować się nazwą Tsingtao, jedynym browarem chińskim, którego nazwa przychodzi mi do głowy. Mężczyzna śmieje się i mówi: *Qīngdǎo auch deutsches Bier, auch deutsches Bier!* To piwo według niemieckiej recepty. Ursula zatrzymuje się przed gablotą uliczną, jej wzrok przykuło coś zagadkowego. Patrzy na umieszczone za szybą fotografie i teksty. Gdy prosi mężczyznę o wytłumaczenie, ten spogląda na gablotę i robi mu się nieswojo. Wybąkuje, że na niego już czas. Za szkłem znajdują się czarno-białe, nieostre fotografie walkmanów i magnetofonów, jakichś kabli i śrub. Znalezionych u dysydentów i wrogów ludu. Dowody na współpracę z obcym wywiadem. Fotografie przestępców w więziennych ubraniach. Wszystkich zdemaskowano i przykładowo ukarano. Za szpiegostwo. Skazani przez sąd ludowy. Na dziesięć lat więzienia. Piętnaście. Na karę śmierci. Niedobrze mi się robi.

American City

Styl kolonialny. Dokładnie tak, jak pamiętam ze studiów. Uczono nas na zajęciach z historii architektury. Tu, w Szanghaju styl kolonialny odróżnia się od stylu rodzimego, budynków na ogół dużo nowszych. Choć patrząc na konkretne okazy, dochodzę do wniosku, że odmian pośrednich i mieszanych jest znacznie więcej niż czystych przykładów. Zheng wspominał w Baden-Baden,

że Szanghajów jest wiele. Teraz widzę przynajmniej kilka. Nowy Jork czy Los Angeles mają swoje Chinatowns. Szanghaj ma swoje Frenchtown, Britishtown, Yankeetown i co tam jeszcze... Chinafrenchtown, Chinabrittown, Chinagermantown, nawet Frenchbritt. Widać to po bryłach i fasadach budynków, ich wysokości, elewacjach, a najbardziej po tak zwanych otworach, drzwiach i oknach. To architektura okien już z daleka zdradza na ogół, w której części się znajdujemy. Na odcinku kilku kilometrów od Bundu zmieniają się one z kontynentalnych na angloamerykańskie, podnoszone do góry. A te, popatrz – mówię do Ursuli – mają krój niemiecki, poznajesz? Jestem jej przewodnikiem po detalach architektonicznych. Ulicę dalej, proszę, owalne klamki, francuski profil. Co potwierdza szyld – dwujęzyczny, *Dans mon piano* w oryginale i w chińskim przekładzie. Jeśli nie odwrotnie. Nad całym solidnie zabarykadowany mi uzbrojoną roletą drzwiami. *Café du commerce*. *Café de Paris*. Tyle na raz?

Kiedy dynastia Qing przegrała wojnę opiumową, traktat nankiński wymusił na Chinach otwarcie portów dla handlu światowego. Po Hongkongu przysłała kolej na Szanghaj. Jesienią 1843 roku kapitan George Balfour zawiązał tu na pokładzie parowca o pięknej nazwie *Medusa* i rozpoczął negocjacje, zwieńczone przyznaniem Brytyjczykom terenów między rzeką Wangpo a strumieniem Suzhou. Zaraz potem zjawili się Amerykanie i Francuzi, którzy wybrali dla siebie przyległe tereny. Francji przypadła część na południe, wciśnięta między osiedle brytyjskie i mury miasta chińskiego, Ameryce flanka północna. Zaczął się boom budowlany. Ruszyła budowa budynków w stylu zachodnim. Shanghai International City otrzymało prawa eksterytorialności, mieszkający tam obcokrajowcy nie podlegali chińskiemu prawu.

Jedziemy taksówką, mikroskopijnym daihatsu, kierowca umieścił nad licznikiem podobiznę przewodniczącego Mao na czerwonym tle i swój identyfikator 强国. Wiezie nas do amerykańskiej części, gdzie mamy odwiedzić rodzinę Zhenga. Zheng, *our Chinese connection from Baden-Baden*. Kiedy pukamy do drzwi, witają nas jego rodzice i prowadzą przez długi korytarz. Ojciec płynną angielszczyzną wyjaśnia, że mieszkanie zostało podzielone, bo było za duże. Ale i tak jest wielkie. Idziemy długim korytarzem, mijamy otwarte na oścież drzwi łazienki – jak w Ameryce! Wanna, umywalki, krany, kafelki na ścianie – bo podłogi nie widać, przykrywa ją bambusowa mata – wszystko jakby żywcem wzięte z wieżowca przy 310 Riverside Drive na rogu 110 Ulicy, w którym spędziłem kiedyś wiele jesiennych miesięcy. Zbudowany

w 1907 roku, miał podobne wejście – flankowało je dwóch olbrzymów z cementu, podtrzymujących zadaszenie. Jednego chyba bolała głowa, drugiego ząb. Podobne lobby, tylko bez doormana, pewnie też i winda, ale z niej nie korzystamy, bo rodzina Zhenga mieszka na pierwszym piętrze. W mieszkaniu wszystkie przełączniki świateł, okna, drzwi, krany pochodzą jeszcze z lat trzydziestych. Podobnie jest, wyobrażam sobie, już tylko na Kubie. Czas stanął w miejscu.

Ojciec Zhenga przekręca okrągłą, amerykańską klamkę i wprowadza nas do pokoju. Pokój jest przestronny, na ścianach widzę półbłyszczącą farbę, *buff-color*, taka sama jak na Riverside, tylko od półwiecza pozostawiona sobie. I takie same okna z drewnianym szkieletem, podnoszone na linkach, a raczej sznurkach, i utykające w wypaczonych wiekiem prowadnicach – pewnie w tym klimacie, jeszcze bardziej wilgotnym, po tylu latach zaklinowują się jeszcze częściej niż przy Riverside.

Przyszlśmy tutaj, by poznać rodzinę Zhenga, co jest częścią misji poznawania prawdziwych Chin, a przynajmniej ujrzenia Chin od środka, jak się wyraził Zheng. A przynajmniej Szanghaju, a dokładnie tej jego części, w której mieszka jego rodzina. I jednocześnie przekazać rodzinie Zhenga przesyłkę, którą on dał nam dwa miesiące wcześniej w Baden-Baden. Kiedy jeździłem do Baden-Baden ze Strasburga, zaglądałem do restauracji *Raj Pekinu* na tyłach Augustaplatz. Raz umówiłem się tam z Ursulą. Od razu zaczęła rozmawiać z cichym i poważnym kelnerem, który mnie już obsługiwał, ale z którym nigdy dotąd nie wdałem się w rozmowę. Powiedziała mu, że jedziemy do wielkiego miasta nad morzem i zapytała, czy je zna. Z uśmiechem odpowiedział, że pochodzi z Szanghaju, jest urodzonym szanghajczykiem, a przed wyjazdem do Europy uczył fizyki i matematyki w szanghajskiej szkole. Mówił po niemiecku może nie swobodnie, ale poprawnie i gramatycznie, jego uwagi były inteligentne, wyczuwało się, że to człowiek wykształcony i bystry, nawet błyskotliwy. I taki szanghajczyk obsługuje gości restauracji *Raj Pekinu* w niemieckim miasteczku o przebrzmiałej renomie na tyłach Augustaplatz. Praca nauczyciela ledwie starcza na utrzymanie dużej rodziny w Chinach. Zheng jest synem zasłużonego fizyka atomowego, który popadł w niełaskę władzy, stracił pracę i ma teraz najniższą kategorię emerytury, niższą nawet niż krewni z dalekiej prowincji, którzy u niego od kilku lat mieszkają. Po zniszczeniu ich domu przez hongweibingów, wiele miesięcy spędzili w obozie, zanim przygarnął ich do siebie ojciec Zhenga.

Który sam przeżył czystki i ekscesy rewolucji kulturalnej w mniej dramatyczny sposób, prawdziwe represje wobec niego zaczęły się dopiero w okresie ponownej normalizacji. Dlatego Zheng wyjechał, dostał zaproszenie najpierw do Polski (skąd ja to znam?), potem dalecy krewni w Niemczech znaleźli mu pracę w *Raju Pekinu*. Opuszczał Szanghaj z ciężkim sercem, zostawiał tam żonę i syna. Pensja kelnera w Baden-Baden jest kilkakrotnie wyższa od pensji profesora uniwersytetu w Chinach. Nawet nie licząc napiwków. Ale praca kelnera w tym Raju nie należy do łatwych. Zheng praktycznie nie ma czasu, by ruszyć się z restauracji, dzień pracy trwa praktycznie całą dobę, z krótką przerwą na nocny sen. Ma tylko jedno wolne popołudnie tygodniowo, w środę, kiedy restauracja jest zamknięta – wieczorem musi pomagać w cotygodniowych porządkach. Umówiliśmy się, że da nam parę wskazówek *insidera*, poradzi, co warto zobaczyć i co warto zrobić w Szanghaju. Tydzień później Zheng dał nam, oprócz cennych rad i wskazówek, także paczkę, którą, jeśli możemy, prosił przekazać rodzinie, kilka drobiazków, zdjęcia, notatki, dla rodziny w Szanghaju.

A teraz siadamy u szanghajskich Zhengów w przestronnym pokoju, z kilkoma kanapami, licznymi fotelami, krzesłami i stołkami w stylu chińskim, które w miarę rozmowy przyjmują kolejne osoby. Przybywa rodziny. To, co w naszych planach miało być krótką wizytą, staje się kilkugodzinną defiladą starannie dobranych z myślą o nas potraw. Degustacja kolejnych miseczek zaczyna się i kończy spontanicznymi okrzykami, pełnymi aprobaty kulinarnej, zwłaszcza ze strony bardziej spontanicznej, „inaczej” ode mnie rozmownej Ursuli. Między miseczkami i w trakcie miseczek odbywają się konwersacje po angielsku, w których udział biorą przede wszystkim rodzice Zhenga i jedna para wujków. Choć synowa i bracia Zhenga znacznie mniej są komunikatywni, ich twarze zdradzają czasami, że rozumieją. Reszta przybyłych i przybywających bierze udział w naszym wieczornym spotkaniu, okazując przyjazny uśmiech na twarzy.

Co już widzieliśmy w mieście? Bund, a chcielibyśmy też zobaczyć morze i pojechać gdzieś zobaczyć naturę. Ojciec Zhenga rozumie wprawdzie dlaczego, jest jednak raczej sceptyczny co do natury i morza. A co do samego miasta, Bund, oczywiście, ale radziłby też zobaczyć kilka rzeczy, o których na ogół nie wiedzą turyści. Na przykład niecodzienną budowlę, która mnie, jako architekta, na pewno zainteresuje, tym bardziej że wzniesiono trzy takie konstrukcje, jedną w Ameryce, drugą w Londynie, a trzecią tu, a tylko tutejsza przetrwała. Cement sprowadzano do Szanghaju z Portsmouth, chiński nie spełniał norm

wytrzymałościowych. Jest w fatalnym stanie, ale podjęto decyzję, żeby jej nie burzyć, tylko zrewitalizować. Zamknięta, nadzór nad nią ma jednak mój dobry przyjaciel. Dam państwu list, żebyście mogli wejść do środka i pochodzić po wnętrzu. Naprawdę warto.

Na małej kartce zapisuje adres. 1933 Shanghai. Staram się odczytać na głos. Nie błyskawicznie, ale bez większego trudu. *Lao chang fang*. Ojciec Zhenga leciutko poprawia moją wymowę, *Lǎo chǎng fāng*, śmieje się, oby tak dalej! *Old field square. Slaughterhouse*. Rzeźnia. Mamy jechać do rzeźni? Zaczynam przepisywać znaki do notesu, lekką ręką, co zgromadzeni przyjmują z zaciekawieniem, a gdy docieram do mety – zadziwieniem. 坊老场.

Brat Zhenga przybliżył się do nas, dziadek i babcia podnoszą się z miejsc i pochylają nad naszym stołem. Trochę mnie peszy ta reakcja. Ursula myśli pewnie, że się popisuję. A, to pan mówi po chińsku!, mówi do mnie po chińsku ojciec Zhenga, a ja muszę zaprzeczyć, *wo bu ta dong*, a reszta po angielsku. Wyjaśniam, że piszę, mogę zapisać i odczytać to, co jeszcze uda mi się wy dobyć z pamięci – już tyle lat minęło! – i że mogę coś powiedzieć, zadać jakieś pytanie, wręcz bezbłędnie, ale bardzo trudno jest mi zrozumieć odpowiedź. To dziwne, bo kiedy słyszy się kogoś, kto bezbłędnie pyta, trudno zrozumieć, dlaczego nie rozumie odpowiedzi. To tak jakby rozmawiać z głuchym. Trzeba mu zapisać na papierze.

Ojciec Zhenga opowiada, że kiedy wyjechał do Kanady, w laboratorium Bella po kilku miesiącach rozumiał prawie wszystko, ale koledzy z trudem rozumieli jego. Że to kwestia wprawy, praktyki. Ze mną jest odwrotnie, nigdy właściwie nie prowadziłem praktycznej konwersacji. Musiałbym zaczynać wszystko od nowa. A tak trudno jest mi się osłuchać. Co innego ze znakami, znaki lepiej wryły się w pamięć. Język to labirynt, mówi ojciec Zhenga. Po labiryncie słów człowiek nie porusza się łatwo. Trzeba dużo pracy, by po naszym labiryncie chodzić w miarę swobodnie. Jak my. *Our maze*.

W tym momencie przestronny pokój wypełnia już ponad dwadzieścia osób, należących do, lekko licząc, pięciu pokoleń. Niektórzy, zwłaszcza starsi, występują w mundurkach Mao. Wszyscy na nas patrzą, lekko się uśmiechając, jak się wydaje, w skupieniu. To nas trochę tremuje. Podajemy paczkę – wielkości dużej koperty A2 dziesięciocentymetrowej grubości. W chwili, kiedy ojciec

otwiera ją i zaczyna wyjmować pierwsze fotografie, podbiega do nas mały chłopiec i mówi coś, czego nie rozumiem. Matka Zhenga wyjaśnia, że wnuczek zaraz nam coś pokaże. Ojciec Zhenga w skupieniu patrzy na fotografie i czyta, jak mi się wydaje, zapiski swego syna. Synek Zhenga przybiega z miniaturową klatką, w której zamknięte jest jakieś żywe stworzenie.

Kładzie przede mną na stoliku uwięzione stworzenie, bierze mój otwarty notes i obok zapisanego przeze mnie 老场坊 zapisuje na niej 螳螂. *Tángláng*, mówi nam, jak to się czyta i wręcza Ursuli klatkę z modliszką. Prezent dla nas.

Mój wzrok zaczyna błędzić w miarę, jak kończy się karafka wódki ryżowej. Widzę, jak dzieciak Ignie do mamy i brata Zhenga. Czule zespolonych. Żona z bratem trzymają się za ręce, on gładzi dziecko po głowie. Razem tworzą szczęśliwą trójkę. Co to znaczy? Teraz zdjęcia i zapiski Zhenga krążą z rąk do rąk. Wszyscy patrzą na nie z powagą, bez słowa.

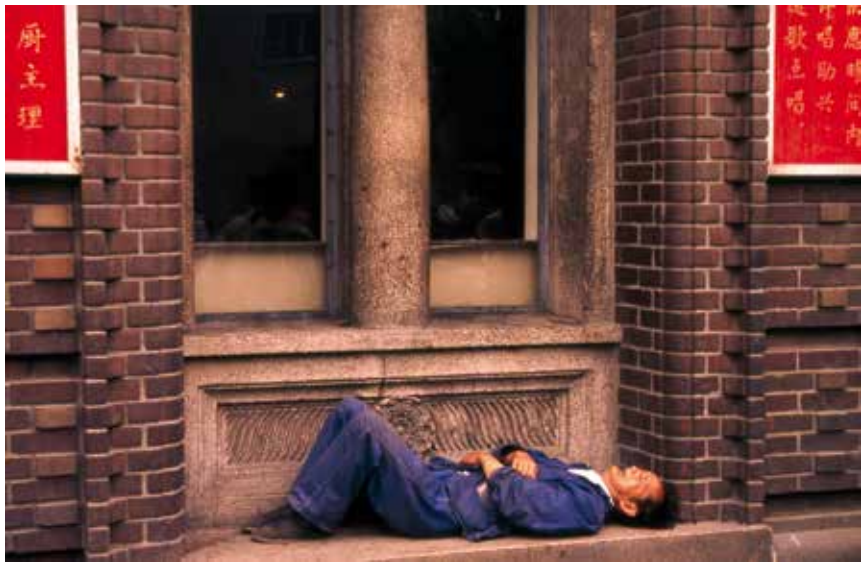
Zmęczeni długą wizytą, mówimy, że będziemy wracać, pytam rodziców Zhenga, czy możemy przekazać coś synowi. Cisza. Milczenie. Dopiero kiedy pytam jeszcze raz, odpowiada matka: Dziękujemy bardzo. Wie pan, chcieliśmy już wcześniej państwu o tym powiedzieć. Bardzo się cieszymy, że mogliśmy państwa zaprosić i chcemy podziękować z całego serca za trud, jaki sobie zadaliście. Ale już nic mu nie możemy przekazać. Zheng nie żyje.

Zrywam się na równe nogi. Jak to nie żyje! Zheng nie żyje? Tak, wyjaśnia matka. Zhenga nie ma już wśród nas. Odszedł miesiąc temu. Miał wypadek. Wpadł z okna. Nie można go było przywrócić do życia. Trzy tygodnie temu został skremowany. Prochy już do nas dotarły.

Wypadek? Wpadł z okna? W Baden-Baden? Zheng wypadł z okna w Baden-Baden i zabił się? Czuję, że to sen. Cały ten długi wieczór. Ta kolacja, te rozmowy. To jakiś wymysł. Robi mi się niedobrze. Milczę. Ursula też milczy przez dłuższą chwilę. Żegnamy się, po kolei ściskając dłoń wszystkich zebranych i wychodzimy. Uderza nas zaduch na zewnątrz.

Hello! – krzyczy ktoś z tyłu. Brat Zhenga dogania nas na ulicy, kiedy wsiadamy do taksówki. W rękę trzyma klatkę z modliszką. Prezent od syna Zhenga. Zapomnieliście! Biorę od niego klatkę. A tu, na kartce, jest napisane, jak się









nią opiekować. Patrzymy na siebie, Ursula na mnie, ja na nią, to samo w tym momencie myśląc: Co zrobić z takim prezentem? Ale dziękujemy. Twarz brata Zhenga nagle zmienia wyraz. Ojciec wam nie powiedział. A powinniście wiedzieć... – to nie był wypadek. Zheng odebrał sobie życie.... *Zi sha* 自殺 . Samobójstwo. *Suicide*.



JAROSŁAW MIKOŁAJEWSKI

rodzenna fotografia

przyśniło się wczoraj zdejmowanie
zmarłych

stanęli w rzędach
przestrzegając hierarchii
pokoleń

obok nich

najbiedniejsza
z komunijnej klasy

stanęła mama

co ty tu robisz zapytali zmarli
przecież żyjesz
a ostatnich wyników
można pozazdrościć

próbowali wypchnąć łokciami
wracała

co ty tu robisz
mamo
wśród zmarłych

spytałem

jeszcze nie czas
nie czas

żywi mnie już nie chcą
powiedziała
i jak zawsze kiedy wchodzi
do cudzego domu

stała w kącie
albo za wszystkimi

zniknęła z oczu
ale zawsze wiem
kiedy jest

w metrze

ustępuje staruszce uprzejma kobieta

wszystko w niej nagle
robi się uprzejme

nawet
uprząż na kostce

cięciwa łydki

dłoń na poręczy
jak chrztu błogosławieństwo
nad moją głową

MIROŚLAW DZIENÍ

Cały

Cały do wyjedzenia, do ostatniej
komórki światła, do najdrobniejszej molekuly,
gdzie przelewa się życie i rodzą galaktyki.
Jak gdyby już nie mógł wytrzymać we własnej
niewidzialnej skórze i dzielił się nią rozrzutnie,
aż do końca – nazywanego nieroztropnie
końcem świata.

Płynęliśmy statkiem wzdłuż laguny
jak pięćset i tysiąc lat wcześniej weneccy
rybacy. Na wbitych w morze palach
małe domki pokryte falistą blachą.
Tu i ówdzie rama z roweru, plamy rdzy
i potargane sieci – warsztat życia.

Chioggia 25.06.2015

Z Jehudy Amichaja

Miejsce, w którym mamy rację
nie należy do nas, lecz do światła
oblepiającego kształt, cień pod postacią.

Miejsce, w którym mamy rację
jest polem kamieni, których nie sposób
usunąć. Sadzimy między nimi kwiaty,
prycinamy gałązki, zbieramy owoce.

Miejsce, w którym mamy rację
jest ponad podziałem na „tak” i „nie”.
Najcieńszą linią zgody wiąże tęsknoty,
łkania i inne erupcje życia.

Miejsce, w którym poeci mają rację
jest jak kobieta pełna nitek głodu, co
wiążą wyobraźnię w łańcuch tajemnicy.

Miejscem, w którym mamy rację
jest cisza po popłochu słowa,
strużka sensu sypiąca się przez palce.

Miejsce, w którym mamy rację
jest odchodzeniem i powracaniem.
Zapisanym niewidzialnym atramentem
skrótom pełni.

Miejsce, w którym mamy rację
nie jest ani tu, ani tam. To nieutulona
rana brocząca tęsknotą innego.

W miejscu, w którym mamy rację
jest poruszenie warg, trzepot niewidzialnych
skrzydeł ducha, radość gardząca ścierwem
śmierci, tulenie się do Świętego Świętych.

Miejsce, w którym poeci mają rację
jest skwerem, gdzie rozchodzą się
ścieżki. Pieski hasają tam, nie znając
celu poza węchem, który prowadzi
ich niezawodnie.

W miejscu, w którym mamy rację
stoi dąb, a na nim listki jak krople
wody na ciele wieloryba. Dni i noce
zapadają się w siebie, a kora jego trwa.

Miejsce, w którym poeci mają rację
jest jak zarzucony płaszcz na ramiona innego,
trąbka w ręku, przekręcający się klucz.

Miejsce, w którym mamy rację
jest obok zamkniętej bramy.
Przechodzą przez nią pająki
i tęsknoty. Te ostatnie nielegalnie.

Miejsce, w którym mamy rację
staje się modlitwą, kiedy ptaki
powietrzne znajdują w nim ziarno,
a deszcz ziemię nasycenia.

Anna Polikowska



JAN POLKOWSKI

Maria i Józef

dla Ani

Zima już zaległa na dobre i w prowincjonalnej ciszy rozgościła się drobiazgowa obojętność. Był początek grudnia, chropawe przedpołudnie. Wiotka kobieta i zmęczony mężczyzna, który wyglądał, jakby kulał przygnieciony ciężarem cudzych marzeń, szli przez park, a raczej uporządkowany las. Wśród pni tułał się nikły cień i tliło słabe światło powleczone mlecznym bielmem chłodu. W miejscach, gdzie skurczyły się łachy śniegu, trzeszczała pod stopami brązowa skorupa zlepionych liści, sztywna od mrozu i pokryta szorstkim szutrem szadzi.

– Idę na przełaj – powiedział mężczyzna, nie odwróciwszy głowy – nie chce mi się łązić po ścieżkach.

Nie czekając na odpowiedź, odbił w prawo i pochylony z wysiłku wspinał się nierównym krokiem po wyziębłym zboczu.

Kobieta spojrzała na stromo rosnący las, stalowopopielatą buczynę, krępe bure dęby i wbite w śnieg poczerńnięte pióra jodeł. Poczowała w ustach śliski chłód nieuporządkowanych myśli. Nie potrzebowała ich towarzystwa. Nawet jeśli to były tylko pojedyncze, oderwane od ziemi cherlawe słowa, przeszkadzał jej ich natrętny szmer.

Ruszyła w górę. Rozciągała sekundy, pielęgnowała ciszę, zapadała się w nią, odpędzała od siebie wszystko prócz matowego murmuranda zamarytych drzew. Po długich latach małżeństwa Maria przywykła do wytwornie partnerskiego stylu Józefa, więc często nie odpowiadała, czekała, aż zmieni kierunek, zgubi się i zapadnie w pętli myśli, skupi uwagę na czymś innym lub zamilknie. Czasami ukrywała się w skrawku wspomnienia, przypadkowo wybranym szczególnie albo pracowicie układała na jutrzejszy dzień niekończącą się listę spraw do załatwienia.

Starala się iść w równym tempie. Czuła tchórzostwo i niecierpliwość czasu i wyzwajający dotyk istnienia. Pomyślała, że mógł to być tylko toporny opór

Opowiadanie pochodzi z tomu pt. *Portier i inne opowiadania*, nad którym Autor pracuje.

mięśni ciasnego ciała, suchy chrząst sztywnych stawów i zbytne skupienie na sobie. Chciała się solidnie zmęczyć i miała nadzieję, że dzięki temu wreszcie zaśnie – nieprzypadkiem, kojąco, na niezmacone najprostszymi marzeniami godziny, długie jak transsyberyjska kolej. Od przyjazdu w Sudety sen krążył nad nią wysoko jak przybyły z północy myszołów, przeskakujący żółtym okiem okolicę. Józef tłumaczył jej po raz nie wiadomo który, że nasze myszołowy, na wsiach brane przeważnie za jastrzębie, przenoszą się w nieco cieplejsze rejony, a z północy przylatują do nas myszołowy włochate, większe i dające sobie lepiej radę w zimowych warunkach. Dobrze wiedział, że się powtarza, ale chociaż zauważał znużoną wyrozumiałość Marii, nie przerywał zbędnych wyjaśnień. Czemu to robił? Samczy nawyk znaczenia terenu? Pomyślała z westchnieniem, że drapieźnikiem nigdy nie był.

Maria lubiła zmęczenie, rozgrzane płuca i dreszcz słonawego bólu snujący się bez celu po całym ciele. Wydawało się jej wtedy, że jest bliżej tej wersji siebie, której nie rozumie, a nawet nie zna, ale coraz bardziej musi się z nią liczyć. Dzisiaj, trzeciego dnia pobytu w sanatorium czuła w sobie niejasno, że czeka na siebie mocniej, potrzebuje wsparcia tej tajemniczej drugiej, pragnie namiętnie siostrzanej solidarności, nawet jeśli miałyby się okazać, że to solidarność śmierci.

Należała do kobiet, w których siła i zniechęcenie, podniecenie i rezygnacja splątały się tak skutecznie, że gubiła się w sobie lub samą siebie zaskakiwała coraz to inną wersją Marii innej od tej wczorajszej, Marii sprzed minuty czy tygodnia. Zdarzało się, że kiedy szła do kuchni po kawę, jej uśmiech powlekał kuszący błysk młodości, a gdy wracała, zmęczenie lub nawet bezwarunkowa kapitulacja zdawały się ścinać jej spierzchnięte usta. Poprawiła kosmyk włosów, który wymknął się spod włóczkowej czapki. Gęsta, ciepła biel na tle wiotkiej białości śniegu. Kiedyś jej włosy były ognioście rude, teraz posiwiały i z dawnej prowokacyjnej, ale i bezbronnej oprawy jej ducha został już tylko ledwie widoczny pod światło złotawy mech na policzkach i przezroczyście biała skóra przesiąknięta spłowiełą krwią. By zmienić naturalny kolor włosów, nigdy nie przyszło jej do głowy.

Coraz częściej powtarzała, jak długo są razem z Józefem.

Jesteśmy ze sobą już dwadzieścia lat i tak dalej. Wypowiadała te zdania półgłosem, właściwie do siebie. Józef prędzej uwierzyłby w śnieg w lipcu niż w to, że żona mogłaby go opuścić, ale w momentach jej krótkich wymruczanych

podsumowań nie był pewien, czy sumuje te lata zadowolona, zaskoczona czy bezgranicznie znudzona.

Poznali się w Stalinogrodzie, jak wtedy nazwano Katowice. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, niemal w połowie roku szkolnego Józef wyłądownął w liceum, do którego Maria uczęszczała z gasnącym z lekcji na lekcję przejęciem. Jego ojciec podobno awansował z dziury zabitej dechami i rodzina z dnia na dzień przeniosła się do upstrzonej hasłami, kruszącymi na wietrze krwawymi szturmówkami i oblepionej posępnym pyłem postępu stolicy Górnego Śląska. Ktoś twierdził, że należeli do równiejszych wśród równych, przodującej klasy bywalców sklepów za żółtymi firankami. Później okazało się, że byli kimś pośrednim między sytymi szychami a ludem pracującym miast i wsi, szarzącym potulnie w kolejkach i przeżuwającym o świcie otręby z zakalcem wraz z zamrażniętym smrodem dorszy. Ojciec Józefa sortował odbijane na powielaczu zalecenia i okólniki w wydziale propagandy komitetu wojewódzkiego PZPR, a matka, ewangeliczka z Wisły, dostała podobno pracę w tamtejszej stołówce. Napychają kałduny na kolację tym, czego pierwszy sekretarz nie był w stanie wtrązić na obiad, rzucił wtedy rudy Stefan, bezbłędny prymas z przedmiotów ścisłych. Tłukła nim zawsze zapiekła zawziętość podszyta nienawiścią, pogardą czy zazdrością, a może wszystkim naraz. Kłatkę piersiową miał zapadniętą po przebytej w dzieciństwie krzywicy. Niedługo potem nauczyciele przestali go wyczytywać przy sprawdzaniu obecności, a on nie pojawiał się już w szkole. Mówiło się, że wyjechał z matką do Reichu. W każdym razie przepadł jak kamień w wodę. Jego zniknięcie budziło zainteresowanie tylko dlatego, że wychowawczyni stwierdziła z naciskiem, żeby nie pytać ją o Konrada, bo nic nie wie ponad to, że opuścił Katowice.

W tamtych pełnych niejasnych obietnic licealnych czasach podniecająco burzliwe były tylko nieliczne sny, a aż nadto realny socjalizm jawy przygnębiał kokieterią przekwitłych nauczycielek kolebiących połciami tyłków i dynadających dyniastym biustem, zajeżdżał spalenizną placków ziemniaczanych smażonych w stołówce szkolnej na oleju z UNRRA i rozstrajał fetorem mytych zbyt rzadko kibli. Żywoty Marii i Józefa bez pośpiechu, z odrobiną niepewnej nadziei dryfowały w uspołecznionym powietrzu, pilnowane ślepo przez wszystkich wzrok Cyrankiewicza i Gomułki. Jej płaszcz przenicowany z obszerniejszego, pochodzącego z darów, wisiał w szatni całkiem niedaleko od jego płaszcz, ich spojżenia usiłowały wyrwać się z sal przez te same niedomykające się okna, tenisówki uderzały z energią w bukowy parkiet sali

gimnastycznej, oddechy ocierały się o siebie w dudniących korytarzach, gdy w listopadzie podczas akademii z okazji rocznicy rewolucji październikowej śpiewali szeptem: „Naprzód młodzieży świata, nas braterski połączył dziś marsz”. Niektórzy sprawdzali siłę płuc i tolerancję ciała pedagogicznego, wyjąc przeraźliwie refren: „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew, pieśni zew, pieśni zew. Więc śpiewamy, nie zamilknie wolny śpiew, wolny śpiew, wolny śpiew!”.

Szkoła, niemal w tym samym stopniu co wojsko czy więzienie, była idealnym miejscem, żeby kogoś uznać za znajomego, nie zamieniwszy z nim ani słowa i wiedząc o nim mniej nawet niż o sobie. Można więc powiedzieć, że byli znajomymi.

Po maturze w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku zderzyli się jak ślepe meteoryty w Krakowie na korytarzu Akademii Muzycznej. Patrzyli ze zdziwieniem na trzymane pod pachą chude teczki z brązowego kartonu z ułożonymi obowiązkowymi dokumentami. Usta Józefa poruszały się bez współpracy z pozostałymi częściami nieruchomej twarzy. Wyginały się i zaokrąglały pracowicie, jakby starały się bezskutecznie rozpocząć samodzielne życie.

– Ty też tutaj? – zdziwiła się i szybko poprawiła: – Masz wszystko? Drugie pytanie zadała głosem wypełnionym naturalną kobiecą opiekuńczością. – No, wszystkie papiery? Żeby cię nie obcięli z powodu braku jakiegoś głupiego zaświadczenia.

Nawet nie pamiętała jego imienia, ale mimo to postanowiła sprawdzić jego dokumenty, byli w końcu krajanami i rówieśnikami, więc teoretycznie sojusznikami wobec wyniosłego żywiołu obcego miasta, chociaż w praktyce pozostawali zwykłymi konkurentami w walce o nieliczne wolne miejsca na uczelni. Nie czekając na odpowiedź ruchliwych warg, które bezskutecznie walczyły z niemotą organizmu, rozłożyła zawartość jego teczki na parapecie. Podanie i życiorys na kratkowanym papierze kancelaryjnym napisane było zadziwiająco nierównym pismem. Litery bez powodu pochylały się, prostowały, okrąglały lub karłowaciały. W dokumentach nie brakowało niczego. Z przypiętych spinaczem czterech zdjęć dyskretnie wyluskała jedno i wsunęła do kieszeni żakietu.

Im bardziej to przypadkowe spotkanie oddalało się w czasie, tym usilniej zastanawiała się, dlaczego zachowała się tak natrętnie a zarazem żałośnie. Dlaczego zabrała zdjęcie zylastego obcego ofermy z nierówno ogolonym słabym zarostem wokół ust i resztkami trądziku na czole. Na zdjęciu wytrzeszczał oczy, jakby był czymś wystraszony albo po raz pierwszy widział aparat

fotograficzny. Już w domu Maria wsunęła zdjęcie do jakiejś książki i nigdy później nań nie spojrzała. Ukradłam zdjęcie tego chłopaka? – zadała głośno pytanie. Liczyła, że ktoś gorliwie zaprzeczy, weźmie ją w obronę i jej niedające się usprawiedliwić błżeństwo okaże się tylko przywidzeniem. A jeśli zauważył? Maria nie roztrząsała, czy przypadkiem jakaś jej żeńska, a ściślej panieńska, cząstka, choćby pojedyncza drugorzędna komórka, nie rozpoczęła w wyniku obiektywnych przyrodniczych okoliczności procesu ewolucji w stronę innej formy życia. Chociaż i ta komórka, nawet jeśli posiadała wyższą świadomość i była awangardą drobnomieszczańskiego, opóźnionego w rozwoju tłumu pozostałych komórek, nie mogła przypuszczać, że wszystkie razem, bez westchnień wzlotów i wyznań, w przerwie semestralnej drugiego roku wyjdą za mąż, a ich właścicielka zaakceptuje mrukliwą, niepełną obecność Józefa i pogodzi się z tym, że nigdy w pełni nie dowie się, kim jest człowiek, którego poślubiła. Że długie dni i krótkie noce, niepodobne do żadnego z jej marzeń, będą mijać bez oporu, a ona urodzi córkę, będzie pracować, gotować i doprowadzać do wrzenia tego z wysiłkiem trzymającego się w jednym kawałku niezgrabnego mężczyznę. Zresztą czy potrzebowała wiedzieć o nim więcej, niż wie kobieta o mężczyźnie już po paru godzinach znajomości? Na dnie jej krwi pokutowała obawa, że pełna prawda o Józefie może uczynić ją wobec niego bezbronną, a wobec siebie zbyt wymagającą.

Maria wybrała wokalistykę, on był pewien, że będzie kompozytorem, chociaż dotąd nie próbował zapisywać myśli w jakikolwiek sposób, także za pomocą nut. Maria śpiewała, studiowała, a także konkurując ze smogiem, wchłaniała zachłannie Kraków, jak wieczorna czerń pożera książęcy błękit i przyśpiesza śmierć purpury. Jej chciwe spaceru zawsze zahaczały o ulicę Kanoniczą, Wawel i katedrę przesiąkniętą zaspanym śwadem świec, słodkawo-leniwym kadzidłem i litaniami łańskich szeptów. Za każdym razem w jednoosobowej procesji obchodziła powoli grobowce królów. Zakotwiczone w wapiennym wzgórzu piły czas wpuszczonymi głęboko korzeniami. Na kilka sekund zastygała z pochyloną głową u stóp czarnego krucyfiks królowej Jadwigi. Gdy wychodziła, wydawało się jej, że cienie królów idą tuż za nią, uważnie obserwują, zaglądają marmurowym wzrokiem w głąb czaszki, bo z jakiegoś powodu chcą wiedzieć, co zrobi z tajemnicą znikającego dnia i rozpędzonym żywiołem tkliwego życia. Na msze chodziła najczęściej do pozbawionego złoconych ozdób i ornamentów skromnego kościółka Kapucynów, do którego budowniczy przykleił mnisi klasztor i miniaturowy Domek

Loretański. W jego biało-szorstkim wnętrzu, ozdobionym jedynie brązowymi drewnianymi ołtarzami, lub w barokowym ciemnym brzuchu kościoła Świętych Apostołów Piotra i Pawła szukała w topieli organów swojego głosu, chociaż w kościele nigdy nie śpiewała. Krępowała ją obecność Boga. Za najlepszą formę modlitwy uważała taką, która rozbrzmiewa samotnie w wysiłku płuc, łomocie serca i szumie mózgu, bez wsparcia ust, wysiłku słów, bez odległego rytmu gotowych tekstów, a zwłaszcza niejasnego udziału nieznanomych współników.

Na uczelni w skupieniu obserwowała swoją panią profesor, szczególnie jej usta i język. Z trudem powstrzymywała się od dotknięcia brzucha tej pulchnej i radosnej kobiety, który – gdy demonstrowała, w jaki sposób w czasie śpiewu kontrolować oddech, pracować przeponą i płucami, gromadzić siłę i tlen, poruszał się pod wełnianą spódnicą jak foka pływająca tuż pod powierzchnią wody. Większości godzin spędzonych poza akademią było jej szczerze żal. Słyszała, że egzaltacja szkodzi wszelkiej sztuce, ale mimo to powtarzała sobie, że jest gotowa nocować w szkole nawet na podłodze, ukryta w uszytym przez babcię Matyldę śpiworze ze zgręplowanych starych swetrów i śliskiego sztucznego materiału. Wierzyła w sumienną pracę, poświęcenie, dyscyplinę i zwycięstwo dobrze zaplanowanej walki o wydobycie na światło dzienne i okiełznanie własnego głosu. Wygnieciona wersalka na stacji była więc świadkiem niechętnego układania się w ciemnościach, rozmyślenia o jutrzejszych wykładach i godzinach ćwiczeń, zajęczego czujnego snu i w końcu przedwczesnego zrywania się rankiem, kiedy niecierpliwe podniecenie, zgromadzone tuż pod skórą eksplodowało bezgłośnie i rozpraszało nieobecność snu.

Na jej pierwszej audycji pojawił się Józef. Spóźniony usiadł dyskretnie za plecami innych słuchaczy i zniknął przed końcem. Koleżanka, chichocząc z przyzwyczajenia i z trudem ukrywając w głosie zazdrość, opowiedziała Marii o zaobserwowanych praktykach Józefa. Jak się okazało, był nie od dzisiaj jej skrytym adoratorem. Miał regularnie przesiadywać na korytarzu, gdy brała lekcje lub ćwiczyła, i dyskretnie zniknął, by nie mogła go w tej roli zobaczyć.

– Popatrz, to ten wariat, no ten w szarym swetrze z koziej wełny – wskazała, rumieniąc się jednocześnie.

– Ach, ten? – westchnęła Maria. Nie potrafiłaby odpowiedzieć na pytanie, czy była rozczarowana.

– Tak, tak – dodała wolno, jakby starała się przypomnieć sobie, czy zna tego znikającego w korytarzowym tłoku chłopca, i energiczniej zakończyła: – Wiem, kto to jest. Nie poczuła żadnych emocji? To możliwe, bo już od pewnego czasu półświadomie, ale ze swobodą niosła majestat swojej młodości i w splendorze roztargnienia wstępowała na ołtarz, na który przynajmniej na chwilę trafiały wszystkie kobiety, by przyjmować uwielbienie i hołdy.

– Ten chłopak – poinformowała udającą obojętność koleżankę – jest wolny jak piastowski orzeł – nie jest w moim typie. Wolę wyższych, jaśniejszych, no i... Zatrzymała się na chwilę, chcąc dobrze wybrać trzecią cechę. Wreszcie zakończyła niepewnie: – ...bardziej zdecydowanych.

Im mocniej Maria skupiała się na śpiewie, tym intensywniej ludzie, rzeczy i uczucia oddalały się i mozolnie umierały. Im cierpliwiej Józef opłatał ją swoim istnieniem, tym bardziej rośło w niej przekonanie, że coraz pełniej przestaje dla niej istnieć. Jeśli można mówić o skutku zachowania Józefa, to był nim ledwie wyczuwalny zapach chłodu, przypominający współczucie. Chociaż mogło to być również skrępowanie przyprawione szczyptą obcej obawy. Po pewnym czasie nieistnienie Józefa zaczęło się w jej głowie materializować i doszła do wniosku, że mimo taktu wielbiela powinna wziąć je pod uwagę, to znaczy być bardziej ostrożna. Jednak z drugiej strony skoro on nie narzucał się jej nawet w najbardziej niewinny sposób, doprawdy trudno było zdecydować, co mogłaby zmienić w swoim postępowaniu, by zadośćuczynić postulatowi ostrożności. Z czasem to dziwne towarzystwo zaczęło się niespodziewanie rozpychać i pęcznić, wreszcie drażnić i zonglować odcieniami jej zranionego, coraz bardziej chwiejnego nastroju. Napastowały ją bezsensowne pytania. Co się stanie, jeśli on nie zrezygnuje, nie zniknie? I ukryte pod nim drugie pytanie: czy coś się stanie, jeśli on zniknie? I ostatnie: czy to możliwe, że jej życie może zostać naznaczone przez nieudacznika siedzącego za ścianą? Ona zmagła się z oporem chaosu i hałasu, on dłubie w tym czasie zapałką w zębach i coraz skuteczniej ją rozprasza. Usiłowała go przyłapać, dwukrotnie wyszła wcześniej z zajęć, ale po tych, nieudanych zresztą, próbach czuła się jeszcze bardziej nieswojo.

Po latach do znudzenia błagał, by opowiadała o pierwszym roku studiów, który przeżyła razem z nim nieobecny, raczej niewidzialnie obecnym, z dnia na dzień intensywniej wszechmocnie wszechobecnym. O jej obojętności, bierności, nieopanowanej bezradności. Zmuszał ją do rekonstruowania najdrobniejszych skrawków i odprysków krakowskiego studenckiego

koczowania. Początkowo nie lubiła tych rozmów, później przywykła, mimo że im dłużej odgrzebywała siebie jako obiekt starań i uwielbienia, z tym większym zdziwieniem odkrywała w sobie zazdrość o przeżycia Józefa z tamtego okresu. Zastanawiała się nad jego pokornie miłosną i cierpliwie wyrozumiałą grą, która mimo banalnego scenariusza sprawiała, że jej niezależność i wyniosłe królowanie wyglądało na pomyłkę i pustą pychę. Widziała coraz wyraźniej, że to zepchnięty na margines, rzekomo żaloszny wielbiciel żył tryumfalnie i zwycięsko, a jej kontrola nad czasem, ciałem i sensem okazała się naiwnym złudzeniem. Gdy dostrzegła wstydliwą ulgę, z jaką Józef odrzucał chude teraz i wcielał się w bohatera dawnych tryumfalnych klęsk, dopadł ją niewyraźny smutek. Czy dzisiaj mogła mu dać coś więcej nad tamten dar, który sam odnalazł – rozpaczliwą i wyglądającą na beznadziejną miłość? Wydawało się, że Józef w chwilach wspomnień kąpał się w czystej nieśmiertelności i szczęśliwej śmierci, unieważniając nieunikniony czas i nieogarniony porządek kosmosu.

Komponowanie spadło na niego nagle. Pod koniec pierwszego roku objawiło się w postaciach pieśni rozpisanych na głos, wiolonczelę, kontrabas i trąbkę.

Trudno orzec, kiedy zdążył je napisać, bo widywano go, jak snuje się o różnych porach po korytarzach uczelni, by kontrolować rozkład zajęć Marii. Kompozycje dopiero po ślubie opatrzył tytułami, ale teksty na zawsze pozostały anonimowe, podobno za przyczyną autorki, która pragnęła pozostać w cieniu. Józef zarzekał się, że sam, broń Boże, nie jest autorem wierszy, a generalnie za poezją nie przepada. Chętnie mu wierzono. Oszczędne białe wiersze były powściągliwymi erotykami o ponadczasowej stylistyce. Można było odnieść wrażenie, że ktoś zmusił wstępującą w życie zakochaną dziewczynę do krępujących wyznań, do zawstydzającej opowieści o ukochanym mężczyźnie, od którego oddzieliła ją na zawsze decyzja rodziny, wojna, choroba, śmierć lub coś jeszcze gorszego, niezrozumiały i tragiczny brak wzajemności. Przyczyna rozterek nie została przez autorkę jasno określona. Dramat zamykał się w dwóch na pozór chłodnych zwrotkach oraz w trzech wersach refrenu, w których stłumienie emocji powiodło się w jeszcze mniejszym stopniu. Na korytarzach i w gabinetach uczelni zaczęto rozprawiać o jego kompozycjach, niespodziewanym wybuchu talentu, nieoszlifowanym diamencie, wspaniałym zadatku na poczet przyszłej kariery. Ostrożnie plotkowano wśród studentów na temat dwóch wykładowczyń, które zabiegały, a podobno nawet błagały dziewiętnastolatka, by pozwolił im na prawykonanie pieśni.

Mniej więcej w tym czasie, pewnego wilgotnego popołudnia zatrzymał ją na korytarzu. Stało się to kilka chwil po gwałtownej burzy z rześzystym deszczem i piorunami ślizgającymi się z satysfakcją po nawilgłych dachach, która bez trudu zdarła z miasta pełną potu głuchą duchotę. Powietrze, ciężkie od wodnego pyłu, drżało od elektryczności i gwałtownego światła. Nad kopcem Kościuszki pastelowa tęcza złączyła czarną zielen z biało-niebieską śliską taflą nieba. Maria szła wolno korytarzem, rozmyślając o błędach popełnionych na zakończonych zajęciach.

Odezwiał się wprawdzie niewyraźnie, ale cała reszta Józefa Suchenia wyglądała solidnie i pewnie. Zastąpił jej drogę i otwarcie patrzył w oczy, ni to uśmiechając się, ni to krzywiąc z bólu. Nie zastanawiała się, w czym rzecz, czekała cierpliwie, splatając dłonie na piersiach i przechylając głowę. Wyłuszczył problem krótko, bez taktycznych wstępów i okrągłych zdań. Nie zawraca jej głowy w celach towarzyskich. Podeszedł do niej jako kompozytor do wokalistki, ponieważ ma propozycję artystyczną ważną dla niego, ale ma nadzieję, że również i dla niej. Stał w lekkim rozkroku, ręce wyciągnął przed siebie, jakby planował zatrzymać ją siłą, gdyby nie chciała go wysłuchać, albo zamierzał ni stąd, ni zowąd wziąć ją w ramiona. Gotów to zrobić, przemknęło jej przez głowę. I w tym samym ułamku sekundy zrozumiała, że nie ucieknie, że nie ma sił chować się przed tym przeciętnie wyglądającym, skrzywionym chłopcem, bo określenie mężczyzna jakoś do niego nie pasowało. O jego kompozycjach słyszała od zaskoczonego wykładowcy, który z niedowierzaniem kręcił głową.

– Tak, zgadzam się, zaśpiewam – odpowiedziała uprzejmym, nieco oficjalnym tonem. I po chwili ciszej, bo wiedziała, że w gruncie rzeczy prosi ją o rękę, powtórzyła z lekką chrypką, mówiąc raczej do siebie:

– Tak, zgadzam się.

Nad kompozycjami Józef zawsze pracował w sposób planowo szarpany i nieprzewidywalnie chaotyczny. Rozpraszał się i demobilizował nieregularnymi przerwami i ospałymi ucieczkami, które – jak twierdził – miały mu pomagać w koncentracji i skupieniu. Zdarzało się, że ból niemocy twórczej tłukł go zajadłe tylko do bólu, ale częściej plątał stopy i wiązał mózg pół roku. W rezultacie dorobek Józefa był skromny. Kilka kwartetów, rozbudowywane do granic możliwości oratorium *Sąd ostateczny*, w którym widoczne były aż nadto ślady intensywnej poszukiwań zwieńczonych rozmazanym rozwiązaniem. Od czasu do czasu dopisywał kolejną z rozwichrzonych miniatur na fortepian, które nigdy nie ułożyły się w spójną całość. Esencją jego pracy pozostawały pieśni. Przez trzydzieści lat powstało ich jeszcze czternaście. Coraz bardziej

skondensowane, skrócone, zgubiły jednocześnie część ukrytej energii, jakby gasły ze znużenia razem ze zwalniającym rytmem namiętności kompozytora. Natarczywy eliksir starości najpierw rozrzedzał ich krew, by potem leniwie zalegać w żyłach. Józef na w pół podświadomie starał się wzmocnić mdlejąco-mdławy smak późnych utworów za pomocą ostrych afrodyzjaków instrumentacji, ale snuła mu się po głowie złośliwa myśl, że to tylko fałszujący frazę parszywy szum, blichtr szlifu na sztucznym diamencie, groteskowa karnawałowa maskarada. Oskarżał się, ale i usprawiedliwiał, że zbudował dziurawe dekoracje, by nieskutecznie przysłonić bezwstydne mięso opowieści. Myślał czasami, że historia wyciszania i wygasania losu, zacierania linii miłości zasługuje jednak na obronę przed nachalnością krzyku i sama w sobie warta jest opowiedzenia. Inna uparta myśl przypominała, że sztuka polega na ustawianiu dekoracji, dobieraniu kostiumu, psychologicznej mimikrze i charakteryzacji prawdy, bo koniec końców jest konwencją, grą i dialogiem z konwencją, ucieczką przed nią, a ostatecznie sporem lub wojną z przeklętą konwencją. Wątpliwości pozostały, tak jak towarzysząca solistce orkiestra. Z ostrożności potężne brzmienie kilkudziesięciu instrumentów zamknął w takiej formie, że zdezorientowany słuchacz słyszał je jakby zza tłumiącej dźwięk kurtyny. Nie ulegało wątpliwości, że muzycy mogli, a chwilami również pragnęli połączyć się z solistką, wesprzeć ją i stworzyć potężny duet. Jej samotny, bezbronny głos również zdawał się czekać na wsparcie muzyków, a nawet pragnąć spotkania. Chwilami niemal zebrał o nie, błagał boleśnie o przyjęcie do współczującej harmonii i ocalającej wspólnoty. Wydawało się, że solistka nie może opanować pragnienia, by dotknąć ciał muzyków. Pragnie połączyć się z wysiłkiem ich płuc, precyzją palców, namiętnością ust, kojącą łagodnością śliny. Otrzeć o drewno jaworu, wiśni, lipy, ślizgać po rozpalonym błysku chromowanej stali każdego z instrumentów. Pragnienia i oczekiwania obu stron narastały do samego finału. Rozwiązanie jednak nie następowało. Spełnienie nie wyzwalało żywych i umarłych. Planety mijały się. Napięcie rozprasało się i po ostatnim akordzie powoli stygło i jeszcze przez wiele dni ciążyło jak popiół w ciałach słuchaczy.

Słowa pieśni Józef wyszukiwał w tekstach zanurzonych w przeszłości, związanych z konkretnym losem, najchętniej takim, którego koleina wiła się daleko od ważnych wydarzeń. Wypisywał je z czytanych namiętnie listów, dzienników, wspomnień, raz tylko posłużył się inskrypcją nagrobną. Krytyka chwaliła pieśni z kurtuazyjną uprzejmością, zawsze porównując kolejną

do budzących zgodny zachwyty szczęściu pierwszych. Owszem, wszystkie, jak twierdził jeden z nestorów krytyki muzycznej, nie miały sobie równych w polskiej muzyce drugiej połowy dwudziestego wieku, ale pierwsze pozostawały ozdobą całego polskiego dorobku w tym gatunku. *Sześć pierwszych pieśni*, bo tak krytyka je nazywała, a Józef milcząco zaakceptował, miały w swoim repertuarze niemal wszystkie najświetniejsze głosy, szczególnie solistki obdarzone dramatycznym mezzosopranem.

Głos Marii miał barwę trudną do określenia – mieniającą się odcieniami, zmysłową, prowokującą, a jednocześnie kojącą i zdolną wyrwać najbardziej skryte uczucia słuchacza, nawet te głęboko spychane w podświadomość. Jednak już w czasie studiów, z nieznanymi laryngologom i foniatom powodów, jej głos stopniowo się obniżał, a skala niezauważenie, ale nieubłaganie zawężała. Niskim rejestrem zaczęło brakować mocy i wytrzymałości. W rozrywce mogłaby zrobić świetną karierę, ale Maria nawet podczas występów w kuchni czy łazience ograniczała się do klasyki powstałej przed końcem dziewiętnastego wieku. Kiedy urodziła córkę, nic w jej stosunku do świata się nie zmieniło.

– Skoro nie mogę mieć więcej dzieci – powiedziała kiedyś Józefowi – to dam Hani wszystko, co w sobie wyszperam. A i sama nie uronię ani okruszyny z tego, co ona przyniesie ze sobą. Oczywiście zastanawiam się, co to będzie, myślę o różnych chwilach i szczegółach, ale ogólnie wiem, czego się spodziewać. Ale przecież nie o to chodzi. Czekam zwłaszcza na te rzeczy, które są tajemnicą. A to większość przyszłości. Bo spodziewaną niespodzianką będą wszystkie. Dla niej samej też to będzie odkrywanie. Przecież nie ma nic bardziej podniecającego niż czekanie na siebie. Liczę na wiele przeżyć w tym całym przedstawieniu. Zauważyłam, że matki, wiesz z braku czasu, natłoku zajęć i no... często zmęczenia, nie zauważają, zapominają. Czasami, nie wiedząc dlaczego, zapominają, że czerpią obficie z dziecięcych źródeł. Czasem otrzymują całkowicie nowe życie. Taka wymiana, rozumiesz, ja je rodzę, a dziecko w rewanżu daje mi, no może nie nowe, ale odnowione życie. No i biorą sobie kobiety pełnymi garściami, czasami zupełnie nieświadomie. Dlaczego tak się dzieje? Muszę uważać, żeby niczego nie przeoczyć. Będę bardzo ostrożna.

Józefa przestraszyła ta deklaracja. Da wszystko dziecku? Czuł przeraźliwie jasno, że zagraża mu największe niebezpieczeństwo od czasu, gdy mógł przegrać z żarnami przeznaczenia i utracić Marię. Strach stłamsił go i dziecinna zazdrość wypłynęła na powierzchnię jak mazut z tankowca. Z wysiłkiem dusił w sobie narastający niepokój. Paniczne myśli o proteście i oporze udało mu

się ukryć tylko przez pierwsze trzy miesiące ciąży, zaś gdy Hania przyszła na świat, jego dusza przypominała już północną Afrykę w czasie arabskiej wiosny. Nierozumna, nieposkromiona zazdrość już od pierwszych dni wspólnego życia oddalała go od córki, a raczej nie pozwalała mu się zbliżyć i z czasem doprowadziła do powstania niebezpiecznie grząskiego dystansu, którego pokonanie wydawało się niemożliwe.

Rok po porodzie Maria zaczęła chorować na nawracające zapalenie zatok.

– Widzisz – żartowała z nieswoim, a może tylko nieobecny uśmiechem na ustach – po prostu ani pływać, ani śpiewać zawodowo nie mogę. I to nie ja wybrałam. Nie ja zrezygnowałam. Ktoś to zrobił za mnie, widzisz to, prawda? I rozumiesz?

I dodała jeszcze jedno pytanie:

– Nie będziesz się gniewał? Józef, tak, powiedz?

Milczał i nie wybaczał.

Hania skończyła czternaście lat, zaczęła miesiączkować i ich wspólne z matką oddanie, lękliwa tęsknota za drugą, gdy tylko na chwilę zniknęła z oczu, niepowstrzymane wybuchy czułości, opowiadane szeptem tajemnicze oprószyła szamocząca się cisza. Maria wiedziała, że już nie przesłania córce świata, więc odsunęła się, ale tylko po to, by móc w każdej chwili niezauważenie się zbliżyć, by instynktowne przywiązanie uzupełnić o niezastąpioną przyjaźń. Pragnęła uchronić córkę przed niebezpieczeństwem odnalezienia w ciele kobiety dystansu, obcości i wstydu, które zawsze grożą tym samym: samotnością. W kobiecie, którą się stawiała Hania, chęć zdobycia świata, choćby jego małego kawałka, powodowała skrępowanie i sztuczną agresję. Dziewczyna ogarnięta niecierpliwym pragnieniem przeżycia wszystkich wersji swojej biografii w ciągu następnego dnia bezwiednie uległa myśli, że wolność i intensywnie przeżywane uczestnictwo w stworzeniu świata rozpocznie się w pełni, gdy zerwie więzy z matynim czuwająco-więziennym ciepłem.

Dzięki naturalnym turbulencjom w życiu córki Maria znalazła czas, by uczęszczać na próby chóru parafialnego, prowadzonego przez dyrygentkę pasjonatkę ze wsparciem zaradnego proboszcza. Pasjonatka była ambitna, proboszcz miał sporo kontaktów, zaczęły się więc wyjazdy na festiwale, udział w religijnych uroczystościach. Koncerty odbywały się najczęściej w kościołach, ale amatorska publiczność z prowincjonalnych na ogół parafii mobilizowała i cieszyła Marię bardziej niż przychylny werdykt jury festiwalu. Józef, tak jak nie zaakceptował rezygnacji Marii ze śpiewania, tak z równą determinacją

nie zgadzał się na powrót do niego. Dwie godziny zabrane z ich wspólnego życia wydawały się powodować wyrwę nie do załatania. Zazdrosny był nie tyle o mężczyzn, co o czas i wszechświat kradnący mu sens ukryty w zapachu Marii. Twierdził z sarkazmem śledziennika, że gnije w samotności porzucony na śmietniku.

Leżał, milcząc, na kanapie w salonie i starał się wyglądać na nieużywany, okurzony łach, usta wykrzywiała mu niezawiniona krzywda i tak długo i nieudolnie upychał po kątach swą uciemieżoną niedolę, aż zmusił Marię do rezygnacji z chóru. Nie była potulna, ale bunt nie był jej żywiołem, więc poddała się. W jej życie wkradły się roztargnione pauzy, jak zdania bez oddechu, chwile łopotu serca, zawieszenia w rozrzedzonym powietrzu. Gdy pytał, co z tobą, odpowiadała zawsze z takim samym marmurowym uśmiechem i dotykała uspokajająco jego dłoni.

– Nic. To nic, ja tylko przestałam istnieć.

Albo:

– Podróżowałam do matki.

Maria niekiedy pojawiała się na publikowanych od czasu do czasu zdjęciach, które ilustrowały wywiady z Józefem. Pełniła rolę dopełnienia portretu artysty, czasami żywego tła. Zazwyczaj fotograf obejmował kadrem Marię, w skupieniu słuchającą wywodów męża. Jej obecność i spojrzenie jak aureola wypełniały przestrzeń wokół jego tysiącej głowy. Jako że dziwnym trafem Józefem interesowały się głównie pisma kobiece, dziennikarki, które przeprowadzały wywiady, na zakończenie rozmawiały również z Marią. W żelaznym zestawie pytań pojawiały się te dotyczące ich małżeństwa. Z niewiadomych powodów szczególnie frapujący był wątek skoków w bok Józefa. Za oczywiste uważano, że – jak wszyscy mężczyźni, wierność zostawia kobietom. Właściwie pytania sprowadzały do stawianej dość obcesowo kwestii: czy ona wie i jak reaguje na pozaartystyczną wolność męża. Maria zbywała dziewczyny, sugerując niedbale, że oboje mają zbyt wiele wspólnych sekretów, wiedzą wzajemnie o tak licznych słabostkach, świństewkach, blamażach i pamiętają tak wiele szczęśliwych uniesień, że wydaje się jej śmiesznie niemożliwe, by jakkolwiek inna kobieta mogła być czymś więcej niż bezmiennym ciałem jednorazowego użytku. Dziennikarki traktowały tę odpowiedź jako najdyskretniejszą z możliwych form przyznania, że jak przystało na żonę artysty, toleruje zmienno-stały wianuszek kochanek męża. Maria zaś wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że Józef, nawet gdyby marzył, planował i na koniec próbował

wykonać skok, do zdrady nie był zdolny. Beze mnie jest stuprocentowym impotentem – powtarzała obojętnie. Uśmiechała się pobłaźliwie na myśl o konspiracyjnym Józefie, rozpaczliwie usiłującym ją zdradzić. Wyobrażała sobie, jak zaplątany w kalesony skacze na jednej nodze przy zdejmowaniu odpornej skarpetki, potyka się i zwalając na podłogę, boleśnie tłucze łokcie i woła odruchowo, by przysłała mu na pomoc.

Niedługo po wykonaniu w Katowicach trzech nowo napisanych *Pieśni* trafiła do nich dziennikarka przypominająca lamparcicę wciągającą bez wysiłku na drzewa znacznie większe od siebie ofiary. Jej pasją był kryzys męskości. Właśnie opublikowała wywiad z autorką książki *Zabić twardego*. Cytowała statystyki zebrane przez amerykańską autorkę dzieła *The End of Men. And the Rise of Woman*.

– Wśród piętnastu zawodów przyszłości tylko dwa nie są zdominowane przez kobiety. Mężczyźni zachowali miazdzącą przewagę jedynie wśród ofiar przestępstw, zabójców i pijanych kierowców. Wśród samobójców jest ich osiemdziesiąt procent, stanowią dziewięćdziesiąt cztery procent ofiar wypadków w pracy.

Przytoczona statystyka wyraźnie napawała ją optymizmem.

– Wie pani – przerwała jej zamyślnym głosem Maria – mam tylko dwa zmartwienia. Po pierwsze córka pracuje, właściwie mieszka już na stałe w Norwegii, a telefon nie zaspokaja moich potrzeb, że się tak wyrażę, uczuciowych. Chciałabym, żeby była choć trochę bliżej mnie. Drugie dokuczają chyba jeszcze bardziej – wiem, jak Hania bardzo chce mieć rodzinę, dzieci, a tu chłopca nie ma. Co tu dużo mówić, ja sama marzę o wnuku. Pewnie to trochę marzenie o cofnięciu czasu. – Maria badawczo spojrzała na dziennikarkę i szybko dodała: – Och, nie to chciałam powiedzieć, myślę o wnuczce, wnuku, wszystko mi jedno. Dziecięcy pokój w sercu mam znowu pusty, niecierpliwie czekam, aż ktoś się wprowadzi. A tu tymczasem mężczyźni ani na lekarstwo, same zblazowane półbawy, za przeproszeniem. Ich marzeniem jest za nic nie odpowiadać, nie ponosić ryzyka, przelewać z pustego w próżne. Wszystko jedno, czy pustką jest wypasiona fura, iluzja władzy, prochy, alkohol, popularność, czy niezobowiązujący seks.

Maria już chciała się zegnać, gdy okazało się, że cętkowana zabójczyni z miesięcznika „Lustro” przysłała w zupełnie innej sprawie. Posiadała informacje, że wydawca, który przygotowuje publikacje utworów Józefa Suchenia, robi to na podstawie rękopisów wykonanych ręką Marii. Chciała wyjaśnić, czy jest kopistką, czy...? Do Marii dotarły już kiedyś echa dziwnych plotek, aluzji, że to ona jest prawdziwą autorką kompozycji podpisywanych przez Józefa.

Plotki nasiliły się, gdyż podczas wywiadów Józef mówił niewiele. Ostatnio taktownie wyręczała go Maria. Zaczynała każde zdanie od: „pamiętasz, jak mówiłeś...”, „przecież wiadomo, jak ważne są dla Józefa, dla mojego męża...”, „Józef zawsze uważał, że...”. Maria prosto i mądrze mówiła o utworach męża, ona też zawsze autoryzowała materiał przed drukiem. Jakiś specjalista od prawa autorskiego analizował przypadek fałszywego autora właśnie w czasopiśmie, które wspominało na innych stronach o małżeństwie Sucheniów. Pewien hałaśliwy młody prawnik stwierdził, że proces o odebranie praw fałszywemu autorowi jest zawsze delikatny i kłopotliwy, ale że z najwyższą przyjemnością podejmie się prowadzenia takiej sprawy.

Wywiady zdarzały się w okresie, kiedy *Pieśni* robiły powolną, najpierw festiwalową, potem płytową, karierę, ograniczoną co prawda do wąskiej branży muzyki współczesnej. Optymiści twierdzili, że sława Józefa wyszła poza krąg profesjonalistów i miłośników muzyki poważnej, ale prawdopodobnie była to przesada. Dyskretny rozgłos nie trwał zresztą zbyt długo.

Po premierze płyty z *Pieśniami*, wydanej przez jedną z prestiżowych brytyjskich wytwórni, zaproszono Józefa na festiwal w Edynburgu i jeszcze raz gdzieś na południe Francji, ale Józef, który był milczkiem i mówił słabo po angielsku, nie nawiązał żadnych bliższych znajomości i tym samym nie wszedł na stałe do kalendarza sówicie sponsorowanych imprez. Deprymujący kontrast milczącego, przygarbionego, zgasłego przedwcześnie mężczyzny ze wspaniałością pieśni przekreślił jego karierę jako festiwalowego bywalca. Utarła się opinia, że jest nieciekawym nudziarzem, ma trudny charakter i zapraszać go nie warto. Te opinie zaowocowały pogłoskami, że kompozytor publikuje z opóźnieniem naszkicowane za młodu pieśni, jedzie na jałowym biegu, jest twórczo wyczerpany, więc nie ma sensu zamawiać u niego nowych okolicznościowych kompozycji. Józef i Maria bez zbędnej celebracji i hysterii zaczęli biedować. Z córką zbyt rzadko się widywali, żeby mogła się zorientować w ich sytuacji.

Na początku dwudziestego pierwszego wieku miał miejsce mały wyłom w outsiderskiej karierze Józefa. Macierzysta uczelnia, za namową osoby odpowiedzialnej za reklamę i marketing, wydobyła go z mieszkania w niemal pozbawionej tynku willi, zarośniętej gęstwiną zdziczałego bzu, tawułami i oplątanej winobluszczem, i zaprosiła do poprowadzenia monograficznego wykładu. Zaproponowano obszerny i niezobowiązujący temat *Pieśni w muzyce polskiej XX wieku*, ale nie upierano się i przy tym miękkim ograniczeniu.

– Proszę mówić, o czym pan chce – rektor patrzył na Józefa z rosnącym przekonaniem, że popełnia błąd, składając tę propozycję – ale sam pan rozumie, że w ogłoszeniu musimy podać temat. No i w umowie temat być musi, w przeciwnym razie księgowy nie podpisze i nie wypłaci, wie pan, przepisy, kontrole. Kłopoty zawsze czekają w pogotowiu.

Rektor czuł się skrępowany koniecznością tłumaczenia oczywistych rzeczy. Drażniło go milczenie Józefa.

Pod paznokciami Józefa nocowały czarne obwódki. Mruczał coś niewyraźnie pod nosem i wreszcie sięgnął po długopis rektora i podpisał umowę. Na inauguracyjnym wykładzie sala była niemal pełna. *Pieśni* wznawiane co jakiś czas przez światową wytwórnę i przesadzone pogłoski o komercyjnym sukcesie zrobiły swoje. Nie jest to sukces, który można porównywać do *III Symfonii* Góreckiego, komentowano, ale hasło „tysiące dolarów honorariów” przyciągnęło studentów i kilku młodszych pracowników naukowych.

Józef mówił monotonna, bez wyraźnych znaków przestankowych. Zagubiony beznadziejnie w wywodzie podmiot nie mógł znaleźć orzeczenia. Słuchacze mieli nadzieję, że rozkręci się, rozgrzeje zwoje mózgowie i będzie chciał błysnąć, za wszelką cenę zaimponować młodziakom. Zagrać rolę obdarzonego talentem dziwaka, zapomnianego samotnika, który wziął rozbrat z narwanym harmidrem świata i zagrzebany w swojej samotni gardzi pełnym obłudy targowiskiem próżności. Może jest trochę śmieszny, ale intrygująco oryginalny. W pierwszym rzędzie siedziały dziewczęta z wokalistyki. Wykład był nadzwyczajnym powodem do prezentacji dyskretnych dekoltów, czarnych szpilek i cynobrowych warg, które, to było widoczne nawet z pewnej odległości, miały w sobie moc uzdrawiania. Józef zanim zaświecił, zgasł. Swoim nieobecny, melancholijny głosem wzmocnił poziom ciszy na tyle, że słyhać było miarowy ryk pracującej klimatyzacji. Jemu samemu wydawało się przez parę minut, że walczy i nie polegnie, ale tylko wikłał się w niekończące dygresje. Zdania wędły podczas poszukiwania puenty, słowa rozsypywały się, odwracały od umykającego sensu. Gdy sala zaczęła pustoszeć, próbował opowiedzieć jakąś anegdotę, ale ten desperacki ruch pogrążył go zupełnie. Na następny wykład nie przyszedł. Maria usprawiedliwiła go telefonicznie ciężką gripą, którą musi odleżeć, bo w jego stanie zdrowia powikłania zabijają bez trudu. Uczelnia odwołała następne wykłady, umowa wygasła, a w nowym semestrze już nie wrócono do propozycji.

Był koniec grudnia, niewierny wieczór. Marii mimo to wydawało się, że oplątuje ją upał śródleśnej łąki, a powietrze gęstnieje od natłoku zapachów. Pośpieszny puls drzew zagłuszał szum zbierających spadź pszczoł. Pod kołdrą traw i żółknących ziół czuć było drżenie rozgrzanej gliny przetykanej niemal czarnymi rodzajkami kamieni. Maria czuła, jak brzuch ziemi i kanciaste kamienie oddają słodkie ciepło jej plecom, jak uzdrawiająca energia słońca przenika jej czaszkę i pośladki, nasycza dłonie delikatnym spokojem. Krok dalej, pod sklepieniem świerków, rozłożył się głęboki, gęsty jak miód mrok ciszy, aromat żywicy i jeszcze mocniejszy od niego grzybowo-orzechowy zapach ściółki. Dlaczego wrócił do niej strzelisty śpiew Beskidu? Wczoraj wrócili z Józefem niedogrzanym pociągiem z sanatorium w Łądku Zdroju i gorycz grudniowego dnia krzepła w niej szybko jak gips. Stała przy kuchence i odgrzewała gulasz z obiadu, odruchowo mieszając, by się nie przypalił. Józef przerwał krojenie chleba i zaczął wybijać nożem rytm, uderzając w porysowany blat sosnowego stołu. Podśpiewywał. Z niedbale nuconych fraz wyłaniał się coraz wyraźniej temat. Wtedy zaczął go troskliwie rozwijać i ostrożnie improwizować. Jego muzyczna pamięć pozwalała mu na powroty i powtarzanie improwizacji, każdej zaśpiewanej wcześniej nuty. Maria wyłączyła gaz i słuchała uważnie. Za którymś obrotem melodii włączyła się cicho. Nie zaczęli jeść. Maria wyczuwała, że rośnie w nich swobodny i oczekiwany rytm, kołysze się w zapomnieniu posuwisty taniec. Józef wyglądał krążący motyw, z którego przenikały do zimowej kuchni gorączka wyzwolonego lata, zapachy dojrzewania i zgiełk zbiorów. Ich ciała czuły mleczną opiekę słońca. Maria wyjęła z szuflady papier nutowy i okrawkiem ołówka zaczęła notować, raz po raz wykrzykując:

– Wiolonczele, bęben, puzony, teraz wszystkie smyczki, tak, tak, tak! – On, nie przerywając śpiewu, podszedł i przytulił się do jej pleców. Dotknął jej piersi. Maria wygięła się i oparła o niego głowę. Zamknęła oczy. Powiedziała coś cicho? Czy na pewno wymówiła garść słów, czy je usłyszała? Może przeczuwała tylko ich sens, ale nie umiała ich zamknąć w skórze zgłosek. Może wcale nie potrzebowała lub nie chciała ich wymawiać, więzić, skazywać na przebrzmiałą śmierć. Nie chciała nawet wiedzieć, czy istnieją. Pragnęła, żeby Józef zrozumiał, ale tłumaczem winien być wolny obrót muzyki i bezdomna tułaczka instrumentów. Pisała pilnie na długich liniach nutowego papieru.

Józef patrzył na Marię. Była piękna i kusząca, znużona i niedostępna, dziewiczko młodzieńca i przedśmiertnie drżąca.

– Orkiestra już ruszyła. Jest spóźniona, ale nie martw się, Józiu, dopędzą cię, zdążą na czas. Zabrzmią potężnie. Czule jak najkrótsza noc w roku, jak

niemożliwa miłość. Weź mnie, kochany. Widzisz mnie po raz ostatni. Nie znasz mnie ani nut, a ja odchodzę z niespełnieniem i nienawiścią w oczach. Oboje jesteśmy głusi. Ty ruszasz po omacku donikąd. Ja jestem niewidzialna, mniejsza niż cisza, z której nawet śmierć nie wydobędzie dźwięku.

Następnego dnia wieczorem wręczyła mu nuty i ujęła jego twarz w dłonie, jakby chciała tchnąć weń nowe życie. Ślęczał do rana nad zapisem Marii. Gdy usłyszał jej krzątanie w kuchni, stukot kropel wody o zlew, westchnienie przy odkręcaniu ekspresu do kawy, zawołał cicho:

– Mario!

W nocy sownie sypał śnieg, ale o świcie ucichł. Ponocna szarość dogorywała. Zmrożone ostre światło rozpryskiwało się na powierzchni bieli i oblepiało wszystko, co wywłócił z ciemności skąpy dzień. Józef poczuł się pewniej i drżącymi rękami zebrał z biurka rozrzucone papiery. Powtórzył głośniejszym głosem:

– Mario, pozwól. Spójrz, jak to teraz wygląda!

Odpowiedział mu tylko brzęk filiżanek i stuk zepsutego zatrzasku kuchennej szafki, więc po chwili wstał z krzesła i zawołał:

– Albo czekaj, Maryjko, już idę do ciebie.

TOMASZ HRYNACZ

Bielmo

A woda się wścieka
i przecieka.

Z kim w zмовie?
I dlaczego przeciw?

Warstwa nieba.
Warstwa dachu.
Warstwa po warstwie.

Jak pył.
Jak popiół czyścica.

Oddzieleni miastami, piętrami, snami

Nie chcę ale dostaję:
historię bez twarzy
fabuły wątków.

Bez zapachu
ciała ciebie. Historię
o podróży ogniu i zagładzie.

Samo śnienie a
pośród śnienia szloch
i łzy. Robię krok

ale jestem w tyle.
Noc w pełni. Nasze
sny wciąż są przed nami.

Po imieniu

Nie trzeba się bać. W tle noc
bezszelestnie zapada w dzień a dzień nie ma
słońca nie ma nieba
chmur.

Dzień śni.
Obrasta w rany.
Dzień na trwałe jest cieniem.

Odejdziemy w niesławie.
Odejdziemy jak złe duchy.

W czasie gdy ktoś zajmie się
tobą na dobre.

O czym tu?

Idzie i patrzy.
Długo? Jak się da.
Znika droga ale pozostaje ślad.

Nie dziw się że tam dokąd się wybrał
nikt na niego nie czeka.

Gdziekolwiek przystanie
będzie myślami
przy tobie

będzie śnił półprzytomnie
będzie śnił drżąc.

MARCIN SAS

Doprowadzić do nieporządku

Doprowadziłem się do nowego stanu wiary we wszystko, co inni
iskali z języków jako zaprzeczenie wymyśliłem duże obłę stworzenia
wychodzące z brudnych okolic pościeli, drzwi, i z okien

Dobiegał stukot kroków, a ja uprawiając złe myśli podobne do choroby krwi
doprowadzałem wyobrażenia do końca, do korka ulicznego, ale kroki
wyprzedzające kroczące stworzenia, małe potwory z dwiema głowami

Odprowadzałem na przystanek, żegnałem, teraz zobacz jak kłamiwe
są myśli, powtarzam sobie, gdy zauważyłem swoje łóżko
w stanie niepewności – czy nie jest to ławka z dworca centralnego?

Wolna rozmowa o związanym języku

Nie zbieram na wakacje, bo szastam, szeleszczę językiem,
i wciąż mi mało. Pijemy drogi alkohol, i mówisz: nie gram na gitarze,
wolę przemoc – Ogłaszasz również sprzeciw – będąc po bezpiecznej stronie
zrywasz bezpieczniki, ja zrywam z przeszłością, łazimy ulicami
Kraków – Warszawa, Warszawa – Kraków, pamiętasz? powtarzam
po raz drugi: i wtedy byliśmy szczęśliwi
jeśli w ogóle byliśmy – bo z przeszłością już nie ma bezpiecznego kontaktu.
Krzyczę, nie gram z czasem w karty na pieniądze, neguję cichy sprzeciw –
i tylko tak wyrażam wszystkie bójkę z moim udziałem.

Kaptur na głowie

W zasadzie lepiej nie widzieć dokąd nogi idą, na przykład tam wisi przerwana policyjna taśma i krzaki dość ciemno rosną, podobnie do ciszy albo zmywy milczenia. Minąć to nic, pomyśleć dokąd teraz. Niezależnie od potrzeb, wbrew umiejętnościom

przystosowawczym, przysposabiam obronę, brudne buty umyję w kolejnym mieszkaniu. A tu pająk wisi na żelaznej siatce, stworzenia, które wyszło, siódmego dnia zawsze było nudno, nawet niebo osunęło się na ziemię (ta stalowa, dziurawa pokrywa...)

Dalej już niezależne, złe sceny z podwarszawskich spacerów, stary jak śmierć motyw, i motyw powrotu – ławka w błocie, trochę brudne spodnie, nuda w udawane wakacje, wracam do domu, złe sceny odtwarzam, przypominam sobie, że coś się kończy kiedy zaczynam pisać wiersz.

Czerwiec ścina się z ciałem

Źle! Bo duszno! Wychodzę, bo mnie nie chcą, źle się myśli, wychodzę wyrzucają, mówią o rzeczach, żebym zabrał, ale ja tu nic nie mam odpowiadam, w tym samym czasie umarła sąsiadka która uczyła mnie biologii, myślę że na tym polega człowiek natura i czerwiec, ścieka z czoła z pleców, źle nazywam, źle bo duszno, – nie ma nazwy to że pomiędzy tym wszystkim znajduję ciebie i zaczynam się dziwić, zaprzeczać.

Czarne noce z białą bronią zawieszoną w tle

Po pierwsze: przeciąć cytrynę, wycisnąć esencję, pić po chwili doczołgać się do kiosku, z lokalnej gazety wyciąć nagłówki, informacje o napastnikach z nożami, którzy nie mieli zamiaru mówić. Milczę – ze śmiertelną miną, poważnie już

bawiąc się w innego rodzaju lenistwo. Po drugie: tak wygląda miejsce do snu – miejsce naciągniętych mięśni rytmicznych skurczy, które zginają w sposób odosobniony. Reszta sama się komentuje, lecz nerwowość i klucie z lewej strony. Po trzecie: naprawdę mogę użyć wykrzyknika

przy każdym napotkanym zdaniu o złej wymowie – by zwrócono mi uwagę, na moment odwrócono głowę. Z odwagą cios od tyłu, pamiętam, bo najbliżej serca przez plecy. Ostatnio: jednak muszę odwrócić uwagę, żeby dali zapalić i ziarnem kawy przegryźć gryzący dym. Już nawet nie słyszę głosów, wyobrażam sobie, w błędzie

zrzutu słów
coś sobie nucę
coś sobie krwawię



Cmentarz Montparnasse w Paryżu, wrzesień 2015 roku.

Pułapka Becketta (4)

– o autorze *Końcówki*, jego biografii i biografiach książkowych, kryzysach i triumfach, agnostycyzmie i protestantyzmie w perspektywie personalnej i w kontekście *sacrum* rozmawiają Marek Kędzierski i Krzysztof Myszkowski

Krzysztof Myszkowski: Przerwaliśmy tę rozmowę dawno temu, ale przecież ją prowadzimy, powstają kolejne tematyczne bloki w „Kwartalniku”, ciągle do niego wracamy. Wydaje się, że nie tak dawno obchodziliśmy setną rocznicę jego urodzin (patrz: „Kwartalnik” nr 51–52), a w przyszłym roku minie już sto dziesiąta. Ileż to lat z nim jesteśmy! Zdziwiał mnie i zastanawia ten fenomen. Chyba tylko z Miłozsem mam tak długi i intensywny, to znaczy ciągle na mnie wpływający, kontakt. A to w życiu i w literaturze jest rzadkie, bardzo rzadkie. Tyle było zachwyty, tyle wpływów, fascynacji. A oni zostali, trwają, są. Chcę, żebyśmy coś więcej o tym powiedzieli. Na czym to polega, że dla ciebie i dla mnie Beckett po dziesięcioleciach ciągle jest aktualny, żywy, bliski? – tak człowiek, jak i dzieło. I co jest w tym przenikaniu, bo jednak przenikaniu, najważniejsze i czy to, co jest najważniejsze, zmieniało się przez te lata, czy właściwie dotyczy ciągle tego samego?

Marek Kędzierski: Do pytania, czego szukamy u Becketta i w Beckettzie, dołączyć można pytanie, którego i jakiego Becketta każdy z nas szuka. Lub inne, odnoszące się do obu wymienionych: jakiego i którego Becketta w sobie – lub poza sobą – rzecz jasna, znajduje. A potem nosi w sobie. Moran, narrator powieści *Molloy*, któremu jakaś wyższa instancja nakazała odnaleźć Molloya, już na progu swej trudnej, czy wręcz niemożliwej, misji dzieli włos na czworo. Po krótkim zastanowieniu stwierdza, że było ich trzech – i natychmiast poprawia: czterech. Czterech Molloyów. Pierwszy to Molloy, którego Moran nosi w sobie, drugi – karykatura tegoż, trzeci – Molloy Gabera, posłańca, który

Poprzednie odcinki *Pułapki Becketta* ukazały się w numerach 3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53) i 4/2010 (68).

od tajemniczego Youdiego przyniósł Moranowi polecenie odnalezienia Molloya, zaś czwarty to Molloy „z krwi i kości”, czekający gdzieś na Morana. Po tym wyliczeniu narrator dla porządku dodaje jeszcze piątego: Molloya Youdiego i stwierdza, że z łatwością mógłby wymienić dalszych, ale lepiej poprzestać na tym wyliczeniu, bo tych pięciu to już jest silna drużyna.

Twój Beckett różni się zapewne od mojego. Każdy z nas nosi w sobie własnego. Ale Beckett, którego ja w sobie noszę dziś, to inna postać niż ta, którą znajdowałem dziesięć lat temu. A ta z 2006 roku znacznie się różni od tej, której szukałem w roku 1996, nie mówiąc już o 1986, albo pięć lat wcześniej – kiedy ten, który stał przede mną na Bulwarze St. Jacques, już w pierwszej rozmowie zaprzeczył wielu moim insynuacjom czy, łagodniej mówiąc, fantazjom na jego temat.

Powiedziałbym też, że czytając to, co pisze się obecnie na temat Becketta, a także obserwując, w jakim kontekście pojawia się jego nazwisko, wydaje mi się, że dzisiejsza epoka widzi i czyta go inaczej niż poprzednie.

K.M.: To jasne, że każdy ma takiego Becketta, na jakiego go stać i na jakiego zasługuje. Skonfrontujmy więc tych dwóch, którzy są w nas, chociaż pewnie będzie ich więcej, może to komuś w czymś pomoże, do czegoś się przyda. A potem rozejrzemy się, jak Becketta widzą inni, czego od niego chcą, czego oczekują. Opowiedz o tych metamorfozach, które, jak mówisz, na przestrzeni lat zachodziły w tobie. Czym różni się twój Beckett z roku 1986, a może wcześniejszy, od tego z lat 1996, 2006, 2015? Czy były to zmiany przełomowe, czy raczej spokojna ewolucja, jakaś długa, skomplikowana przemiana czy przemiana, która dokonała się w jednej chwili, w błysku? A może był to jakiś dłuższy proces myślowy, duchowy?

M.K.: Mój pierwszy był jeszcze w 1976 roku, pomyśleć: to już niemal czterdzieści lat! Beckett, którego odkryłem w BUW-ie, Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego. Nieoczekiwanie znalazłem tam prawie wszystko, co autor napisał w oryginale lub sam przełożył. Oczywiście znałem tom dramatów wydany w PIW-ie trzy lata wcześniej, z doskonałym esejem Jana Błońskiego. Ale lektura prozy otworzyła przede mną nowy, niespotykany, zupełnie inny świat. Tak, *Wyludniacz*, owszem, i proza lat sześćdziesiątych, wspaniałe teksty, enigmatyczne, zagadkowe, broniące wstępu, frustrujące przedwczesne uogólnienia czytającego. Przede wszystkim jednak trylogia z końca lat czterdziestych. Na początek *Molloy* i *Malone umiera*. Sarkazm, totalna dezynwoltura, anarchia,

arogancja, impertynencja. Potoczność stylu, a jednocześnie, kiedy to się czyta, nie można nie zauważyć wielkiej erudycji. Choć żaden z Becketta poeta *doctus*. Cała ta masa odniesień, fundamentalnych cytatów, niekiedy dziwacznych, wielkich nazwisk – niektóre zresztą nie padają – to była dla mnie totalna nowoczesność. Egzystencjalizm, ale bez egzystencjalnego patosu. Wręcz przeciwnie – egzystencjalny tumiwizm. Egzystencjalna *novela picaresca* [powieść łotrzykowska]. Smak wolności i oderwania się od panującego idiomu. Tak nikt nie pisał! Tłumaczyłem sobie, i innym, że ktoś o takiej erudycji i taki mistrz stylu prędzej czy później zakochuje się w sobie i przechodzi na stronę namaszczenia. Beckett to było dla mnie nagłe wielkie doświadczenie, doświadczenie „życiowe”, choć w punkcie wyjścia jego teksty chciałem zaledwie „skonsumować” – „krytycznie”, czy wręcz „naukowo”, włączając je do mojej pracy doktorskiej. Żerowałem na nim. *Mea culpa*.

Dziesięć lat później kończyłem czterystustronicową monografię jego twórczości, ale sytuacja była zupełnie inna. W latach osiemdziesiątych zabrałem się do praktycznej pracy w teatrze, a także zacząłem przekładać teksty Becketta. W całości lub choćby we fragmentach, które potrzebne mi były do cytatów w monografii, na przykład słynny szósty rozdział powieści *Murphy*, parodia filozofii, z grubsza biorąc, kartezjańskiej. To zdecydowanie zmieniło perspektywę. Komentator nie jest odpowiedzialny za to, co mówi, to znaczy nie można go pociągnąć do odpowiedzialności, tak jak tłumacza, wykazać mu błąd. Ale zasadnicza zmiana polegała jednak na tym, że „mój” Beckett lat osiemdziesiątych istniał dla mnie fizycznie, był człowiekiem, którego słuchałem *live*, któremu podawałem dłoń – od pierwszego spotkania w osiemdziesiątym roku do jego osiemdziesiątych urodzin widywaliśmy się w miarę regularnie. W ostatnich trzech latach życia miał już mniej energii, często chorował, był nieobecny.

W 1996 roku perspektywa ponownie się zmieniła. Beckett nie żył od lat siedmiu. Nie opuściły mnie zapędy do wyjaśniania jego tekstów w perspektywie „literaturoznawczej”, ale coraz bardziej wciągała mnie sama „materia” jego utworów, zacząłem wgryzać się w tkankę słów z bardzo bliskiego oddalenia. Z jednej strony przekładając teksty Becketta – były wśród nich dwa kamienie milowe: *Watt* oraz *Malone umiera*. *Watt* to ostatnia powieść napisana po angielsku, wypełniona niemożliwymi do wytrzymania powtórzeniami i kombinacjami arytmetyczno-leksykalnymi, *Malone umiera* – część tak zwanej trylogii francuskiej, porywająca zupełnie innymi rytmami i dojrzałością

konstrukcji. Z drugiej strony wgrzyzając się w materię teatralną, konfrontując rzeczywistość sceny ze swoimi wcześniejszymi wyobrażeniami o inscenizacji. Była to pierwsza lekcja, próba sprawdzenia w praktyce, dlaczego teksty tego autora tak bardzo domagają się usceniczenia, a jednocześnie wiążą ręce inscenizatorom. Z aktorami Starego Teatru przygotowałem małą serię inscenizacji, rozpoczętą *Wattem* na scenie. Wiązało się to, oczywiście, z zagadnieniem adaptacji. Oprócz *Watta* po polsku, adaptowałem prozę Becketta dla radia, po niemiecku, najpierw biorąc się za *Towarzystwo*, jeszcze za życia autora, z jego pomocą.

Natomiast rok 2006 to zupełnie inna epoka. Przez poprzedzające go dziesięciolecie „tubą” Becketta w Polsce stał się „Kwartalnik Artystyczny”. To dziesięciolecie było też okresem festiwalu. Maczałem palce w przygotowaniu całej ich serii, najczęściej jako współorganizator, z pomocą sił lokalnych: Strasburg 1996 z Xerksem Methą i Emmanuelem Jacquarrem, Berlin 2000 z Walterem D. Asmusem, Kraków 2002 i 2006 już prawie sam, Zurych z Thomasem Hunkelerem i Atlanta w 2006, przy wydatnym udziale Marthy Fesehnfeld i Lois Overbeck, a na końcu Helsingborg w 2009 z Karlem Dunérem – wszystkie, według podobnego modelu, łączyły akademicką refleksję nad Beckettem z prezentacją inscenizacji jego sztuk i prozy, na poły eksperymentalnych, na poły mainstreamowych – w aspekcie, jak to się dziś mówi, globalnym. Zglobalizowanie Becketta polegało, przykładowo, na zagranu jego dzieła w ciągu kilku wieczorów, czasami jednego, przez takich wykonawców jak Martin Wuttke, Serge Merlin, Giulia Lazzarini, Iva Janžurová, Miriam Goldschmidt, Barry McGovern, Rick Cluchey, Jacek Poniedziałek i Marek Kalita. Rzecz jasna, każdy z nich prezentował to samo w stylistyce całkowicie odmiennej, czasami konfliktowej. Sporo wtedy jeździłem po świecie w poszukiwaniu spektakli Beckettowskich, co zapewne odbiło się na moich własnych inscenizacjach, choćby *Końcówki* w Atlancie, w której krzyk Hamma na wieść o tym, że nie ma już środka uśmierającego, trwał dwanaście sekund i powstał z inspiracji portretów papieskich Francisa Bacona. No to tyle. A u Ciebie? Czy Beckett, którym też już od dziesięcioleci się zajmujesz, to był monolit? Monolit, który nie zmieniał się w Twoim widzeniu, tylko przez cały czas niewzruszony trwał jak dąb, wiąz, buk albo jesion, by wymienić jedynie dąb, wiąz, buk oraz jesion?

K.M.: Na początku lat siedemdziesiątych nagle zobaczyłem w telewizji *Czekając na Godota* w reżyserii Stanisława Hebanowskiego. Byłem wtedy

w wojsku i przyjechałem do domu na przepustkę. Dziwna sytuacja: wyrzucenie z życia, izolacja, pustka i jeżeli nie nic, to coś, co było złe – regres, zastój, zamurowana przyszłość, opuszczenie, jakby wszystko się skończyło. Rzeczywistość PRL-u i na dodatek ten wojskowy real. Ludowe Wojsko Polskie to była czarna dziura, prawie śmiertelna pułapka. Siedziałem sam, piłem piwo, włączyłem telewizor i nagle zobaczyłem tę dziwną pantomimę, usłyszałem strzępy zdań, szczątki słów, widziałem poruszające się jakby na sznurkach postacie, ktoś przychodził, odchodził i potem powtarzało się to już w gasnących, ale przecież mocnych i coraz mocniejszych akordach, tak jak w *Bolerze* Ravela. Zapamiętałem to sobie, a właściwie samo zapadło mi to w pamięć: ten nastrój, rytm, zamurowanie i jednak na koniec – otwarcie. I te dwa słowa: Samuel Beckett.

Potem, już na polonistyce, przeczytałem wydany w PIW-ie *Teatr z Posłowiem* Jana Błońskiego, od którego zacząłem lekturę, i to było wejście w ten świat. Błoński pisał o zatrzaśniętej, zredukowanej prawie do minimum przestrzeni tych utworów, o nadmiarze czasu i próbach radzenia sobie z tym, o maniackiej dokładności w konstruowaniu postaci, o schematach, mniejszych i większych powtórzeniach, o pokazywaniu braku i pustki, o odwołaniach do Biblii, o stylu, rytmie, redukowaniu akcji i o rozwoju, który zasada się na utracie, o przestrzeni wewnętrznej, nadziei i mówieniu, które jest tyle trudne, co konieczne, o ciszy, pamięci i opowieści o tym, co się pamięta, o śmiechu i płaczu, komizmie i tragiczności, o stosunku do życia i do śmierci, obfitości aluzji teologicznych i o cieniu Boga, który obecny jest w tej twórczości, wreszcie o jego słowach, czy słowie, w które wpisane jest twierdzenie i przeczenie, wiara i rozpacz, wzniosłość i śmiech, wspaniałość i marność. Tak, to *Posłowia* Błońskiego i potem cały ten tom, składający się z siedmiu utworów, to było jak objawienie. „Widzieć jasno w zachwyceniu”. Wiele czytałem, ciągle były jakieś nowe lektury, bliskie mi było, poprzez osobę autora, piarstwo Jerzego Andrzejewskiego, Hemingway, Kafka, ale Beckett już we mnie działał, a właściwie to ja działałem w związku z nim, już byłem inny.

W 1975 i 1981 roku ukazały się, przygotowane przez Antoniego Liberę, te dwa niebieskie numery „Literatury na Świecie” z prozą, twoim długim wprowadzeniem, esejami i interpretacjami, a także kolejnymi utworami scenicznymi. Zapytałem Andrzejewskiego o Becketta: odniósł się do niego z respektem, że tak, jest ważny, ale powiedział: „Nie, to jest okropne, ja bym tak nie mógł”.

Lubiłem go i ceniłem, ale już oddalałem się od niego – właśnie w stronę Becketta, takiego pojmowania i przeżywania literatury, chociaż po drodze byli inni, na przykład James Joyce i jego silny wpływ.

Poznawałem kolejne teksty: pozostałe utwory dramatyczne, powieści, opowiadania, eseje. *Molloy* i *Pisma prozą* były chyba największym przeżyciem, oczywiście obok *Dramatów*, także *Malone umiera*, *Watt*, wiersze, wypowiedzi, listy. Chciałem jak najwięcej o nim wiedzieć i na szczęście znałem dwie najbliższe mu w Polsce osoby: Antka Liberę i ciebie. Słuchałem o nim waszych opowieści, czytałem, co o nim pisaliście, konfrontując moje widzenie z waszym. W przeciwieństwie do was nigdy Becketta nie widziałem, ale od początku czułem, że jest mi bliski, jak mało który z pisarzy – duchowo, wewnętrznie i mógłbym nazwać go moim przyjacielem. Tak to widzę: człowiek i jego słowa, dzieło – dla mnie jest to nierozłączne. I czy w tym napięciu jest prawda: w człowieku, w jego życiu i w tym, co i jak mówi i pisze. Zaprzyjaźniłem się z nim od początku i potem nigdy od niego nie odszedłem. To było i jest mocne. Trwa już tyle lat, moja świadomość jest większa i coraz bardziej krytyczna, widzę ostrzej, bez złudzeń, więc to fakt, tak jest.

Podobnie z Miłoszem, ale to już inna historia. Z jednym i z drugim wiążą się sprawy dotyczące *sacrum*, mojego życia wewnętrznego i wiary – a co jest od tego ważniejsze? Od początku są patronami „Kwartalnika”. Im gorsza będzie, a zapewne będzie się pogarszać, sytuacja – na przykład literatury – tym bardziej będą potrzebni i ważniejsi. Niezbędni.

Nie można w nim i z nim być letnim, nieokreślonym, a nawet trzeba być radykalnym, tak w stosunku do siebie, życia, jak i literatury. Jest to kwestia drogi, rozwoju, kierunku, punktu wyjścia i punktu dojścia. Pewnie nie raz, tak jak już było, będziemy się różnić. Jeśli miałbym podać trzy słowa, które są kluczowe dla niego i dla jego świata, to powiedziałbym: rozwój, przemiana, nadzieja. Co o tym myślisz?

M.K.: Rozwój, przemiana, nadzieja. U kogo? U ciebie? U niego? U nas wszystkich? O kim mówisz? Co masz na myśli? Pewnie to, co w nim znalazłeś dla siebie – jak sobie wyobrażam. Choć Beckett tych trzech słów, tak jak wielu innych, podobnie wysoko waloryzowanych, używa, oględnie mówiąc, z sarkazmem. Co zresztą, w moim mniemaniu, zjednuje mu zastępy przyjaciół. Jego retoryka wytwarza echo w naszej... – już niemal wyrwało

mi się słowo „głębia”, w głębi ducha. Nie wiem, jak to inaczej powiedzieć. Mam na myśli pewien rezonans. To, z powodu czego on staje się naszym przyjacielem, innych wręcz od niego odrzuca. Kwestia gustu, słuchu emocjonalnego, albo jest się wrażliwym na jego muzykę, albo głuchym. Mnie dowcipy wijących się w błocie przegranych kloszardów dodają woli życia, innych dołują.

Mam dwoje przyjaciół, którzy inaczej „słyszą” Becketta. On jest wielkim erudytą, pisał, wydawał i redagował bardzo cenne teksty o Beckettzie, ona jest specjalistką od mistycyzmu jansenistycznego u osiemnastowiecznych mistyczek we Francji i w Quebecu. Ona, nawet kiedy nie może się powstrzymać od śmiechu, gdy mąż cytuje jakiś zwodniczy pasaż Becketta, zawsze kończy tym samym: Beckett przyprawia ją o depresję. No właśnie, jednych strąca w depresję, drugim pomaga w nią nie popaść.

Wydaje mi się, że, brany powierzchownie, Beckett może razić pesymizmem, bo pesymizm jest punktem wyjścia, poziomem zerowym. Podobnie jak rozwój – bo u Becketta jeśli jest rozwój, ten realny, to do tyłu, albo kręcenie się w kółko. Podobnie jak przemiana – owszem, jest, ale na gorsze. Podobnie jak nadzieja – tylko wtedy, gdy założy się jej brak, już w punkcie wyjścia.

K.M.: Tak, Becketta nie można odbierać powierzchownie, bo wtedy w ogóle się go nie odbiera. Kto porusza się w nim po powierzchni, to jakby w ogóle się nie poruszał, nawet nie stoi w miejscu, ale grzęźnie, zapada się i nie istnieje.

M.K.: Nie wiem, czy u źródeł dzieła Becketta jest negacja, negatywność czy *via negativa*, wydaje mi się, że on chce zaczynać od zera, i zero jest głównym punktem odniesienia. Ale, matematycznie rzecz biorąc, od zera można iść w dół lub w górę, powiedzieć „tak”, powiedzieć „nie”, każda wypowiedź wprowadza ten ruch, ale do „tak” wznosi się na chwilę i za chwilę powraca do zera, lub nieco niżej. Peter Brook pisze, że Beckett nie głosi „nie” z zadowoleniem, tylko owo bezlitosne „nie” wykuwa z tęsknoty za „tak”, a jego rozpacz to negatyw, w którym da się zauważyć zarys czegoś przeciwnego. Często o tym myślę, kiedy rozmawiam na tak ogólne tematy jak my w tej chwili. Bo istotnie miłość, Bóg, nadzieja, ból i śmiech to dominanty tego dzieła. Wciąż są na horyzoncie. Bez nich nie miałyby sensu robić z Becketta przyjaciela. Ale

dla ilu ludzi pióra, uprawiających beletrystykę, miłość, Bóg, nadzieja, śmiech i ból nie stanowią dominanty? A my pozostajemy obojętni, nas to nie porusza. Do Becketta, moim zdaniem, najbardziej przyciąga – tych, których Beckett przyciąga – jego swoista retoryka. Gdyby nie ona, wiele jego tekstów byłoby mało odkrywczych, wręcz sztampowych. Świat przedstawiony nie jest w nich ewenementem, o istnieniu którego byśmy nie wiedzieli. Przeciwnie, widzimy ten świat na co dzień, jeżeli mamy odwagę uważnie spojrzeć wokół siebie. Dopiero wnioski, które wyciąga ze swoich obserwacji, są czymś odkrywczym i wyzwalającym. Rewelacją.

Mówiąc o twojej drodze z Beckettem, ciekawy jest dla mnie inny aspekt twojego zbecketyzowania. Drogi od *Pasji* do *Thorna*. Pamiętam, na centralnej magistrali kolejowej czytałem twoją *Pasję*, poleconą mi przez Błońskiego. Ekspresy na trasie Kraków – Warszawa jeździły wówczas równie szybko jak dziś Pendolino, mimo to błyskawicznie pochłonąłem cały tekst. Czytając go niemal jak palimpsest, niezdrowo szukając w nim przede wszystkim Becketta. Choć nie uprzedzono mnie o paranteli. Myślę, że w swojej prozie „wyczuwasz” Becketta na swój sposób, bardzo swoisty, wczuwając się w pewne wątki. A ja wyczytuję z twojej prozy, całkowicie „tendencyjnie”, rzeczy, których inni czytelnicy w niej nie widzą – lub nie słyszą. We fragmentach *Thorna* też dostrzegam ten rytm, ten ruch.

K.M.: Gdzie na przykład?

M.K.: Na przykład we fragmencie *Powrotu Mohla* w „Kwartalniku” nr 84. Choćby tu, otwieram numer i znajduję już na pierwszej stronie: „Mohl nie miał gotowych formułek w wyjaśnianiu czy w próbach wyjaśniania tak jednego, jak i drugiego. Niewiele rozumiał z otaczającego go świata, ale przynajmniej wiedział, że niewiele rozumie, a do tego był pojętny i uważny, i to była jego siła. Chciałby rozumieć więcej, ale rozumiał tyle, ile mógł w danej chwili, ani mniej, ani więcej”. Od razu mam asocjacje z *Wattem*. Nie tylko tematycznie, bo można by powiedzieć, że tu Beckett nie miał monopolu – powieści epistemologicznych jest mnóstwo. Bardziej mnie do *Watta* odsyła rytm zdania i powietrze, którym ono oddycha. To zdanie oddycha tak jak zdania *Watta*, mógłbym cytować jeszcze wiele podobnych akapitów. Choćby ten, rozpoczynający się tak: „Całowali się, tak, były także i pocałunki”, które wydaje mi się świetną parodią epizodu pocałunkowego pani Gorman z *Wattem*, który zresztą sam jest

świetną parodią stylu „romansowego”. Prawdopodobnie tylko ja mam takie skojarzenia automatycznie, czytelnicy twojej powieści niekoniecznie to zauważą. Ale to jest dla mnie przykład Becketta w tobie. To nie jest oddech... to nie powietrze, którym oddycha, na przykład, przekład – czy proza! – Antoniego Libery. Twój Beckett. Lata ewolucji...

A wracając do charakterystyki twojej drogi z Beckettem, począwszy od poboru do ludowego wojska, a skończywszy na chwili obecnej, kiedy już raczej nie można nas powołać (chyba że do innych oddziałów, w inne zastępy, znowu staliśmy się przedpoborowymi!), raczej w niej nie zauważyłem, jaką przeszedłeś ewolucję, czym twój dzisiejszy Beckett różni się od tego z czasu studiów.

K.M.: Mój dzisiejszy Beckett tak bardzo różni się od mojego Becketta z czasów wojska czy studiów polonistycznych, jak tamten ja różni się od siebie dzisiejszego (czy wczorajszego). Był i jest rozwój, życie jest w toku, także w związku z nim – te wszystkie przemiany i nadzieja, że najlepsze i najważniejsze dopiero będzie, że to ciągle jest przed nami. Chyba nie można czuć Becketta inaczej niż, jak mówisz, „na swój bardzo swoisty sposób”. Mnie zawsze ciekawi, w jaki sposób ktoś odbiera Becketta, co i jak o nim mówi lub pisze – to dla mnie jest ważny probierz. Biorę książkę i najpierw zaglądam do indeksu, patrzę, czy jest Beckett. Zdania i uwagi o nim są, jak wiesz, bardzo różne, można nawet powiedzieć, że skrajnie różne. Wspomniałem o opinii Andrzejewskiego; nie raz o Becketcie rozmawiałem z Miłozsem, napisałem o tym szkic, i z Błońskim, rozmawiałem z Liberą, rozmawiam z tobą. Twoją prozę czytałem z wielką uwagą i pisałem o niej. Zobacz, jak bardzo różnią się narracje Antka, twoje i moje. Co z tego wynika? Może to, że Beckett jest źródłem energii – inspiruje twórczo, krytycznie, intelektualnie, emocjonalnie, duchowo, filozoficznie, teologicznie i dzieje się to w większym lub mniejszym dystansie lub w większej lub mniejszej bliskości. Czy jest dla mnie przewidywalny? I tak, i nie. Czuję i rozumiem go, tak jak powiedziałaś, na swój osobny, może nawet specyficzny sposób i często jest mi bardzo bliski, prawie *alter ego*, ale są fragmenty i momenty, które nijak nie przechodzą przeze mnie, są jak obce części – obce ciało i duch. I on taki jest – dwoisty, zmienny, zwielokrotniony. A jednocześnie jakby był ukształtowany z jednej bryły, jak skała. Zobacz, tyle lat minęło, tyle się zmieniło w nas i dookoła nas, a wpływ Becketta trwa, czytają go i piszą o nim młodzi pisarze, krytycy i badacze literatury i my nie

możemy się bez niego obejść. Jest z nami jego duch. Ale jaki to jest duch? Wiesz, że zawsze ciekawią mnie opowieści o tym, jakim był człowiekiem. Jak żył? Proszę, przybliż go nam jeszcze raz, łatwiej będzie potem wrócić do naszych „ogólnych tematów”.

M.K.: Tych Beckettów z krwi i kości też było wielu, a przynajmniej takie ma się wrażenie, czytając świadectwa i wspomnienia o nim. Naturalną kolejną rzeczą każdy autor tekstów wspomnieniowych przedstawia Becketta z własnej perspektywy. Miał z nim kontakt w konkretnych okolicznościach, pisząc, podporządkowuje swoje impresje lub wspomnienia jakiejś tezie, której ten tekst ma służyć, nawiasem mówiąc, często dowaloryzowując własną rolę. Widzimy to nawet w świadectwach ludzi, których bezsprzecznie łączyła z autorem przyjaźń. Anne Atik, poetka amerykańska, żona Avigdora Arikhi, artysty, który uwiecznił Becketta w wielu doskonałych portretach, napisała wspomnienie zatytułowane *How It Was* – już sam tytuł, aluzja do *How It Is*, jednej z najważniejszych próz Becketta, w którego tytule można się dopatrywać zasadniczego wątku metafizycznego, jest wyraźnym „przejęciem”. A potem całym tekstem autorka daje nam do zrozumienia, że S., czyli Beckett, i A., czyli jej małżonek, byli *equal geniuses*, równymi geniuszami. Ale gdyby zapytać innych przyjaciół, usłyszałoby się, że Beckett mocno się silił, by nie zranić Arikhi swoim krytycyzmem, zwłaszcza w kontekście politycznym. Po latach przyjaźni pisarz zszokowany był tym, że państwo Arikhowie po wojnie sześciennowej kupili za bezcen mieszkanie we wschodniej części Jerozolimy, z którego wyeksmitowano Arabów. Beckett oczywiście był wielkim filosemitą, ale nie stawał po niczyjej stronie ze względu na narodowość czy religię. Oceniał ten fakt nie z pozycji jakiegoś rygoryzmu moralnego, tylko stosując doń elementarną miarę przyzwoitości.

Jego lojalność wobec przyjaciół to odrębny temat. Czasami wiele go kosztowała. W tym względzie sporo się dowiedziałem od Barbary Bray. Przy całej jej powściągliwości, równie zasadniczej jak jego. Beckett utrzymywał wiele relacji „równoległych”. Wolał, aby miały charakter bilateralny. Nie miał zwyczaju uczestniczyć w spotkaniach towarzyskich w dużym gronie, nawet tych wieczorno-nocnych, restauracyjno-barowych. Choć tu musiał, *nolens volens*, robić wyjątki. Kiedy zdobył sławę, co drugi łotr zabiegał o jego względy dla swoich niecnym celów i uważał się lub podawał za przyjaciela czy kompana. Było takich wielu.

Oglądałem kiedyś dokument filmowy, czarno-biały, chyba z początku lat siedemdziesiątych. W paryskiej restauracji zbierają się jego przyjaciele, którzy regularnie się z nim w tej restauracji spotykali, i cały czas o nim mówią, pokazują, na którym miejscu on często siada. Ale jego nie ma, jest jak Godot, on, rzecz jasna, nie przyszedłby na spotkanie rejestrowane przez kamerę. Tu akurat zebrali się prawdziwi jego przyjaciele. Ówczcześni. Bo przez te wszystkie lata tylu ich się zebralo, przychodzili i odchodzili. Nic dziwnego, że uciekał do Ussy. Późnym wieczorem przez bary i restauracje na Montparnasse przewijało się sporo ludzi, których Beckett znał, lepiej lub gorzej, różnych, przeróżnych, często przypadkowych znajomych, wszyscy w jakiś sposób w którymś momencie prowadzili z nim konwersację lub razem milczeli. A jemu, który z milczenia uczynił cnotę, zdarzało się, zwłaszcza w stanie mocnego zalkoholizowania, mówić przeróżne rzeczy. Doskonały poeta John Montague (który notabene o poezji Becketta ma negatywną opinię) opowiadał mi masę zabawnych, nawet nieprawdopodobnych anegdot. Ale to było, że tak powiem, po pracy. Dzisiaj by się powiedziało, że przy drinku nocną porą Beckett „odreagowywał”, to był sposób na rozładowanie napięcia po dniu pracy. Dzień, w którym nie napisał ani linijki, ale odpisywał na listy i spotykał się z ludźmi zajmującymi się zawodowo jego dziełem albo po prostu entuzjastami, był dla niego dniem pracy, po którym odreagowywał nocną porą. Zwłaszcza kiedy nic nie zdołał napisać. Świetnie sobie z siebie żartował, gdy pytano go, jak mu idzie praca.

K.M.: Z jego twórczości i na przykład ze zdjęć wynika, że był kimś bardzo wyraziście ukształtowanym wewnątrz, co nadawało kierunek wszystkim wypadom i przemianom, którym ulegał.

A z twojej perspektywy – przecież spotykałeś się z nim, rozmawiałeś, obserwowałeś go, jeśli nawet nie byłeś w niego wpatrzony czy zapatrzony – co było w nim, twoim zdaniem, najważniejsze, co stanowiło jego główny rdzeń, najważniejszy wyróżnik?

M.K.: Fizycznie, rodzaj wewnętrznego napięcia i –

K.M.: Wiesz, o co chodzi, na przykład – czy był spokojny, czy niespokojny –

M.K.: Spokojny i niespokojny.

K.M.: – jakoś schowany, ukryty czy może otwarty, naturalny, żywiolowy? Czy miał to wszystko pod kontrolą?

M.K.: Ukryty i otwarty. Czy pod kontrolą – nie wiem.

K.M.: A jak było w chwilach upijania się? Czy wiesz coś na ten temat? Był smutny czy wesoły, włączony czy wyłączony? Jak to wyglądało?

M.K.: To zależało chyba od fazy, fazy jego życia, konkretnego miesiąca, dnia, ale też od przebiegu konkretnego wieczoru. Z kim go spędzał i ile już popłynęło na przykład whisky. Problematykę alkoholu znam przede wszystkim z opowiadań Johna [Montague'a], do którego w tej kwestii mam wielkie zaufanie. Moje własne obserwacje na ten temat ograniczają się głównie do paru tygodni zimą 1984 roku w Londynie, kiedy z widowni Riverside Studios obserwowałem go w dzień w czasie prób do *Czekając na Godota* w wykonaniu San Quentin Drama Workshop, grupy Ricka Clucheya, a potem podczas wieczornych rozmów o tym, co można zrobić, by całe przedsięwzięcie uratować od kompletnego fiaska. Oczywiście, z perspektywy Becketta-perfekcjonisty nawet wspaniałe inscenizacje były całkowitą kląpą. Od późnego popołudnia wiele płynęło alkoholu, w przypadku Sama brunatnego odcienia – Guinness i Jameson na przemian.

K.M.: Słyszałem, że był amatorem bilardu. Gdzie w Paryżu przesiadywał wieczorami i nocną porą?

M.K.: Przy bilardzie można go było widywać w Les Mousquetaires na Avenue du Maine. Innymi ulubionymi lokalami były: Le Falstaff przy rue du Montparnasse, Rosebud parę kroków dalej przy rue Delambre, no i większe instytucje przy Bulwarze Montparnasse – La Coupole, La Rotonde. To w obrotowych drzwiach jednej z tych restauracji, w stanie niemal zamroczenia, utknął na dobre i nie mogąc z nich wyjść, zataczał koła jak postać z Dantego.

Trzeba jednak pamiętać, że tak w Irlandii, jak we Francji alkohol tradycyjnie towarzyszył wielu dorosłym od południa do świtu. Interesujące są w tym względzie zapiski w tak zwanym *Dzienniku* z podróży Becketta po nazistowskich Niemczech. Szczegółowo odnotowuje w nich rodzaj napojów spożytych w hamburskich lokalach, gdyby to zsumować... – wyszłoby dość dużo. Ale to nie ma związku z zachowaniem, moralnością etc.

K.M.: Zastanawiam się, czy przyzwoitość nie łączy się bezpośrednio z moralnością? Mówimy o kimś, że jest przyzwoity, jeśli postępuje moralnie, nie ma odwrotnej sytuacji. Widzę w nim rygoryzm, który on ciągle jakby wypróbuje, bada, podważa, sprawdza, neguje i umacnia – taka dialektyczna gra. Widzę to w nim i w jego pisaniu. On i pisanie: czy jest to mocny węzeł?

Powiedz, co wiadomo o tym, jak pracował. Jak było we wczesnych latach, gdy jeszcze nie był znany, a jak potem, w latach prosperity? Wiadomo, że pisał do końca. I co miało największy wpływ na jego twórczość – czy było to coś stałego, czy zmieniało się w zależności od okresu? Czy jest to możliwe do jakiegoś w miarę jasnego określenia i uściślenia, czy raczej należy do strefy hipotez, przypuszczeń, co najwyżej jakichś szczątkowych, wrywkowych informacji?

M.K.: Tyle w mojej głowie nawarstwiło się przez te lata sądów, wniosków wysnutych, a potem skorygowanych i porzuconych, gotowych do kolejnej korekty, że zadziwia, że jeszcze o tym rozmawiamy. W kwestii biograficznej: na temat tego jak pisał – jak przebiegał jego proces twórczy, wydrukowano wiele opinii i można by to ułożyć w jakiś model. Dla większości krytyków źródłem są biografie Becketta, trzy zasadnicze: pierwsza pióra Deirdre Bair, napisana w połowie lat siedemdziesiątych, w kręgach Beckettowskich kontrowersyjna, oraz dwie biografie powstałe już po śmierci autora, ale rozpoczęte za jego życia. Ich autorami są Anthony Cronin i James Knowlson. Interesujące i pouczające byłoby scharakteryzować, jaki portret Becketta przedstawia każdy z biografów. Ale uwaga: choć wszyscy troje mieli kontakt z Samuelem, żadne nie widziało go przy pracy.

K.M.: Kto go widział przy pracy?

M.K.: Wydaje mi się, że nikt. Przy pracy w teatrze widziało go oczywiście wielu – ale była to ostatnia faza pracy inscenizacyjnej, nie trzeba zapominać, że Beckett zawsze sumiennie przygotowywał się do każdej inscenizacji, przywoził notatki, notował też w trakcie prób. Natomiast jego kontemplacja białej kartki, niezapisanego papieru, *creatio ex nihilo*, odbywała się w samotności i milczeniu. Oczywiście, on sam w listach do przyjaciół i znajomych wiele pisał o tym, co pisze – nad jakimi tekstami pracuje. Najczęściej jednak skupiał się na tym, co mu się nie podoba – w utworach, które przecież okazały się tak ważne

w literaturze dwudziestego wieku! – co kompletnie mu się nie udało, co było, jego zdaniem, całkowitym fiaskiem. Gdyby ktoś wyłącznie na podstawie jego opinii na temat własnej twórczości chciał sobie wyrobić o niej własną opinię, musiałby wysnuć wniosek, że jest to dzieło całkowicie nieudane. A o tym prawie wyłącznie donosi w listach do osób, którym ufał. Ale kto go widział przy pisaniu? Na pewnym etapie żona, Suzanne, na innym etapie Barbara Bray. Ale już we wspomnieniach Johna Montague'a, choć przecież tyle czasu spędzał on na rozmowach z Samuelem, a niektóre były bardzo głębokie, mamy typowy obraz: wspólne wieczory, wspólne powroty na chwiejnych nogach, wygłaszane głośno opinie na temat literatury, Irlandii, teatru, szczere zwierzenia na temat kryzysów pisarskich, nieudawana frustracja z powodu niemożności ukończenia, lub wyprostowania, jakiegoś tekstu. Gdy tylko to weźmie się pod uwagę, zadziwia, że wśród ukończonych i już wydanych tekstów jest tyle ważnych, a kilka arcydzieł.

K.M.: On wiele mówi i pisze o kryzysach, niemożności pisania, przeszkodach, które tkwią w nim i na zewnątrz niego, i wygląda to tak, jakby ktoś ciągle psuł mu szyki, utrudniał, odciągał, wzbraniał. Przecież nie wymyślał tego, nie kokietował. A jednak trwał przy pracy pisarskiej tyle lat, do końca. Barbara Bray na pewno go podpatrywała, gdy pracował. Miałeś z nią dobry kontakt – czy mówiła coś na ten temat? Pisała o nim książkę, ale nie zdążyła, czy nie mogła, nie miała sił. To tak wygląda, jakby wszyscy wokół niego nie mieli sił, żeby go prawdziwie opisać, a on, tak szarpany, a właściwie rozszarpywany, miał ich najwięcej, bo przecież wiele napisał i, tak jak mówisz, jest wśród tych tekstów wiele ważnych i najważniejszych dzieł w literaturze dwudziestego wieku, prawdziwych arcy-dzieł. Jakaś wielka niemożność jest po stronie tych, którzy chcą o nim mówić – właściwie mało komu udaje przebić się przez ten jakby mur. Wiesz, o co mi chodzi, chociaż, z drugiej strony, był człowiekiem otwartym, nawet bezpośrednim, niekrygującym się i niekryjącym, i to nie tylko przed tymi, których dobrze znał. Richard Ellmann świetnie przedstawił Joyce'a – tak przedstawić Becketta nikomu się nie udało. Chyba najbliższe do niego jest ze środka jego narracji, niezależnie od ich form i gatunków. Co o tym myślisz? Znałeś go, spotykałeś się z nim, rozmawiałeś, świetnie znasz jego dzieło, tłumaczyłeś jego teksty, reżyserowałeś jego sztuki, napisałeś o nim setki stron i mówisz, że to wszystko, co o nim wiesz, jest kłębowiskiem sprzeczności, ciągle kłębi się w tobie i nie ma w tym prawie żadnych prostych i wyrazistych linii. A może jakies są, może jednak jest w tym twoim widzeniu

Sama coś pewnego? Jak to jest? Pewnie odpowiesz ogólnie lub erudycyjnie, lub posługując się serią środków stylistycznych, a ja proszę o ścisłe i trafne sformułowania, których jesteś bezwzględnie pewien, i o wyjaśniające szczegóły, w których wiemy, kto tkwi.

M.K.: W moim widzeniu Becketta wciąż jest coś pewnego. Po pewnym czasie jednak – przyznaję z bólem, lecz bez bólu – wypada mi to korygować. Może nie na płaszczyźnie faktu, lecz interpretacji, zwłaszcza takiej, która chce być nadrzędną, która chce w miarę szybko dokonywać uogólnień. Fakty wciąż kuszą nas, by jak najprędzej wyciągnąć jakiś ogólny wniosek, odkryć w nich jakiś porządek, lecz na ogół wnioski, jeśli jesteśmy uczciwi wobec siebie, nie wytrzymują naporu dalszych faktów, po raz pierwszy odkrywanych, odkrywanych na nowo, tych, które ustawicznie weryfikujemy, rozważając kolejne fakty, znane lub odkryte. Moim zdaniem, możliwym kluczem do Becketta jest to, że czytając jego dzieła, a zwłaszcza te, w których nie jest oszczędny w słowach, a więc na przykład trylogię francuską, gdzie stopniowo bohaterowie z postaci przeobrażają się po prostu w głos, który mówi, świadomość (świadomość jest głosem, głos jest świadomością), zdajemy sobie sprawę, że autor wpisał w swoją narrację możliwość różnego tłumaczenia tego, o czym i co mówi głos narratora. W trylogii zauważalny jest podskórny ruch, równoległy do poruszania się narracji, którego celem jest uniemożliwienie czytelnikowi owego podsumowania, do którego jakże często sprowadza się interpretacja. Innymi słowy, ten sub-narrator cały czas chce zapobiec sytuacji, w której czytelnik powie: A, wiem, o co tu idzie narratorowi, autorowi, już znalazłem formułę tłumaczącą na przykład *Nienazywalne*. Beckett wymyśla rozmaite strategie obrony przeciw tej nadrzędnej interpretacji, buduje w tekście całą sieć wewnętrznych odniesień. Wytwarza jakby przeciw-ciała. Dlatego im dalej w las, tym większa dezorientacja, a może nie tyle dezorientacja, ile brak jednego punktu orientacyjnego. Im bardziej zagłębialiśmy się w jego tekst, im bardziej świadomi jesteśmy wewnętrznych powiązań, które niektórzy uważają za wewnętrzne sprzeczności, czyli im więcej wiemy, tym dalej jesteśmy od zadowalającego uogólnienia. W pewnym sensie jest to tak jak w życiu, z życiem, im dłużej żyjemy (zakładając, że nie rozwija się u nas demencja, co zresztą czasami jest miłe, a przynajmniej znośniejsze niż pamięć, przyjmując, że radykalnie nie tracimy rozumu), tym mniej jesteśmy w stanie wypowiadać się o nim bez popadania w sprzeczność. W pewnym sensie, powiadam: w pewnym sensie, jest to symptomem proustowsko-joyce'owskiej egzaltacji dziełem sztuki.

Pisarz stwarza *universum* językowe, które jest równie nierozszyfrowywalne do końca, jak życie. Przez cały czas tak życie, jak dzieło dopraszają się o owo podsumowanie, wniosek, choćby odnoszący się do części, choćby prowizoryczny.

Dość jednak tej łatwej epistemologii. Jest przecież dużo faktów, niepodważalnych. Tak w dziele, które przecież można wyczerpująco opisać, jak i w biografii, której wprawdzie nie można równie wyczerpująco opisać, niemniej nawet w równie różnych biografiach, jak książki Deirdre Bair i Jima Knowlsona, wyłania się sylwetka pisarza o osobowości, której nie sposób byłoby pomylić z, powiedzmy, Proustem czy Joyce'em. Może kiedyś, w następnym odcinku, przejdę do konkretów – swoje refleksje opierając na świadectwach osób, tych, które o Beckettie publikowały, i tych, które nie publikowały.

K.M.: Czy my go nie rozmazujemy, nie osłabiamy? Może Beckett jest prostszy, niż wydaje się to licznym erudytom-interpretatorom? Interpretator brzmi jak imperator – przychodzi i ustanawia swoją prawdę. Ale jak to ma się do tego, co rzeczywiście jest? Czy nie jest tak, że jego teksty mają kilka warstw interpretacyjnych, a my działamy na jakiejś wybranej lub ulubionej jednej, dwóch czy trzech, a są jeszcze dalsze, głębsze i ważne są napięcia między nimi i ich metamorfozy, a także rozwój akcji i działających postaci, bo jednak te narracje i te postaci do czegoś prowadzą, posuwają rzecz do przodu, do jakiegoś bardziej lub mniej określonego celu, nawet gdy narrator uziemiony jest w jednym miejscu. Czy właśnie nie takie, rozpostarte pomiędzy skrajnymi biegunami, było życie Sama, gdy przyjrzymy się mu od samego początku do końca. Na przykład wydaje się, że nie ma w nim i w jego pisaniu konsekwencji, takie są pozory, ale przecież, gdy dłużej się z nim obcuje, to widać, że jest w tym wielka konsekwencja, prawie żelazna. Szybko rozpozna się w jego prozie, dramacie, wierszu, eseju czy nawet wypowiedzi, że jest to on. I tak samo z wizerunkiem: żelazna konsekwencja, dyscyplina, forma. Przypomina to na przykład Hemingwaya – ta po kilku zdaniach rozpoznawalność i wyrazistość wizerunku. Wypytyuję, bo liczę, że może nagle w jakimś błysku coś ci się przypomni: jakieś jego zachowanie, słowo, gest, spojrzenie, reakcja etc.

Jaka jest jego tożsamość? Jak by najkrócej można ją określić, opisać? Przecież nikt nie powie, że Beckett nie ma wyrazistej tożsamości. Jakbyś ją określił w kilku słowach?

M.K.: Nie potrafię w kilku słowach. Może w ogóle nie potrafię...

K.M.: Zastanawiałem się, który z żywiołów byłby jego najlepszym znakiem. Najpierw pomyślałem: woda, tak, to świetny dla niego znak, ale zaraz – nie, przecież ogień, to ogień jest jego głównym znakiem, lecz przypomniałem inne jego teksty i zachowania i pomyślałem, że jednak powietrze byłoby najwłaściwsze, wszystko w nim ogarniające, a potem nagle – ziemia, bo przecież kojarzy się mocno z ziemią, jak kret. I skończyło się na ziemi, choć oczywiście nie jest to żadna definitywna odpowiedź, bo gdybym musiał dać na to pytanie definitywną odpowiedź, to powiedziałbym: woda, ogień, powietrze, ziemia.

M.K.: To jest dokładnie to, o czym wspominałem, nurkujemy w dzieło, zagłębiają się w tematy, spostrzegamy coś, budujemy na tym hipotezę, rozszerzamy na całość dzieła, mamy poczucie, że dokonaliśmy odkrycia, ale przy następnym zagłębieniu się coś innego, często przeciwnego, pojawia się jak objawienie. Nowe. Życie jest pełne sprzeczności. Dzieła są pełne tropów wiodących w różne strony.

K.M.: To określanie życia sprzecznościami nie za bardzo przypada mi do gustu, bo przecież wielu wielkich pisarzy, filozofów czy teologów dochodziło w swoim widzeniu świata do czegoś więcej. Bliższy jest mi na przykład Pascal niż Kartezjusz i bliższy Beckett niż Joyce – jednak on nie skończył tak jak Joyce, tą wijącą się donikąd logoreą *Finnegans Wake*. Zobacz, jak inne są jego ostatnie teksty. Z czym i z kim można to porównać? Nie z Joyce'em, nie z Proustem, nie z Kafką. Chyba jednak bliżej mu do T.S. Eliota niż do Joyce'a i pozostałych.

Nieunikniona jest rozmowa na ten temat na pewnym poziomie ogólności i to daje niedosyt. Ale przecież w każdej chwili można przedstawić jakieś fakty lub choćby tylko jeden, który coś udowodni, stanie się punktem zwrotnym, rzuci snop światła, w którym, niechby i przez chwilę, zobaczymy coś, co jest jasne i wyraźne.

M.K.: W anglosaskiej krytyce i teorii literatury pokutował termin *biographical fallacy*, co dla mnie znaczy coś w rodzaju błędnego wnioskowania o dziele na podstawie wiedzy o autorze lub *vice versa*. Wyjaśniamy dzieło faktami biografii, a biografię dziełem. Jest to oczywiście z punktu widzenia

metodologii czymś niewłaściwym. Z drugiej strony, o ile mniej rozumielibyśmy dzieła, nic nie wiedząc o ich autorach. I dalej idąc: fakt, że Jan Błóński mieszkał obok Stanisława Lema i często z nim rozmawiał, na pewno dodaje coś do wiedzy pierwszego o dziele drugiego. Oczywiście dzieła nie powinno się redukować do biografii, już czymś sympatyczniejszym byłoby wywodzić z dzieła biografię, to bardziej twórcze. Wielu twórców zresztą nie ma nic przeciw temu, by ich teksty tłumaczono biografią, przynajmniej do pewnego stopnia, jeśli to pierwsze nie zostanie spłaszczony, sprowadzony do drugiego. Sami je tak tłumaczą. Autor *Końcówki* nie należy do tego grona. Są pisarze mniej i są bardziej skryci. Beckett aktywnie zaprzeczał autobiograficznemu charakterowi swoich utworów, a przynajmniej odmawiał wszelkich wyjaśnień biograficznych. Zwłaszcza wtedy, gdy naruszało to jego, jak to się mówi dzisiejszą polszczyzną, prywatność. Kiedy na przyjęciu w Londynie jakiś „tak zwany intelektualista” chciał koniecznie wiedzieć, czy dlatego Beckett wciąż pisze o ludzkich zmartwieniach, że w dzieciństwie doznał jakiejś traumy, usłyszał od pisarza odpowiedź, że nie, że nie bił go ojciec, a matka nie rzuciła rodziny. Wracając z przyjęcia taksówką – mówi Beckett Tomowi Driverowi – zauważył na szybie ulotki, wzywające do pomocy niewidomym, sierotom i uchodźcom wojennym. Nędzy nie trzeba szukać w czyjejs biografi, podsumował, „sama skacze wam do oczu, nawet w londyńskiej taksówce”.

Przesłanie Becketta brzmi zatem: świat przedstawiony w moich dramatach to coś, co każdy, dzień w dzień, spostrzega wokół siebie. A przynajmniej może spostrzec. W postaciach Becketta odnajdujemy los jednostki w naszym świecie – są uniwersalne. Zgoda. Ale prawdą jest również, że Beckett jest jednym z najbardziej autobiograficznych pisarzy dwudziestego wieku. W niektórych tekstach prawie każde zdanie odnosi się do jego biografii. Im więcej świadectw o nim słyszymy, nawet naciąganych, tym bardziej jesteśmy w stanie odnieść dzieło do biografii. Z tym że ta biografia nie musi (choć zdarza się to często) oznaczać opisu jakiegoś zdarzenia, które mu się przytrafiło, czy portretu osoby, którą znał. Znacznie częściej zdarza się, że autor przedstawia czytelnikowi to, co go fascynuje lub zniechęca, że czyni z nas świadków swego... jak by to nazwać, żeby nie było patetycznie? Życia mentalnego. Można powiedzieć duchowego, ale gdybyśmy mieli mówić o duchowości Becketta, wkraczalibyśmy na tereny patosu i namaszczenia – które on za wszelką cenę chciał ze swego dzieła, i z dyskusji o nim, usunąć. Tak było już w młodzieńczym opowiadaniu *Dante i homar*. Mieliśmy dylemat *pity-piety*, współczucia i bogobojności. Wywiedziony

z Dantego, ale nie przedstawiony jako dylemat erudycji, na papierze, tylko coś, co stanowi jądro naszej egzystencji, mówiąc stylem napuszonym, naszego bytowania i postępowania, codzienne centrum, nasz chleb powszedni.

Podobnie paradoksalne jak uniwersalność zbudowana na autobiografii są też abstrakcja świata przedstawionego w tekstach Becketta, antyrealizm, czasami groteskowość, które jednak idą w parze z piekielną konkretnością i bezlitosnym werystycznym realizmem. Ale to już inny temat, może do niego powrócimy. Mam wrażenie, że za dużo tu uczonych terminów, no ale inaczej wszystko stałoby się jeszcze bardziej rozwlekłe. A zaatakowałem jedynie trzy ósme twoich pytań z ostatniej porcji.

K.M.: Zaatakowałeś? Chyba raczej elegancko obszedłeś, szpikując wypowiedź „uczonymi terminami”. A Beckett to człowiek z krwi i kości, chociaż pewnie też i duch, który wielu towarzyszy – wielki pisarz, zwykły człowiek i duch.

W jego utworach są same napięcia – na nich buduje siebie i swoje dzieło, między przeciwnymi biegunami, na przykład: autobiograficzne – uniwersalne, boskie – diabelskie, cielesne – duchowe, żywe – martwe, ruchliwe – statyczne, komiczne – tragiczne, chaotyczne – precyzyjne i zdyscyplinowane etc. Wychowała go religijna matka, protestanckie środowisko i on tym nasiąkł, a młode i późniejsze lata spędził w ateistycznym towarzystwie, co też miało na niego wielki wpływ. To, moim zdaniem, jest główne napięcie: ten, kto umniejsza jeden z tych biegunów, niszczy tę misterną konstrukcję – on, jego dzieło i coś, co jest nim i jego dziełem jednocześnie. Niszczy i prowadzi na manowce.

Tego napięcia nie ma u większości najwybitniejszych pisarzy dwudziestego wieku: na przykład nie ma go u Sartre'a i całej tej francuskiej egzystencjalnej plejady, nie ma u Bernharda, Grassa, Coetze'ego, Saramago, Latynosów i tylu innych, ale jest na przykład u T.S. Eliota, u Camusa, u Miłosza, u Heaney'a. To ważne! Do tego Beckett, czego nie ma ani u T.S. Eliota, ani u Miłosza, ani u Camusa, ciągle podważa siebie i swoje dzieło. Na przykład, jest autobiograficzny i zaprzecza, że jest autobiograficzny, ostro atakuje religię i wiarę, ale kulturowe odniesienia do nich – bez odwołań do religii i wiary czym byłoby jego dzieło? Może właśnie pociągnijmy ten wątek, bo to się łączy: antyrealizm, jak to określasz, i piekielna konkretność, bezlitosny werystyczny realizm. Przecież

główne odniesienia dotyczące szczegółów i losów najważniejszych jego bohaterów kierują do Biblii. I tak ma to wspaniale artystycznie zorganizowane (język, styl, forma, narracja, konstrukcja postaci), że jego dzieło żyje, porusza nas i takich jak my, inspiruje, umacnia, czego na przykład nie można powiedzieć ani o Sartrze, ani o Bernhardzie i im podobnych. Co ty na to?

M.K.: Porusza, inspiruje, umacnia – takich jak my, zgoda, ale jest cały legion głuchych na Becketta, a nawet dość agresywnie go odrzucających, którzy lepiej trawia, powiedzmy, Sartre'a – nie mówiąc o tym, że są tacy, których i Beckett, i Bernhard poruszają, w inny sposób oczywiście (choć po części ich teksty oddziałują na czytelnika, zapędzają go w kozi róg w podobny sposób). Nie ma wielkiego sensu deklinowanie nazwisk, które z Beckettem się rymują lub nie. Choć ciekawe jest też, jakich nazwisk on sam raczej nie trawiał. Bo jego sympatie i antypatie literackie pozwalają nam lepiej go zrozumieć, pomagają go zrozumieć. Wiemy, że znał na pamięć całe pasáže *Boskiej Komedii*, że Shakespeare wciąż słodkie w jego sercu wywoływał dreszcze, że rytm Racine'a słychać w biadoleniach Winnie, ale o Corneille'u w katalogu sympatii ani jednej wzmianki. A z niemal współczesnych Rilke to był dla niego nudziarz (choć o Traklu wyrażał się lepiej), natomiast T.S. Eliota nie cierpiał. Może warto się zastanowić dlaczego, ponieważ antypatie Becketta mówią nam dużo o tym, jakim pisarzem NIE chciał być. W następnej kolejności czeka kwestia owych antynomii uniwersalizm – autobiografia, antyrealizm w parze z hiperrealizmem, wiem, pamiętam, zaatakujemy ten temat już niedługo...

K.M.: Obiecanki, cacanki... Zastawiam zasadzki, ale się z nich wywijasz. Nie dają jednak za wygraną! Co to znaczy, że nie znosił na przykład T.S. Eliota – rozumiem, że *Mord w katedrze* nie był w jego guście, ale *Ziemia jałowa* czy *Wydrążeni ludzie? Wzmocnijmy tempo*, bo widzę, że grasz coraz krótszą piłkę. Rozszerzmy pole gry. Podejrzane wydają się formułki, jakimi się o nim mówi, te wszystkie schematy, klisze, wręcz komunały, które znamy z tekstów beckettologów, a które w gruncie rzeczy sobie przeczą i nie posuwają sprawy do przodu, co nie jest w stylu i zwyczaju Becketta: mówią na przykład, że był tradycjonalistą i że był nowatorem, że był uczniem i wyznawcą Joyce'a i był jego antagonistą, że był modernistą i był postmodernistą, że zacierał ślady, a inni, że ostentacyjnie je wskazywał, że był hermetyczny i był otwarty, że był nihilistą i był pisarzem metafizycznym, poszukiwaczem prawdy, że był po stronie rozpaczcy i był po stronie nadziei etc., etc. Przypisują go do *nouveau roman*

i do teatru absurdu, a on nijak nie mieści się w tych ramach. Fakt, że prawie wszystkie jego utwory kończą się jakby w zawieszeniu, niedopowiedzeniu, bez wyraźnej konkluzji czy jakiegoś jasnego przesłania, ale przyznasz, że po ich lekturze wychodzimy umocnieni, a nie osłabieni, poruszeni i natchnieni do pisania i działania, a nie obojętni i zniechęceni. On jakby mówił: Rozwijaj się, każdego dnia rozwijaj się, dorzucaj ziarnko do ziarnka, i oczywiście chodzi mu o rozwój wewnętrzny, o światło, nie o regres, zastój i ciemność. W czarnym wnętrzu czaszki jego bohaterów i bohaterek pełno jest błysków i są smugi światła. W tych mrocznych ateistycznych czasach jego dzieło jest jak skrzynka kontaktowa dla *sacrum*. Łapię się na tym, że próbując o nim mówić, mówię chyba bardziej o sobie niż o nim i gdy słucham i czytam innych, którzy mówią i piszą o nim, to widzę, że właściwie oni o sobie mówią więcej niż o nim. Krygują się, grają i udają, że mówią o nim i rzeczywiście coś o nim mówią, ale głównie mówią o sobie. Jakby byli w jego pułapce. Może niech zaczną mówić o sobie, to wtedy więcej i prawdziwiej o nim powiedzą i będą bliżej niego, tak jak to jest w *Watcie* czy w *Malone umiera*. Beckett pokazuje, jak to trzeba robić. Czy nie kręcimy się w kółko w tym upartym, uporczywym poszukiwaniu jego „ja” – rdzenia jego osobowości, osi jego tożsamości? W końcu staniemy się komiczni czy, jak wolisz, heroikomiczni? Uziemieni w jego pułapce. Jego ukochany Shakespeare mówi, że nie wchodzi się bezkarnie pomiędzy ostrza wytrawnych szermierzy. Zróbmy więc coś nowego – wykręcmy się jakoś lub z uporem brnijmy dalej. Coś nowego? Ale co?

M.K.: Tradycjonalista nowator etc., hermetyczny i ogólnodostępny, agnostyk i... co? No właśnie. Nie mieści się w naszych kategoriach. Albo raczej: trudno nam go w nich uwięzić. A jeśli nam trudno, to co mówić o zastępach tych, co znają go jeszcze gorzej niż my! Zgadzam się, po lekturze jego tekstów wychodzimy umocnieni, a nie zdołowani, etc., my rzeczywiście czujemy się umocnieni, ale twoje zdanie „On jakby mówił: Rozwijaj się, każdego dnia rozwijaj się, dorzucaj ziarnko, i oczywiście chodzi mu o rozwój wewnętrzny, o światło, nie o zastój i ciemność”, wymaga uściślenia. Bo Beckett nie mówi nam: rozwijaj się etc., wręcz przeciwnie, on podkreśla przeciwieństwo wszelkich pozytywów, które podnoszą na duchu. On mówi: Nie ma co udawać, że się rozwijamy, a jeśli codziennie dorzucasz ziarnko, to raczej ziarnko niewiedzy, każdego dnia wiesz mniej niż poprzedniego. Zwijamy się, i to jest naprawdę komiczne, i to jest cała ta komiczna prawda. No ale my, niepoprawni optymiści, z tego przekazu wyczytujemy – mając rację lub jej nie mając – doskonałe

przeciwieństwo. Być może dlatego, że jego deklaracje niedorozwoju naprawdę mówią o rozwoju albo pokazują ważność myślenia o rozwoju. W myśl zasady: „głodnemu chleb na myśli”. W pewnym sensie jest to Beckettowska wykładnia wszelkich rzeczy, na których nam tak zależy.

K.M.: Tak jakby parafrazował Moliera, wyglądając zza swojego, jak mało który realnego, świata przedstawionego: „Samiście tego chcieli, Grzegorz Dyndały!” – wyrzuciliście Boga ze swojego świata, to teraz macie i radźcie sobie sami, pokażcie, na co was stać. U niego jest to wyraźnie rozgraniczone: świat zewnętrzny i świat wewnętrzny, i nie wiem, czy ważniejsze są przygody bohaterów w świecie zewnętrznym, czy ich wewnętrzne rozterki, bo jednak jest to ze sobą mocno splecione. Tak jak ciało i duch, i nie wiem, co jest jego większym przeciwnikiem – jedno czy drugie, co jest ważniejsze – potyczki i walki z ciałem czy z duchem? Idziemy za nim w poszukiwaniu jego, ale także i swojego „ja”, i używamy słów, które on nam podsuwa. Jak, którą drogą dotrzeć do samego rdzenia jego osobowości, do osi jego tożsamości? – pytamy. A jaki jest nasz rdzeń, nasza oś? Więcej wierzgań niż ukłuć! Mówisz, że jesteśmy niepoprawnymi optymistami. Nie jestem tego pewny. Raz wiem, że Bóg na pewno jest, a raz, że Go nie ma, bo nie mam z Nim żadnego kontaktu. I co? Co z tym zrobić? Tak jak jest Nic i Coś, metafizyczne Nic i Coś. Poszukiwanie tego Coś to przecież główny jego cel. A czy nasz nie? Zabrnijemy w ślepy zaułek czy wyjdziemy na świetliste pola i wysokie szczyty, z których widok jest zupełnie inny? Nic i Coś *Watta*, *Czekając na Godota*, *Nienazywalnego*, gdzie głos nie potrzebuje już ciała, czy Nic i Coś w jego tekstach ostatnich. Jest u niego jedno i drugie – rozdzielone po równo. A może całe jego dzieło to parodia, farsa lub komedia współczesna? – wracamy do tych molierowskich, a nawet czy nie dantejskich intuicji. Ale, z drugiej strony, czy jego narracji i dramatów nie można czytać jako przypowieści o człowieku i o jego losie? Za wzniosłe? Los człowieka i mowy pozbawionych *sacrum* – to przecież jego wielki temat. Jak mówić słowami pozbawionymi *sacrum*, jak opisywać nimi to, co jest? Jakie są związki czy zależności między językiem a bytem, między słowami a rzeczywistością? Na końcu i tak zamilkniemy, zmierzamy do milczenia, tak jak on do tego dążymy, chociaż wydaje się, że jest to skierowane przeciw nam, że milczenie to koniec.

M.K.: On jest gotowy na Nic. Na to, by stanąć wobec Niczego, tak jak stoi, nagi, nieuzbrojony. My nie, my wytworzyliśmy bastiony pocieszeń, rzeczy,

w które lepiej uwierzyć, bo łatwiej z tym żyć. Beckett w swoim radykalizmie, w swej totalnej uczciwości wobec siebie, w swojej, powiedziałbym, protestanckiej gruntowności pozwala sobie, często nawet nakazuje, być zżeranym przez żywioły myśli i wątpliwości. To nic, że kultura na to wytworzyła różne lekarstwa, które zresztą działają mizernie, czasem wcale, środki uśmierzające, jak mówi kilku jego bohaterów, uśmierzające ból, leki znieczulające, bo ja wiem, morfinę. On chce na to wszystko patrzeć wprost, on jest zdecydowany ten ból przetrwać bez znieczulenia – lub nie przetrwać. Nadzieja jest, słyszał o niej, wie o niej, więc teoretycznie może doczekać chwili i dojść do miejsca, kiedy znajdzie się przed nim to, co my wszyscy tak bardzo byśmy chcieli, żeby było, było w świecie i mieszkało też w nas. Ale on nie zasłoni się tarczą jakichś górnolotnych i od wieków nam pomagających recept, doktryn, koncepcji, filozofii, teologii. Ciało-duch, los, *sacrum*, bóstwo, wiara, nadzieja, miłość. Sam obraca tymi słowami, ale zawsze sceptycznie, jeśli nie sarkastycznie. Nie chce się nimi osłaniać. Jeżeli jest w tym coś mistycznego, religijnego, to w takim sensie jak w buddyzmie, gdzie mnich nie może użyć słowa Budda, po to żeby ułatwić sobie zadanie. Powiedzenie buddyjskie: jeśli nieostrożnie powiedzialesz Budda, natychmiast oczyść usta. Beckett chce z wszystkim zmierzyć się z największą wnikliwością, na jaką go stać, i do bólu uczciwie. I bierze tylko to, czego sam dotknął, w co sam się wgryzł.

Jego lektury Biblii czy klasyków nie są sztafajem i ornamentem, świadczącym o tym, że pisarz, oprócz tego że dobrze pisze, czytany jest w tym, co jest znakiem dystynkcji, wyróżniającej go od innych. Jako czytelnik Dantego Beckett nie zachwyca się akurat tym, o czym zwięźle piszą podręczniki (w rodzaju: największą zasługą Dantego jest to lub to), tylko wybiera fragmenty, motywy, postaci dalekie od tych najpopularniejszych, wręcz marginalne. Z Shakespeare'a wyczytuje rzeczy, o których nawet średnio w tekstach poety czytany czytelnik, zwłaszcza spoza obszaru języka angielskiego, ma średnie pojęcie.

K.M.: Ale Nic Becketta to może być także Coś, u niego jest to zamienne, patrz: na przykład *Watt*. To nie my utworzyliśmy sobie do pocieszenia Boga, ale to Bóg objawił się realnie przed wiekami Abrahamowi, Izaakowi, Jakubowi, Mojżeszowi i tylu, tylu innym zwykłym i najzwyczajszym, wielkim i największym. A współczesna kultura niszczy tę strefę *sacrum*, nie tworzy żadnych pocieszeń, ale niszczy wszystko, co wiąże się z wiarą, co dotyczy Boga – wyśmiewa

i niszczy. To dla mnie jest prymitywne. Becketta trudno ustawić po jakiegokolwiek stronie: jest dla ateistów, jest dla agnostyków, jest i dla metafizyków. Sugerujesz, że łatwiej jest wierzyć, niż nie wierzyć, że niewiara jest heroiczna, a wiara nie. Uważam, że jest inaczej. Czy słowo *sacrum* jest górnolotne? Jest zadeptywane, a nie górnolotne. To samo: nadzieja, wiara, miłość – powiedz to, a od razu jacyś znawcy i specjaliści wyśmieją cię i zmarginalizują. W tym kontekście, o którym mówisz, w naszych czasach tamta strona stała się tą drugą, przeciwną, a ta przeciwna – tamtą. Czy miłość to jest „recepta, doktryna, koncepcja...” etc.? Czy wiara to jest ideologia lub filozofia? Górnolotne, dolnolotne – to są dosyć słabe kategorie. Dla mnie są to bardzo rzeczywiste słowa. Słaba jest moja wiara, moja miłość i moja nadzieja, a może nawet bardzo słaba, ale to nie powód, żebym je redukowałam do hasła typu osłona czy tarcza obronna. Tak, potrzebny nam jest radykalizm. Beckett był radykalny i bardzo mi się to podoba. Nie rozumiem, dlaczego protestanta, jakim był, włącza się w buddyjskie doktryny. Może i my jesteśmy w jakiś sposób buddyjscy, ale źródłem naszej tożsamości jest, tak jak i jego, chrześcijaństwo, a nie buddyzm. I nie Budda kojarzy mi się z Beckettem, ale o ileż bardziej Kohelet czy starotestamentowi prorocy, a nawet i Jan Chrzciciel. To jest ta aura, to myślenie i odczuwanie świata, oczywiście wtłoczone w swój czas i posługujące się jego instrumentarium. On tak jak czytał Dantego i Shakespeare’a, tak czytał Biblię i obawiam się, że legion beckettologów sprawnie wychwytuje wszelkie aluzje i odniesienia do Dantego i Shakespeare’a, bo świetnie zna ich twórczość, ale gorzej jest ze znajomością Pisma i tych odniesień i aluzji, których jest u Becketta pełno, już tak bystro nie chwyta. Bronię tej drugiej strony, bo dla mnie Beckett to są dwie strony i nie byłby tym, kim był i jest, gdyby coś w którejkolwiek z tych stron osłabić czy wyrzucić. A widzę, że przechył idzie na jedną stronę, więc czuwam nad tą drugą i, na przekór modzie i hołdującym jej interpretatorom, skupiam się na niej, bo moim zdaniem jest ważniejsza. To jest chyba najlepsza dla niego rekomendacja dla współczesnych czytelników: że uczciwie był w swoim pisarstwie po jednej i po drugiej stronie, bo doświadczył jednej i drugiej, można powiedzieć, w równym stopniu i do końca szukał prawdy po jednej i po drugiej stronie i takie zostawił świadectwo.

M.K.: Cztery uwagi co do twojej ostatniej kwestii. *Primo*, kultura *versus* wiara, *secundo*, heroizm niewiary, *tertio*, jeszcze raz Beckett i tradycja, *quarto*: zaraz powiem.

Zacznę od *primo*. Widzę, że jednak jesteś wielkim pesymistą w diagnozowaniu współczesności. Nie wiem, czy współczesna kultura niszczy wszystko, co wiąże się z wiarą, fakt, że sam to mówisz, i nie ty jeden, jest świadectwem, że nie jest jeszcze tak źle. Zresztą, co to znaczy współczesna? Masz na myśli kulturę obecną, długo po Beckettzie, bo on nie żyje już od ponad ćwierćwiecza? Czy w ogóle kulturę nowoczesną (lub nowoczesności)? Nie zapominajmy, że Becketta sformowały lata dwudzieste–trzydzieste ubiegłego wieku. Świat dziś inaczej wygląda, ci, co mówią, że gorzej, powinni wziąć pod uwagę wojnę i Holokaust. No ale oczywiście nigdy nie wiadomo, wojny w obecnym stuleciu przybierają niepokojące rozmiary, coraz więcej jest konfliktów na tle religijnym. Niektóre niebezpiecznie zbliżyły się do Europy, właściwie wkroczyły już na jej terytorium. Kto wie, jak potoczy się krucjata państwa ISIS. Kiedy Beckett umierał, wcale się na to nie zanosilo.

Secundo, rzekomy heroizm niewiary, który jakoby sugeruję. Nie wiem, generalnie, czy łatwiej wierzyć, czy nie wierzyć, mówiłem o moim widzeniu Becketta, mówiłem, że jemu trudno było wierzyć, sam, szukając czegoś, rzucił przed siebie kłody. Nie mógł inaczej. Przeszkadzała mu zwłaszcza klasyczna antynomia: Jeśli Bóg istnieje i jest wszechmocny, to dlaczego nas tak doświadcza? Można wierzyć w wiarę, to oczywiste, może i trzeba, ale nie jestem pewien, że tak było w przypadku Becketta. Beckett nie opowiadał się, moim zdaniem, po stronie wiary, ale jeszcze mniej opowiadał się po stronie niewiary. Co to znaczy: bronisz drugiej strony? I o jakiej modzie jest mowa?

Tertio, w kwestii tradycji, mówisz, owszem, Kohelet, prorocy starotestamentowi, Dante i Shakespeare, ale już nie buddyzm, bo to nam obce, trzeba się odgraniczyć? Nawiązałem do buddyzmu, nie próbując odciągnąć Becketta od wiary chrześcijańskiej. Ale ponieważ znowu o tym mówimy, zaznaczę, że zwłaszcza we wczesnych utworach widać, że posiadał sporą erudycję, encyklopedyczną, na temat Wschodu, co zrozumiałe w kontekście jego inspiracji Joyce'em, kiedy ten pracował nad *Finnegans Wake*. Szczególnie wyraźne w *Prouście* (zgoda, przez pryzmat Schopenhauera), w *More Pricks* (1934), a potem w *Murphy* (1938). Zdecydowana większość wzmianek, odniesień, aluzji w tych dwóch ostatnich tekstach jest oczywiście ironią, prześmiewczą, sarkastyczną. Beckett był właściwie anarchistą; nie twierdzą, że nie miał żadnych autorytetów, ale jego naturalnym nastawieniem była niewiara w autorytety. Nie chciał niczego stawiać na cokole. Tradycja i wiara mogą być balastem.

W kwestii tradycji, powiem raz jeszcze, obdarzony był wielką erudycją, ale nie chciał z tego czerpać korzyści, tradycja dla niego była rodzajem drabiny Wittgensteina: wspiąwszy się na nią, a raczej po niej, odrzucał ją. Podobnie jak wiara, nie chciał się podpierać skodyfikowanymi systemami. Co nie znaczy, że nie wierzył. Ale i nie znaczy, że wierzył.

Tak, wiara, nadzieja, miłość – z myślą o nich pisał Beckett, potykał się i wadził, tak jak Clov przed zejściem ze sceny, cytuję z pamięci: „Mówili mi, to jest miłość, tak, tak, teraz widzisz co, jakie to proste. Mówili mi, to jest przyjaźń, no widzisz...”.

Teraz czwarta uwaga. Jeśli wspominam o buddyjskiej zasadzie „oczyść usta, wymieniwszy imię Buddy”, to nie sugeruję, że Beckett przeszedł na buddyzm (notabene, drugie przykazanie Dekalogu też ogranicza szermowanie imieniem Pana). Uczyniłem to dlatego, że chciałem wskazać na coś, co moim zdaniem może naprowadzić nas na pewien trop w tej rozmowie. Wspomniałem, że Beckett w gruntownie protestancki sposób staje nagi, nieuzbrojony wobec Niczego – a przynajmniej tego, co może się okazać Niczym. Z implikacją, że jego zadaniem egzystencjalnym, jako pisarza, jest poszukiwanie tak samo prawdy, jak formy wypowiedzi. Nie dziwi, że i bohater Becketta musi zmierzyć się samotnie z istnieniem w świecie, który czasami jest jak w wywodzie Lucky’ego – dobrym tylko dla kamieni. Odarty ze wszystkiego, wyrzuty z tego, do czego przywykł. Żeby to nie było zbyt... no, powiedzmy, górnołotne, posłużmy się metaforą ryby wyjętej nagle z wody, która chwytą powietrze i wije się gorączkowo. Choć całe życie pływała, teraz się nie da. Choć ma nadzieję, że przetrwa. Może wrzucą ją z powrotem do wody. Może sama nauczy się bez wody żyć.

Pozbawienie się oparcia w wierze i wiedzy nie jest dla mnie oznaką nihilizmu, tylko osiągnięcia wolności w poszukiwaniu, poszukiwaniu, które ma dla mnie cechy mistyczne. Wiemy, że Beckett, zwłaszcza w młodości, intensywnie czytał mistyków. Jego dzieło, od rozgadanej prozy młodzieńczej do niesłychanie skondensowanych tekstów ostatnich, pełne jest odniesień tak do samego poszukiwania mistycznego, jak i jego atrybutów – mam tu na myśli zwłaszcza *via negativa*. Mniej ewidentnie *via affirmativa*, choć jedno uzyskuje znaczenie przez drugie. Droga negatywna oznacza odwrócenie się od tego, co skończone i zewnętrzne. Introwertyczność, introspekcja to stały motyw, troska

narratorów i postaci różne różnych, jak Belaqua, Murphy, Watt, Mahood, Worm, Krapp, narratorzy późnej prozy. Czego szukają Usta w *Nie ja?* Słowa, które położy kres słowom. Słowa, które położy kres cierpieniu. Cierpieniu, które tkwi również w samym poszukiwaniu. Czego żądają od Światła przesłuchiwane przez reflektor głowy w *Komedii*? Odrzec się ze wszystkich pytań, tak byśmy dotarli do nagiej wiedzy Bezwiedzy i zaczęli widzieć nad-esencję Ciemności, ukrytej przez światło istniejących rzeczy.

Czy to nie jest pasaż z chrześcijańskiego mistyka?

K.M.: Dlaczego tylko cztery i dlaczego jedynie do ostatniej? Zagęszcza się, żeby redukować, oczyszczać – w tym szaleństwie jest metoda! Mnie bardzo się podobają te antynomie, kontrasty – są prawdziwe i w nich gdzieś jest prawda, także i o Beckettzie. To tak jak u Koheleta: nie ma bardziej pesymistycznego tekstu na świecie niż jego księga. Ale przecież na końcu jest: „Boga się bój i przykazań Jego przestrzegaj, bo cały w tym człowiek”. I jedno, i drugie jest prawdziwe, takie jest moje doświadczenie. Tu moglibyśmy przypomnieć na przykład Ojców Pustyni, Augustyna i Hieronima, Pascala z jego sławnym zakładem oraz Mistra Eckharta i reńską szkołę teologii negatywnej, wiele passusów z psalmów, ze świętego Jana i świętego Pawła...

Tak, mam na myśli sztukę po Beckettzie, w której prawie nic ważnego dla siebie nie znajduję. To tak jakby mówić o współczesnych modnych reżyserach filmowych po obejrzeniu filmów Bergmana. Właściwie nie ma o czym. Ci ludzie plus czołówka reżyserów teatralnych plus współcześni idole literaccy plus jacyś głośni instalatorzy czy instalatorki w sztukach plastycznych, gdy się patrzy na nich i na ich wytwory, jakby nie wiedzieli, kim są, jaka jest ich rzeczywista tożsamość. To wszystko jest rozbite, jak lustro służącej z *Ulisses*a. Ja to widzę i jest to właśnie widzenie, a nie pesymizm.

Pytasz (za Beckettem?): dlaczego Bóg nas tak doświadcza, skoro jest wszechmocny? A dlaczego tak bardzo doświadczył Adama i Ewę, Abrahama, Izaaka, Jakuba, Mojżesza i Dawida, Hioba i Jana Chrzciciela, a przede wszystkim Jezusa? Dlaczego tak bardzo doświadczał Żydów? Skąd wzięło się tylu męczenników? Wszechmocność Boga nie ma tu nic do rzeczy. Na świecie jest diabeł i zło, jest grzech i zatwardziałość serc i jest dobro i miłość, której najwyższym świadectwem jest śmierć Jezusa.

Mówisz: odarty ze wszystkiego, wyzuty, wskazując w tle na buddyzm. A przecież jest to kluczowy termin chrześcijaństwa: *kenosis* – огоłozenie wewnętrzne i wszyscy chrześcijanie do tego dążą, my też, inna sprawa jak i z jakim skutkiem.

Ryba to znak chrześcijan.

Wieczność jest w świetle czy raczej – w półświecie.

„Nie upiększę słowami” – to, jak wiesz, jedna z ostatnich kwestii *Watta*.

Masz rację: Beckett to nie tyle metafizyk, co mistyk – ja słabo to określiłem, ale chciałem być ostrożny. Trzymajmy się jego drogi – jest to, mimo wszystko, droga do światła. Bądźmy wierni jego szczątkom!

M.K.: Najpierw sprostowanie. Zdanie: „Odarty ze wszystkiego...” było hipotezą na temat postawy Becketta, nie miało w tle specyficznej religii. Wskazywałem w nim na postawę, która ma związek z religią, ale nie dzieli i wyklucza, nie przeciwstawia kluczowych idei poszczególnych religii, tylko – przeciwnie, zwraca uwagę na wspólnotę religijnego impulsu. Nie idzie przecież o tożsamość religijną. Chrześcijanin to ten, kto wierzy w Chrystusa, ale to nie wyklucza refleksji na temat tego, co jest wspólne wielu religiom, mistycyzm jest tu dobrym przykładem. Więc nie dzieliłbym w tym miejscu fenomenów z różnych religii i nie odgradzał od siebie. Impulsy religijne są podobne nawet wtedy, gdy treści są diametralnie różne.

Religię można rozważać w aspekcie autorytetu i w aspekcie *esprit*, charakterystycznego dla danej religii. Mistycyzm w większości odwraca się od autorytetów. Pojawia się wtedy, kiedy człowiek czuje przemożną potrzebę uchwycenia pierwiastka boskiego, potrzebę, której nie może zaspokoić religia instytucjonalna, zorientowana na większość społeczności, przemawiająca do niej językiem reguł i dogmatów. Mistycyzm jest rodzajem wiary osobistej, w najwyższym stopniu zindywidualizowanej, mistyk wierzy najpierw dla siebie, wytwarza swój własny język. Jeżeli ten w ogóle jest werbalny, to tak jak poezja polega na niekonwencjonalnym użyciu języka i mnoży paradoksy. Większość mistyków to introwertycy, ich poszukiwanie utożsamia się z introspekcją.

Jeżeli celem mistyka jest zjednoczenie się z Bogiem, to Beckett nie byłby mistykiem, w najlepszym razie byłby nieudanym, sam używa tego określenia w pisanej po angielsku wczesnej prozie: *un mystique raté*. Ale jeśli zdefiniować mistycyzm jako akt zwrócenia się ku sobie, aby zjednoczyć się ze swoją

prawdziwą tożsamością, lub po to, by wewnątrz odkryć prawdę o świecie, to mamy wiele podstaw, by widzieć w Beckettcie mistyka. Nawet jeśli rzadko jest to *via affirmativa*, tak jak w komentarzu Krappa o epifanii na molo. Beckett nie opowiada się wprost za mistycyzmem, ale ten jest niewątpliwie siłą napędową jego tekstów, o czym świadczą tysięczne wzmianki i odniesienia do mikro- i makrokosmosu, faworyzujące, rzecz jasna, ten pierwszy, czy metafory w rodzaju: „powieki oka zamykają się, by spojrzeć do wewnątrz”, we wczesnej prozie wyeksponowane, z czasem dobrze ukryte.

Wydaje mi się, że z naszych wypowiedzi, tylko z lekka trzymany w rytmach, wyłania się interesujący trop – jak to nazwać, żeby nie powstał z tego naukowy dyskurs? – słowo-klucz, w którym krzyżują się i zostają zogniskowane wymienione w różnych miejscach tematy. Może kontynuując naszą rozmowę, zajmiemy się tą problematyką. Nietrudno byłoby chyba podać konkretne przykłady z tekstów Becketta.

W tym momencie warto, moim zdaniem, zacytować fragment nagranych przeze mnie rozmów z Barbarą Bray. Zaznaczam, że to zapis nieformalnej rozmowy, więc niektóre zdania nie są całkiem dopracowane stylistycznie. Barbara:

Myślę, że to jeden z motywów obecnych w jego dziele od samego początku. Coś bliskiego mistycyzmowi. Nie wiem, czy znasz dobrze historię mistycyzmu, ascezy w praktyce mistycznej, kiedy człowiek wyzbywa się wszelkiego zainteresowania światem i przestaje zajmować się tym, co zewnętrzne, zanim dotrze do esencji siebie. Mistycy religijni myśleli wszyscy, że kiedy sprowadzisz siebie do tego małego jądra, które zamyka się na rzeczy tego świata, a otwiera wyłącznie na kosmos... myśleli, że im dalej odejdziesz od siebie, tym bliżej znajdziesz się Boga. Ja w to wierzę. Czytałam wielu mistyków i uważam, że ich egzaltacja nie wynika z faktu, że zbliżyli się do czegoś, tylko raczej z tego, że oddalili się od świata. Im dalej znajdziemy się od świata, ziemskich trosk, ambicji, pasji – nie mówię, że nie powinniśmy ich mieć – doświadczamy tego, doznajemy owego specyficznego stanu, wszakże nie z tego powodu, że zbliżyliśmy się do czegoś, tylko dlatego, że oddaliśmy się od przyziemnych, miałkich, rzeczy. [...] Myślę, że to coś w rodzaju oczyszczenia. Niemal w każdym mistycyzmie jest, no wiesz, chmura niezrozumienia, drabina istnień i podobne sprawy. Mamy odrzucić wszelkie ziemskie troski, miałkie problemy, i wspinać się, krok po kroku, stopień po stopniu, aż osiągniemy stan, no... rodzaj łaski, kiedy zostaniemy oczyszczeni. Uciekliśmy ze świata, a teraz, z dala od jego sideł

i całej reszty uwikłań, na kilka chwil staliśmy się wolni. Ale jak to wyrazić słowami. To był problem. Nie twierdzą, że Beckett dokładnie to miał na myśli, ale jak użyć słów do osiągnięcia stanu, w którym nie ma słów, to stanowi pewien problem.

Pamiętam, rozmawiałem z Barbarą o tym, że w *Radio 2* ktoś próbuje wydobyć od bezimiennego protagonisty jakieś zeznanie, że w *Co gdzie* mamy cały łańcuch przesłuchujących, zamieniających się w przesłuchiowanych. Bohater Becketta wciąż szuka. Pytanie jest poszukiwaniem. Postaci pytają lub są przepytywane. Pytają frenetycznie – jak narratorzy powieści *Nienazywalne*, albo z rezygnacją – jak szukający Wyjścia w *Wyludniaczu*. Jedni bohaterowie chcą wydobyć jakieś świadectwo, inni desperacko szukają... czego? słowa, słowa-klucza, do zagadki życia, słowa-zamknięcia, słowa-konkluzji, *clôture*.

Kiedy zadałem Barbarze Bray pytanie, jakie to mogłoby być słowo, które, wreszcie wypowiedziane, przypadkiem czy świadomie, dałoby spokój Ustom w *Nie ja*, pozwoliłoby im ustać, przestać mówić, odpowiedziała:

Myślę, że tym słowem jest „miłość”. Ale to raczej spontaniczne przypuszczenie. Nie miłość w sensie zakochania – ale miłość jako to, co przenika cały świat. Lub jest rodzajem pierwiastka życia, zasadniczego składnika życia, wszystkiego, co stanowi dla nas wartość. [...] Lecz jak wyrazić niewyraźalne? To jest problemem mistycyzmu – niemożność wyrażenia. Tego, co jest wyżej od słów. Ponad słowami. Mistyk nie może znaleźć słów. Celem, przedmiotem mistycyzmu nie jest to, z myślą o czym wynaleziono słowa.

Wyżej od słów, tak w tym wypadku przełożyłem *beyond words*. *Au-delà, jenseits*. Poza słowami. Wyżej od nich i dalej. Barbara użyła tu określenia, które miały być pierwotnie tytułem *Nienazywalnego*.

K.M.: Jeżeli bycie kimś, na przykład ateistą czy nihilistą, jest modne, a nawet bardzo modne, a ktoś raz po raz ogłasza, że jest zadeklarowanym ateistą i nihilistą, to czy nie jest to autopromocja? Pisarz tak uczciwy i wrażliwy jak Beckett nie mógł nie widzieć i nie wiedzieć, że ateizm i nihilizm to są ślepe ulice. Ale prawie cała sztuka była w jego młodości, a i potem właśnie ateistyczna i nihilistyczna – w dobrym tonie było być zatwardziałym ateistą i nieprzejednanym nihilistą i Beckett niejedną taką kreację obserwował. Wiedział też, co to znaczy być uczciwym protestantem.

Twierdzisz: „odarty ze wszystkiego”, a mnie automatycznie kojarzy się to z wewnętrznym, właśnie mistycznym ogołoceniem – kenozą. Sugerujesz, że religia dzieli i wyklucza, ale i ateizm dzieli i wyklucza – bez rozróżnień na prawdę i kłamstwo, światło i ciemność, tak i nie etc. wszystko traci rozmach i rozamazuje się. Zobacz, jak w Ewangeliach Chrystus mówi o faryzeuszach lub co i jak mówi o diable. To nie są przelewki, to jest walka o dusze ludzi, a zło w tej walce, jak wiemy, nie stoi na straconej pozycji.

Trochę przesłizgujemy się po tematach, ale ciągle coś nowego dochodzi, a pora już kończyć tę sekwencję.

Oczywiście można religię pojmować tak, jak to opisujesz, ale można, a nawet trzeba przeżywać ją przez doświadczenie miłości – to jest najwyższy pułap poznania i tego – miłostnego olśnienia – doświadczają mistycy. Wiara osobista, wiara zinstytucjonalizowana – tak to rozgraniczasz, a dla mnie nie są potrzebne takie linie podziału. Jest człowiek, jest wspólnota wiernych i jest Bóg. Bóg kocha pojedynczego człowieka, każdego, ale jeśli człowiek w swojej pysze, bylejakości, niemożności czy czymkolwiek innym nie odpowiada na miłość Boga choćby tylko najslabszą miłością, to co to ma wspólnego z wiarą? Mistycy byli pustelnikami, zakonnikami, oddanymi ludźmi Kościoła, nieraz przez Kościół byli karani, oczywiście że nie są to sprawy proste i jednoznaczne. Beckett od pewnego czasu cały skupiony był na życiu wewnętrznym. Powołujesz się na jego młodzieńcze teksty, a mnie przypomina się to, co stary Krapp mówi o młodym Krappie. A ta epifania na molo – tam mówi wprost, że zrozumiał swoją głupotę etc.

Świetne są te wypowiedzi Barbary Bray, które cytujesz, dają wiele światła!

M.K.: Zanim zamkniemy ten odcinek, powiem, że coś nas tematycznie sprowadziło na manowce, bo początkowo chcieliśmy chyba rozmawiać o perspektywie, w jakiej odbiera się dziś Becketta na świecie, pogadać o tym, co ostatnio działo się w teatrze i w krytyce, o tym, czy i jak dalece Beckett obecny jest w twórczości pisarzy, intelektualistów, artystów, szeroko rozumianej publiczności. Można by wiele rzeczy wymienić, o wielu poinformować, ale dobrze, że – po raz kolejny – trochę zatrzymaliśmy się na ogólnych sprawach, zwłaszcza na tym, co chyba dla ciebie jest w związku z Beckettem najważniejsze, a więc zakotwiczeniu jego dzieła w tematyce *sacrum*, Boga i religii.

Dzięki twoim pytaniom wykrystalizowało się w mojej głowie hasło „mystycyzm”, pozwoliło mi wyartykułować choć po części coś, czym wcześniej mało się zajmowałem.

K.M.: Więc jak to jest – był mistykiem czy nie był?

M.K.: W jego psychice nietrudno dopatrzeć się rysów mistyka. Na przykład: chciał być odludkiem, bał się sławy, ponieważ wiedział, że zbudowana jest na czymś doskonale zewnętrznym, na czymś, co zaprzeczało przesłaniu jego dzieła. Był nieczuły na materialne aspekty życia – jak protestancki samotnik, którego mierzi fakt, że indywidualizm, który chciał zmienić świat, zapoczątkowany mistycznym zwróceniem się jednostki ku sobie, po to by w sobie odnalazła Boga, przerodził się w indywidualizm dążący do zmiany świata działalnością ekonomiczną i prowadzący do rozwydrzonego materializmu, zaprzeczającego impulsowi moralnemu. Choć brak pieniędzy dawał mu się wcześniej we znaki, kiedy zaczął je zarabiać, rozdawał na prawo i lewo. Chorobliwie wręcz dbając o to, by nie zakwalifikowano tego jako przejawu nieskromności i nie odebrano, że robił to z próżności, samozadowolenia lub choćby z myślą o satysfakcji osobistej.

Pod tym względem odebrał dobrą lekcję od matki-protestantki. Wpajała mu surową naukę o rzetelności, uczciwości, dobroci. A także, bez względu na to jak ocenić jej miłość do Samuela, i jego do niej, dawała mu pewną wykładnię miłości, surowej rzecz jasna. Bez tego trudno, moim zdaniem, zrozumieć Becketta. Matka uczyła go, że za to, co robi, ponosi sam odpowiedzialność. Że to, co uczyni, nie zostanie mu przez nikogo – prócz Boga – wybaczone. To będzie jego indywidualny los. Ten indywidualizm dodawał mu siły w upartym dążeniu do zrealizowania się w literaturze, ale skazywał go na osamotnienie. Podobnie jak całe pokolenia skłonnych do rygoryzmu moralnego protestantów, począwszy od Lutra i innych reformatorów religii. *Toutes proportions gardées*, Luter wyszedł od zadawania pytań, które, inaczej i w innym kontekście, zadawał sobie Beckett.

Takim ludziom szczęście nie zawsze się udaje. Nie potrafią być szczęśliwi z tego też powodu, że wokół tyle jest niedoli. Trzeba pamiętać, że choć niechętnie o tym mówił, okres wojny w okupowanym Paryżu, a nawet w Roussillon, w tak zwanej strefie nieokupowanej, był dla niego wydarzeniem

traumatycznym. Choć wrażliwość na krzywdę we wszelkiej postaci cechuje już jego wczesne utwory, na przykład opowiadanie *Dante i homar* z 1932 roku. Również na krzywdę, którą społeczeństwo wyrządza tym, którzy skrzywdzili. Współ-czuł, w radykalnym znaczeniu tego słowa, więźniom i uciekinierom. Pomagał im, kiedy i jak tylko potrafił. W końcu wszyscy krzywdzimy, wszyscy jesteśmy wygnańcami.

K.M.: Hasło *weltfremd*?

M.K.: Jeśli ktoś widzi u niego *Weltfremdheit*, to dlatego, że Beckett się dystansował, chciał się odgradzić od świata „kwitnącego, bzyzczącego, pączkującego zamieszania” (*Murphy*), co tylko czasami mu się udawało. Ale ponieważ był bystrym obserwatorem i niejako wbrew sobie rejestrował to, co dzieje się na świecie, nie mógł nie zauważać, że straszne rzeczy się dzieją. Był członkiem ruchu oporu, dostał nawet za to medal, ale skrzętnie ten fakt ukrywał. Po prostu przyłączył się do walki z nazizmem, ponieważ ofiarą nazizmu padło wielu jego przyjaciół.

Więc z jednej strony tak, był *weltfremd*, odcinał się od świata, był mało towarzyski, przynajmniej publicznie, odmawiał udziału w debatach i nie chciał – choć mógł – wyznaczać, jak to się dziś modnie mówi, żadnego trendu. Był chorobliwie skromny w tym aspekcie i jakby oderwany od miąższości świata. Z drugiej strony, przecież nie można twierdzić, że to był wilk stepowy. Doświadczył niesamowitego sukcesu literackiego, ukoronowanego Nagrodą Nobla, ten sukces bardzo dużo mu dał. I choć o sukces, w sensie prestiżu, nie zabiegał, wcale tak nie było, że był obojętny na to, co się mówi o jego dziele. Zanim zaskoczył go Nobel, z pewną goryczą donosił Barbarze Bray z Afryki, że jego inscenizacja *Końcówki* w Berlinie nie spotkała się z echem prasowym, jakiego oczekiwał.

Beckett żył w samym centrum Europy, przez ćwierćwiecze krążył między Paryżem, Londynem i Berlinem, wszędzie przyjmowany z szacunkiem i uznaniem. Poznał wielkich ludzi swej epoki, od Joyce’a do Strawińskiego. Doskonale wiedział, co się dzieje na świecie i generalnie orientował się w polityce. Absolutnie nie był jakimś kosmitą. I nie był mizantropem, ale fatalistą, uważającym, że świat jest niereformowalny. Niestety. Nie wierzył, że nasze społeczeństwa potrafią stworzyć lepszy świat. Czasami twierdził, chyba o tym opowiadał mi

John Montague, że człowiek został po prostu wadliwie skonstruowany. Ale ludziom trudno się z tym zgodzić. Więc bez przerwy prowadził wewnętrzny dyskurs, po którym sobie obiecywał, że jeśli nie skończy się on znalezieniem słowa-kłucza, prawdy, jego prawdy dla nas, to dyskurs ten przynajmniej się urwie, kiedy usta ustaną...

PAWEŁ TAŃSKI

pięć tygodni

miałem w życiu siedem łóżek
jak siedem łódek
każda opowiadała mi swoją historię
płynęła przez opowieści jak przez trzciny
rwącą rzeką drwęcą z bachotka do nieszawy
stała na brzegu i długo wpatrywała się w drugi
projekt propozycję prostych spraw prom

przewoził samochody zdyszane czekały
na swoje okazje rundy po drogach
a po obu stronach szyb drzewa
za nimi tęskniła postać z filmu
pochodząca z nowego jorku
rzuciło ją w eskortę powiesiło
i zawinęło w ziemię

miałem w życiu siedem materacy
jak siedem pól kukurydzy
każde opowiadało mi swoje ucieczki
ze śmierci w darowaną rzekę
ze stryczka w skarpe
syn i ojciec śpią przy ognisku
płyną łodzią

widzę tylko strzępki ciepła

widzę tylko strzępki deszczu w natarcywych uderzeniach

serca, widzę strzępki zmurszałych języków w ostrych granicach ciała, widzę strzępki skóry na odległych krańcach planet punktów miasta. ugniatam okiem makowe główki opuszków palców, zjeżdżam w dół po linii ręki, widzę już tylko strzępki ciepła. *pójdziemy tam, gdzie zawracają mosty, w samotnych zajezdniach paznokci gromadzą się starcy, wypijają krople żółdkowe czystego bólu, łapią okazje, by wyjechać w świat wspomnień.* widzą tylko strzępki ciepła, widzą strzępki skóry, słyszą strzępki deszczu w poharatanych zdaniach farb, wystawiają twarze do marcowego słońca, noszą w kieszeniach

siódme wersy zmarłego boga. *pojedźmy tam, gdzie smukłe zajezdnie wieżowców gromadzą młode psiska, w zawrotach pasaży zbierają się strzępki przeszłości, wjeżdżają w tor języka, siadają na schodach, widzą już tylko moje oko, wycelowane w punkt ciepła*

czuję że otwiera się wieżowiec jak teczka z rysunkami

i krew ma znowu kolor głosu, muzycznych przejść i wyjść, palców gotowych na wszystko. otwierają się windy i drzewa, podziemne korytarze spotkań, widzeń, spacerów i piosenek. rysunki zakrętów historii wiszą już tylko w poczekalniach izb gminnych, w których smakosze gustują gotowaną marchew i szykują dzienniki do studni.

od stu dni studnie wysupłują pokażne sumy płyt, lekkich jak świat i dobrych jak psia sierść. krew ma znów barwę wejścia na ostatnie piętra drapaczy chmur, w których przegląda się to miasto wyszczekujące czekanie. wracałem tam, patrząc na ciebie, kresko okien odsoniętych przed chwilą i wymyślających popołudniowe światło.

MARCIN JURZYSTA

folia nie jest tym czym się wydaje

foliowi bracia foliowe siostry
skóra i pamięć stają się coraz cięższe
tężej twarze tętno ledwo tętni

w tranzystorach spierzchniętych ustach
wosk topi się jak sen na językach upośledzonych
zapalniczek gazowych kuchenek i bogów

*nie dziwi się że cię to dziwi
bo było marzone było umierane
było robione i było przegrane*

pożary i pożogi są gdzie indziej i stamtąd
wysyłają świąteczne kartki pocztówki
majaki które utoną w polichlorku winylu

mężczyzna który właśnie sprzedał świat

Dla T.R.

*I searched for a foreign land, for years and years I roamed
I gazed a gazeless stare, we walked a million hills*

rozbierał go z błyszczących skór
zrywał celofanowe łuski jak paznokcie
odpowiadał na zagadki wstydliwych szarf
rozwiązywał kokardy w kolorze ust
które zamierzał jeszcze całować
zanim wyciekną z nich jaskrawe soki
świat miał w sobie więcej świata

niż niejedno syte oko i obiektyw
obojętnie odchodził w przyszłość
przynosząc kości jak dziękczynne podarki
nerki mężczyzny destylowały świat
światło śmiało ścierało smugi ze ścian

mężczyzna pamięta pokoje i kieszenie głębsze
niż mariańska głębia w których szukał świata
potem ważył go ostrożnie w dłoni i na języku

świat odbijał się od siebie jak kauczukowy grzech
przez chwilę tracił kształty wciągał tłusty brzuch
potem wpadał prosto do oka topił się i dryfował

Mocne postanowienie poprawy

moje wina, moje wina, moje bardzo wielkie wina

musi się udać jak chleb
będzie to pielęgnował dopóki
drobne żyłki na powierzchni
naczynia kruche i nadwyrężone
wypełnią się po granicę

będzie wychylał się za nią
raz po raz prowokował
odgrażał się kiwał głową
kiedyś pójdzie jeszcze dalej
zawoła tryumfalnie berek
i zniknie z pola widzenia

tymczasem wytrzymuje
w tej niewygodnej pozycji
ani siedzieć ani leżeć ani stać
nie wystarcza

RENATA GORCZYŃSKA

Powrót cierpliwego piechura

W rozpalonym do czerwoności Madrycie spotkałam się latem z zaprzyjaźnioną od lat Elżbietą Lipton, córką Józefa Wittlina. Dostałam od niej najnowszą edycję *Soli ziemi*, wydaną w 2014 roku nakładem krakowskiej oficyny Wysoki Zamek, z rzeczowym posłowiem Wojciecha Ligęzy – badacza twórczości tego autora. Książka towarzyszyła mi w miesięcznej podróży przez Iberię. Wczytywałam się w nią z rosnącym podziwem dla kunsztu autora. A przecież nie była to moja pierwsza lektura powieści o cierpliwym piechurze. Sięgnęłam do niej wiele lat temu, bodaj rok po śmierci pisarza, gdy w Nowym Jorku końca lat siedemdziesiątych poznałam wdowę po nim, Halinę Wittlinową, i często bywałam w ich mieszkaniu w Bronksie, wypełnionym przebogatym księgozbiorem, zwłaszcza jak na skromne warunki bytowania na emigracji. Część tej kolekcji Wittlina z jego eleganckim podpisem wylądowała po śmierci Haliny u mnie, gdy Elżbieta likwidowała mieszkanie rodziców, a ja z kolei przewiozłam te książki przez Atlantyki i w ten sposób nadal są ze mną.

Z jego żoną spędziłam wiele godzin na wspomnieniach o pisarzu, dalekich od wdowiego sentymentalizmu. Siedząc w pokoju, który służył mu za pracownię i sypialnię, poznałam jego pasje, idiosynkrazje i wiele przekomicznych anegdot o nim. Przed oknem ich mieszkania rósł rozłożysty dąb, ale w głębi czaił się las anten misji sowieckiej. Ten widok był symptomatyczny, bo łączył bukoliczną naturę ze złowrogą historią.

Tam od końca lat czterdziestych odwiedzał go Czesław Miłosz, wtedy w niewygodnej dla siebie roli dyplomaty rządu warszawskiego. Pytał o radę, co ma robić ze swoim dalszym życiem – prosić o azyl czy wracać do Polski. Tam także złożył mu wizytę pewien kompatriota z Londynu, również pisarz i poeta, który tuż przed wojną na łamach prasy endeckiej nawoływał do powieszenia na drzewach Wittlinów, Tuwimów i im podobnych. Przybył, by uzyskać słowo przebaczenia. Zdaje się, że je otrzymał. Paradoksalnie, być może uratował Wittlinowi życie tym podłym paszkwilem, bo w reakcji na niejeden w tym czasie antysemicki atak Halina przekonała męża, by czym prędzej wyjechał na stypendium artystyczne do ośrodka kulturalnego Royaumont pod Paryżem.

Wybuch drugiej wojny światowej zastał go we Francji, gdzie dołączyły do niego żona i córka, otrzymawszy zezwolenie na wyjazd z okupowanej przez Niemców Polski, co na dobrą sprawę graniczyło z cudem. Po inwazji Niemców na Francję Wittlinowie wraz z tysiącami uchodźców z okupowanej Europy znaleźli się w Madrycie, a potem w Lizbonie, dzięki wystawieniu przez Aristidesa de Sousa Mendesa, konsula portugalskiego w Bordeaux, wiz tranzytowych do jego kraju. Tam z kolei długo czekali na wizy amerykańskie. W porcie nowojorskim powitali ich między innymi Tuwimowie.

Wittlin – jak wynika z naszych rozmów oraz ze spisanych przez Elżbietę Lipton wspomnień z czasów dzieciństwa i młodości, zatytułowanych *Z dnia na dzień* – miał dwoistą naturę. Z jednej strony świętofranciszkański (istotne, że w Ameryce przeszedł po wojnie na katolicyzm), z drugiej – przejawiał cechy domowego tyрана. Był perfekcjonistą w swojej twórczości i podobnych cnót wymagał od bliskich. Często strofował żonę za, jego zdaniem, niewystarczającą dbałość o wygląd, choć Halina, przed wojną wysoka urzędniczka Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, z doktoratem uniwersyteckim, podpierała się nosem, pracując w charakterze bibliotekarki w nowojorskim Lycée Française, wychowując córkę i zajmując się wszelkimi obowiązkami domowymi.

Meloman i miłośnik kotów, uważał, że ich kotka podziela z nim uwielbienie dla Brahmsa i często nastawiał jej płyty z jego symfoniami, bacząc na jej miauczące reakcje. Skoro kotka przejawiała uzdolnienia muzyczne, to tym bardziej powinna je być posiadać jedynaczka Wittlinów. Ojciec postanowił wykształcić ją na pianistkę, wysyłając na lekcje fortepianu do Artura Toscaniniego, mieszkającego w czasie wojny po sąsiedzku w dzielnicy Bronksu Riverdale. Elżbieta tymczasem miała zdolności plastyczne, a nie muzyczne. Udało się jej wyzwolić spod kurateli ojca dzięki nauce w średniej szkole sztuk wizualnych oraz bardzo wcześnie zawarłemu małżeństwu.

Wittlin, z natury hipochondryczny, rzadko wychodził z domu, bez reszty zajęty lekturami, pisaniem, a przede wszystkim cyzelowaniem przez całe lata przekładu *Odysei*. Odnoszę wrażenie, że była to jego achillesowa tarcza, chroniąca przed dotkliwościami świata. Żył ze skromnych honorariów z Radia Wolna Europa oraz z tekstów zamieszczanych w pismach emigracyjnych – z „Kulturą” na czele. Giedroyc, współpracując z nim od samego początku istnienia Instytutu Literackiego, dopiero w 1963 roku wydał mu, w subskrypcji, zbiór esejów i felietonów literackich *Orfeusz w piekle XX wieku*. To dzięki wstawianictwu Wittlina zdecydował się ogłosić w 1953 roku, i to jako pierwszy tom serii

Biblioteka Kultury, Trans-Atlantyk. Ślub Gombrowicza. Nowojorski samotnik napisał do niego wstęp, gorąco wychwalając dzieło. Książka, jak się można było spodziewać, rozjuszyła część Polaków na uchodźstwie, a odium ich świętego oburzenia spadło także na Wittlina. Tragikomiczną historię tego zamieszania znam z listów Gombrowicza do Wittlina, opracowanych przeze mnie do druku w księdze *Gombrowicz Vingt ans après* pod redakcją Rity Gombrowicz. Wittlin wyrażał w nich obawy, że planowana podczas Odwilży edycja *Trans-Atlantyku* w Polsce, z jego wstępem, spowoduje zerwanie przez Jana Nowaka-Jeziorańskiego dalszej z nim współpracy RWE, bowiem uchwałą Związku Pisarzy na Obczyźnie autorom na uchodźstwie nie wolno było publikować w PRL. W ten sposób pisarze na emigracji zostali wzięci w dwa ognie – nawet w krótkim okresie po Październiku mieli pod groźbą anatemy nie ogłaszać swych dzieł w Polsce, a istniejącym na Zachodzie oficynom brakowało środków finansowych, skutecznej dystrybucji i... chętnych czytelników.

Losy emigracyjne Wittlina mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby przyznano mu Literacką Nagrodę Nobla, na co się zanosilo. Wydana w 1935 roku *Sól ziemi* zebrała doskonale krytyki i zdobyła dwa lata później Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury. Powieść, aż czterokrotnie wznawianą w Polsce do wybuchu drugiej wojny światowej, szybko przetłumaczono na szereg języków europejskich. Wypowiadali się o niej z uznaniem tej miary twórcy co Joseph Roth, Alfred Döblin, Thomas Mann. Pech jednak chciał, że w 1939 roku literackiego Nobla otrzymał zapomniany dziś pisarz fiński Frans Sillanpää, piewca kultury chłopskiej, a w latach 1940–1944, z uwagi na wojnę światową, nagród nie przyznawano. Niemniej jednak w 1943 roku Wittlin otrzymał za *Sól ziemi* ważną nagrodę Amerykańskiej Akademii Literatury i Sztuki; powieść do tej daty doczekała się w USA dwóch wydań.

Gdy czytałam w Hiszpanii *Sól ziemi*, dokładnie w sto jeden lat od opisywanych w niej wydarzeń, cierpła mi skóra. Wystarczyło uruchomić w pokojach hotelowych telewizję na dowolnym kanale kablówki. Wszędzie pokazywano to samo: zamachy Państwa Islamskiego, łodzie z tonącymi uchodźcami, zapchane do granic wytrzymałości miasteczka na greckich i włoskich wyspach, obłężenie Eurotunelu w Calais, kryzys w Grecji, budowanie muru na Węgrzech, migawki z obozów i dantejskich scen na dworcach, manifestacje za i demonstracje przeciw setkom tysięcy cudzoziemców, w większości budzących lęk muzułmanów. I targi bezsilnych wobec tego pospolitego ruszenia polityków o kwoty przyjmowanych przez ich kraje migrantów. Czy to już przedwojnie, z wojną na skalę europejską, a może nawet światową, za rogiem? Powieść

Wittlina przemówiła do mnie teraz dużo silniejszym głosem niż w trakcie pierwszej lektury. A może po prostu do niej dorosłam?

Bo nie potrzeba przecież konwulsji historii najnowszej, by wciągnęła bez reszty. Nazywana często eposem, opowiada o pierwszym miesiącu Wielkiej Wojny, dokładnie od godziny piątej dwadzieścia rano 28 lipca 1914 roku do ranka 25 sierpnia, z perspektywy wcielonego do armii chudziaka z Pokucia, Piotra Niewiadomskiego. Mistrzowskim posunięciem Wittlina było zamknięcie akcji w tych datach. Czytelnik nie jest świadkiem rzezi frontowej, lecz przygotowań do niej przez aparat władzy Cesarstwa Austro-Węgierskiego. Co było potem – wiadomo. Wojna ogarnęła półtora miliarda ludzkości, czyli dwie trzecie kuli ziemskiej. Zmobilizowano ponad siedemdziesiąt milionów ludzi. Liczba zabitych i rannych wyniosła dziewięć i pół miliona. Jak na tak straszliwe spustoszenie, Wielka Wojna pozostawiła stosunkowo niewielkie świadectwo w literaturze pięknej w porównaniu ze swoją następczynią – drugą wojną światową. Zapewne i z tego powodu, że do wybuchu drugiej udało się przeżyć we względnym spokoju ledwie dwadzieścia lat. Słynnym i popularnym powieściom-świadectwom tej epoki, jak *Na zachodzie bez zmian* Remarque'a czy *Pożegnanie z bronią* Hemingwaya, *Sól ziemi*, śmiem twierdzić, nie ustępuje pod względem wyrazu artystycznego i moralnego. Dlatego, mimo osiemdziesięciu lat od jej pierwodruku, zainteresowanie nią w świecie rośnie. Najnowszym dowodem niech będzie zorganizowana wiosną 2015 roku międzynarodowa sesja naukowa w Madrycie, poświęcona jej autorowi, w tym *Soli ziemi*, istniejącej także w przekładzie na hiszpański. Wzięła w niej udział Elżbieta Lipton i moja serdeczna koleżanka ze studiów Anna Frajlch z nowojorskiego Columbia University, poetka i badaczka literatury.

Najbardziej cenię w *Soli ziemi* niedopowiedzenie. Groza czeka w kulisach. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak autor poradziłby sobie z opisem bitew, koszmarem życia w okopach, ostrzałem artyleryjskim, atakami z powietrza przy użyciu iperytu, zmasakrowanymi ciałami w szpitalach polowych. Chyba jednym z najbardziej przejmujących zapisów wojny w literaturze światowej są sceny z *Wojny i pokoju* Lwa Tołstoja. Bo cały ten dryl wojskowy na polach bitwy bierze w łeb i zamienia się w potworny, ociekający krwią chaos.

Wybór bohatera też okazał się mistrzowskim pociągnięciem Wittlina. Wspomniani Remarque i Hemingway w lekko zawoalowanej formie przedstawili w powieściach samych siebie. Wittlinowi – jak sam autor wspomina we wstępie – Piotr Niewiadomski ukazał się w trakcie przechadzki po paryskim placu Zgody jako pasterz gnający w tej niecodziennej scenerii stado bydła.

W trakcie pisania powieści zmienił mu zajęcie. Ten prostaczek boży z matki Hucułki i ojca Polaka, który szybko porzucił kobietę po splodzeniu z nią dwojga dzieci, zostaje wyrwany ze swojego mikroświata na odległych Kresach, gdzie z tragarza awansował na pomocnika zawiadowcy stacji. Mający sporo grzeszków za uszami, bardziej kocha psa Basa niż swoją dziewczynę Magdę, ale marzy mu się naręczona z posagiem. Ubolewa nad panieńskim synkiem swojej siostry, zmarłym w dzieciństwie. Czci nieżyjącą matkę, która pojawia się mu jako zjawa senna, jakby ostrzegając przed strasznym losem. Podległy rytmowi natury, zostaje poddany brutalnej dyscyplinie, by zostać statystą w *theatrum* wojny (swoją drogą, co za demagogiczne określenie – uczestnik drugiej wojny światowej Kurt Vonnegut nazwał je po prostu *Rzeźnią numer 5*).

Döblin, jako jeden z pierwszych pisarzy niemieckojęzycznych, zabierając głos na temat *Soli ziemi*, niezbyt trafnie porównał ją do *Przygód dobrego wojaka Szwejka*. Tytułowy bohater Haška wywodzi się jednak z tradycji powieści łotrzykowskiej, a jego gruby humor wojskowy niewiele ma wspólnego z kontemplacyjnymi myślami Niewiadomskiego, swego rodzaju chłopskiego filozofa. Co nie znaczy, że w *Soli ziemi* nie brakuje humoru. Jest on jednak dużo subtelniejszy w wyrazie.

Śledząc postacie oficerów, podoficerów i szeregowych żołnierzy, czytelnik uświadamia sobie, jak działa w wojsku Święta Subordynacja, słowo-klucz w *Soli ziemi*. W jej imię wyżsi rangą znęcają się nad niższymi i na każdym kroku upokarzają podległych sobie ludzi. A nawet sami zabijają swoich jeszcze przed zderzeniem z siłami przeciwnika. Chciwa mięsa armatniego komisja poborowa kwalifikuje jako zdolnych do służby niemal wszystkich, do których wysłano karty konskrypcyjne, bez względu na ich stan zdrowia, wiek, przekonania religijne. Potem upycha się ich w niezliczonych wagonach pociągów podążających do obozu szkoleniowego na Węgrzech.

Ta podróż przez bogate ziemie orne, oglądana oczami Piotra Niewiadomskiego, jest jedną z najbardziej przejmujących partii powieści. Prostaczek boży bezskutecznie usiłuje zrozumieć, dlaczego cesarz, w jego przekonaniu niemal równy Najwyższemu, wypowiada wojnę swojemu serbskiemu ludowi. Pragnie też dociec, jakie są intencje Opatrzności, w której łaskę dla wszelkiego stworzenia wierzy bez zastrzeżeń. Nie raz w trakcie lektury można odnieść wrażenie, że diabeł został stworzony, by w ten sposób uchronić dobre imię Pana Boga.

Epos Wittlina frapuje oryginalną metaforyką i bogactwem leksykalnym – dialektów, wtrętów z języków obcych, zlepków polsko-niemieckich czy

polsko-ruskich. Urodzony na Podolu i wychowany w dzierzawionym majątku ziemskim pisarz wcześniej w życiu spotkał się z różnymi odmianami mowy, charakterystycznymi dla wielonarodowościowego Cesarstwa. Dzięki temu stworzył wiarygodne, trójwymiarowe postacie. Nie tylko ten aspekt decyduje o mistrzostwie jego prozy. W ciągu dziesięciu lat pracy nad *Solą ziemi* w różnych krajach Wittlin zebrał ogromną dokumentację przedmiotu. Decydujące były jednak jego osobiste przeżycia w roli żołnierza Wielkiej Wojny. Już w sierpniu 1914 roku osiemnastoletni wówczas młodzieniec zgłosił się na ochotnika do lwowskiej formacji pod nazwą Legion Polski, wkrótce rozwiązanej za odmowę złożenia przysięgi władzom austriackim. W 1916 roku wraz z Josephem Rothem, przyjacielem ze studiów na Uniwersytecie Wiedeńskim, wstąpił do armii austriackiej. Przed rzezią na froncie włoskim uratowała go szkarlatyna, której skutki uniemożliwiły mu służbę w piechocie. Skierowano go na tyły, gdzie między innymi pełnił funkcję tłumacza w obozie jenieckim i w lazaretach. Ten pacyfista z najgłębszych przekonań zebrał więc mnóstwo doświadczeń, wykorzystanych po latach w jego *opus magnum*.

Powieść o cierpliwym piechurze miała być, jak wiadomo, w zamyśle jej autora pierwszą częścią trylogii. Rękopis rozpoczętej drugiej części podobno zaginął w czasie przeprawy Wittlinów przez granicę hiszpańską. Po wojnie pisarz podjął nad nią pracę, czego dowodem jest fragment zamieszczony w najnowszej edycji *Soli ziemi*. Jednakże – przypuszczalnie z powodu przypadłości znanej pod nazwą *writer's block*, często nawiedzającej pisarzy na emigracji – nigdy jej nie ukończył. Ów fragment nie ma już takiej siły ekspresji jak tom pierwszy, napisany silnie zrytmizowaną prozą. Wielu badaczy twórczości Józefa Wittlina uważa *Sól ziemi* za dzieło skończone i doskonałe właśnie w tym jednotomowym kształcie.

Ciekawi mnie, co miał wspólnego autor – znawca literatury antycznej, erudyta – ze stworzoną przez siebie postacią: niepiśmiennym mieszkańcem Pokucia, obarczonym na dodatek kiłą dziedziczną, lekko naruszającą mu umysł. Łączy ich nie tylko braterstwo broni. W przytoczonym w obecnej edycji *Post-scriptum do Soli ziemi po trzydziestu pięciu latach* Wittlin ujmuje to tak: „[...] sam stwarzał sobie metafory i mity, częściowo odziedziczone po przodkach. Był w tym podobny do poetów”.

VYTAUTAS KARALIUS

Aforyzmy

w przekładzie Leszka Szarugi

Patrioci stanowią problem: czasem jest ich zbyt mało, czasem zbyt wielu.

Czas: mur chiński wokół naszego niebytu.

Czas jest naszym złotem, my jego rdzą.

Grecy mieli mit o labiryncie. Gdzież nasz mit o płocie?

Poeta: drzewo szumiące bez wiatru.

Ulepszacze świata ulepszają świat bez ulepszania samych siebie.

Zmienia się oblicze świata: wciąż nowe blizny.

Ideologia: kurczący się horyzont.

Szkicowane na śniegu, budowane na piasku.

Demokracja: tysiąc i jedna rzeczywistość.

Nagość: ubranie robocze prawdy.

Szary żywot: codzienna kapitulacja.

Kto sam wszystko wymyśla, jest zawsze dobrze poinformowany.

Wszyscy wiemy, że mamy tylko jedno życie, lecz żyjemy nieprofesjonalnie.

Wielcy karierowicze rodzą się w windzie, mali – na schodach.

Teoretycy dróg bez wyjścia rodzą się w ślepych uliczkach.

Chce być dziennikiem, który piszą inni.

Kto wstępuje do głębi, nie ma narodowości.

Epoka: domy mody z listkami figowymi.

Tak wielka flaga, że całe państwo pozostaje w jej cieniu.

Jak wiele pokręconych żywotów za sprawą prostej partyjnej linii.

Jest jeszcze za jasno dla przebłysków ducha.

Życie coraz krótsze, lista pytań – dłuższa.

Teraźniejszość – ameba ciągle dzieląca się na przeszłość i przyszłość.

W szkole cenzury miał świetne cenzurki.

Kolumb jest tylko jeden. Po nim przybywają kolonizatorzy.

Umarła idea. Niech żyje myśl!

Życie naucza, śmiech koryguje.

Nowy Kartezjusz: Czekam, więc żyję.

Łzy odzwierciedlają więcej niż lustro.

Nieśmiertelna dialektyka: kraty i rdza.

Uśmiech psuje kompas fanatyków.

TATIANA MICHAJŁOWSKAJA

Splot słoneczny

w przekładzie Leszka Szarugi

Cień na mej drodze – liście nad tobą.

Jak chłodno. Ni dawna, ni późna miłość nie grzeje.

I wspomniano czasy, gdy nic nie było do wspomniania.

Niepowtarzalna rozkosz – być sobą.

Jestem kwiatem w twym cieniu, cieniu... cieniuj...

Głębia rozumu. Głęboko serce rani.

Czym wzruszasz Klio, prawdą czy fałszem?

Pozostać sobą w tłumie? Niemożliwe!

Przewróć stronicę – dzień zakończony.

Żyj lekko – jak czystość papieru między wierszami.

Półton i półcień – szczęście kobietą się zrodzić.

Przepięknie żaba w studni o miłości śpiewa.

Jak wszy na ciele – czołgi na ziemi.

Cienką warstwę kultury łatwo zmywa się krwią.

To lato z kalendarza ulata.

Roją się złote myśli, a wszystkie żądła jadowite.

Zło i złoto z jednego korzenia.

Donosiciel nie roznosiciel – to nie zawód, lecz powołanie.

Po prawej – lewizna, po lewej – prawość. Splątały się wszystkie drogi.

Na czele dwudziestego stulecia – morda hordy.

Uciekający czas, stygnące życie...

Przesypał się piasek z mej dłoni w twoją.

Na brzegu morskim cisza, gadają. Gadają, gadają, gadają.

Co ja robię? Cóż robić...

Karma: dziurawą kieszeń wieczności piaskiem napełniam.

Kłamstwo – jak po maśle, prawda – jak po grudzie.

Szept, szmer i szelest – oto cisza...

Co myślę o tobie? – „Co myślisz o mnie?...”

Zapisuję na piasku twardy znak, a piasek się osypuje.

STEFAN CHWIN

Dziennik 2015 (2)

Środa. Mistyczne ciasteczko orzechowe

Dzisiaj spotkanie z Krzysztofem N., prozaikiem mistycznym i redaktorem. Siedzimy w restauracji litewskiej na Starym Mieście, przy stoliku, w fotelach wyplatanych, pod parasolem, na brukowanym chodniku. Chłodno, przejrzysto, w górze chmury deszczowe, słońce w prześwitach nieba, początek września. Krzysztof N. zamawia kawę i ciastko orzechowe, my cepeliny w sosie śmietanowym.

I od razu iskrzenie. Cóż to się stało z Krzysztofem N., który zabawia nas miłą rozmową, ciesząc się znajomościami z Wisławą S., Julią H. i Czesławem M. oraz barwami magla literacko-towarzyskiego pisarzy, których z talentem umiał zaplątać w swoje sprawy? Umyty, łysiejący, higieniczny, w lekkiej marynarce, krągłogłowy, uważny, swobodny, z lekka zaczepny, ale cóż to, cóż to nagle za błysk, iskra – biblijne usztywnienie? Tak, w tej lekkości miękkiej, w tej swobodzie gadania jakaś twardość, jakaś pewność siebie kamienna? On wie, że po długim zbłąkaniu odnalazł wreszcie jedynie słuszną drogę i karci mnie za ironizowanie, nie lubi ironii, zagarnia mnie do metafizycznego kojca? – Ty metafizyczny być musisz – mówi do mnie. – Literatura dzisiejsza spisała zupełnie, bo w niej powagi metafizycznej brak. Tylko Bóg, tylko Bóg, tylko Bóg!

Chryste Panie, co się z nim porobiło? Tony surowe fanatyzmu religijnego słyszę, dzwony, korony cierniowe, czy ucho moje się myli? On wie, że odnalazł drogę jedyną i nas na nią zapędza, karci, podpycha! – Nie skakać z tematu na temat – upomina. – Tylko w głąb, w głąb drążyć! – dorzuca, kiedy ja swoim zwyczajem zachęcam go do walki na szpady, by myśl zamigotała nad stołem

w starciu i sporze, jak dwa skrzyżowane ostrza, co błyskają w słońcu. Uwieczony w Bogu jak w zalakowanej butelce? Zalutowany w blaszanej puszcze z napisem *Metafizyka*? Skąd on to wziął, że tak szczelnie utonął w Panu Bogu i chrześcijańskich wartościach?

I dobrze mu z tym, widać, bardzo dobrze, choć może on tak się tylko samoutwierdza, wmawiając sobie, że znalazł jedynie słuszną drogę w ciemnościach życia, pewny swego czy raczej mocno niepewny i tę pewność swoją mocno niepewną buduje w sobie i umacnia?

Dlatego taki z niego mono, gdy ja naprzeciw niego stereo? Ja stu głosami lubię gadać, bestia stulecyczna jestem, zmieniać lubię wcielenia, budować siebie i przekreślać siebie, mnożyć własne odbicia, sprawdzać siebie samego w zmienności, zaskakiwać siebie i innych – on tymczasem mnie upomina, że pisarz nie powinien zaskakiwać siebie i innych, tylko drążyć w głąb, w głąb, w głąb, do studni wewnętrznej Bytu schodzić, powoli, coraz głębiej. Jedności wewnętrznej pragnie, odczuwa potrzebę uprawiania kultu, chce mieć głowę z powagą pochyloną. Do tego potrzebny mu Bóg? Żeby żyć i myśleć uległe, żeby ulegać, podlegać? Przeklina pychę świecką, pokory pragnie? Uległość go cieszy? Ale dlaczego, ale co się z nim stało, że mu tak nie-pycha smakuje? Ciasteczko orzechowe drogi jedynie słusznej z rozkoszą zajada? Raduje się skrycie łamaniem pychy w sobie? Rozkoszą uległości? Pod głaszczącą dłoń miłującego Boga sam się pcha, bo to raduje go jak kota, co pcha się pod głaszczącą rękę?

Sybaryta pokory? Smakosz uległości wobec Potężnego? Lubi być przez Boga z lekka miłośnie poniżany? Ekscytuje się w mojej obecności absolutnym podporządkowaniem Mężczyźnie o imieniu Jahwe? Potrzebuje kogoś potężnego, surowego, mocnego, kto by go miłośnie zdominował, zamykał mu usta, podporządkowywał?

Na to chyba wygląda. – Bóg nas kocha! – wykrzykuje, gdy spod nagłego, zimnego deszczu, co bębni po płóciennych parasolach jak groch sypiący z nieba, zrywamy się z wyplatanych foteli i wbiegamy do restauracji. – Rozumiesz? Bóg nas kocha! Miłość! Miłość! Miłość!

A mnie to z lekka wścieka, że on tak zręcznie się urządził, że problemy, z którymi ja się zmagam, gumką z siebie wygumkował, moszcząc się w słodkim gnieździe jedynie prawdziwej wiary. Taki sprytny. Spokój ducha odnalazł w religijnym niepokoju.

Zadowolony z siebie, apostołski, tłumaczy nam, zagubionym, że Bóg, tylko Bóg, bo bez Boga wszystko na nic. – A Gombrowicz – dodaje – skończył

się, bo błaznował i jedyne, co z niego ocaleje, to to, co on napisał o diable. Metafizyka! Metafizyka!

Sam uprawia kult Becketta, uległy, poddający się Beckettowi, robi z niego Boga literatury, wpatrzony, zapatrzony, jedzie do Paryża, by wędrować śladami Becketta. A gdyby tak wędrować swoimi śladami, gdyby dróżką własną, bez żadnego Becketta, bez żadnej Bożej uległości? Ale gdzie tam! Jemu to smakuje, takie przerabianie siebie na skałę wiary prawdziwej. Intelktualistów nie lubi, bo – żałośni – grami pustymi się zabawiają, zamiast głowę z powagą skłonić. Wielbić chce, żeby sobie wygodnie wypocząć w wielbieniu?

I podejrzenie: całe Biblii na sto procent nie przeczytał, chociaż o Bogu rozprawia ze swadą. Tak, nie przeczytał na sto procent, ale co do Boga ma pewność stuprocentową. Mówię do niego, siadając za stołem w mokrym płaszczu: – Chcesz wiedzieć, jakie są najstraszniejsze słowa w Biblii? Nie będziesz miał Bogów cudzych przede mną! Czy ty wiesz, ile nieszczęść te słowa na biedną Ziemię ściągnęły? To jest przykazanie nienawiści wobec wszystkich, którzy wierzą w innego Boga niż Jahwe. – Co ty mówisz! – wykrzykuje do mnie, kręcąc głową. – To tylko Miłość, Miłość, Miłość! Jak dziewczyna kocha, to wtedy mówi: „Kochaj tylko mnie, kochaj tylko mnie”. I Bóg do nas mówi tak samo jak ta dziewczyna. Bo nas kocha! Rozumiesz? Z miłości to mówi! Z miłości! Bo samą Miłością jest!

Mówię: – Ty chyba Biblii nie czytałeś. Tam jest napisane: Mieszkańcy jednej wsi zgwałcili kobietę z drugiej wsi, wtedy ci z drugiej wsi rzucili się na pierwszą wieś i wymordowali wszystkich mieszkańców. A po tej opowieści o wymordowaniu wszystkich jakie w Biblii następują słowa? I Bóg im błogosławił. Napisane jest wyraźnie: I Bóg im błogosławił! Tym, co mordowali.

– Co ty mówisz? – Trochę dziwi się. – Gdzie, w jakiej księdze to jest? – To sobie przeczytaj! – odkrzykuję. – I tak wstajemy od stołu, wychodzimy z restauracji, idziemy pod Złotą Bramę ulicą Długą, do tunelu, do tramwaju, wykrzykując, aż się ludzie oglądają za nami. O rozkoszy! O, krew szybciej płynie, o, serce mocniej bije, gdy tak przez miasto idziemy na tramwajowy przystanek pod jasnym niebem, wykrzykując głośno nasz spór teologiczny, który żadnym sporem nie jest, bo to tylko dwa nasze szczelnie zamknięte monologi zderzają się we wrześniowym powietrzu, sypiąc iskrami. A on do mnie: – Bóg jest Miłością, Miłością, Miłością! – Mówię: – Ładna mi miłość, błogosławić tym, co całą wioskę mordują z zemsty za zgwałconą kobietę. Prawdziwy biblijny cukiereczek miłości.

Wystarczy przeczytać Biblię, by stracić wiarę w Boga?

– A poza tym – czuję, jak mi krew mocniej uderza w sercu – ja zupełnie nie jestem zainteresowany zbawieniem, tak jak o nim mówi Pismo. Ja nie chcę być zbawiony za cenę strasznej męki Niewinnego. Ja takiego zbawienia nie pragnę. Ja takie zbawienie odrzucam. Nie zgadzam się. Nie wyrażam zgody. Nie chcę. – Wychodzimy z tunelu na przystanek, nadal wykrzykując nasz spór teologiczny, aż się ludzie za nami oglądają – on w lekkiej, przewiewnej marynareczce, ja w czarnym płaszczu – a lud przystankowy, zdziwiony, na nasz widok rozstępuje się przed nami. – Ty na nic nie możesz się zgadzać czy nie zgadzać! – krzyczy do mnie Krzysztof N. – Bóg postanowił, że ciebie zbawi i tyle. Ty nic nie masz do gadania! To pycha! To grzech pychy przez ciebie przemawia! – Ja nie chcę, by ktoś za mnie krew swoją przelewał! Odmawiam! Po prostu odmawiam! – odkrzykuję mu w zgiełku tramwajów, autobusów i tirów. – Ty nic nie masz do odmawiania! – on woła do mnie poprzez warkot i szum samochodów, co przejeżdżają obok, aż przystanek drży. – Bóg jest Miłością! Miłością! Miłością!

A Krystyna tylko przygląda się nam, unosi brwi i naraz krzyczy na widok tramwaju, który wypływa arką czerwoną zza drzew na Hucisku: – Musimy wracać do domu, wnuczka na nas czeka! – A gdy tramwaj wjeżdża od strony Huciska na przystanek, chwyta mnie za łokieć, wciąga do wagonu, wsiadamy, drzwi się zamykają, dzwonek, odjeżdżamy.

A ja żałuję! O, jak żałuję, że już się skończyło to nasze teologiczne wykrzykiwanie na tramwajowym przystanku w chłodnym słońcu września, żałuję, że krew mi już zwalnia w żyłach, że serce już się uspokaja, że bije coraz spokojniej, rozsądniej, odpowiedzialniej, gdy tak odjeżdżamy tramwajem w stronę Siedlec, patrząc z tramwajowego okna na oddalającą się sylwetkę Krzysztofa N., który macha nam ręką z przystanku, żałuję, że już nie mogę się z nim ścierać, spierać, naparzać, kłócić, krzyczeć, milczeć...

I Bogu dziękuję, że jest na Ziemi taki stwór niezwykły jak Krzysztof N.

Środa, 19.30. Sychem i Miłość

W ferworze ulicznego sporu teologicznego z Krzysztofem N. wspominałem o dwóch biblijnych wsiach, z których jedna wymordowała drugą. W rzeczywistości chodziło o sprawę Sychemy i Diny, córki Jakuba, która to sprawa w *Księdze Rodzaju* (34, 1–31) przedstawia się zresztą dość podobnie jak ta, o której mówiłem.

Oto Sychem, syn Chamora, zgwałcił Dinę. Bracia Diny, synowie Jakuba, w odwecie zabili nie tylko Sychem i jego ojca Chamora, ale też wyrznęli w pień całe miasto, w którym Sychem z Chamorem mieszkali. Porwali i uprowadzili też siostrę Sychem – można domyślać się, w jakim celu. Potem synowie Jakuba chodzili po domach pomordowanych i niszczyli wszystko. Ukradli też cały dobytek mieszkańców, stada bydła, uprowadzili dzieci i kobiety.

Właśnie dzięki temu straszliwemu odwetowi – jak czytamy w Biblii – synowie Jakuba zapewnili sobie zupełną bezkarność. „Na mieszkańców zaś okolicznych osiedli padł taki strach, że nikt nie odważył się ścigać synów Jakuba”.

Co zaś na to wszystko Jahwe? Na to mordowanie wedle haniebnej zasady odpowiedzialności zbiorowej? Ano, nic.

W Biblii mogły się znaleźć słowa: „Jakubie – powiedział Pan – winny był tylko Sychem. Synowie twoi krwi niewinnych niechaj nigdy nie przelewają”. Ale w Biblii takich słów zabrakło.

Co zamiast tego w Biblii czytamy? Oto po paru dniach od straszliwej rzezi miasta Sychem Jahwe ukazał się Jakubowi – i błogosławił mu! Tak, zupełnie spokojnie błogosławił mu, jakby nic się nie stało.

Z pewnością jest to więc opowieść o Bogu Miłości.

Gorącej miłości do swoich i jak najsurowszej nienawiści do nie-swoich.

Czwartek. Wdzięczność

O, cóż to za rozkosz tak spierać się w rzeczach teologii! O, cóż to za żal, że nie urodziłem się w średniowieczu! Bo dzisiaj skąd ja wezmę kogoś, kto zechce się spierać ze mną w żarliwości zapiekłej, teologicznej? Takie spory nikogo nie obchodzą. Jakieś awantury teologiczne? Co komu do tego? A ja dopiero wtedy rozkwitam, gdy w teologicznej zaciętości łowię teologiczne sprzeczności, paradoksy, niebiańskie skrzyżowania, zawirowania, zderzenia, rozjaśnienia, blaski i ściemnienia idei. O, cóż to za rozkosz podwójna tak debatować w chłodnym wrześnieowym słońcu o tajemniczej, podwójnej naturze Jezusa – bosko-cielesnej, deliberować o zagadkach Jego płci, prostacko pytać, czy Jezus był mężczyzną, a jeśli był mężczyzną, czy odczuwał pociąg do kobiet i co produkował z cedrowego drewna jako stolarz w warsztacie Józefa.

Idę ulicą Piwną w stronę ceglanej góry kościoła Mariackiego, która się piętrzy pod słoneczne niebo w ciemnym tunelu Gdańska i fale wdzięczności

zalewają mnie za wychowanie katolickie, jakim obdarowała mnie Matka, za wtajemniczenie w baśń o Golgocie, którą żywię się jak chlebem, co chwila wyciągając z niej krwawą nitkę, z której haft literacki w moich powieściach wyszywam. O, piękne, o, straszne, o, okropne, o, zachwycające wychowanie katolickie, które mnie okaleczyło, wzbogaciło, osłabiło, wzmocniło. O, kościoły – groźne, zachwycające, przerażające Arki – bez których świat byłby jałowy, o, katedry gotyckie, o, katedro w Oliwie, cudzie dziewiątym świata, któraś mnie wykołysała w gotyckiej kołysce do buntu, niezgody, zaciekłości pieniacej w rzeczach teologii, o, samotności moja katolicko-antykatolicka. Wdzięczność moja niezgłębiona wzbiera do Eklezji za witraże w Akwizgranie, za katedrę w Kolonii, za katedrę Notre-Dame, za cmentarze dziko zarosnięte na wrzosowiskach Irlandii, za klasztory pod Barceloną, za twierdzę na Jasnej Górze, za kościół Świętego Mikołaja, za kościół Świętej Trójcy, za kościół Świętej Barbary, za gdańską bazylikę Mariacką, której chłodny cień przysłaniał moje dzieciństwo. O, wieże podniebne, o, absydy, prezbiteria, transepty, ambity, rozety, fiale, pinakle, o, nawy główne i boczne! Kim ja bym bez was był, gdybym nie mógł walczyć z wami jak Jakub z Aniołem.

Czwartek wieczorem. Piękno teologii

Święty Augustyn przekonywał, że akt Stworzenia był czystym dobrem.

Akt stworzenia nie był ani dobry, ani zły. Nie było żadnego Stworzenia i nie będzie żadnego Końca. Wszechświat istniał zawsze i będzie istniał zawsze. Zmiana i ruch, początek i koniec są tylko złudzeniem naszych oczu.

Być agnostykiem, który kocha język religii i lubi nim mówić. Wędrować po morzach teologii dla samej przyjemności ucha. Rozkoszować się zawiłą architekturą pojęć, podziwiać Rozum Religijny w działaniu, bać się go i podziwiać, tak jak rozkoszujemy się widokiem gotyckiej katedry, która – jako erotyczny akt materii martwej, która w mrocznych wiekach zapragnęła stać się Geometrią – jest sprzeczna sama ze sobą. Pielęgnować w sobie wdzięczność dla Eklezji, bez której nie byłoby tego zachwycającego gmachu pojęć, równie pięknego jak witraże katedry w Akwizgranie. Żadna świecka myśl nie jest w stanie zbudować czegoś równie pięknego. To, czy Bóg istnieje, czy nie istnieje, nie ma żadnego znaczenia dla duszy, która kocha katedrę.

Środa, godzina 15. Siostra Faustyna

Słucham w prawdziwym natchnieniu *Dzienniczka* siostry Faustyny, który nadaje katolickie radio. Jakież to talent wiekuisty Kościoła, jakież tupet eklezjalny tak pokazywać wiernym ten wybuch erotyzmu jako sprawozdanie z rajy duchowych cierpień, które słońcem mistycznym opromieniały to zduszone kobiece życie świętej mniszki, szukającej rozpaczliwie światła. Jakież to ona miała rozdęte Ego, z definicji antykatolickie, jakimiż to rozdęte Ego musiała kutować wybuchami pokory, by w nocnej ciszy osiągnąć mistyczny orgazm ostatecznego wtajemniczenia. I co za interakcyjny sukces! Mała, drobna gruzliczka, pomiatana przez wszystkich, chłopka z Głogowic z trzema klasami szkoły powszechnej, wielokrotnie nieprzyjmowana do zakonu, służąca u tercjarek, kucharka, ogrodniczka, furtianka, sprzedawczyni w sklepie piekarniczym, drugorzędna wśród koleżanek mniszek, szara, zepchnięta na margines – potrafiła wypchnąć samą siebie na pierwszy plan, skupić na sobie uwagę tych, którzy ją lekceważyli, postawić na baczność cały zakon, zbudować siebie wbrew wszystkim, pokonać duchowo nawet samą szefową zakonu i własnego spowiednika, tak że musiał uwierzyć, że została osobistą sekretarką Jezusa, który – jak z literackim talentem umiała opowiadać – odwiedzał ją w klasztornej celi i osobiście z nią gadał. A wszystko dzięki genialnej, kiczowato-poetyckiej ekspresji, dzięki tupetowi metafizycznemu, koronkowej autokreacji, żarliwej, niewyrozumowanej, spontanicznej,

I ta siła cielesnej frustracji przekuta w mistyczne wzloty, ta wola pójścia do końca za własną legendą, ten brak skrupułów w stanowczości oświadczeń, że Boga ma na wyciągnięcie ręki, że gada z Nim, że Go widzi. Bolesne, niespełnione pożądanie przekute w miłość do mistycznego Oblubieńca, pragnienie cielesnego dotknięcia zakłęte w metaforach Boskiej bliskości. Cudowne przeistoczenie zakonnej myszki w zakonną celebrytkę, która bez trudu, z duchowym rozmachem łączy dumę z pokorą, kompleks marginesowości ze wzlotem pod Niebiosą, mizerną kruchość z potęgą oddziaływania na ludzi. Pragnie cierpienia i rozkoszuje się cierpieniem, głodna mocnych doznań, frunie na hiperboli w słońce ekstaz mistycznych. I ten poryw kobiecych uczuć do Oblubieńca – mężczyzny oczyszczonego z męskości – Kościół podaje wiernym jako mistyczny ekstrakt niecielesnej czystości do naśladowania.

Cóż za potężna mądrość Eklezji, która wszystko potrafi przerobić w jasność, byleby tylko intensywne uczucia królowały w przekazie wiary i zniewalały krnąbrne serca i umysły. Ekstatyczna mistyczność siostry Faustyny spadła

im z nieba, choć najpierw wahali się, czy nie uznać jej za osobę szaloną, bo w 1933 roku po prostu wysłali ją do psychiatry w Wilnie, ale ona świetnie mieściła się w ortodoksji, balansując na samej granicy, więc czegoż chcieć więcej? Boże szaleństwo w wykonaniu zakonnej myszki, szarej, zgniecionej, ukrytej, nagle rozbłyskuje blaskiem bezpośredniego kontaktu z Bogiem i przyciąga uwagę wszystkich, zmieniając myszkę w Nadzwyczajnie Ważną Osobę, VIP-a Kościoła, lidera wiary prawdziwej?

Ale mnie co do niej? Czego szukam w tej dziwnej kobiecie, czego w niej wypatruję z taką zaciekłością, podkrecając gałkę radia, by jej głos rozbrzmiewał donośnie? Zazdrość, że była zdolna do takiej namiętności, do takiej siły przy swoim cielesnym mizeractwie, że z taką zręcznością umiała przeobrazić siebie w hiperbolę uczucia, zapierającą dech w piersiach wszystkim, którzy jej słuchali? Że zwyciężyła, chociaż nie miała szans na zwycięstwo? Że ustawiła wszystkich na baczność, jak chciała? Bo w 1959 roku Watykan zakazał publikowania jej mistycznych myśli! Tak, Kościół wydał kategoryczny zakaz! Arcybiskup Jałbrzykowski potępił ideę nabożeństwa do Miłosierdzia Bożego, którą żarliwie promowała. A potem – jak gdyby nigdy nic – Kościół uświęcił ją uroczyście, wyniósł wysoko na ołtarze, pokazał całemu światu, cenzorzy kościelni wydali nader pochlebny opinię o jej mistycznych myślach, dotąd przez Kościół potępianych do szczytu, odwołano zakaz szerzenia kultu Miłosierdzia Bożego i sam papież Jan Paweł II zaczytywał się w jej *Dzienniczku* namiętnie! Sam wielki papież żywił się mistycznym pokarmem jej ekstaz podniebnych, wcześniej zakazanych przez Stolicę Apostolską! A na dodatek rozpoczęto starania, żeby mniszkę z trzema klasami szkoły powszechnej ogłosić... doktorem Kościoła, koleżanką bliską i serdeczną giganta teologii, świętego Augustyna z Hippony! Pełny triumf!

Piątek. Ucho

I ta straszna myśl, że ona umrze. Nie mogę spać, jak o tym pomyślę. W ciemności pochylam się nad nią, przysuwam ucho, nasłuchuję, czy oddycha. Egoizm: chciałbym umrzeć przed nią, żeby nie widzieć, jak ona umiera? Przyspieszyć swoją śmierć, żeby to ona mnie pochowała? Kto z nas będzie pierwszy? Ona czy ja? To już gdzieś postanowione? I tylko zbliżamy się do z góry wiadomego rozstrzygnięcia, które czeka na nas od urodzenia? Już od dawna wiadome jest, czy to będę ja, czy to ona będzie pierwsza, tylko my jeszcze tego nie wiemy, bo mamy oczy zakryte? Ale wszystko jest już przesądzone?

Sobota, noc. Traktat o drylowaniu wiśni

Dzisiaj nie czytam świętego Augustyna ani Maritaina.

Dzisiaj drylujemy wiśnie.

Kupiłem całe wiadro. Niosłem przez osiedle w różowym wiadrze, ubrany w meksykańską koszulę i kapelusz z Colorado. Upał!

A teraz siedzimy przy okrągłym stole w kuchni i drylujemy wiśnie. Ona i Ja. Robimy to od lat. Taki wakacyjny rytuał.

Na stole dwie porcelanowe miski, białe, głębokie, w miskach świeżo umyte wiśnie. Drylujemy. Gołymi palcami. Żadne tam metalowe drylownice, tylko gołe palce. Owoc ugina się pod paznokciem, skórka lśniąca pęka, sok tryska, biała pestka wyskakuje na talerz. Mamy ręce w wiśniowej krwi. Na twarzach, na nosach, na powiekach, na policzkach różowe kropki.

O, wspólne drylowanie wiśni i święte słowo Razem! Nie spieszymy się, górka wydrylowanych owoców rośnie powoli, ale jakaż to radość wiedzieć, że się ma czas, który nie goni. Wiśni jest dużo: dwanaście kilo. A co? Jak drylować, to z rozmachem, rozrzutnie i hojnie!

I co kilka chwil patrzymy na siebie, i co parę chwil wybuchamy śmiechem. Za oknem sierpniowy upał, morze sine, zamglone, w kuchni chłód i niczego nam nie potrzeba. Siedzimy i popatrujemy na siebie. Ja na Nią. Ona na mnie.

O czym mówimy? O niczym. Mruczmy coś pod nosem, coś tam sobie podśpiewujemy z czubkami palców fioletowymi od wiśniowej krwi. Do której godziny drylujemy? A do pierwszej w nocy! Noc nam spolegliwie towarzyszy, szeroka, rozległa, błogosławi nam z wysoka, spiętrzona czarnym sklepieniem nad Gdańskiem, pocięta światłami i czerwoną iskrą latarni morskiej u wejścia do portu, którą widzimy z okna.

Drylujemy, żeby zjeść? Ach, nie. Cała piwnica jest pełna przetworów – sprzed lat dwudziestu, których nie tykamy. Trochę pewnie zjemy, trochę rozdamy, trochę będzie stać w słojach na szafie. Baterie słoje, a w nich rozjaśnione owoce w ciemnorubinowym płynie. Sam widok wystarczy, taka radość! Żaden malarz nie namaluje równie pięknej barwy. O, piękna sztuka kuchennego piękna, pogardzana przez głupców, o, estetyko wilgotnego dotyku, o, barwo pękniętych wiśni, rubinowego światła, które załamuje się w szklance, do której zlewamy nadmiar soku. Podgrzewanie karminowoczarnej masy owoców w błyszczących garnkach, które parują zapachem letniego ogrodu, silnym

aromatem drzew odziobywanych przez szpaki i drozdy. Skromna radość tak znaleźć w palcach wiśni z białą ranką po ptasim dziobie i zielony listek żółto zmarszczony na brzegach.

I nie możemy uwierzyć, że się nam tak udało. Drylujemy wiśnie, któryś już rok z rzędu i wcale nas to nie nudzi. Siedzimy przy stole, obok siebie, ja i Ona, a za oknem obłoki układają się w paradę powietrznych statków nad Westerplatte, nad Brzeźnem, nad Oliwą, nad Żabianką. Co za cud! Czas spokojny, żadnej wojny, nikt do nas nie strzela. Niepojęte! Jak inne było życie naszych rodziców. Cóż oni przeszli. A my drylujemy wiśnie w chłodnej kuchni z widokiem na Zatokę Gdańską, bo Los niepojętym kaprysem pozwolił nam na drylowanie wiśni, więc drylujemy je sobie w spokoju z cichym wyrzutem sumienia. Czym sobie zasłużyliśmy? I czym ja sobie zasłużyłem, że Ona chce ze mną drylować wiśnie po raz dziesiąty, że nas to nie męczy i nie nudzi. Skąd ten niezasłużony dar? Dlaczego Los się z nami tak dobrze obszedł? Że pozwolił nam starzeć się razem – niedostrzegalnie, bo zmian, które nas dotyczą, umiemy nie widzieć. Jej obecność przesłania mi wszystko, a ruch palców drylujących wiśnie przypomina sceny z dawnego naszego życia. W jej misce – wiśnie, w mojej – wiśnie, a potem zsypujemy z naszych misek lawinę owoców do głębokiego szkła i zasypujemy śnieżną górą cukru, która od razu różowieje na brzegach ciemną wilgocią, kryształki cukru skrzą się, wiśnie puszczają sok, słońce, palce umoczone w karminowej czerwieni.

Na bieli czerwień, na śniegu krew, rozlane wino.

A nad nami sufit z zawieszoną jemiolą, a jeszcze wyżej niebo.

Czegóż chcesz więcej, skoro Ona jest ze mną, a ja z Nią?

MICHAŁ GŁOWIŃSKI

Małe szkice

Trochę komparatystyki

Po wielu latach przerwy sięgnąłem po *Beniowskiego*; poemat Słowackiego jest jedną z wielkich niezwykłości i wspaniałości języka polskiego, należy do jego cudów. W *Pieśni V* natrafiam na taką oktawę:

Za Sawą weszło dziewczę z gołębiami,
Pies lasił się, koń rżał, ptaki gruchały.
Brylantowymi jeno źródło skrami
Padało z tętmem, lejąc się ze skały. –
Idyllę moją pies cokolwiek plami
Przeszłością; ale któż jest doskonały? –
Pies więc i grotą, koń, gołębie, trzoda;
Spokojne słońce wschodzi, mruczy woda.

Od razu przypomina mi się często przywoływana ironiczna formuła padająca w zakończeniu sławnego i znakomitego filmu *Nobody's Perfect*, będąca groteskową pointą komediowej fabuły. Analogii trudno zaprzeczyć, narzuca się sama przez się, i to z dużą siłą. Wspomaga ją wiedza o biografii reżysera. Billy Wilder, młodszymi czytelnikom przypominam: twórca kilkudziesięciu filmów, w tym *Pół żartem, pół serio*, urodził się w Suchoj Beskidzkiej. Nie wiem, kiedy ją opuścił, mogę jednak zastanawiać się, czy w dzieciństwie, które spędził w tym miasteczku na początku dwudziestego wieku, nie dotarło do niego to i owo z wielkiej polskiej poezji. Jeśli zaś jest to przypadek jedynie, to również wart odnotowania.

4 V 2015

Muzyka oswojona

O tym wydarzeniu, a właściwie awanturze, jaka wybuchła wśród znawców i miłośników sztuki, bywalców muzycznych i teatralnych prezentacji w ówczesnej stolicy kulturalnej świata, pamiętano przed dwoma laty, kiedy miała setna rocznica owej głośnej premiery. Głośnej w sensie dosłownym, bo wiązała się z hałasami dochodzącymi od strony protestującej widowni. Trudno zaprzeczyć, muzyka też była głośna, co niewątpliwie raziło ówczesnych słuchaczy i wchodziło w konflikt z przyzwyczajeniami mniejszej lub większej ich części. Dzisiaj już się tego niemal nie wychwytuje, w ciągu stulecia zmieniły się konwencje, jedno tylko jest pewne: *Święto wiosny* Igora Strawińskiego jest arcydziełem i nic nie zagraża jego pozycji na muzycznych szczytach dwudziestego wieku. Kiedy go słucham, trudno mi byłoby się domyślić, że wówczas, gdy stanowiło premierową nowość, budziło tak silne emocje i skłaniało do ostrych protestów. Dla mnie to muzyka oswojona, wspaniała, zawsze chętnie słuchana. Gdybym nie wiedział, co się działo w czasie pierwszego wykonania, nigdy bym nie przypuszczał, że to imponujące dzieło mogło stać się powodem skandalu. Rozpoczyna się ono od solo fagotu, wykonującego melodię niemal kantylenową, wpadającą w ucho, łatwą do zapamiętania. Z pewnością nie ono wywołało niezadowolenie, a w niektórych wypadkach może nawet odrazę. Poszło niewątpliwie o niesamowicie ostre rytmy, które były wynalazkiem Strawińskiego, a także o niespodziewane i zaskakujące brzmienia, osiągnięte dzięki nowatorskiej instrumentacji. Dzisiaj ani jedno, ani drugie nie szokują, zostały oswojone. Stało się tak dzięki temu, że *Święto wiosny* jest często wykonywane i nagrywane, ale także dzięki późniejszym utworom Strawińskiego i – paradoksalnie – za sprawą niezliczonych kontynuatorów i epigonów, którzy jego genialne pomysły przejmowali, na różne sposoby rozwadniali, zapoznając z nimi pośrednio publiczność. Na szczęście ich nie zbanalizowali i nie strywializowali. Nowatorskie arcydzieło Anno Domini 1913 stało się w ciągu stulecia pełnoprawną klasyką w najszlachetniejszym gatunku.

Singelka

Pamiętam to słowo z lat młodości, używane w jednym tylko kontekście – brydżowym. Singel to jedyna karta w danym kolorze, jaką gracz otrzymał. Ze słowników dowiaduję się, że występuje w kontekstach sportowych, a także oznaczało pewien typ płyty – małej, takiej, na której stronie znajdował się jeden tylko utwór, zazwyczaj piosenka. Znaczenia te nie zanikły, słowo jednak zmieniło zakres i charakter, odnosi się obecnie do ludzi i ludzkich sytuacji: singel to mężczyzna żyjący samotnie – z wyboru bądź z jakichś innych przyczyn, pozbawiony najbliższej rodziny, najczęściej zastępuje „starego kawalera”, choć może odnosić się także do wdowca bądź rozwodnika. Piszę tu konsekwentnie o formie męskiej, a czynię to świadomie, ukształtowała się bowiem w ciągu ostatnich kilkunastu lat forma żeńska: singelka. I to właśnie wydaje mi się najważniejsze, bo tworzy nadzieję, że zastąpi, a w pewnym momencie całkiem wyruguje „starą pannę”, a więc formułę odnoszącą się do sporej liczby kobiet, nasiąkłą złymi konotacjami. Według dawnej wizji świata, utrwalonych choćby w realistycznych powieściach powstałych w dziewiętnastym wieku, można było być „starym kawalerem” z własnej woli, możliwość taka nie była dana „starym pannom”. Słowa te na ogół służyły dyskwalifikowaniu: to osoba, z którą nikt nie chciał się związać, bo brzydula albo posagu pozbawiona, skazana na wegetację w domostwie krewnych, podrzędna, wykorzystywana do różnego rodzaju gospodarskich robót. A przy tym rozgoryczona i zgorzkniała, zawistna i złośliwa. W dzisiejszej naszej mowie „stara panna” byłaby pozostałością po od dawna nieistniejącym świecie; o tym, że zmieniły się kwalifikacje wieku, nawet nie wspominam, to oczywistość. „Singelka” jest pod każdym względem neutralna – z równym powodzeniem może się odnosić do młodej dziewczyny, jak i pani, która już przed laty przekroczyła granice wieku balzakovskiego. I stanowi doskonały przykład tego, jak ewolucje obyczaju wpływają na przekształcenia naszej mowy.

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI

Addenda (39)

Gwałtowny wiatr i szybki ruch obłoków.

Pod murami, w stronę ruin, nad strugę pod Danzkerem.

Przez Bramę Wschodnią do środka.

Miejsce zamknięte i otwarte na cztery strony świata.

Harce, hulanki diabła, i jego zasadzki.

Hart ducha i moc, która przybywa z czterech stron.

Światło i głos – Mohl, jego sprawa i jego historia.

Żdźbło, kłos, ziarno i żniwo.

Dar i macki diabła.

To, co osłabia i to, co umacnia – na zewnątrz i we wnętrzu, w środku.

Czczą bałwany i bożki, służą im i myślą, że sobie dogadzają i pracują na swoją korzyść.

Nie wiedzą, co czynią? Nie wiedzą, czym jest wstyd?

Czarna noc, nisza, nic.

To samo terytorium, te same odległości, ta sama zabudowa i ci sami ludzie, którzy tu byli.

Określenia miejsc w Piśmie: przy steli w Sychem, pomiędzy Betel od zachodu i Aj od wschodu, pod Hebronem przy dębach Mamre, pod terebintem w Ofra, na pustyni pod jednym z janowców, na stepach Moabu, w synagodze w Kafarnaum, po drugiej stronie Rzeki, w Mieście.

Od Wejścia 33 do Wejścia 31 i z powrotem.

Żółto-czarne, żółto-zielone i żółto-brązowe łodzie z czarnymi, czerwonymi, niebieskimi, granatowymi i pomarańczowymi chorągiewkami.

Przy Wejściu 18, gdzie kiedyś razem z Janem i Teresą.

Ciemne chmury i uporczywe przenikanie światła.

Do Piaśnicy, do Wejścia 24.

Martwa rybitwa ze złamanym skrzydłem.

Żółw, jaszczurka i krokodyl z piasku.

W zakątku przy ujściu.

Wieża, stare mury i cmentarz.

W krużgankach, na furcie i na górze.

Kije, gałęzie, korzenie i igliwie, pełne światła wrzosowiska i szum fal.

Siedzisko pod wydumą przy Wejściu 31 – sto dwadzieścia sześć kroków od brzegu.

Tron pod kopułą: deska umocowana na dwóch pieńkach.

Tam, gdzie zachodzi słońce – promienny jasny błękit.

Na brzegu kamienie i meduzy, biała ryba ze zdartą z boku skórą.

Przejścia między wodą i z prawej nacierającymi falami.

Za Wejściem 35 dwa duże pieńki i konar – sześćdziesiąt dziewięć kroków od brzegu.

Równa, jakby wykreślona cyrklem, linia horyzontu i faliste linie brzegu, lasu i wydmy.

Jasne pasmo na wodzie, świetlisty ślad.

Ostry wiatr – od Wejścia 33 do Wejścia 35 i na ławce, za wydmami, na skraju lasu.

Na pieńku – pisanie kijem na piasku. Zmazywanie i znowu pisanie.

Od Wejścia 35 do Wejścia 32 i z powrotem, do Wejścia 33.

Ruch fal i ruch chmur.

Na krańcu cypla.

Rybacy, sieci, ryby, skrzynki i kontenery. Mewy, rybitwy i kot ze zdobyczą w pyszczku.

Maszty, pomosty i trapy. Katamaran, statki, kutry, jachty i łodzie. Pajęczyny na kamiennych zaporach.

Na „Morganie” krążenie po Zatoce. Czyste ostre światło, grzbiety fal i skrzący się kilwater.

Rój blasków i błysków, smugi, iskry, rozsiewanie się światła.

Wąski pas plaży, szaro-białe wydmy i sosnowy las.

Żelbetonowe fortyfikacje i kaseton kopuły strzeleckiej jak kryjówka kreta.

W deszczu od Wejścia 33 do Wejścia 31, z powrotem do 33 i dalej – do Wejścia 35, powrót do 33 i dalej, do Wejścia 32 i drogą przez las.

Kępy traw, które z daleka wyglądają jak siedzący w kucki ludzie.

Meduzy wbite w mokry piach, czarne żuki i chmury na horyzoncie.

Z A przez B do C i z powrotem do A i dalej, przez D do E, tam siedzenie na pieńku i powrót – do A i do B i drogą przez las do punktu wyjścia.

Wśród wrzosów i sosen zachodzące słońce, wspomnienie Effie.

Czy byłbym z nią szczęśliwy?

Godzina wilka Ingmara Bergmana: „Ty nas nie widzisz, ale my widzimy ciebie”.

Wieczorna rozmowa z Julią, która żegnając się, mówi tak jak zazwyczaj: „Uważaj na siebie”.

Dobry połów kamieni i otoczków.

Wąskie piaszczyste Wejście 32 – kiedyś były tu szerokie schody z desek, na których nie raz leżałem schowany przed wiatrem.

Szarość i światło w przeplatających się pasmach, nie do rozróżnienia.

Maszy i reje „Daru” – jak marzenie i jak sen.

Kamienny posąg Conrada.

Główki falochronu, latarnia, reda, we mgle zarys półwyspu, sunące chmury i wiatr.

U Re. w Chińskiej Dzielnicy. Pamiętny opis tych miejsc u Dygata.

W środku pośród dziesiątek twarzy – Miłosz.

Na Waszyngtona tablica z napisem: „Są wniebogłosy... bo są – przemilczenia...”.

Poruszane falami drewniane tarany, powiewające na wietrze flagi i zacinający deszcz.

Hejnał z wieży i bicie dzwonu, trzy wróble, widok na molo.

U Kramarzy. Surowe chropowate cegły, resztki białego tynku, czarne ślady ognia, dwa okna z witrażami i jedno puste, na przestrzał. Drewniany krzyż i On – zostawiony tu tak.

Malowidła, freski, polichromie, obrazy, ołtarze, epitafia, ozdobne obramienia, balustrady, przypory, pilastry z postaciami, ośmioboczne baptysterium, filar Heweliusza, płyty grobowe, stalle, inskrypcje, fragment tabliczki trumiennej, intarsjowany portal z napisem *Pax intra*, baldachim z figurami apostołów i z aniołem na szczycie, predella, łuk tęczyowy, kazalnica, empora, organy, świeczniki, kinkiety i blakery.

Cisza, jakby nikogo nie było.

Pietà i *Sąd Ostateczny* w kaplicy Rajnolda.

I znowu na zewnątrz.

Piwną do Bramy Chlebnickiej i w lewo Długim Pobrzeżem do Targu Rybnego, do Wartkiej i do końca muru.

W Złotej Bramie spotkanie z Krysią i Stefanem Ch. On zadowolony, pilnujący się w swoim na pół-ortodoksyjnym liberalizmie i janionizmie. Mówi, że jest wrogiem JAHWE i przeciwnikiem Jana Pawła II. Protestuję. Nagle gwałtowny deszcz. Uciekamy do środka. Szybko mija. Odprowadzam ich na przystanek i okrężnym spacerem wracam do siebie.

Na skrzyżowaniu Koziej i Świętego Ducha.

W nowym numerze „Literatury na Świecie” niezwykle wiersz Konstandinosa Kawafisa w przekładzie Ireneusza Kani:

Nie pojąłeś

Co się tyczy waszych religijnych wierzeń,
rzekł głupi Julian: „Przeczytałem, pojąłem,
potępiłem”. Sądząc chyba, że nas unicestwił
tym swoim „potępiłem” – błazen.

Ale takie mądrostki nie mają wzięcia u nas,
chrześcijan. „Przeczytałeś, aleś nie pojął; a jeśliś pojął,
to byś nie potępił” – odpowiedzieliśmy zaraz.

[1928]

LESZEK SZARUGA

Nowa Polska (4)

10.

Nieco ponad dwadzieścia lat temu opublikowałem na łamach krakowskiej „Dekady Literackiej” mały szkic poświęcony nadciągającej do Europy fali uchodźców z mniej zamożnych obszarów i wskazywałem na konieczność przedsięwzięcia przez polityków jakichś kroków pozwalających uniknąć związanych z nową wędrownką ludów wstrząsów. Gdy dziś, kiedy fala migracyjna zaczyna się podnosić – to jeszcze nie tsunami, ale i ono nadejdzie – zastanawiam się nad tym, czy można w przyszłości sprawić, by politycy odeszli od zasady posunięć reaktywnych, a przyłożyli się do stworzenia możliwie bezkonfliktowego ułożenia relacji społecznych Europy, jaka najdalej za ćwierćwiecze wyłoni się z owych masowych przemieszczeń rozmaitych ludów. Kiedy słyszę o polityce – niezdarnej i głupiej – „dzielenia się” poszczególnych krajów jakimiś kwotami przybyszy, ogarnia mnie śmiech pusty. Mamy bowiem do czynienia z żywiołem, którego oficjalnie rejestrowana skala to ledwie cząstka. Trzeba się liczyć nie z tysiącami, lecz z milionami „innych”, którzy przenikają tu będą i legalnie, i nielegalnie. Tego żaden płot czy mur nie zatrzyma. To są realia, z którymi Europa musi się zmierzyć. Nie poszczególne kraje, lecz Europa jako całość. Dla tych, którzy nadchodzą, nie ma znaczenia, czy osiedlą się w Estonii, Polsce, Anglii czy w Portugalii – oni przybywają do Europy. Póki co, wciąż jeszcze starają się dostać przede wszystkim do krajów najbogatszych i tych, w których mają swoich pobratymców, ale niedługo pojmą, że atrakcyjna jest cała Unia Europejska.

I być może przyczynią się do owej Unii rozpadu, albo, paradoksalnie, oni właśnie ją zjednoczą.

11.

Po lekturze tego fragmentu artykułu w „Newsweeku” (nr 31/2015) po prostu mnie zatkało: „Rodzina Komorowskich chce opuścić Belweder 5 sierpnia, dzień przed zaprzysiężeniem nowego prezydenta Andrzeja Dudy. Mieszkała tu przez ostatnie cztery i pół roku, od Bożego Narodzenia 2010 r. Własne

mieszkanie na pobliskim Powiślu Komorowscy wynajęli jednak na... 10 lat, zakładając w ciemno urządowanie w Belwederze przez dwie kadencje”.

Nie uważam prezydentury Komorowskiego za nieudaną. Ale to założenie nie świadczy dobrze o jego politycznych kwalifikacjach.

Można przyjąć, że podstawowym dążeniem prezydentury w naszym systemie jest wygranie drugiej kadencji. Popularność Komorowskiego pozwalała przypuszczać, że cel ten jest realny niemal w stu procentach. By to prawdopodobieństwo umocnić, prezydent unikał podejmowania decyzji kontrowersyjnych bądź ryzykownych, przekładając je zapewne na następne pięć lat, gdy już niczym ryzykować by nie musiał. Ten stan rzeczy był powodem wszystkich słabości jego urzędowania, skupionego głównie na utrzymaniu *status quo*.

Prezydent Duda, który właśnie, gdy piszę te słowa, obejmuje swój urząd, ma przed sobą dość ciężkie dni, w trakcie których dowie się o wielu sprawach, o jakich nie miał dotąd zielonego pojęcia: na jego biurku znajdą się tajne informacje, być może nawet szokujące, a w każdym razie z pewnością korygujące jego spojrzenie na wiele zagadnień. Tak zresztą jest w przypadku każdej władzy i nie dziwi, że nowo wybrani na najwyższe stanowiska politycy na jakiś czas bądź znikają z pola widzenia szerokiej publiczności, bądź prowadzą działania niemające większego znaczenia w życiu społecznym. Znacząca aktywność pojawia się dopiero po „przetrawieniu” i uporządkowaniu dostarczonej wiedzy. W trakcie owego trawienia i porządkowania często okazuje się, że zapowiadane przedwyborcze obietnice są niemożliwe do spełnienia, zaś obraz świata nieco inny niż ten, który uważało się za właściwy.

Póki co prezydent Andrzej Duda w inauguracyjnej mowie otwierającej jego kadencję objawił wszem i wobec: „Ja jestem człowiekiem niezłomnym”. Zapewne jest, w każdym razie nie ma podstaw, by temu przeczyć, wszelako ogłaszanie tego wydaje się nie świadczyć o przesadnej skromności tego człowieka, skłania natomiast do postrzegania go jako grzeszącego, jak stanowią o tym zasady wiary chrześcijańskiej, pychą.

12.

Jestem po lekturze zajmującej książki Marcina Króla *Byliśmy głupi*, w której autor stara się określić błędy popełnione w początkach naszej transformacji ustrojowej. Píše tam także o tym, że przejmująca władzę po komunistach ekipa nie miała doświadczenia politycznego, wynikającego z praktyki sprawowania urzędów państwowych. No bo niby skąd by miała mieć?

W swym eseju *Stawanie się człowiekiem dzięki polityce* Karl Jaspers – tytowany na prezydenta ówczesnych Niemiec Zachodnich, ale propozycję odrzucający – przeciwstawił sobie pojęcia męża stanu i polityka. Ten pierwszy tworzy warunki do wolności. „Inaczej politycy. Ci są oportunistycznymi realistami, reżyserami nastrojów, ludźmi przebiegłymi, szantażystami. Z beztróską żywotnością działają w imieniu wolności przeciwko warunkom wolności. Skompromitowani, wykręcają się, sięgając po kłamstwa i dowcipy. Swym zachowaniem szyczą z parlamentu, który – im podobny – nawet tego nie zauważa i nie myśli o tym, by uniemożliwić takie występki przeciw duchowi polityki”. To polityk – pisze dalej Jaspers – „traktuje swą działalność nie jako powołanie, lecz zawód dający widoki na przyszłość, dobry dochód i prawo do emerytury”.

Polityka wszakże to nie tylko zespół politycznych działań. To także namysł nad tym, co się czyni i jakie są – doraźne oraz długofalowe – konsekwencje podejmowanych decyzji. Polityka realizuje się bowiem jakby w dwóch planach jednocześnie: pierwszym jest plan zadań i rozwiązań bieżących, drugim zaś plan celów historycznych. Mąż stanu potrafi owe dwa plany z sobą skoordynować tak, by tworzyły harmonijną całość, w której równie istotne jest realizowanie egzystencjalnych aspiracji współczesnych, jak tworzenie podwalin pod przyszły rozwój. Inaczej mówiąc – mąż stanu to ktoś, kto jest zarazem realistą i wizjonerem, wiernym zasadzie poszanowania wolności: od wolności obywatelskich poczynając, po suwerenność społeczności przez owych obywateli tworzonych.

Gdy w roku 1989 otworzyła się – w tak sprzyjających warunkach, jakich państwo nie miało od dwóch stuleci – szansa prawdziwej niepodległości, zależnej bardziej od naszych własnych decyzji niż od okoliczności zewnętrznych, jeden z moich przyjaciół z Izraela napisał mi w liście, że teraz dla Polski nadszedł Czas Pionierów. Było to prawdą jedynie do pewnego stopnia – nikt wówczas przecież nie mógł być pewien dalszego biegu wypadków: wojska sowieckie stacjonowały w Polsce jeszcze przez wiele miesięcy, trwały niemieckie rozmowy zjednoczeniowe, imperium na wschodzie formalnie wciąż jeszcze się nie rozpadło.

Ale nie to było podstawowym problemem Polski. Tym podstawowym problemem był brak Pionierów, mężów stanu dysponujących zdolnością uruchamiania różnych wariantów działań umacniających i powiększających przyczółki polskiej niepodległości. Innymi słowy: nie było w kraju nikogo, kto miałby spójną wizję przyszłości oraz wariantowe plany jej realizacji.

W odróżnieniu od elit politycznych działających podczas drugiej wojny światowej, opozycja czasów PRL nie potrafiła wypracować planu postępowania na wypadek niepodległości. Dotyczyło to wszystkich sfer życia publicznego, nie wyłączając nawet gospodarki – tutaj rozwiązanie noszące miano „Planu Balcerowicza” wypracowane zostało pod presją okoliczności.

Gdy z dzisiejszej perspektywy patrzy się na tamte wydarzenia, widać wyraźnie, że Trzecia Rzeczpospolita nie miała – jak to się działo w roku 1918 – swych Ojców Założycieli. Ale też jest prawdą, że Polska Piłsudskiego powstawała w innych zupełnie warunkach: banki były bankami, stosunki własnościowe były w zasadzie jasno określone, zaś pieniądź był pieniądzem. Suwerenność kraju wynegocjowana w roku 1989 była skutkiem ubocznym doraźnie zawartego kompromisu między ustępującą władzą i częścią elit opozycyjnych – kompromisu bez wątpienia wówczas potrzebnego, choć sprawiającego, że polska bezkrwawa rewolucja, mówiąc słowami Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, okazała się w pewnej mierze „rewolucją bezkrwistą”. Powodów, dla których tak się stało, było wiele i z pewnością będą one przedmiotem badań oraz sporów historyków, politologów czy publicystów. Tym bardziej że nie brak opinii, które ów kompromis odczytują jako akt zdrady narodowej, przywołując milcząco słowa socrealistycznego poematu Tadeusza Kubiaka: „Miękkosć w robocie rewolucyjnej / przynosi klęskę. // Niechaj tnie ostro miecz rewolucji / aż do zwycięstwa. // Niech się obnaży przed okiem klasy / nikczemność wroga. // Niech wyjdzie z mroku na światło dzienne / hydra stugłowa”.

Nie znalazł się opisywany w *Odzie do młodości* Herkules: „Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze, / Ten młody zdusi Centaury, / Piekłu ofiarę wydrze, / Do nieba pójdzie po laury”. Tego typu herosów w świecie ludzkiej egzystencji raczej nie należy się spodziewać, a każdy, kto obiecuje unicestwienie hydry, która wszak też jest symbolem zwyrodnienia i patologii społecznego współżycia, jest bądź utopistą, bądź kłamcą. Nie znaczy to jednak, że nie należy z owymi zwyrodnieniami i patologiami się zmagać, doskonalić metody zmierzające do ich okiełznania. Tak też się w sferze politycznej dzieje. Czasy wszechwładnego i samego sobie będącego prawem Księcia z rozprawki Machiavellego minęły z chwilą, gdy za sprawą amerykańskich Pionierów powstał system wzajemnie się kontrolujących i niezależnych od siebie sfer władzy opisany przez Tocqueville’a: ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej. Lecz, jak się z biegiem czasu okazało, to nie te władze – uwikłane w sieć wspólnych interesów – okazują się najskuteczniejsze w walce z hydrami i centaurami,

lecz zewnętrzna wobec nich wszystkich i nieustannie poddająca je kontroli „czwarta władza” – reprezentowana przez dziennikarzy.

Ale dziś już wiemy, że jest to władza niebezpieczna, balansująca na cienkiej linii odgradzającej wyrażanie i kształtowanie opinii publicznej. To władza, podobnie jak niektórzy politycy, gotowa mówić o „faktach prawdziwych” i „faktach nieprawdziwych”, zapominając o tym, że fakty są tylko faktami. Ale przecież przed niecałym półwieczem ta sama władza zmonopolizowana przez komunistów przekonywała o tym, że istnieje prawda słuszna i niesłuszna, prawda nasza i prawda innych. To relatywizowanie prawdy ma swoje zatrute źródła, jakimi są polityczne zależności dziennikarzy. To sytuacja, którą, diagnozując sytuację inteligencji w odrodzonym kraju, opisywał Stefan Żeromski: „Lecz czy to możliwe jest zrzeszenie się inteligencji? Jest to niewątpliwie sprawa trudna i natrafiająca na przeszkody przede wszystkim ze strony potężnych partii, które nie zechcą pozbyć się »swych« inteligentów, swych wołów robotniczych, wypracowujących im programy i umożliwiających wykonanie owych programów, a po wtóre – ze strony samychże inteligentów, powszczepianych dziś w najrozmaitsze zrzeszenia i mających tam już swe ideowe i materialne posady”.

Zarazem wiadomo, że „czwarta władza” nie jest władzą pochodzącą z wyboru, przynajmniej pozornie. Bo wybór, rzecz jasna, jest przez szeroką publiczność dokonywany, a nazywany jest rynkowymi neologizmami, takimi jak „ogładalność”, „słuchalność” czy „czytalność” – to ostatnie wypiera powoli tradycyjny termin „poczytność”. Dziennikarz w tych okolicznościach nie zawsze jest kimś, kto – jak to by mogło mieć miejsce w modelu idealnym – z własnego prawa bierze nadania. Nie jest niezależny – z jednej strony uwikłany jest w grę politycznych interesów, z drugiej zaś podległy presji rynku. Jego produkt musi spełniać co najmniej jedno z kryteriów: ma bądź promować – wprost lub pośrednio – określone postawy światopoglądowe, bądź się dobrze sprzedawać. Wszystko to sprawia, że dziennikarze coraz częściej nie tyle wyrażają swoje niezależne stanowisko, ile grają na politycznej arenie role harcówników albo na rynku medialnym funkcje uatrakcyjniających program clownów.

Powiada się, że powinnością dziennikarza jest ujawnianie prawdy. Czym innym jest jednak mówienie o faktach w stylu bezstronnego raportu, czym innym zaś posługiwanie się językiem zarażonym przez stronicze wpływy i pragnienia. Taki język nie odzwierciedla faktów, lecz je zakłóca, zmaća. Zasadnicze znaczenie wydaje się tutaj mieć pytanie o to, czy ów styl bezstronnego raportu w ogóle jest możliwy? Naturalną skłonnością człowieka, nawet

niezamierzającego manipulować faktami, jest dokonywanie wyboru spośród informacji, które doń docierają – jedne się akceptuje, inne pomija jako nieistotne. Co decyduje o owym wyborze? To pytanie w pracy dziennikarza jest pytaniem zasadniczym. A ponieważ nie ma na nie jednoznacznej odpowiedzi, kwestią fundamentalną jest samo jego ponawianie, a zatem nieufność wobec swych własnych intuicji poznawczych. We wszystkich kodeksach etycznych dziennikarzy powraca zagadnienie wierności prawdzie – owa wierność jest podstawowym wymogiem tej pracy. Wszakże sprostanie jej możliwe jest tylko wówczas, gdy przyjmie się regułę ograniczonego zaufania do własnych wyborów. Jest to o tyle istotne, że od podawanego do publicznej wiadomości raportu o stanie rzeczy może w określonych warunkach zależeć ludzkie życie.

Często słyszymy, że władza jest służbą. Taka definicja władzy, choć skądinąd niezwykle trafna i szlachetna, rzadko znajduje potwierdzenie w praktyce. Dotyczy to także „czwartej władzy”. Tu w szczególności pytanie: komu lub czemu służy praca dziennikarza?, ma wagę niezwykłą. Gdy wniknąć w nie głębiej i zastanowić się nad jego istotą, okaże się, że dziennikarz pozostaje w służbie wszystkich swych czytelników czy odbiorców. Ale nie znając owych „wszystkich” – a znać ich przecież nie może – musi wybrać jednego, konkretną osobę, do której się zwraca. Tą osobą jest on sam. Nikt inny nie może go zastąpić. A to oznacza, że wymóg uczciwości, a zatem wierności prawdzie, odnosi się nie do kogoś z zewnątrz, lecz do siebie samego. Nie jest to łatwe – wymaga odwagi odrzucenia zarówno gotowych schematów, jak i ubiegania się o poklask publiczności. Trzeba sobie uświadomić, że nie można być kochanym przez wszystkich.

Ale można osiągnąć zysk nieprzeceniony: własny styl, możliwość mówienia własnym, niedającym się podrobić głosem. Jest z tym związane ryzyko niezrozumienia i nieporozumienia. Warto je jednak podjąć w imię wierności sobie. Lecz to nie wszystko. Ten własny styl trzeba nieustannie kontrolować, poddawać próbie zwątpienia, podejrzliwości.

PIOTR SZEWC

Z powodu i bez powodu (40)

Bez tytułu i daty (XXXIV)

Kilkanaście metrów nad ruchliwą jezdnią ulicy Broniewskiego, tuż obok przejścia dla pieszych, na wyciągniętej gałęzi wrony siwe zbudowały gniazdo. Jest druga połowa kwietnia i albo wrony jeszcze wysiadują jaja, albo już karmią młode. Gniazdo jest sprytnie zamaskowane rosnącą pod nim jemiolą. Nigdy wcześniej nie widziałem wroniego gniazda wkomponowanego i niemal zespolonego z jemiolą. Pasożytnicza roślina jest dla niego jak poduszka.

Kilka lat temu budkę na topoli przed moim domem zamieszkały szpaki. Ale już ich tu nie ma. Zbyt duży jak dla szpaków otwór wejściowy sprawił, że budkę w 2015 roku zajęły kawki. Chyba wolałbym mieć za sąsiadów szpaki, choć nie mam nic przeciwko kawkom.

Dziewczynki – mówił o swoich córkach, Reginie, Mieczysławie i Helenie, pradziadek Piotr Twardziszewski. Dziewczynki – mówił też o młodszych siostrach Ojca, Bożenie i Elżbiecie, dziadek Józef Szewc. Śmieszyło mnie to jako kilkuletniego chłopca.

Pycha, córka głupoty.

W gnieździe nad jemiolą wrony odchowwały dwoje młodych. W wietrzny i chłodny dzień końca maja młode siedzą nastroszone na gałęzi obok gniazda, z oddali wydają się podobne do nastroszonych sówek. Widziałem je kilka razy, no i zniknęły bezpowrotnie.

Czasy, tryby, strony. Pamiętam tę frazę z lekcji polskiego pani Lucyny Segiedy. Nie przepadałem za lekcjami gramatyki, a jednak czasy, tryby, strony nie były dla mnie abrakadabrą.

W sobotę 1 sierpnia trochę okrężną drogą przejeżdżałem przez Kornelówkę do Horyszowa. Obok mijanych obejść nie zauważyłem ani jednej krowy czy cielęcia; kiedyś stały i pasły się pod jabłonkami, koło nich chodziły kury. Za to trzech mężczyzn w różnych miejscach kosiarkami elektrycznymi kosiło trawę na przydomowych trawnikach. Mógłbym powtórzyć za Marią Dąbrowską: tu zaszła zmiana.

Z Horyszowa wracaliśmy przez Czołki. Naprzeciwko domu Dziadków, po drugiej stronie drogi i na jej skraju, tuż przy rowie, rośnie obsypany teraz drobnymi owocami krzew śnieguliczki. Jakby z lat mojego najwcześniejszego dzieciństwa, a może i wcześniejszych, przeniosła go tu ręka samego pana Kawy lub jego matki, na którą mówiliśmy Babunia. To całkiem możliwe, pamiętam bowiem, że śnieguliczki rosły obok domu Kawów. Zniknął dom, poumierali jego dawni mieszkańcy, pozostał jako znak przeszłości krzew śnieguliczki. Rósł tu, obok przejeżdżających aut, bezinteresownie – dla nikogo i po nic. A może, niepozorny i zakurzony, pełnił misję, której charakteru należy się domyślać.

Ciało pedagogiczne wymiennie z gronem pedagogicznym – leksykalno-semantyczne zakłęcie z czasów szkoły podstawowej. Posługiwali się nim przedstawiciele ciała lub grona; raczej nie uczniowie.

ARTUR SZLOSAREK

Fragmenty (4)

Leśne jezioro

Najbardziej uderzającą cechą języka obcego, ale sporo musi upłynąć czasu, żeby to zrozumieć, jest jego – obcość. Nie ma ona jednak wiele wspólnego ze zdolnością do porozumienia, raczej rozwija się i narasta w stosunku wprost proporcjonalnym do tego, co możemy w języku obcym wyrazić. Dlatego nie wierzę, że prawdziwym powodem, dla którego Beckett zaczął pisać po francusku, była chęć ucieczki przed łatwością języka ojczystego, który uwodzi melodią, sprowadzając na mieliznę właściwych bardziej dla niego niż dla autora treści. Bardziej prawdopodobne, że w taki sposób chciał raczej dokonać próby odcięcia się od swojej pierwotnej wizji świata i sprawdzenia, czy stać go na inną, aniżeli przekonać siebie i zwolenników o jej zasadniczym i uniwersalnym charakterze poprzez dokonanie rzetelniejszej egzegezy w mniej poręcznej składni. Tak czy inaczej – najtrudniejszym językiem pozostaje na zawsze ten, w którym wypowiedziało się pierwsze słowo. Także dlatego, że było ono najbliższe ciału.

Zawsze wydawało mi się, że człowiek troszczy się najbardziej o to, co jest mu do życia najmniej potrzebne, choć dzięki temu, że czasami sobie to uświadamia, powstaje energia, z którą mamy do czynienia pod nazwą ogólną „kultura”. Najgorsze w tym jednak, że nie istnieje żaden mechanizm kontrolny, pozwalający choćby w przybliżeniu stwierdzić, że kupując samochód, wybierzemy się na pełną pięknych wrażeń wycieczkę, a nie skończymy na drzewie, które bliźni posadził wcześniej przy drodze – w wigilię urodzin upragnionej córki. Ale czy rzeczywiście najgorsze? O wiele gorzej przecież byłoby, gdyby okazało się prawdą to, co na początku mojej własnej „niemieckiej odysei” przeczytałem na kolorowym plakacie *Kreissparkasse* w Euskirchen: „W raju będą wam też potrzebne pieniądze!”. Napis ten towarzyszył nieskazitelnej damie, która z nieodłącznym w podniosłych chwilach *Cuba Libre* podziwiała monumentalnie kiczowaty zachód oślepiającego słońca. I choć to wysoce nieprawdopodobne, by powiatowa kasa oszczędności

z prowincjonalnego miasteczka, w którym po osiemnastej spotkać można na ulicy tylko i wyłącznie martwe dusze dwóch aptekarzy, trzech pracowników urzędu socjalnego i pijanego fryzjera, dokonała w ten chytry sposób reinterpretacji słynnej od czasów Łukasza *Przypowieści o drachmie*, to kto wie – bo przecież ani udowodnić, ani zaprzeczyć się nie da – czy to aby nie siła wyższa zadziałała tam jako sprawcza, biorąc sobie za instrument głupka od reklamy?

Piszę to i coraz bardziej uświadamiam sobie, że okrążam właściwy temat. W każdym razie: to właśnie w Niemczech osiągnąłem stan rozdwojenia, w którym trwam po dziś dzień. To zapewne cena, jaką się płaci za oderwanie od korzeni, choć cały wysiłek polega tutaj na tym, żeby myśleć o karze w kategoriach nagrody. Myśleć tak, jak myśli się o nadzwyczajnym darze. Może też być, że kiedy odrywamy się od naturalnego podłoża, wszystko wokół nas staje się rubaszną dialektyką, która w swojej grze tez z antytezami, grze nie widzicie czemu zawsze przeciwko nam, nie prowadzi do nazbyt ciekawej i wymiernej, jeśli zastanowić się nad ewentualnymi korzyściami, syntezy. Bo cóż to znaczy w istocie, kiedy mówię, że towarzyszy moim zabiegom życiowym silne przekonanie o tym, że moja dusza znalazła się w niewłaściwym miejscu, czyli – że rozminąłem się z własnym losem, tak że w każdej sytuacji, miejscu i w każdej chwili widzę siebie jakby z boku, przez mniej lub bardziej zabrudzoną szybę? Czy znaczy to, że już za życia znalazłem się w piekle albo w jego przedsionku, skoro „piekło – to spostrzec, że się nie istnieje i nie chceć się na to zgodzić”, jak zanotowała wychudzona na średniowieczną świętą Simone Weil, z którą się nie rozstaję? Albo że tak oto na tej ziemi wygląda próba generalna rajy, gdyż to „Bóg poleca złu, aby nauczyło nas, że nie jesteśmy”?

Rozważania takie i im podobne nie prowadzą daleko, chociaż są konieczne, ponieważ uczą, że trzeba przyjąć każdą sytuację, w jakiej się znalazło, uznać za właściwą i własną i zrobić co się da, powtarzając sobie po cichu i do znudzenia, że „człowiek znajduje tyle przeszkód i roztargnień, ile ich sam w sobie wchłania” oraz że „nie gra się Bacha, zanim nie ćwiczyło się gam”. W ogólnym rozrachunku przecież (także w rachunku sumienia) liczy się nie samopoczucie, jakie towarzyszyło nam przy wykonywaniu pracy, ale jej rezultat. Bo tak zostawia się ślady, choć nie ma co za bardzo liczyć na to, że przyjdzie się na nie powołać, kiedy zajdzie śmiertelna potrzeba.

Nie jest to nadzwyczajnie trudne, choć na pierwszy rzut oka może za takie uchodzić. Wystarczy dobrze rozgrzać patelnię, wlać do niej oliwę *Oro del Golfo*, a potem wrzucić to co najważniejsze: zmiążdżoną, wysuszoną pepperoni, przyzwoitą ilość rozmarynowych igiełek z gałązki oraz ze cztery porządne, pokrojone w plastry ząbki czosnku. Trzeba jednak uważać, aby czosnek się za mocno nie zarumienił. Następnie dodać solidny funt (prawie dwa) koktajlowych pomidorów z południa, które uprzednio podzieliliśmy na połówki. Pomieszać to, zmniejszyć pod patelnią ogień, wsypać z przesadą świeżego tymianku, przemieszać i przykryć pokrywką. Niech się podusi. W tym czasie zetrzeć *Parmigiano Reggiano*, a także pokroić zieloną pietruszkę. To według uznania. Kiedy już w patelni pojawi się gęsty sos, przyjdzie nam go jeszcze doprawić: odrobiną soli, świeżo zmielonym kolorowym pieprzem i – co bardzo ważne – melasą. Teraz potrzebna nam będzie biała fasola, najlepiej drobna, choć może być jasek. Oczywiście musi być uprzednio ugotowana (ja używam gotowej z tureckiej puszki, wbrew protestującym purystom, wedle których w puszkach mieści się całe zło). Dokładnie to wymieszać, przykryć i dalej dusić. Kiedy fasolka zmięknie, tak że będzie na granicy rozpuszczenia, do sosu dodać krewetki. Najlepiej tygrysie, tłuste, według obowiązujących reguł uprzednio podsmażone. Dalej dusić, co rusz kosztując całości – smak w żadnym wypadku nie ma prawa być ani za ostry, ani mdły. Krewetki przyjmują się szybko, więc pozostaje jeszcze dosypać pietruszki i koniec. Podaje się tę sycylijską zupę w dużych, głębokich talerzach, obficie posypaną serem. Najlepiej z prąsłym chlebem oraz – bez względu na towarzyszące okoliczności – czerwonym winem. Uważam, że najlepsze będzie w tym momencie neapolitańskie *Pinot nero* z zeszłorocznej beczki.

Nic na ten temat nie czytałem, ale domyślałem się, że Michelangelo Merisi da Caravaggio nie mógł być dobrym kucharzem. Nie miał na to czasu. Kiedy w 1606 roku rani śmiertelnie przeciwnika w pojedynku, rzymski sąd skazuje go na śmierć. Musi uciekać. Trafia na Maltę, gdzie wstępuje do joannitów. Ale znów wdaje się w bójkę – z jednym ze współbraci.

W pierwszym rzędzie zadziwia na Malcie postawa autochtonów względem nieuprzedzonych podróżnych, wyrażająca się najlepiej w formule: „*give me money!*”. Ale kiedy już wsiądzie się do rozklekotanego autobusu z poangielskiego lamusa relacji Valetta – St. Julians, to zaraz za miastem ulega się szybko, łatwo i przyjemnie złudzeniu uczestniczenia na żywo w reportażu

z przedmieść Jerozolimy; tę, nie tylko przecież geograficzną, bliskość Ziemi Świętej szczególnie będzie można odczuć, jeśli wyląduje się na tej wyspie-for-tecy w samym środku lata. Wszystko jest tam dobrze urządzone. Kiedy nadmiar kościołów zawróci nam w głowie, sympatycznie pozwoli znów zejść na ziemię *Hopeleaff* albo *Cisk*. A jeżeli ktoś gardzi piwem, niech się raczy mocnym maltańskim czerwonym – niech tylko zachowa umiar (jest tam naprawdę go-rąco) i nie da się nabrać na *happy hour*, bo jeśli faktycznie wtedy whisky będzie tańsza w barze, w zamian za to zapłaci się ze trzy razy więcej niż normalnie za piwo. Ale i do tego można się przyzwyczaić. Tak samo zresztą, jak i do miej-scowej odmiany angielskiego, na której wycisnęła piętno nie tyle *lingua fran-ca*, co gardłowy arabski, w związku z czym pełne jej zrozumienie w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Jednak to nie kryjówka nieszczęsnej Kalipso, która mimo erotycznych for-teli i figli została porzucona przez bohatera, nie zapierający dech lazur wody w Błękitnej Grocie ani nie piasek Golden Bay stanowią o atrakcyjności wyspy. W moim pojęciu najważniejsze są tam trzy miejsca. Katakumby Świętej Agaty, męczennicy z Sycylii, która płacąc życiem za wierność Chrystusowi, straciła obie piersi, nie chcąc wdawać się w amory z krewkim urzędnikiem rzymskiej administracji. Tam właśnie, w Rabacie, gdzie ukrywała się pod ziemią i gdzie spoczywają kości prześladowanych wyznawców Chrystusa, obok żydow-skich prochów oraz pogańskich resztek, można podziwiać unikatowe freski z czwartego i piątego wieku. A katakumby, jak wiadomo, nie tylko były miej-scem modłów i pochówku, ale i tworzyły szczególną przestrzeń, w której żywi przestawali istotnie różnić się od umarłych. Przypominają o tym podobień-stwie wyciosane z kamienia stoły, na których spożywano *agape*.

Miejsce drugie to podziemne schronienie świętego Pawła. Trzecie zaś może sprawić, że staną się miękkie nogi najtwardszego przeciwnika baroku. Mowa o wnętrzu, właściwie to już eklektyzm, katedry poświęconej świętemu Janowi Chrzcicielowi, który był „głosem wołającym na pustyni”. Wystarczy spoglądać na ściany i stąpać po granitowej posadzce ze świadomością ist-nienia piekła w powietrzu na zewnątrz, ażeby sobie to w pełni uświadomić. Dokładnie tam odnajdujemy ślady nieszczęśnika Caravaggia, który w namalo-wanej przez siebie scenie dekapitacji Jana największą uwagę poświęca cięż-kiej misie ze złota trzymanej przez młodą kobietę. W misę za chwilę spadnie z nieuchwytej wieczności nad nami odcięta głowa zbudowanego solidnie

jak katedra mężczyzny, tak jak tego zachciała tańcząca na stole przed Herodem ognista Salome, podkuszona przez matkę.

Gdy ktoś zaryzykuje dwa i pół funta, równowartość dobrego obiadu u Włocha na Republic Street, może się przyjrzeć w muzeum katedralnym drugiemu dziełu hulaki, na którym widnieje święty Hieronim. Jest to już jakby Hieronim w regresie, bez aureoli, częściowo obnażony i zmęczony, poźółkły, z rozpaloną twarzą i przewróconą czaszką na stole, przy którym już niczego nie tłumaczy, lecz coś sobie z wysiłkiem na skrawku notuje. Widać to dobrze, jeśli ma się w pamięci świętego Hieronima w złotej mandorli, powieszzonego w rzymskiej Galleria Borghese, skupionego nad przekładem pisma, które jeszcze nie jest święte.

Brudne nogi u Caravaggia są znakiem nieobecności Chrystusa, choć trzeba też zaraz powiedzieć, że ta ich nieczystość w bezpośredni sposób świadczy również o stałej obecności wśród nas nadziei na Jego powtórne przyjście. Ale nie znaczy to, że przyznaję się w zarysowanym tutaj kontekście do silnej wiary w Caravaggia ani też nie mówię, że jestem wielkim wyznawcą *maniera nera*. W pełni ufam dwóm realizacjom artysty: *Niewiernemu Tomaszowi* oraz aniołowi, który przyszedł nocą do świętego Mateusza dzięki plastycznym zdolnościom urodzonego w Mediolanie mistrza.

Pierwsza wersja obrazu *Święty Mateusz i anioł* powstała w 1599 roku. Widniejący na niej Ewangelista to prosty, spracowany człowiek, który mimo najszczęśliwszych chęci i wielkiego wysiłku nie jest w stanie sprostać zadaniu mu powierzonemu, tak że misja spisania „dobrej nowiny” w ogóle by się nie powiodła, gdyby stojący obok niego anioł nie prowadził sękatą dłoń chłopca po kartach powstającej księgi. Tak czytają to przedstawienie niektórzy historycy sztuki. Czy aby to nie o nich pomyślał Mateusz, notując słowa: „przewodnicy ślepi, którzy precedzacie komara, a połykacie wielbłąda”? Trudno rozsądzić. Obraz nie został jednak przyjęty przez zleceniodawców, którzy podpisali z artystą umowę za pośrednictwem kardynała Del Monte. Co ciekawe – zaginął. Podobno spłonął w czasie drugiej wojny światowej w berlińskim Kaiser Friedrich Museum.

Caravaggio przystępuje niezwłocznie do pracy nad wersją drugą, którą ukończył w 1600 roku. Dzieło zostaje zaakceptowane, choć do dziś można

przeczytać, że zostało przyjęte dlatego, że autor pozbawił je – zanadto wyraźnego w wersji pierwotnej – „fizycznego kontaktu świata ziemskiego z niebiańskim”. Obraz podziwiać można w miejscu jego pierwotnego przeznaczenia – w rzymskim kościele San Luigi dei Francesi, w towarzystwie znacznie słabszych płócien: *Powołania świętego Mateusza* oraz jego *Męczeństwa*. *Święty Mateusz i anioł* umieszczony jest centralnie względem pozostałych. Żeby to dzieło wydobyć z aksamitnego mroku bocznej nawy, trzeba najpierw wrzucić monetę do metalowego pudełeczka – pięćset lirów. Wtedy automatycznie włączy się na dłuższy czas światło.

Patrzę na reprodukcję tego płótna od wielu dni. Z mniej lub bardziej systematyczną zawziętością od czasu, kiedy je pierwszy raz ujrzałem w oryginale. Powiększam świętego, przesuwam go i jak barbarzyńca odwracam wraz z aniołem na ekranie monitora. Chcę uchwycić sens całości, pojąć funkcje poszczególnych elementów, choć nie potrafię powiedzieć przekonująco, w jakim celu. I głupio mi z powodu tej słabości, tym bardziej że moim zdaniem o obrazach nie powinno się pisać – wystarczy, jak się ogląda i kontempluje. No bo największych nie da się przekazać słowem. Próbuję też tę moją fascynację podparć lekturą słów, które z pomocą anioła, a może po prostu wbrew wskazówkom wysłańca, bohater Caravaggia w języku aramejskim spisywał. „Nie sądzicie, że przyszedłem pokój przynieść na ziemię. Nie przyszedłem przynieść pokoju, lecz miecz”.

Ten obraz mógłby równie dobrze nosić tytuł *Kuszenie świętego Mateusza*. Przerazenie w oczach świętego wyjaśnia niezachwianą pewność anioła, wytykającego apostołowi błędy, niedociągnięcia spowodowane brakiem entuzjazmu, płynące z niepewności, wreszcie – brak cierpliwości. Anioł zarzuca Mateuszowi zapewne również zwykłą skłonność do przesady i nadinterpretacji. Można to zrozumieć. Przecież anioł *najpierw* został wysłany, dopiero *potem* powołano Ewangelistę. Jednak najbardziej zdumiewające w tej kreacji jest to, że w rzeczywistości anioła w jej ramach nie ma; w tym sensie, że nie widzi go święty Mateusz, tylko wyłącznie Caravaggio.

Jak wygląda ten anioł, którego nie ma? Czy bije od niego nadzwyczajny blask? Czy święty, zanim usłyszał głos, tkwił w ciemności pomieszczenia po uszy? Dlaczego napięciem tego spotkania nie jest zwyczajny lęk, co można byłoby wytłumaczyć, lecz trudniejsze, ponadzwyczajne, niezemskie

przerażenie? Czyżby było tak samo z Mateuszem jak onegdaj z Piotrem? „Wyszedł więc i szedł za nim, ale nie wiedział, czy to, co czyni anioł, jest rzeczywistością; zdawało mu się, że to widzenie”?

Anioł przychodzi z ciemności, czarnej jak smoła, i blask bijący ze stronic księgi uwyrażnia jego postać. Bo księga, otwarta w połowie, jest na obrazie źródłem światła. Czy anioł, którego Mateusz nie jest pewien, gdyż go nie widzi, i który właśnie dlatego przeraża, że nie jest pełną wizją, lecz raczej usłyszonym głosem, rozlegającym się wśród nocnej ciszy, nie próbuje mu aby przeszkodzić, powstrzymać piszącą prawicę? Ten anioł nie ma na plecach skrzydeł, nie trzeba też wiele dobrej woli, ażeby dostrzec pod postacią anioła inną postać – fauna.

Gdyby święty Mateusz, ujrany przez Caravaggia, tak jak o tym zaświadcza płótno, nie wsparł się w odruchu bezwarunkowym o księgę leżącą na stole, a pracował nad jej formą pilnie do momentu, w którym się przeraził, z całą pewnością upadłby nisko. Spadłby z podestu i może nie podniósłby się więcej. Wycięta w trójkąt noga ławy, do której przycisnął lewe kolano, zachwiała się bowiem niebezpiecznie i częściowo zsunęła z podwyższenia. Jaki stąd płynie wniosek dla ludzi, już od dawien dawna nieodwiedzanych przez nieziemskich posłańców? Zdaje się, że jeden. Prosty, by nie rzec – banalny. Święta księga potrzebna jest do życia tak samo jak stół, na którym spoczywa, albo jak ławka, na której się siada do wieczerzy. Bo głównym tematem przedstawienia jest spotkanie, uzmysławiające, że świat nie może istnieć bez drugiego świata. A także to, że wyższe wspiera się o to, co niskie, niższe i najniższe. Że jedno przenika przez drugie i trzecie. Albo inaczej – że jedno koniecznie musi przejść nienaruszone poprzez drugie, jak przez ogień. Albo odwrotnie.

The image shows the cover of the quarterly journal 'Kwartalnik Artystyczny'. The background is a photograph of an open book lying on a wooden floor. The book is open, showing its pages. The floor is made of wooden planks. The title 'KWARTALNIK ARTYSTYCZNY' is printed in large, bold letters. 'KWARTALNIK' is in blue, 'ARTYSTYCZNY' is in orange. Below the title, the text 'wszędzie, a także na www.kwartalnik.pl' is written in black. At the bottom right, there is a quote in white text: '„Kwartalnik Artystyczny” jest jednym z najważniejszych pism w Polsce. Michał Głowiński'.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

wszędzie, a także na www.kwartalnik.pl

*„Kwartalnik Artystyczny”
jest jednym z najważniejszych pism w Polsce.
Michał Głowiński*

Norwid, promienie

Nowa edycja *Dzieł* Cypriana Kamila Norwida (1821–1883) w toku – ukazały się kolejne trzy tomy.

W *Poematach 1* znajdują się olśniewające przekłady I, II i III pieśni *Piekle Boskiej Komedii*, przy czym ten ostatni rozpoczyna się tam, gdzie w swoim tłumaczeniu zatrzymał się Mickiewicz – tak zwanym *Ugolino*, a także VIII i XXVIII pieśni *Czyśćca*, ozdobione ślicznym rysunkiem postaci Dantego. Gdy wers po wersie porównuje się je z dokonaniem Edwarda Porębowicza, widzi się ich fantastyczną zwięzłość i kondensację, precyzję, celność sformułowań i niesamowitą składnię.

Obok nich – fragmenty przekładu *Żywota własnego* Benvenuto Celliniego i trzech *Rapsodii Odysei*, poprzedzone wstępem tłumacza o tajemnicy wielkości boskiego Homera, o jego *naturalności* i jej głównym powodzie i o „przezroczyści teologicznej” każdej jego karty.

Jednym z dwóch głównych utworów tego tomu jest *Quidam*.

Przypowieść, najobszerniejszy epicki poemat Norwida, poprzedzony mottem z *Ewangelii* świętego Mateusza i listem do Zygmunta Krasińskiego – *Poety-Ruin*. Wrażenie robi dynamiczna narracja prowadzona w długich, często kilkudziesięciowersowych całościach i attycyzm, czyli przeciwieństwo celowego upiększania, „owijania w bawełnę”, które, jak mówi, jest pomijaniem lub poniżaniem prawdy. Drugi to *Assunta* (czyli *Spojrzenie*), którego rękopis na kilka miesięcy przed śmiercią wysłał do Józefa Bohdana Zaleskiego z prośbą o opinię – rzecz o miłości skierowanej ku niebu, zakończona pełnymi pasji akordami:

...gdzie są bezmowne-cierpienia,
Są wniebogłosy... bo są – przemilczenia...

W drugim tomie *Poematów*, na początku którego umieszczony jest autoportret z diabłem za plecami, najważniejsze są: *Promethidion*. *Rzecz w dwóch dialogach z epilogiem*, w którym mówi o *formie*, czyli *Pięknie*, o *treści*, czyli *Dobru* i *świątliwości* obu, którą jest *Prawda* – żywe dialogi o sztuce i stanowisku sztuki,

o prawdzie, jej promieniach i duchu z pamiętnym przesłaniem: „dobre odczytaj / i kończ w sobie” oraz *Rzecz o wolności słowa* – pełen mocy i jakże dziś aktualny utwór ze *Wstępem*, w którym czytamy:

„Do Epoki Chrześcijańskiej Siła stawa się słowem... (nawet w arcydziełach starożytnych moc głównym jest wdziękiem).

Od Epoki Chrześcijańskiej: Słowo stawa się siłą... i jeżeli tamta dochodziła do arcydzieł potężnie plastycznych, tedy ta, właśnie że przeciwnie – dojsć ma do pozornej bez-silności – do bez-personalizmu – do bez-stronności... do arcydzieła Prawdy! – oto: początek, dzieje i cel. [...]

Prawdziwa Poezja była, jest i będzie poniekąd *inicjacją*: dlatego że może we dwóch wierszach skreślić całą Epokę, a obraz i pomnik zbliżyć jednym wyrażeniem. Starożytni tę po szczególnie wiersza formę zwali »wierszami-złotymi«...”.

Mówi w nim o *Słowie*, które bywa najmniej lub najbłędniej znaną rzeczą, o czytaniu, które jest *sztuką*, o wygłosie i *milczeniu*, o prozie, która jest „brulionem *Ody*, / *Nie napisanej wierszem...*” lub „nazwiskiem”, o „*Ciemnej zagadki formie*”, o wewnętrznym-słowie, o przyczynach

„*mowy-pomięszania*”, o *Słowie i Literze*, *Mowie* i *Piśmie* i braku uznania *litery*, bez czego zapis szybko przestaje istnieć, a kończy niezwykłymi wersami o *Ruinie*:

„Całość” – rzekłem we wnętrzu ducha i struchlały
Dodalem: „Taka... że jej nie wypowiem całej...”
I nie wiem, czemu ręką chciałem kamień drobny
Podjąć, lecz nie jak fragment wydał się osobny
Palcom moim... zadrzałem i ramię cofnąłem,
Czując, że za część jedną rzeczy pełnej wziąłem.
I natychmiast szepnęła do mnie myśl ostrożna:
„Patrz!... *oto i Ruinę nawet popsuć można!*”
A jam jej odpowiedział: „...Zaprawdę – *Ruina*
Jest całością!...
...*I nową twórczość odpoczywa.*”
A patrząc dłużej rzekłem: „...*Jest kres taki, który*
Nie Ruiny już tytce, lecz – architektury!”
I począłem się w duchu tą myślą dziwować:
„*Szczególniejsza?!... że można Ruinę zepsować!*...
Że więc dzieło zniszczenia i dzieło tworzenia
Harmonijnie się kędyś łączy i spierścienia...”

Ten fragment opisuje najwyższy cel i sens literatury: jej tworzenia i jej odbioru.

Język jest boskim pierwiastkiem w człowieku, a pisanie i czytanie są odkrywaniem znaków, które są znakami Opatrzności. I na to jest poezja – do dążenia do

prawdy, do duchowego rozwoju, do światła, do kontaktu ze Słowem wcielonym – *Logosem*.

Obok – *Modlitwa Mojżesza*, przełożony z hebrajskiego i z Wulgaty Psalm 90 (89).

Tom trzeci zawiera tak znane dramaty Norwida, jak: *Za kulisami*, *Pierścień Wielkiej-Damy*, *Kleopatę i Cezara* oraz *Miłość-czystą u kąpieli morskich*.

W fantazji *Za kulisami* jakby ze środka, bo jedna z postaci – „Ome-gitt, na Omegach pan”, jest *porte-parole* autora, przedstawia Boży plan dla człowieka i świata, mówi o *Prawdzie* i o rozwoju duchowym pisarza i czytelnika. Chrześcijaństwo jest dla niego *Tajemnicą*, objawieniem, które nigdy nie będzie zrozumiałe do końca, a *Prawdą* jest jej poznawanie, dochodzenie do niej i taka jest jego praca, działanie i świadectwo. Ważne są: *Tajemnica* i *Historia* i nimi trzeba się zajmować. Wrażenie robi siła tych słów, które nieraz są trudne do zrozumienia lub niezrozumiałe, ale czujemy, że jest w nich moc, wierność, obecność sumienia, świetlisto-ciemna ironia i autoironia, milczenie, przemilczenia i przemiany, które dokonują się wewnątrz postaci i w nas.

W *Pierścieniu Wielkiej-Damy* – *Białej-Tragedii* z zastosowaniem *deus ex machina* – widzimy ostre kontrasty i drapieżny świat arystokracji, przedstawione na kanwie miłości poety do Marii Kalergis, a w komedii wierszem – *Miłości-czystej u kąpieli morskich*, w której zerwanie zaręczyn staje się szczęśliwym finałem, obserwujemy, jak działa sławna Norwidowska ironia.

W dramatach tych obecna jest sytuacja utraty słowa, czyli „zniemowienie”, i gra dystansem, milczeniem, światłem i ciemnością, rekwizytami, sposobem traktowania czasu i przestrzeni. To teatr obrzędowy, misteryjny, który rozgrywa się jakby bez słów i ze szkicowo zarysowanymi osobami. To zaczął tego, co w dwudziestym wieku spotkamy w teatrze Samuela Becketta.

Norwid w zamierającej współczesnej literaturze istnieje osobno i wyraźnie. Nigdy nie będzie popularny, bo wymaga myślenia, wrażliwości, inteligencji. Jest czarno-biały i szary, świetlisty i promienny. Najlepiej poznawać go kawałek po kawałku, być z nim i medytować nad jego słowami. Wiele jest w jego utworach sprzeczności, zagadek, za-przeczeń, wahania i szukania, ale jest wizja i spójność jak mało u kogo innego.

Myślmy o jego nieszczęściu, samotności, głuchocie, opuszczeniu, cierpieniu i istnieniu na skraju obłądka. Widzimy, jak nostalgia podszyta jest u niego drwiną i ironią, jak *nie* dialektycznie zamienia się w *tak* i jak jedno i drugie jest ważne, połączone ze sobą i jak obok siebie istnieją negatywność i wartość.

Ta edycja jest tym bardziej cenna, bo mamy w niej, w przeciwieństwie do wydań Miriama-Przesmyckiego, Piniego i Gomulickiego, liczne odmiany tekstu i obszernie objaśnienia i jesteśmy, jak nigdy dotąd, blisko oryginalnych zapisów, lepiej zorientowani w tym labiryncie, jakim jest dzieło Norwida, widząc, jak ważne są opuszczone wyrazy, zdania i wersy, akapity i światła, rozstrzelony druk, rytm, znaki interpunkcyjne, kursywy, wielkie litery, składnia.

I lepiej go rozumiemy, gdy mówi o „skąpstwie słowa”, o sztuce *Czuwającej* i sztuce *zgnitej*, o dwóch rzeczywistościach i dwóch mowach i o *Prawdzie*, która jest właśnie docieraniem do niewidzialnej sfery, do tego drugiego, zakrytego świata.

Krzysztof Myszkowski

Cyprian Kamil Norwid, *Poematy 1*, opracowali Stefan Sawicki, Adam Cedro, tom III; *Poematy 2*, opracowali Stefan Sawicki, Piotr Chlebowski, tom IV; *Dramaty 2*, opracował Julian Maślanka, tom VI, *Dzieła wszystkie* pod redakcją Stefana Sawickiego, Towarzystwo Nau-

kowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, Instytut Badań nad Twórczością Cypriana Norwida KUL, Lublin 2009–2013

Różewicz odchodzi

Dwie wydane przez Biuro Literackie książki z utworami Tadeusza Różewicza przypominają o kilku głównych wartościach jego twórczości poetyckiej. Jacek Gutorow zaproponował własną antologię wierszy Różewicza zatytułowaną *Znikanie*. Jan Stolarczyk zredagował zbiór *Ostatnia wolność*, zawierający teksty należące do prac ostatnich. Obydwie książki wywołują ważny problem czytania i publikowania po odejściu poety, skłaniają do refleksji nad nową sytuacją, w jakiej znalazła się różewiczologia.

Gutorow przygotował własny wybór wierszy Różewicza, w którym, jak zdradza w *Posłowniu*, uwydatnić chciał jedno z głównych, jego zdaniem, dążeń owej liryki, jakim było tytułowe „znikanie”. Krytyk zauważa, że to jedna z dwóch dominujących tendencji, drugą stanowiła pokusa „mocnej ekspresji, hiperbolizacji i teatralizacji wyrazu”, co nie zawsze prowadziło do najlepszych efektów artystycznych. Nietrudno nie przyznać mu racji, na przykład zamieszczane w niektórych z ostatnich tomów parodystyczne i sarkastyczne

diatryby sprawiały i sprawiają nadal kłopot różewiczologii. W wyborze Gutorowa tekstów tego rodzaju nie znajdziemy, zamiast mowy nadmiernej elokwentnej spotykamy zapisy rozważające możliwość swego zniknięcia i nieobecności. Bardzo liczne teksty na ten temat pojawiały się we wszystkich okresach twórczości autora *Białego małżeństwa*, co można sobie przypomnieć podczas lektury utworów wybranych przez krytyka. Poeta siedzący przed białą kartką lub doświadczający przeświecania pustki poprzez rzędkie postawionych liter, ręka pisząca bez udziału i woli piszącego, wiersz niemożliwy do napisania, mowa „zajakująca się” i ciągle zbliżająca się do milczenia, motyw wiersza uciekającego od poety lub zapodnianego – to wybrane wątki, które mamy okazję sobie przypomnieć. Dramatycznym relacjom Różewicza z poezją towarzyszyło przez lata wielu czytających, którzy śledzili uważnie, z zaciekawieniem i w napięciu historię wymownych zamilknięć oraz trudnych powrotów do pisania.

Zbiór *Ostatnia wolność*, zredagowany przez Jana Stolarczyka, gromadzi głównie wiersze publikowane w ostatnich latach życia poety na łamach kilku czasopism, w tym także „Kwartalnika Artystycznego”. Do tego dołączony został utwór okolicznościowy z roku 1989, napisany

dla małżonki z okazji rocznicy ślubu (w tomie są jeszcze dwa utwory tego rodzaju). Złożona z piętnastu wierszy książka trudna jest do określenia gatunkowego. Niewątpliwie bowiem zawiera utwory, które stałyby się częścią kolejnego tomu poetyckiego Różewicza, przy czym niektóre z nich, na przykład opisujące znaczenie zmysłu dotyku, mają wyraźnie próbny, fragmentaryczny charakter, co w przypadku obyczajów warsztatowych poety mogło oznaczać, że w finalnej postaci albo zostałyby przedrukowane w przedstawionym kształcie, albo poddane przeróbkom i rozwinięciom, albo połączone w jeden poemat, albo pozostawione poza tomikiem... Przeczytać można w *Ostatniej wolności* wiersze wybitne, zapewne już artystycznie skończone (***) [*ciężko jest wracać...*], wiersze ważne, gdyż proponujące kolejną odsłonę zmagani poety z problemami natury religijnej (***) [*obraz na ścianie...*], ale i garść wspomnianych tekstów rodzinno-prywatnych, których kwalifikacja do tomiku nie wydaje się pewna. Wreszcie nie brak utworów ujawniających wspomnianą przez Gutorowa pokusę „mocnej ekspresji” i „teatralizacji”: zawierają one kpiny z piosenkarki Madonny, kościoła w Licheniu, polskich posłów i senatorów etc. Sądzić można zatem, że *Ostatnia wolność* stanowi książkę łączącą cechy niedoszedłego

tomu poetyckiego Różewicza z formułą wariów. Jednocześnie całość zdaje się bezwiednie współbrzmieć z jakże istotnym dla tego twórcy problemem poezji „rozproszonej” i „rozpraszającej się”, to także przeciw książka obrazująca pewien stan czy moment dezintegracji tekstów, która nie jest już do „zagrania”, udramatyzowania, lecz stanowi nieusuwalną własność zaproponowanej konstelacji tekstów.

Przypomniane przez dwie książki Biura Literackiego zasadnicze problemy twórczości Różewicza, czyli znikanie i rozproszenie, nie stanowią bynajmniej *novum*, to kwestie wielokrotnie dyskutowane przez krytykę oraz filologię, do czego obowiązywały je zresztą teksty poety. Mnogie teorie Różewiczowskiego „znikania” i „rozpraszania” można wynotowywać od prac Janusza Sławińskiego do książek Andrzeja Skrendy i Tomasza Kunza. Dwa tomy ukazujące się już po odejściu poety pozwalają wszakże zrozumieć, jak nowa jest sytuacja, w której będą odtąd czytane i publikowane owe teksty. Zmiana nie jest wywołana jedynie tym, że to nie sam Różewicz czyni coś z tekstami rozproszonymi czy wierszami o znikaniu poezji, i że wysiłki tego rodzaju podejmują teraz redaktorzy tomów zawierających jego wiersze. O zasadniczo nowej sytuacji odbioru decyduje fakt nieodwołalnej

nieobecności poety, która wyostrza wszystkie tematyzowane w twórczości autora *Płaskorzeźby* wątki śmierci poezji, umierania wierszy, milczenia, rozpadu, spadania etc. Poezja opowiadająca przez dziesięciolecia o swym kresie, wyczerpaniu i dezintegracji przygotowała nieoczekiwanie silny rezonans dla każdej lektury, która podejmowana będzie, kiedy ów kres nastąpi.

Pierwszy z procesów, znikanie, potęguje odczuwalność miejsc, w których mowa o śmierci i milczeniu. Różewicz uczynił z nich stale rozgrywaną, uaktywnianą możliwość swej liryki i wpisanej w nią postaci poety. Pamiętny okres jego poetyckiego milczenia przyniósł już raz publiczności czytającej doświadczenie nieobecności autora *Form*. Po roku 2014 ponownie, tyle że w sposób o wiele intensywniejszy, staje się jej udziałem czytanie Różewicza bez Różewicza, już nie zasłania swoją osobą własnych wierszy (pisał o tym zasłanianiu z ubolewaniem w jednym z dawnych esejów), ale też ich w żaden sposób nie osłania. Wiersze zaczynają się komunikować z czytającymi z jeszcze radykalniejszą bezpośredniością, ale też stały się ostatecznie bezbronne i nagie. Nie będzie już więcej podpowiedzi, sugestii, wskazówek co do sposobów radzenia sobie z bolesną tajemnicą owej poezji, ale i nic „tajemnicy

okaleczonej poezji" nie osłoni przed jej ujawnianiem, rozwiązywaniem i usuwaniem. W szczególnej sytuacji znaleźli się zatem czytający wiersze Różewicza: wypracować będą musieli sposoby komentowania i doświadczenia owej liryki, dzięki którym uda się zachować ślad po Różewiczowskim milczeniu, tajemnicy i pustce. W tytułowym wierszu ze zbioru sporządzonego przez Stolarczyka „ostatnia wolność” oznacza wolność milczenia. Jakimi sposobami oswo-bodzić wiersze, aby mogły milczeć, aby mogły być i nie znaczyć, nie wypowiadać się na bieżące tematy, w tym nie podlegać pospiesznym translacjom na najnowsze modne języki humanistyki?

Niepoślednie będzie przy tym zadanie radzenia sobie z cezurą śmierci. W jednym z dawniejszych wierszy upersonifikowana śmierć powiadała do bohatera-poety: „nie pisz już tych słów / siedź prosto / odłóż pióro opuść rękę”. W zakończeniu *Spóźnionej odpowiedzi*, przedrukowanej przez Gutorowa, czytamy: „dopiero na końcu / dowiesz się / co to jest poezja”, a w słynnym *** (*czas na mnie...*) dowiadaliśmy się, że na „tamten brzeg” zabrać można tylko „nic”. Jakoś w czytaniu wierszy Różewicza przenikać będzie, zakradać się, ciążyć na nimi tajemnica śmierci, która rozwiązała wszystko lub nie rozwiązała niczego. Do tego rodzaju

trudnej do uniknięcia, ale i trudnej do podjęcia mocy zdarzeniowej owej konkretnej jednostkowej śmierci kieruje bowiem od lat owa liryka, na nią się często powoływała, jej oczekiwała, podlegała jej nicującemu oddziaływaniu.

Drugi ze wspomnianych procesów, rozpraszenie, nawiązując oczywiście do ważnego gestu artystycznego Różewicza, jakim było rozrzucanie lub przepisywanie (wraz z korektami) własnych utworów. *Kartoteka rozrzuczona* wskazała, że pożądanym procesem, jakiemu ulegać powinna twórczość Różewicza, była jej nieubłagana dezintegracja. Jak ma się zachować dziś odbiorca owych wierszy, gdy znajdować je będzie w kontekstach, których nie zaplanował sam poeta, gdy przebieg przekształceń owych utworów nie będzie już od niego zależny. Nowe konstelacje jego wierszy ułożone przez Stolarczyka i Gutorowa nie są sprzeczne z tym, co robił Różewicz, ale o ileż dotkliwiej odczuwa się ów proces, gdy nie uruchamia go autor *Niepokoju*. Nie czynię oczywiście żadnego wyrzutu redaktorom owych ważnych i pożytecznych tomów, lecz zwracam uwagę, że w podobnej sytuacji odtąd stawać będziemy wszyscy. Żadne zabiegi edytorskie nie zapobiegą wrażeniu, że rozpraszenie się będące własnością tekstów Różewicza przybiera na

sile po śmierci poety. Czym innym było czytać, że wiersze te stają się głosem anonima, a czym innym jest widzieć je w nowych konstelacjach, które ową bezautorską, anonimową cechę czynią niemal decydującą ich jakością. Wiązana w nieautorskie całości, poezja ta, z jednej strony, w pełni zgadza się na podobne zabiegi i ich oczekuje, a z drugiej – zaplątuje w sprawstwo, które niepokoi i obliguje do specjalnego towarzyszenia tekstom. Jeżeli ruch dezintegrujący, rozpraszający przybrał obecnie na znaczeniu i mocy, to współwykonując go z tekstami, będziemy chyba próbowali mu się sprzeciwić, gdyż teraz na czytających spada zadanie równoważenia gestów rozproszenia i chronienia przed całkowitą dezintegracją.

Chciałoby się sparafrazować słynne wyznanie poety i powiedzieć, że oczy Różewicza spoczywają na nas, czytających. Rozpoczęło się nieuniknione i nieodwołalne odchodzenie poety, będzie się ono dokonywać, ale chyba się nigdy do końca nie dokona.

Tomasz Mizerkiewicz

Tadeusz Różewicz, *Ostatnia wolność*, redakcja Jan Stolarczyk, Biuro Literackie, Wrocław 2015

Tadeusz Różewicz, *Znikanie*, wybór i posłowie Jacek Gutorow, Biuro Literackie, Wrocław 2015

Kornhauser zdekonstruowany

We wprowadzeniu do dokonanego przez siebie wyboru wierszy Juliana Kornhausera pisze Michał Larek, że poeta „stał się więźniem historycznoliterackich klisz niezmordowanie reprodukowanych przez nas przy najrozmaitszych okazjach”. Do tych klisz należy, rzecz jasna, wpisywanie twórczości autora *Zjadaczy kartofli* w przestrzeń czegoś, co krytyka zwykła nazywać „poetyką nowofalową”. Larek buntuje się przeciw tego rodzaju praktykom, chce pokazać Kornhausera jako poetę „dla ludzi, nie dla filologów”: „W efekcie rozsyłałem wiersze Kornhausera, uchylając logikę chronologiczną wydawniczej, zapominając o akademickich porządkach i ułożyłem z nich nową historię – bardziej emocjonalną, intuicyjną, prywatną, zorientowaną na plastyczne obrazy”. No i fajnie: z wierszy Kornhausera ułożył Michał Larek własny poemat, co skądinąd świadczy dobrze o jego znajomości tych utworów, ale jako żywo jest tym rodzajem postmodernistycznych manipulacji, które co prawda pozwalają własne pisarstwo zastępować dekonstrukcją cudzych tekstów, ale zarazem stanowią tak drastyczną w nie ingerencję, że,

bywa, nieco przynajmniej zaburzają jej obraz, a nawet wypaczają sens.

Oto pierwszy z brzegu przykład. Larek pracowicie z rozsypanych puzzli ułożył obszerny rozdział zatytułowany *Nikt nie słyszy jej głosu*, w którym poutykał wiersze z autorskiego cyklu *Piosenka żydowska* z tomu *Kamyk i cień*. Wiersze są od siebie pooddzielane, a na dokładkę brak utworu zatytułowanego *Wiersz o zabiciu doktora Kahane*, wzorowanego na anonimowym siedemnastowiecznym *Wierszu o zabiciu Andrzeja Tęczyńskiego*. Niby nic, a jednak... Cykl *Żydowska piosenka* zakomponowany został przez Kornhausera niesłuchanie starannie, ma też swoją logikę – pominięty utwór, drugi w cyklu, nawiązuje do pogromu Żydów w Kielcach w roku 1946 i jest kontynuacją opowieści o Holokauście, w dalszym zaś ciągu tej konstelacji pojawia się *Bat* (obecny w wyborze), nawiązujący do antysemitckiego koszmaru roku 1968. Sam fakt rozbitcia cyklu wydaje się niezrozumiały (to wszak swego rodzaju autorska „całośćka narracyjna”), zaś pominięcie poetyckiego komentarza do pogromu kieleckiego dość, powiedzmy, zdumiewające – tym bardziej że wiersz ten jest swego rodzaju majstersztykiem formalnym i choćby z tego względu wart jest przywołania. Przy tym w żadnej mierze nie chciałbym,

by powyższe uwagi traktowane były jako wskazanie złych intencji autora wyboru. Chciałem tu jedynie zilustrować szkody, jakie może przynieść zbyt swobodne obchodzenie się z materiałem poetycką, dyktowane zapewne zbożną chęcią pokazania „nowego” Kornhausera.

Ale rozumiem ryzyko, jakie podjął Larek. To zresztą towarzyszy każdej „autorskiej” prezentacji poety przez wybór jego wierszy dokonywany przez kogoś innego. Przyjęło się na ogół zachowywanie porządku chronologicznego – z wielu powodów jest to uzasadnione: każda twórczość jest pewnym procesem, który ma swą logikę. W przypadku poezji Kornhausera ten porządek wydaje się szczególnie ważny, gdyż jego poezja jest – jednak – swego rodzaju kroniką czasu, w którym powstawała, a tworzona wszak jest przez bez mała pół stulecia gęstego od wydarzeń i akurat w przypadku tego poety zasadnym wydaje się twierdzenie, że jest on najbliższy tego, co nazwać by należało postawą (nie poetyką – coś takiego bowiem nie istnieje) nowofalową, którą cechuje etyczna ocena (niemająca nic wspólnego z moralizowaniem) tego, co się dzieje. Larek jednak z chronologii zrezygnował. Można to uznać za postawę z gruntu ahisteryczną, lecz odpowiedź na to – czy trafna? – brzmieć będzie:

nie historyczność jest tu ważna (pamiętamy refleksję Miłosza z *Traktatu poetyckiego*, mówiącą, że „historyczność niszczy nam substancję”), lecz poetyckość przede wszystkim: walory artystyczne mają przemawiać do czytelnika w pierwszej kolejności.

Kompozycja Larka złożona z wierszy Kornhausera wydaje się przekonująca, ale jest zwodnicza. To nie zarzut: każdy z nas ma swój obraz i swoją „antologię” wierszy autora, którym jest zainteresowany. Larek zdaje się być przekonany, że taka prezentacja własnej lektury Kornhausera jest w pełni uprawniona. I zapewne jest, choć przyznam, że dla mnie – uważnego czytelnika tej twórczości (w pełnym jej wymiarze: poetyckim, translatorskim, prozatorskim, krytycznoliterackim) – jest trudna do przyjęcia. W wywiadzie (wstrząsającym) zamykającym ten wybór, przeprowadzonym z dotkniętym afazją poetą, odpowiadając na zamykające rozmowę pytanie o to, czego szuka w poezji, odpowiada Kornhauser: „Prawdy”. Nie wartość estetyczna zatem – wydobywana na plan pierwszy przez autora wyboru – stanowi podstawowy punkt odniesienia, lecz wartość poznawcza. Lecz ta wartość nie pozostaje w tej twórczości samoistna – jej fundamentem jest bowiem etyka: prawda jest warunkiem dobra pojmowanego jako

niezbywalny składnik więzi międzyludzkich. Nie przypadkiem w szkicu omawiającym twórczość Kronholda, Karaska i Zagajewskiego pisał Barańczak, przywołując słowa z wiersza tego ostatniego: „»Powiedz prawdę, do tego służysz«. Być może komuś to wezwanie – również i ono dotyczy wartości wspólnej, do której różnymi drogami próbują dojść wszyscy trzej poeci – wyda się banalne i oczywiste; ja sądzę, że jest żądaniem, które w poezji ostatnich lat pojawiało się stanowczo zbyt rzadko”.

Od tamtego czasu owo wezwanie pojawiało się być może zbyt często, mogło się nawet zdawać natrętne, niemniej, jak się zdaje, nie jest możliwe do całkowitego wyeliminowania nawet w postmodernistycznej przestrzeni interpretacyjnej. Nie ulega też wątpliwości, przynajmniej dla mnie, że było ono do ostatnio wydanego tomu Kornhausera stale obecne. I nie ulega też wątpliwości, że wiersze autora tomu *W fabrykach udajemy smutnych rewolucjonistów* są utworami, które określić należy jako poezję świadectwa nie tyle prawdy czasu, co prawdy człowieczeństwa naznaczonego nieuniknionymi błędami kogoś, kto nie ma gotowych recept na porządek świata, kogoś zatem, kto w poszukiwaniu prawdy może pobłądzić, gdyż nie wie z góry, jak się rzeczy mają. Jak w wierszu *Nie zastaniać się ogólnikami*, gdy

wyznaje: „o co naprawdę idzie tego jeszcze nie wiemy”. Stąd też poszukiwanie prawdy skazane jest na błądzenie.

I tu intuicja autora wyboru, Michała Larka, wydaje się trafna, co znalazło wyraz w tytule zaproponowanej przez niego kompozycji wierszy Kornhausera: *Tylko błędy są żywe*. Rzecz w tym, że żywe są też błędy interpretacyjne. Można, oczywiście, próbować wyrwać poezję Kornhausera z przestrzeni doświadczeń nowofalowych, lecz akurat w przypadku tego poety wydaje się to być zabiegiem nieskutecznym, gdyż – jeśli odczytywać jego poezję

w kontekście towarzyszącej tej formacji krytyki literackiej – okaże się, że jest to ten akurat twórca, którego cały dorobek, także wiersze napisane już po przełomie 1989 roku, wyznacza jak nikt inny to, co zwykle się określać jako „poetykę nowofalową”, cokolwiek by to miało znaczyć. Można zaryzykować tezę, że właśnie Kornhauser jest najbardziej konsekwentnym twórcą tej formacji: smakującym konkret i jednocześnie znajdującym dlań uniwersalny kontekst.

Leszek Szaruga

Julian Kornhauser, *Tylko błędy są żywe*, redakcja Michał Larek, Wydawnictwo Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej i Centrum Animacji Kultury, Poznań 2015

Między wierszem *Pewność* a ostatnim utworem na płycie, *Solistą*, recytowanymi przez Autorkę, Ewę Lipską, minęło wiele lat. Między debiutanckim zbiorem *Wiersze* a najnowszym *Czytnik linii papilarnych* (2015) minęło prawie pół wieku. W tym czasie powstały trzydzieści trzy książki tej znakomitej poetki, prozaiczki, autorki tekstów piosenek, błyskotliwej felietonistki.

Teraz, w październiku 2015 roku, na rozpoczęcie kolejnych targów książki w Krakowie, następuje premiera nowego wyboru, *Wierszy wybranych*, Ewy Lipskiej z dodatkiem płyty CD z recytacjami poetki. Jest to urodzinowy prezent Wydawnictwa a5 dla krakowskiej twórczyni, przedstawicielki generacji Nowej Fali; tom opublikowany przez Państwa Krynickich w tej samej kolekcji co niedawne wybory Adama Zagajewskiego, Ryszarda Krynickiego, Jerzego Kronholda.

Skąd bierze jest popularność poetki, następczyni Wisławy Szymborskiej, w kraju i za granicą (autorka *Żywej śmierci* opublikowała około czterdziestu wyborów wierszy w innych językach)?

W jednym z wywiadów, jakiego udzieliła mi poetka w Wiedniu w roku 1999, można przeczytać o wrażeniach z zagranicznych spotkań Lipskiej z czytelnikami jej liryki. Powiada tam między innymi: „Było coś takiego na spotkaniu w Sztokholmie – podeszły do mnie starsze panie, Szwedki, i powiedziały mi, że po czytaniu tych wierszy miały wrażenie, że czytają o sobie”.

Lipska niekiedy mocno komplikuje język swego wierszopisarstwa, tworzy czasem „poetyckie łami-główki”, opisuje bez złudzeń nasze kłopoty ontologiczne. Okazuje się jednak, że te trudne, oszczędne wiersze doskonale przekładają się na języki obce, pokrewieństwo uzyskują nie tylko słowa, ale i wizje świata, myśli o niebezpieczeństwach związanych z naszym postępowaniem, z rozwojem techniki i pogłębianiem się izolacji jednostek. Stała się Lipska poetką ponad podziałami na „nasze” i „obce”, bo przecież na style i sposoby pisania nakładało się samo życie artystki: liczne podróże, długoletnie pomieszkiwanie w innych państwach, codzienne „podglądanie” nie swoich rodaków.

O czym traktuje twórczość Lipskiej?

Powołajmy się znów na słowa poetki z Krakowa, wypowiedziane pod koniec ubiegłego stulecia: „Żyjemy w niesamowitym przyspieszeniu czasu. Popatrz na naukę całego wieku, wieku zbrodni, a równocześnie niewiarygodnego postępu nauki. Człowiek nie ulepsza się jako człowiek, a równocześnie unowocześnia się cywilizacja. Tu jest rozziw. Kondycja moralna nie ulega żadnym przekształceniom. Niestety, zmieniają się tylko technologie, narzędzia...”.

Lipska – jak zawsze uważna, czuła i bezlitosna obserwatorka świata – pisze mniej lub bardziej otwarcie o naszych złudzeniach i nadziejach, o ludzkiej samotności w elegancko opakowanej rzeczywistości wspólnej, niekoniecznie dla wszystkich, Europy, o miłości, której należy zawsze i na przekór wszystkiemu poszukiwać, o przeszłości, która niepokoi, i przyszłości, która ciągle potrafi dziwić. Także o młodych ludziach, najulubieńszych czytelnikach poetki, nadchodzących generacjach, w których przeglądamy się jak w sobie dawnych, z którymi chcemy i powinniśmy znaleźć wspólny, jakże szybko zmieniający się, język – ten bliski komputera, smartfona i stereofonicznych, odgradzających od świata, nauszników.

Te wiersze naszej mistrzyni paradoksu i trudnej, wymagającej szczególnego namysłu „gęstej” metafory bywają rzeczywiście jak drzazga (odwołuję się tu do jednego z niedawno napisanych tekstów, opublikowanego w tomie pod tym samym tytułem w roku 2006), której obecność boli, ponieważ uzmysławia prawdę o nas, sygnalizuje fałsz zachowań i rozpaczliwą nieraz potrzebę czułości.

Ewa Lipska w kolejnych swoich książkach przypomina na różne sposoby, że nie istnieje żadna – jedyna i skuteczna – instrukcja obsługi życia ani śmierci, miłość nie ma ceny, a poezja, nawet w dzisiejszym świecie, może być zawsze początkiem ważnej, i uważnej, rozmowy między nami.

I właśnie wiersz *Miłość (II)* został w tym zbiorze szczególnie wyróżniony – reprodukowany jest przed stroną tytułową jego rękopis:

Miłość jest jasnovidzem.
Przewiduje siebie siebie i mnie.

Jest z narodu wybranego
i posługuje się językiem
wysokiego napięcia.

W Bibliotece Narodowej
powala nawet
nieoczytane książki.

W lawinie chórów
odkrywa echo
euforii i śmierci.

A kiedy cię dopadnie
staraj się być w domu.
Albo coś w tym rodzaju.
Byleby się spotkać.

Na tyle okładki przeczytać możemy dwie rekomendacje krakowskich przyjaciół poetki, Wisławy Szymborskiej i Stanisława Lema. Przytoczmy opinię noblistki: „Świat poezji Ewy Lipskiej to świat szalony, nieobliczalny, świat, po którym niczego dobrego nie należy się spodziewać. Dlaczego więc czytając te wiersze, odczuwamy mimo wszystko radość i chce nam się dalej żyć? Oto pytanie!!!”.

Krzysztof Lisowski

Ewa Lipska, *Wiersze wybrane*, Wydawnictwo a5, Kraków 2015. Tom wydany z płytą CD: **Ewa Lipska**, *Wiersze wybrane*/czyta Autorka

„Żyć to tyle, co narażać się – poza kręgiem rodziny – na ryzyko. Myśleć, wydawać sądy to tyle, co narażać się na ryzyko poza zasięgiem spraw dobrze znanych i idei powszechnie przyjętych – to zdawać się na nieznanne. Może po to, by w końcu powrócić do tego, co rodzinne i znane, jak Ulisses. Bądź co bądź jednak musimy się na to ryzyko narażać, musimy się zdobywać na akt wyzwania. [...] Życie i myślenie albo jest ryzykiem, albo wcale go nie ma”.

Tak pisał Nicola Chiaromonte w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku w jednym z notatników, które prowadził przez całe dorosłe życie. Otrzymaliśmy właśnie ich „najpełniejszą prezentację” (jak pisze Wojciech

Karpiński w krótkim wstępie do obszernego wyboru notatek filozofa), możemy więc sprawdzić, na ile myśl włoskiego intelektualisty jest myślą podejmującą ryzyko tego, co nieoswojone, obce, podważające prawomocność pojęć i wartości kojarzonych z tak zwaną kulturą europejską. Zauważmy od razu, że trudno o jednoznaczną ocenę. Na przykład w przytoczonym powyżej fragmencie Chiaromonte pisze, i owszem, o ryzyku, ale w kontekście postaci Ulissesa i figury powrotu, a zatem w kontekście gwarancji, jaką daje bezpieczeństwo domu i ojczyzny. I to jest może najbardziej charakterystyczny rys myśli włoskiego samotnika, którego nie sposób nazwać tradycjonalistą, który wszakże nigdy nie wyrzekł się tradycji, z pasją i upodobaniem odwołując się do jej archiwów. Chiaromonte zdaje się podawać w wątpliwość sens odziedziczonych sposobów określania siebie, innych i świata. Czyni to jednak w imię aksjomatów, których nie chce bądź nie potrafi się wyrzec, powracających niczym refren, rzadko w książce kwestionowanych, a jeśli już, to w poetyce przytoczonego przed chwilą cytatu – kwestionując, ale w istocie, już po wszystkim, potwierdzam, potwierdzam i akceptuję.

Zapewne nie jest to łatwa akceptacja. Chiaromonte swobodnie porusza się po całym obszarze

kultury europejskiej i potrafi dość trafnie sproblematyzować jej podstawy i założenia, choć warto przy okazji odnotować jego słabość do greckiej filozofii kosmosu i śródziemnomorskie umiłowanie miary – oba sentymenty znajdują odzwierciedlenie w rozważaniach poświęconych idei granicy i kilkunastu wybornych aforyzmach. W sześciu częściach, na jakie podzielono zapiski (podział ma charakter tematyczny, nie chronologiczny), odnajdujemy krytyczne analizy kluczowych kategorii zachodniego humanizmu: czasu, rzeczywistości, sztuki, polityki, religii i świadomości. Pojęciem centralnym jest dla włoskiego autora, jak sądzę, kategoria egzystencji. To z niej wysnuwane są krytyczne argumenty, to na jej fundamentach budowana jest filozofia podejrzliwości w stosunku do przyjętych sposobów definiowania ludzkiego świata. Podkreśliśmy przy tym, że chodzi właśnie o pojęcie egzystencji, nie zaś fakt życia. Chiaromonte był jednym z tych myślicieli, którzy, nie do końca zgadzając się z założeniami i implikacjami tak zwanej *Lebensphilosophie* (przede wszystkim w wydaniu Bergsona), odeszli od koncepcji witalistycznych i biologicznych, przedmiotem myślenia czyniąc świadomą siebie, choć z tego powodu najczęściej nieszczęśliwą, egzystencję. Można nawet zaryzykować tezę, że mamy

do czynienia z wariacjami na temat zaangażowanego egzystencjalizmu spod znaku Camusa i Sartre'a, do pewnego stopnia również Heideggera. Temu ostatniemu poświęcone są w *Notatkach* bardzo ciekawe stronice, które mogą dać do myślenia admiratorom niemieckiego filozofa (myślę tu choćby o dyskusji z Heideggerowską ideą bycia-ku-śmierci).

Chiaromonte to egzystencjalista z wyboru, ale i z temperamentu. Dość łatwo przychodzi mu pisanie o kwestiach życia i śmierci, dobra i zła, poezji i prawdy. Niestety, nazbyt rzadko problematyzuje swój własny język, nie zauważając, albo może nie chcąc zauważyć, że opiera rozważania na ukrytych, bezkrytycznie przyjmowanych przesłankach. Na przykład nigdzie nie zostaje zakwestionowany sens takich pojęć jak metafizyka, idea czy prawda, choć wiemy dzisiaj, że są to konstrukcje filozoficzne, które posiadają własną gramatykę i idiomatykę. Efekt? Otrzymujemy finezyjne, ale irytująco ogólnikowe tezy i twierdzenia, na tyle abstrakcyjne, że można nimi dowolnie żonglować, tworząc kolejne aforyzmy i dając wyraz niezliczonym intuicjom egzystencjalnym. Trzeba oczywiście uwzględnić fakt, że mamy do czynienia z notatkami, doraźnymi refleksjami zapisanymi na marginesie, miniaturami, które

w zasadzie nie były przeznaczone do druku. Zapewne stąd obecne w książce powtórzenia; stąd też skrótowość wywodu i nawyk formułowania pospiesznych, siłą rzeczy ogólnikowych konstatacji. Wydaje się zresztą, że filozof był tego wszystkiego świadom, pisząc w pewnym momencie o „biernych znaczeniach” i solipsyzmie przenikającym gładkie, bezbłędne słowa, które wcześniej czy później gubią się „w pustej przestrzeni”. Takie intuicje są jednak u niego rzadkie. Chiaromonte woli udeptane ścieżki i nazbyt łatwo zawiera pojęciom, które nie zostają poważniej sproblematyzowane.

Bardzo ciekawe są w *Notatkach* passusy odwołujące się, wprost lub pośrednio, do procesu pisania i źródła myślenia. Nie ma ich zbyt wiele, zapewne dlatego, że Chiaromonte, w odróżnieniu od Nietzschego (którego podejrzliwy krytycyzm mógłby mieć, moim zdaniem, zbawienny wpływ na dość czasami deklaratywną retorykę włoskiego filozofa), nie interesował się z nadto genealogią używanych terminów, dogmatów i przekonań. A szkoda, bo rozważania dotyczące genetyki i sceny pisania należą w książce do najciekawszych. W notatce zatytułowanej *Co powiedzieć?* Chiaromonte formułuje rzecz nader wyraziście: „Nie wiadomo, co się ma powiedzieć, dopóki nie

zacznie się mówić. W dodatku dopiero sposób, w jaki zaczyna się mówić, decyduje o tym, co się powie”. Zdania nieoczywiste i zachęcające do myślenia? Jak najbardziej. Temat nurtował filozofa, bo do kwestii kilkakrotnie powraca. Pojawia się ona już na pierwszych stronach książki: „Nikt nie wie, co ma do powiedzenia, póki nie zacznie o tym mówić”. W paradoksalnym charakterze tych słów, bardzo dwudziestowiecznych, wyczuwalny jest klimat nowoczesności, której Chiaromonte nigdy jednak do końca nie akceptował.

Nad *Notatkami* unosi się widmo pytania: „Co pozostaje?”. Do pewnego stopnia odpowiedzią jest forma książki, ich fragmentaryczny charakter i urywany oddech (choć są to raczej zamknięte, logiczne całości, to rozpiera je radość aforyzmu). A także rzucony w pewnym momencie wtřę: „o ile zostaje”. Pytanie jest dla włoskiego myśliciela najwyraźniej kluczowe i w zasadzie cała książka jest próbą udzielenia nań odpowiedzi. Najbardziej poruszającą może sformułowania pojawiające się w jednym z pierwszych notatników: „Pozostaje – o ile pozostaje – to, czym się jest, czym się było: wspomnienie o tym, że byliśmy »piękni«, jak powiedziałby Plotyn, i zdolność ożywiania tego wspomnienia”. Fragment jest dłuższy, ale już to jedno zdanie wprowadza nas w sam śródek

dramatu myśli, który chce ukazać Chiaromonte, będącego także dramatem filozofii poszukującej sankcji swojego istnienia, czyniącej to pod auspicjami i w imię egzystencji, która dana nam jest jako dar – albo czek bez pokrycia.

Jacek Gutorow

Nicola Chiaromonte, *Notatki*, wybór i posłowie Wojciech Karpiński, przełożył Stanisław Kasprzysiak, Fundacja Terytoria Książki, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2015

Czy można pisać o *Erotyzmie*, klasycznym już studium Georges'a Bataille'a, bez przywołania nazwisk jego intelektualnych „dzieci” i „wnuków”? Czy można nie cytować Derridy? Nie zrobić przypisu do Barthes'a czy choćby Kristevej? Zapewne rację ma Michał Krzykawski, autor francuskojęzycznego opracowania *L'Effet Bataille. De la littérature d'excès a l'écriture. Un „texte-lecture”*, gdy przekonuje, że współczesny odbiór tekstów autora *Źez Erosa* nieuchronnie uwikłany jest w lekturę prac jego poststrukturalistycznych „spadkobierców”. Uwagę tę można by jednak odnieść i do intelektualnych następców pisarza, których teorie – niksące w gąszczu nawiązań i komentarzy – jeśli znaczą cokolwiek dla współczesnego czytelnika, to tylko na tle prac „postfoucaultowskich”, „postlacanowskich”, „postderridiańskich” etc.

Tak jak naiwnością byłaby lektura niewinna, to jest ignorująca oddziaływanie Bataille'a na francuski (i nie tylko francuski) poststrukturalizm, tak przesadne wydaje się redukowanie koncepcji Francuza do tropienia śladów w... śladach. Zwłaszcza że dziś, gdy intelektualne oddziaływanie Derridy, Barthes'a czy Foucaulta wyraźnie osłabło, a rozbuchana, modernistyczna metafora *Erotyzmu* – miast szokować – przytłacza nieznośnym patosem, wyraźniej widać, czym w pierwszym rzędzie jest – czy też mógł być – ten pełen sprzeczności tekst. Gwałtowną – bo wyrosłą na gruncie osobistego rozczarowania – polemiką z chrześcijaństwem i coraz bardziej „wyspecjalizowaną” zachodnią filozofią.

Polemika ta, niczym cierré, tkwi w samym jądrze myśli Bataille'a: teorii transgresji, która swój kształt zawdzięcza tyleż socjologicznym koncepcjom Marcela Maussa i Rogera Caillois'a czy obrazoburczym pismom de Sade'a (o tym ostatnim, w przedmowie do *Nowej Justyny*, filozof powie, że „chciał nie tyle przekonać nas do swego, ile rzucić wyzwanie”), co czytanej pod włos chrześcijańskiej nauce moralnej. Gdy Bataille określa transgresję jako „grzech” i „objawienie”, tylko pozornie wikła się w sprzeczność. Paradoks „antychrześcijańskiej” myśli Francuza polega bowiem na tym, że

chcąc uderzyć w chrześcijaństwo, musi czerpać z chrześcijańskiej topiki. Innego języka nie zna. Postawić zarzut niespójności wywodu czy braku pojęciowej precyzji może więc tylko ten, kto Bataille'a nie zrozumiał. Książka nie jest bowiem ani systematycznym wykładem psychologii pożądania, ani – tym bardziej – historyczną prezentacją przemian w pojmowaniu seksualności, choć i w psychologii, i w historii (a także w filozofii, ekonomii i antropologii) myśl autora poszukuje tymczasowych choćby punktów zaczepienia. Więcej tu z ciemnej mowy mistyków. Nie idzie bowiem o to, by skatalogować i opisać wszelkie odcienie ludzkiej seksualności: tego – Bataille nie ma wątpliwości – nie da się osiągnąć bez sprowadzania erotyzmu do poziomu rzeczy, to jest oddzielnego od doświadczenia przedmiotu nowoczesnej filozofii. Idzie o to, by powtórzyć przeżycie wewnętrzne, które domaga się potwierdzenia, nie – refleksji. Czytany w ten sposób esej traktuje w istocie o porażce filozofii: jej tragicznym w skutkach samoograniczeniu, które – przyjmując postać specjalizacji w ramach obranej dyscypliny, coraz bardziej oddala ją od jej przedmiotu, to znaczy „krańcowych momentów życia”: seksu i śmierci. Filozofia – ta „ekspresja ludzkości przeciętnej”, to jest ludzkości racjonalnej, uformowanej

na gruncie świata pracy, którym Bataille po nietzscheańsku pogardza, podobnie jak chrześcijaństwo pozostaje „obca [...] człowieczeństwu ekstremalnemu”. Równocześnie jednak dostarcza myśli eseisty – świadomie wchodzącego w rolę profana i dyletanta – niezbędnej pożywki. Jest w tym jakiś fascynujący, choć też budzący opór egoizm; awangardowe lekceważenie ekonomicznej i politycznej rzeczywistości, które znajduje swój wyraz w skrajnej „nieużyteczności” wywodu. Poszukiwaniu języka „równego zeru”, to jest języka, „który byłby równoważnikiem niczego i powracał do milczenia”, towarzyszy bowiem – od milczenia najodleglejsze – stylistyczne rozpasanie.

To właśnie ów nadmiar: nieumiarkowanie w wydatkowaniu życiowej energii, które i seks, i świętość umieszcza poza zasadą użyteczności rządzącą światem pracy, jest sednem erotyzmu, jego twardym rdzeniem. Pisanie, którym rządzi logika nadmiaru, z założenia nie może być więc skuteczne. Rozpusztnik, tak jak święty, nie może zaświadczyć o swoim wnętrzu: to przerasta możliwości jego języka. Może jednak – i filozof skwapliwie z tej możliwości korzysta – przywołać zamęt serca i niecierpliwość ciała za pomocą „gwałtu” na logice wypowiedzi (przypomina się – jakże bliska Bataille'owi – metafora

Derridy: „pieszczota pazurami”). Mnożąc paradoksy i karkołomne peryfrazy, autor świadomie uniemożliwia czytelnikowi wyważoną refleksję. Zmusza go do poddania się rwącemu nurtowi mowy. Podobnie jak profan, który bluźniąc, nie neguje wcale treści zakazu, w decydującym momencie musi się jednak cofnąć. Inaczej to, co pisze, byłoby niezrozumiałe, jego głos rozbrzmiewałby w samotności. „Co do mnie – to wydaje mi się, że mówiąc, złożyłem hołd – dość niezgrabny – milczeniu” – podsumowuje swoje wysiłki filozof. I dopowiada, ale już jakby mniej pewnie: „Być może też erotyzmowi”. Pisarski projekt Bataille’a z definicji jest bowiem projektem niemożliwym. Nie jest – bo i być nie może – niczym więcej niż hołdem. Wiernością – pustce.

Konrad Zych

Georges Bataille, *Erotyzm*, przełożyła Maryna Ochab, Wydawnictwo słowo/ obraz terytoria, Gdańsk 2015

Tego, że *Ludzie* Zbigniewa Herberta, efektownie wydany tom pod redakcją Andrzeja Franaszka, są katalogiem rysunków poety zgromadzonych na wystawie w Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie, dociekliwy czytelnik dowie się ze stopki redakcyjnej lub strony internetowej MOCAK-u. W samym zbiorze

próżno jednak szukać informacji o okolicznościach, w jakich doszło do ekspozycji, czy – zdawkowego choćby – uzasadnienia wyboru tych a nie innych prac. Położenie na karcie tytułowej nazwiska pisarza każe postrzegać książkę raczej jako zestaw nietypowych ineditów niż publikację towarzyszącą imprezie okołoliterackiej. Zważywszy, że oprócz grafik, które nie zostały opatrzone przez poetę komentarzem, w tomie pomieszczono dwa niezbyt obszerne studia pióra Franaszka i kurator wystawy, Marii Anny Potockiej, krótkie wprowadzenie Henryka Citki, impresję biograficzną Adama Zagajewskiego i erudycyjny popis tłumaczki Alissy Valles, całość uzupełniają zaś wywiady z Katarzyną Herbert i Ryszardem Krynickim (każdy z tekstów w dwóch wersjach językowych: polskiej i angielskiej) – jest to pewne nadużycie.

Spośród niespełna pięciu tysięcy rysunków Zbigniewa Herberta, zgromadzonych w archiwach Biblioteki Narodowej w Warszawie, na ekspozycji udostępniono zaledwie kilkadziesiąt. Najstarsze pochodzą z końca lat czterdziestych dwudziestego wieku, ostatnie – z roku 1998. Przeważają nakreślone szybką, nieco nerwową kreską przerysy z dzieł zachodnich klasyków, które poeta sporządzał podczas wizyt w muzeach i galeriach sztuki. Schematyczne

odwzorowania poszczególnych postaci lub wybranych detali układają się w rodzaj mapy mentalnej: pozwalają odtworzyć towarzyszące zwiedzaniu doznania estetyczne. Względnie – ułatwiają „wmyślenie się” w tajniki warsztatu dawnych mistrzów. Przykładem cykl rysunków osnutych wokół *Złożenia do grobu* Caravaggia, które Herbert interpretuje „fenomenologicznie”, to znaczy stopniowo redukując wyobrażoną na płótnie grupę do postaci świętego Nikodema. W tym przypadku zamysł wydaje się czytelny. Wydobytą zarys głowy, łukowato wygięte plecy i – przede wszystkim – splecione pod kolanami Chrystusa dłonie patrona grabarza, poeta stara się przeniknąć (chyba bez powodzenia) tajemnicę perspektywy tego niezwykłego obrazu. Osobne, choć nieco mniej liczne, grupy współtworzą cykl autoportretów i seria karykatur przedstawiających znajomych oraz postaci znane ze świata polityki, literatury czy sztuki. Najskromniej reprezentowane w tomie – zaledwie pięć rysunków – są pejzaże i studia roślin. Obok rzeczy sporządzonych na potrzeby twórczości poetyckiej, realizujących funkcję mnemotechniczną bądź zaopatrzonych w czytelną intencję satyryczną, nie brak tu szkiców niedokończonych lub zgoła nieudanych, jakby zarzuconych w trakcie rysowania.

Z dołączonej do każdego rysunku noty czytelnik nieorientowany w europejskim malarstwie nie dowie się, niestety, do jakich obrazów nawiązują pomieszczone w katalogu prace. Również portrety i karykatury poszczególnych osób nie zostały opatrzone szcątkowym choćby komentarzem biograficznym. Jest to, w moim odczuciu, niedopatrzenie. Pochodzenie wielu detali, podobnie jak tożsamość niektórych sportretowanych znajomych, z powodzeniem daje się bowiem ustalić. W poprzedzającej część albumową przedmowie Henryk Citko, kustosz Archiwum Zbigniewa Herberta w Bibliotece Narodowej, ogranicza się jednak do podania garści szczegółów technicznych, wyliczenia najważniejszych motywów i krótkiego rysu historycznego. Nieco więcej o charakterze tej twórczości – jej funkcjach poznawczych, estetycznych powinowactwach, także związkach z biografią pisarza – dowiedzieć się można z najciekawszego z pomieszczonych tu tekstów: *Poeta, artysta, krytyk* Marii Anny Potockiej. Przynosi on wstępną klasyfikację plastycznych dokonań autora *Struny światła* (podział na tematy „od obrazu” i „od człowieka”, odróżnienie „metody portretowej” od techniki stosowanej podczas tworzenia pejzaży) i wraz z otwierającym tom esejem Andrzeja Franaszka *Nieprzenikniony jak kamień* (połączenie

„fizjonomicznej” lektury wiersza z dociekaniem biograficznymi) ustawia niejako spojrzenie na zamieszczone w katalogu prace. W odróżnieniu od krakowskiego badacza, który poprzestaje na literackich realizacjach motywu twarzy, Potocka przedkłada jednak szeroko zakrojone studium komparatystyczne (zestawienie z portretami Josepha Beuysa, porównanie tekstów krytycznych Herberta i Apollinaire’a). W plastycznych próbach pisarza widzi zaś dopełnienie i rozwinięcie jego twórczości poetyckiej. Odrębną „metodę poznawczo-interpretacyjną”, która nie tyle przeciwstawia się „metodzie poetyckiej”, ile wchodzi z nią w rozległy dialog. Jest to zresztą charakterystyczny rys całego zbioru. Tym, co spaja poszczególne szkice, oprócz powracającej w kolejnych tekstach figury cierpienia poety (wątek ten nadaje kierunek między innymi rozmowie z Katarzyną Herbert), jest bowiem postrzeganie jego sztuki jako prowadzonej za pośrednictwem słów i obrazów rozmowy ze światem.

Konrad Zych

Zbigniew Herbert, *Ludzie / People*, Wydawnictwo MOCAK, Kraków 2015

Zagłada Żydów to bez wątpienia jedno z progowych doświadczeń ludzkości, nic zatem dziwnego, że jest, szczególnie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, problemem, z którym

mierzą się nie tylko historycy czy socjologowie, lecz także antropologowie czy – a może przede wszystkim – artyści: filmowcy, plastycy, pisarze, a zwłaszcza poeci. Paul Celan, którego cała twórczość zakorzeniona jest w owym doświadczeniu, jest tu postacią stanowiącą szczególne wyzwanie z tego względu, że pytaniem, które przed swoim pisarstwem postawił, jest kwestia zdolności udźwignięcia przez język opowieści o tym, co się stało. Nie jest, oczywiście, jedyny, który to pytanie postawił – dość przypomnieć twórczość Tadeusza Różewicza i zapewne podjęcie próby porównania poetyckich języków tych autorów zmagających się z wyzwaniem stworzenia języka zdolnego uratować poezję (bądź, wedle terminologii Różewicza, „poezję”), jaka może dawać świadectwo grozie Holokaustu i tworzyć opowieść o egzystencji człowieka po tym, co się stało, byłoby zadaniem niezwykle interesującym.

Jedno nie ulega wątpliwości: poszukiwanie nowego języka po drugiej wojnie światowej stało się dla poezji europejskiej jednym z fundamentalnych wyzwań. Pisał o tym jeszcze w roku 1990 Günter Grass w szkicu *Schreiben nach Auschwitz*, nawiązującym do wypowiedzi Teodora Adorno, w której niemiecki filozof stwierdzał, że pisanie wierszy po Auschwitz byłoby barbarzyństwem.

Niezależnie od tego, że Adorno z czasem osłabił kategoryczność swej tezy, poczucie kryzysu języka było (jest nadal?) powszechne. Przy czym ma ono charakter paradoksalny, co wyjątkowo wyraziście pochwylił Julian Przyboś w puencie wiersza *Oświęcim*, nawiązującej do zamykającego *Traktat logiczno-filozoficzny* Ludwiga Wittgensteina przekonania, że „o czym nie można mówić, o tym trzeba milczeć”. Utwór Przybosia kończy zdanie powiadające, że „o tym nie można ani mówić, ani milczeć”.

Tym właśnie zagadnieniom poświęcony jest świetny tom szkiców *Paul Celan: język i Zagłada*, zredagowany przez Adama Lipszyca i Pawła Piszczatowskiego, a będący plonem dwuletniego seminarium zajmującego się twórczością poety z Czerniowiec. Rzecz dla czytelnika nieznanego języka niemieckiego i bazującego jedynie na przekładach wierszy Celana nie jest w lekturze prosta z tego choćby względu, że same te przekłady często budzą wśród znawców spore kontrowersje – dość przypomnieć krytykę tłumaczeń dokonanych przez Feliksa Przybylaka pióra Ryszarda Krynickiego czy polemikę z translatorskim trudem tego ostatniego podjętą niedawno na łamach „Literatury na Świecie” przez Adama Lipszyca. Sprawa jest o tyle skomplikowana,

że utwory Celana sięgają do bardzo głębokich pokładów niemczyzny, odwołują się do znaczeń historycznie uśpionych (stąd przywoływanie *Deutsches Wörterbuch* braci Grimm – nieocenionej pomocy dla tłumaczy i interpretatorów poezji Celana) czy pozostają na granicy eksperymentu awangardowego. O tym ostatnim niesłychanie interesująco pisze Dorota Jarecka (*Czarny kwadrat Paula Celana*), wskazująca, w moim przekonaniu trafnie, na pokrewieństwo tej liryki z rosyjskim kubofuturystycznym (Kruczonych, Malewicz, Chlebnikow – w przypadku Chlebnikowa warto by było w kontekście poszukiwań celanowskich nawiązać do koncepcji „języka będziańskiego”, tym bardziej że jego wiersze Celan tłumaczył na niemiecki). Stopień trudności związany z wyczytywaniem znaczeń utworów autora *Fugi śmierci* wyraziście wskazuje Joanna Roszak: „Celan – jak Midas przemieniający każdy przedmiot w złoto – każde słowo przemienia w odślanie Zagłady. I sam czuje, że powstają piękne wiersze, czyste jak złoto, i niejadalne jak ono, kładące koniec życiu: »*Welches der Worte du sprichst – / du dankst / dem Verderben*« [...] »Którękolwiek wymawiasz słowo – / dziękujesz / unicestwieniu« [...]. Ziemia (*Erde*) w »*Was geschah*« ukryła się także w »*werden*«. I jeśli uznać, że w tak krótkim wierszu Celan

słyszał także tę inkluzję i ją zamierzył – a taką proponuję hipotezę – interpretowany tu wiersz mówiłby, rzeźił i charczał także o trudności i ciężarze bycia i stawania się wobec tego Konkretnego »wydarzonego«, wobec pęknięcia”. Już ten fragment analizy ukazuje problemy związane z przekładem wiersza – w polszczyźnie, przy zachowaniu wierności słownikowym znaczeniom słów, owa konceptualna gra zostaje utracona.

Właściwie każdy z pomieszczonych tu esejów zasługuje na osobne omówienie – już choćby otwierający (po wstępie redaktorów) książkę szkic Agaty Bielik-Robson *Na obraz i podobieństwo milczenia. Zarys mowy nieupadłej w wierszach Paula Celana* wciąga zarówno intelektualną intensywnością, jak i gęstością interpretacyjną: mnie w szczególności przyciągnął tu kontekst *Lęku przed wpływem* Harolda Blooma i zdanie powiadające: „Dla Celana poeta, który spełnia wszystkie Bloomowskie kryteria prekursora powracającego, by wyjść naprzeciw spotkaniu, jest Osip Mandelsztam”. I tu już otwiera się dramatyczne pytanie o sposób wnikania Mandelsztamowskiej wizji w przestrzeń wierszy Celana, który wszak w sposób fascynujący tłumaczył wiersze Rosjanina, ale który też znał jego tragiczny los, który mógł traktować jako prefigurację losu człowieka współczesnego: to wszak

do Mandelsztama się zwraca w jednym z piękniejszych swoich wierszy, jakim jest *Sibirisch (Syberyjsko)*. Ale jest w tym szkicu – a właściwie w całym tomie – coś jeszcze: owa iluzja „mowy nieupadłej”, jakiej zarys jakoby można w poezji Celana dostrzec. Nie jestem pewien trafności tej tezy, choć skądinąd jej potwierdzenie dawałoby nam – czytelnikom tych wierszy – jakąś nadzieję: na ocalenie poezji, na ocalenie człowieczeństwa w tym jego pojmowaniu, które widzi istotę ludzką jako twórcę kreatywnego piękna. Trudno w to wierzyć i jeśli już coś ocala poezja – Celana i innych – to nie człowieczeństwo, lecz wiarę w ocalenie, czyli, mówiąc wprost, wiarę w cud na zasadzie *contra spem spero*. Ale rozumiem, że takie wyczytywanie nadziei z twórczości tego genialnego twórcy jest dramatyczną próbą przezwyciężenia lęku przed nieuchronnością losu, przed powolnym, ale nieuniknionym i bezwzględnym pochłanianiem tego, co ludzkie przez czarną dziurę zła.

Niemniej właśnie owo ocalenie – wiersza, nadziei, człowieczeństwa – jest przedmiotem ostatniego szkicu tej książki, tekstu stanowiącego wieloautorski zapis seminaryjnych poszukiwań, a będącego niesłychanie wnikliwą analizą wiersza *Schneepart (Działka śniegu)* – i tu, w nawiasie, ale jednak, chciałbym zwrócić uwagę

na możliwość, jaką przed interpretatorem tego utworu otwiera, choć ryzykowne, odczytanie zwrotu „działka śniegu” jako „działka kokainy”...). Czytamy tu: „Wiersz, zapadając się w siebie pod ciężarem własnej grawitacji, wzmocnionej dodatkowo działaniem czarnej materii zebranej w obydwu przerwach między strofami, czerpie ze swej anihilacji energię potrzebną mu, by wydostać się z czarnej dziury, którą sam się staje – wydostać się na powierzchnię samego siebie, na której będzie mógł oscylować. Centralna strofa, w której dokonuje się to przejście wiersza przez stadium grawitacyjnej osobliwości, lub – odwołując się do równie poetyckiego co idiom współczesnej astrofizyki języka teologicznego Izaaka Lurii – jego strukturalne *cimcum*, zdaje się być zarazem pochwałą powierzchni, płaskiej – choć nieidealnie – tafli. [...] Żeby uzyskać dźwięk, wydobyć go z *cimcum* języka, tej grawitacyjnej osobliwości, do której kurczy się wiersz, skąd nie jest w stanie wydostać się nawet światło, a co dopiero tyleż wolniejsze fale akustyczne, reżyser tej sceny sięga po całe dostępne mu instrumentarium. Pamięta zapewne, że z takiej samej osobliwości powstał już kiedyś cały wszechświat, i to nie tylko w mistycznych spekulacjach Lurii, lecz także według obwiniętych modeli współczesnej kosmogonii”.

No cóż: to się nazywa brawura interpretacyjna! Nie wiem, czy i jak dalece interesował się Celan współczesną mu astrofizyką, kosmogonią lub fizyką kwantową (w roku 1970 dalekie były te dyscypliny od dzisiejszych ich postaci), na pewno jednak znał zapis kabalistycznych poszukiwań Lurii, sporządzony na podstawie notatek jego uczniów przez rabina Chaima Vitala, a opublikowany w drugiej połowie osiemnastego wieku. Jak się wydaje, coraz częściej i wyraźniej zaczynamy dostrzegać ważne pokrewieństwa łączące mistycyzm z teoriami współczesnych nauk ścisłych, czego jednym z dowodów jest ta książka poświęcona językowi poezji Celana, a w istocie językowi poezji współczesnej (tej, która zakorzeniona jest w doświadczeniach awangard początków dwudziestego stulecia i zwalczanej zarówno przez nazistów, jak i komunistów). W przypadku twórczości Celana rzecz w tym, że poruszał się w przestrzeni wszechświata tworzonych przez „ojczysty język obcy”, jakim musiała być dlań niemczyzna.

Leszek Szaruga

Paul Celan, *Język i Zagłada*, redakcja Adam Lipszyc i Paweł Piszczatowski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2015

Studia? Szkice? Głosy? Jakim rzeczownikiem wypełnić elipsę

w podtytule opublikowanego nakładem Wydawnictwa a5 tomu „*i cień i światło...*” *O twórczości Adama Zagajewskiego*, który ukazuje się w siedemdziesiątą rocznicę urodzin tego znakomitego poety, świetnego eseisty i nieco niedocenianego prozaika? Już na wstępie odrzucić można pierwszy z rzeczowników. Na ponad dwadzieścia zgromadzonych tu tekstów jedynie kilka przynosi próbę syntetycznego przedstawienia dorobku pisarza, najczęściej w perspektywie jego biografii, czy podejmuje trud rozbioru wybranych wierszy. Może więc szkice? I ten rzeczownik nie odzwierciedla w pełni zawartości tomu. Obok zabarwionych nostalgją wspomnień, luźnych impresji z lektury czy omówień kolejnych książek poetyckich i eseistycznych autora *Lekkiej przesady*, notabene chyba najczęściej przywoływanego tu tytułu, trafić można na dwa, niezbyt długie co prawda, wiersze: *Wieczorne ptaki* Charlesa Simica i *Lwów, wrzesień 2013* niemieckiej poetki i tłumaczki Renate Schmidgall. Najlepszy wydaje się więc rzeczownik najogólniejszy, najbardziej abstrakcyjny. Głosy. Pewna jednostajność tonu następujących po sobie tekstów podpowiada jednak, by nieco przekornie użyć liczby pojedynczej. Głos. Głos – bo mimo podziału zbioru na pięć części, które biorą swoje tytuły od wierszy jubilatka, większość wypowiadających się

o Zagajewskim autorek i autorów, a są wśród nich zarówno promiennie postaci światowej humanistyki (Susan Sontag, Derek Walcott, zmarły niedawno Charles Kenneth Williams), jak i osobowości nadające ton rodzimym debatom o kulturze (Barbara Toruńczyk, Tadeusz Sobolewski, Tadeusz Nyczek), przemawia z tych samych pozycji. Czytelników, uczniów, apologetów. Atencja dla poetyckiego dzieła twórcy *Jechać do Lwowa* nie dziwi. Trudno jednak nie postawić pytania o klucz dokonanego przez redaktorkę wyboru.

Jeśli w zamierzeniu Anny Czaбанowskiej-Wróbel, autorki zbioru *Poszukiwanie blasku. O twórczości Adama Zagajewskiego* (znów ta elipsa!), książka miała być prezentem urodzinowym dla pisarza i jego zwolenników, rozpisana na głosy zbiorową laudacją, w jakim celu przytoczono tu znany z łamów miesięcznika „Lampa” szkic Jarosława Klejnockiego *Dziesięć powodów, dla których inni polscy poeci nienawidzą Adama Zagajewskiego*, który traktuje tyleż o Zagajewskim i jego dziele, co o obiegowych (najczęściej krzywdzących) sądach na temat jego poezji i pozycji we współczesnym życiu literackim? Ponieważ głosy krytyków poety, jego poetyckich i nie tylko poetyckich adwersarzy zostały z tego urodzinowego chóru wykluczone, czytelnik może

widzieć w tym rodzaj prewencji, próbę uprzedzenia ewentualnych ataków, oskarżeń o brązownictwo. Namiętne wystąpienie Klejnockiego – pełne celnych uszczypliwości, ale i dyskusyjnych uogólnień czy idiosynkrazji piszącego (który to już kamyczek rzucony przez tego świetnego poetę i krytyka do ogródka warszawskiej „Twórczości“?), wydaje się jednak ciekawe z innego powodu.

W tekstach laudatorów, niczym w krzywym zwierciadle, odbija się bowiem stereotyp, przeciw któremu krytyk wytacza swe działa. Pisze Klejnocki: „Ataki na Zagajewskiego stały się [...] pośrednio atakami na »Zeszyty«, złośliwości i kąśliwe komentarze dotyczące »Zeszytów« – trafiwały [...] rykoszetem w Zagajewskiego”. Przypadek chciał, że aż cztery spośród ośmiu opublikowanych wcześniej tekstów, które weszły w skład zbioru, ukazały się właśnie na łamach „Zeszytów Literackich”. W innym miejscu stwierdza: „niedoczytanie Zagajewskiego [...] owocuje skupieniem się na krytyce formy”. Czy dlatego apologeci poety, jakby się zmówili, w przeważającej większości nie poświęcają formie niemal cienia uwagi? Duża część zamieszczonych tu tekstów przynosi refleksje zawieszane między poetycką impresją a wyznaniem.

Krążenie wokół źródła własnego zachwytu za pomocą peryfrazy, poetyckiej omowni. Przykładem najbardziej udanym – piękne ciągi metaforyczne Tadeusza Sobolewskiego. „Transgresja odwrócona, która prowadzi nie ku ciemności, ale ku jasności, w sferę ciszy”, „mistyka [...] przepuszczona przez frankeę codzienności”, „niepokój, pokryty świetnie skrojonym garniturem”, „żarliwość przeżywania chwil pierwszych”. Funkcję wprowadzenia w tajniki warsztatu poety, do pewnego stopnia przynajmniej, spełniają próby tłumaczek, Clare Cavanagh i Renaty Górczyńskiej, które – każda na swój sposób – próbują przełożyć czytelniczy zachwyty na kategorie poetologiczne. Gdzie jednak włożyć krótki, pełen ciepłej zadumy esej Tadeusza Nyczka, który w swojej obszernej części bardziej niż na twórczości Zagajewskiego koncentruje się na postaciach jego rodziców, rzeczywistej i wyobrażonej geografii jego poezji? „Czy można mieszkać w dwóch miastach, a jednocześnie w żadnym naprawdę? Skoro pierwsze trzeba sobie tylko wyobrażać, a drugie, co prawda realne, jest wciąż brane w nawias przez rodziców, ciotki, wujów i ich znajomych, także byłych lwowian? Nie wiem, nie umiem powiedzieć, miałem inne doświadczenia”. „Nie wiem, nie umiem...” – może

tak należałoby pisać o wierszach jubilata? Najbliższe istocie poezji Zagajewskiego, poezji skromnej i nienarzucającej się ze swoją wirtuozerią, wydają się bowiem teksty, które pomyślane zostały równie skromnie jak ona sama. Teksty, które mówią o doświadczeniu własnym czytającego, ale bez egzaltacji, porzucając hiperbolę na rzecz litoty (by sparafrazować celne określenie innego z przywołanych tu autorów, Andreasa Breitensteina).

Konrad Zych

„i cień i światło...” O twórczości Adama Zagajewskiego / “both light and shadow...” The Work of Adam Zagajewski, redakcja merytoryczna Anna Czabanowska-Wróbel, Wydawnictwo a5, Kraków 2015

Księga jubileuszowa jest w świecie akademickim oczywistym dowodem uznania. Jakkolwiek dzisiaj niektóre obyczaje uczelniane upadły, to przecież najważniejsze uniwersytety pielęgnują dawne rytuały. Ten typ publikacji znamy ze świetnych realizacji. Notabene księgi jubileuszowe mają w naszej tradycji tak akademicy (niektórzy mogli cieszyć się z kilku takich tomów), jak i pisarze (na przykład *Księga pamiątkowa ku czci Leopolda Staffa*, Warszawa 1948). Księgi ożywiają teorię (gatunku). Analizował na przykład tę odmianę publikacji Henryk Markiewicz w artykule *O księgach pamiątkowych*

– w *księdze pamiątkowej* (w: *Od polityki do poetyki. Prace ofiarowane Stanisławowi Jaworskiemu*, pod redakcją Cezarego Zalewskiego, wstęp Anna Burzyńska, Kraków 2010). Jakiś czas temu ukazał się także monograficzny numer czasopisma kulturalnego poświęcony analizie tomów jubileuszowych („Pogranicza” 2008, nr 2).

Ogród świata jest jedną z najważniejszych ostatnio realizacji tego gatunku. Nie najmniej ważną cechą publikacji pod redakcją Łukasza Tischnera i Józefa Wróbla jest jej strona edytorska. Twarda oprawa, staranny skład, dyskretne motywy graficzne są uzupełnieniem świetnych studiów z historii literatury polskiej i europejskiej.

Ciekawa jest struktura księgi, ponieważ kolejni autorzy nawiązują tematycznie (i metodologicznie) do dokonań Jubilata. Co się okazuje? Że jest to dorobek ważny i zasadniczy dla kształtu literatury polskiej dwudziestego (i dwudziestego pierwszego) wieku, a zwłaszcza dla rozumienia Czesława Miłosza. Kolejni Autorzy odwołują się do badań Aleksandra Fiuta nad biografią i twórczością autora *Rodzinnej Europy*. Stanisław Bereś zajmuje się demonologią, również pogańską, Miłosza. Małgorzata Czermińska zaś pisze o literackich związkach szwajcarsko-polskich. Punktem wyjścia do tej analizy jest książka *Moment*

wieczny, której tytuł Aleksander Fiut wzięął z jednego z najbardziej znanych utworów Miłosza *Notatnik: Bon nad Lemanem*.

Interesujący jest dobór autorów książki. Piszą koleżanki i koledzy z Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego: starsi, rówieśnicy, młodszy; współpracownicy i uczniowie (między innymi: Tadeusz Bujnicki, Jerzy Jarzębski, Wojciech Ligęza, Małgorzata Sugiera, Dorota Korwin-Piotrowska, Anna Czabanowska-Wróbel, Jarosław Fazan, Krzysztof Biedrzycki, Łukasz Tischner), a także przedstawiciele Uniwersytetu Gdańskiego, Uniwersytetu Śląskiego, Uniwersytetu Zielonogórskiego, Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Rzeszowskiego). Prace do książki złożyli też wybitni przedstawiciele polonistyki i slawistyki światowej. Również ci, którzy swoimi publikacjami zmieniają obraz literatury w perspektywie komparatystycznej (między innymi: George Gömöri, Rolf Fieguth, Allen Kuharski, Arent van Nieukerken, Algis Kalėda).

Interesujące są – niezależnie od głównego tematu książki – zagadnienia, poprzez które rozpoznaje się dzisiaj literaturę. Na przykład w kilku tekstach rozwija się literaturoznawczy dyskurs europeistyczny. Hanna Gosk pokazuje figurę „środkowoeuropejczyka” w prozie Ignacego Karłowicza. Andrzej Hejmej zastanawia

się nad dzisiejszym stanem badań literackich na Starym Kontynencie i proponuje odróżnienie trzech odmiennych tradycji komparatystyki: literacką, interdyscyplinarną i kulturową. Andrzej Mencwel natomiast przybliży projekt Europy Środkowej Jerzego Giedroycia. W tym europeistycznym kontekście dobrze komponuje się (kontrapunktowo) interpretacja *Piosenki o porcelanie* Małgorzaty Mikołajczak, z wykorzystaniem współczesnej geopoetyki i z uwzględnieniem problematyki „ziem odzyskanych”.

W kolejnych studiach wykorzystywana jest też paralela jako tryb objaśniania literatury polskiej. Ciekawie, poprzez świadectwo osobiste i ze spożytkowaniem wiedzy biograficznej, o relacjach Miłosza i Herberta rozprawia Aleksander Schenker (*Herbert versus Miłosz via Chodasiewicz*). Stefan Chwin tropi ślady Darwinowskiej wizji świata w twórczości Miłosza i zestawia ją z wyobrażeniami Szyborskiej. A Michał Masłowski porównuje *Wyznania patrycjusza Máraiego* z *Rodzinną Europą* Miłosza. Na marginesie wspomnę, że Piotr Kłoczowski w swoim szkicu konfrontuje aż pięcioro pisarzy (*Miłosz, Chiaromonte, Arendt, Camus, Weil – nowe terytoria badawcze*).

W tomie reprezentowani są autorzy, których głównym zajęciem jest praca akademicka. Lecz

redaktorom udało się zaprosić do książki także eseistów, krytyków, pisarzy spoza uniwersyteckich katedr. I był to pomysł szczęśliwy. Nie tylko dlatego, że w ten sposób publikacja poświadcza różne obszary aktywności Jubilata, ale pokazuje także oddziaływanie rozpoznanych historycznoliterackich Aleksandra Fiuta. A wreszcie dlatego, że w tym kształcie księga poświadcza jedność polonistyki, jakby wbrew zamiarom administratorów nauki, by odseparować obieg uniwersytecki od krytycznoliterackiego. W tomie są więc między innymi eseje Barbary Toruńczyk i Krzysztofa Myszkowskiego. W końcu mamy w księdze mowę wiążaną. Swoją poetykę wierszowaną, z odniesieniami do pisarstwa Aleksandra Fiuta, ogłosił Jarosław Klejnocki.

Książkę zamyka zestawienie bibliografii Jubilata. Jeśli mi czegoś w tym wyczeniu brakuje, to autobiografii. Wspomnień akademika, który miał możliwość poznać krajowe życie uniwersyteckie, ale również edukację w kampusach światowych (francuskich, amerykańskich, słowiańskich). Być może pod wpływem lektury *Ogrodu świata* Aleksander Fiut napisze książkę kampusową.

Jeśli miałbym grymasić, odniósłbym się tylko do tytułu. *Ogród świata* sygnalizuje pewną koncepcję poznawania literatury i opisywania

przeszłości. „Świat jako ogród” to jeden z najbardziej produktywnych w europejskiej kulturze obrazów literackich. Tej problematyce poświęcił opracowanie między innymi Jarosław Marek Rymkiewicz (*Myśli różne o ogrodach*, Warszawa, 1968; 2010). Motywy mitograficzne odnajdziemy w analizach Aleksandra Fiuta – i są w tomie jubileuszowym nawiązania do tej części dorobku krakowskiego historyka. A Maria Delaperrière zamieszcza nawet tekst, który brzmi jak (kolejny) manifest mitograficzny: „Reinterpretacja mitu staje się bezpośrednim dialogiem, który toczy się w perspektywie historii i od niej jest uzależniony” (*O tożsamości Prometeusza*). Kłopot polega na tym, że twórczości Aleksandra Fiuta nie daje się zamknąć w języku badań mitograficznych. Bo przecież ważna w dociekaniach krakowskiego badacza jest również inspiracja krytyką postkolonialną, która podważa porządek, jaki skrywają europejskie mity.

Jerzy Madejski

W ogrodzie świata. Profesorowi Aleksandrowi Fiutowi na siedemdziesiąte urodziny, redakcja Łukasz Tischner i Józef Wróbel, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2015

Joanna Jurewicz, profesor indologii na Uniwersytecie Warszawskim, opublikowała drugi tom z przekładami hymnów ze staroindyjskiego

zbioru *Rygweda*. Podczas gdy poprzednia publikacja (*Wędrówka za przestrzenią. Wybrane hymny Rygwedy*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2013) był wyborem hymnów różnych z dziesięciu mandal („kręgów”), drugi zawiera wszystkie czterdzieści trzy hymny kręgu drugiego.

Rygweda to wielkie wyzwanie, zarówno dla tłumacza, jak i dla czytelnika. Pierwszy stoi przed pytaniem, jak poradzić sobie z tekstem, który składa się z poezji równocześnie archaicznej i niesamowicie wyrafinowanej, którego autorzy uwielbiają aluzje i zagadki i który jest osadzony w czasie odległym o jakieś trzy tysiące lat oraz w kulturze, która różni się od naszej niemal pod każdym względem. Najczęściej spotykana strategia tłumaczeniowa jest pozornie trudna, ale być może w pewnym sensie najłatwiejsza: polega ona na drobiazgowym oddawaniu treści, nie stroniąc od obszernych przypisów i komentarzy (na tym polega trudność), ale bez uwzględnienia „poetyckości” utworu (stąd względna łatwość). Jurewicz wybrała inną opcję. Oczywiście jako wybitna specjalistka również zdaje sobie sprawę z różnych warstw znaczeniowych, które kryją się dosłownie w każdym wersie, i stara się o precyzyjne ich uwzględnienie – nie za wszelką cenę jednak, bo jej przekład to niewątpliwie

polski tekst na własnych prawach, czego nie można powiedzieć o większości przekładów *Rygwedy* na różne języki. Ciekawe jest przy tym to, że tekst zdaje się żyć własnym życiem, bo tłumaczka porównując starsze z nowszymi przekładami, zauważa tendencję do wzrastającej rytmiczności, co daje, jakby mimochodem, ładne efekty, jak na przykład w następujących strofach, gdzie autor przemawia do wieszczonego ptaka:

Wołaniem narodziny ogłasza,
słowem porusza jak wioślarz wiosłem.
Jak jesteś ptakiem, co szczęście niesie,
to żadne zło cię nie dostrzeże.

Ma się więc wrażenie, że tłumaczka w trakcie pracy nad tekstem coraz bardziej znajduje „własny styl rygwedyjski”, co jest niezwykle cennym osiągnięciem dla każdego tłumacza i dobrze wróży na przyszłość.

Ale jak prezentują się przełożone hymny z punktu widzenia czytelnika? Podczas gdy cytowana strofa nie zawiera szczególnych trudności, w bardzo wielu innych pojawiają się nazwy mitologiczne (na przykład *Wrytra, Danu, Aurnawabha, Arbuda, Wala*), terminy techniczne ze sfery rytualnej (na przykład *trikadruka, adhwarju, agnidh*) i tym podobne, które niewątpliwie utrudniają odbiór przeciętnemu czytelnikowi i które właśnie z tego powodu stanowią

bodajże największy problem dla tłumacza zwracającego się – tak jak Jurewicz – nie tylko do specjalisty. Tłumaczka zastosowała dwojaką strategię: pewne nazwy i pojęcia, które mają wyraźne znaczenie, przełożyła, jak na przykład w przypadku niektórych bogów – Ogień (*agni*), Wicher (*vāyu*) – albo kluczowej koncepcji „Święte Słowo” (*brahman*); większość jednak występuje w oryginalnym brzmieniu i jest krótko objaśniona w małym glosarium na końcu książki. Oznacza to, że czytelnik, przynajmniej przy pierwszej lekturze, musi (na podstawie glosarium oraz wprowadzenia) uczyć się pewnych pojęć i podstawowych informacji związanych z kulturą wedyjską, ale jest to nieuniknione w obliczu czasowego i kulturalnego dystansu. Trzeba jednak przyznać, że dość duża liczba obco brzmiących słów w niektórych hymnach osłabia ich poetyckość. Cała książka, jak każdy dobry przekład, jest więc pewnym kompromisem, przy czym nie wolno tutaj zapominać o jeszcze jednym elemencie po stronie poezji, mianowicie o drugiej części wstępu, gdzie Jurewicz w bardzo sugestywny sposób snuje swoją wizję legendarnego autora hymnów drugiego kręgu: wieszczka Grytsamady.

Szczególne wartości omawianej książki polega więc na tym, że czytelnik znajduje w niej zarówno rzetelne informacje z rąk wybitnego specjalisty, jak i dowody wysokiej poetyckiej wrażliwości, przy czym szczęśliwie pochodzą one od tej samej osoby. Jest to, jednym słowem, zupełnie wyjątkowa publikacja, która powinna trafić na półki zarówno profesjonalnych indologów, jak i osób, które interesują się kulturą indyjską albo są po prostu ciekawe tej prastarej poezji.

Można tylko mieć nadzieję, że obecny tom jest początkiem serii obejmującej całą *Rygwedę*, tak aby i polska literatura chlubiła się tym cudem literackim. Oprócz tego, by tak się stało, recenzent życzyłby sobie nieskromnie, żeby tłumaczka była jeszcze odważniejsza i przełożyła większą liczbę nazw – bo najczęściej mają one całkiem czytelne znaczenie – oraz dodała krótki komentarz do każdego hymnu, co pomogłoby zarówno czytelnikom niefachowym, jak i specjalistom w zrozumieniu trudnych miejsc, których w *Rygwedzie* nie brakuje.

Sven Sellmer

Joanna Jurewicz, *Wędrowka za przestrzenią. Krąg drugi*, Dom Wydawniczy Elipsa, Warszawa 2015

Samuel Beckett (1906–1989), dramaturg, prozaik, poeta, eseista; pisał po angielsku i francusku; laureat Literackiej Nagrody Nobla (1969); autor m.in. *Końcówki*, *Ostatniej taśmy*, *Szczęśliwych dni*, *Komedii*, *Katastrofy*, powieści: *Molloy*, *Watt*, *Nienazywalne*, tomików wierszy i esejów [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1996 nr 4 (12), 1999 nr 4 (24), 2006 nr 3–4 (51–52), 2007 nr 1 (53), 2008 nr (60), 2010 nr 4 (68), 2012 nr 4 (76), 2015 nr 1 (85)].

Stefan Chwin, ur. 1949 w Gdańsku, prozaik, eseista; profesor Uniwersytetu Gdańskiego; ostatnio ogłosił *Samobójstwo i „grzech istnienia”* (2013) [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 3 (67)]. Mieszka w Gdańsku.

Emily Dickinson (1830–1886), poetka amerykańska; po raz pierwszy jej utwory wydano w 1890, a ich pełne wydanie ukazało się w 1955. Na język polski wiersze Dickinson przekładali m.in. Stanisław Barańczak i Ludmiła Marjańska [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1999 nr 1 (21), 2012 nr 3 (75)].

Mirosław Dzień, ur. 1965 w Bielsku-Białej, poeta, eseista, krytyk literacki; profesor Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej; ostatnio opublikował: *Axis mundi* (2014), *Motywy eschatologiczne w poezji Zbigniewa Herberta* (2014). Mieszka w Bielsku-Białej.

Michał Głowiński, ur. 1934 w Warszawie, prozaik, eseista, historyk i teoretyk literatury polskiej, krytyk literacki; profesor IBL PAN; jako prozaik debiutował w Bibliotece „Kwartalnika Artystycznego” *Czarnymi sezonami* (1998), opublikował m.in. *Kręgi obcości* (2010) [patrz „Kwartalnik Artystyczny” 2010 nr 2 (66)], ostatnio: *Realia, dyskursy, portrety. Studia i szkice* (2012). Mieszka w Warszawie.

Renata Gorczyńska, ur. 1943 w Warszawie, eseistka, tłumaczka, krytyk literacki; ostatnio opublikowała *Rue de Seine. Biografia paryskiej ulicy* (2014) oraz *Szkice portugalskie* (2014). Mieszka w Gdyni.

Jacek Gutorow, ur. 1970 w Grodkowie, autor wierszy, tłumacz, krytyk literacki, eseista; pracownik naukowy Uniwersytetu Opolskiego; ostatnio opublikował tom szkiców *Księga zakładek* (2011). Mieszka w Opolu.

Julia Hartwig, ur. 1921 w Lublinie, poetka, eseistka, tłumaczka; autorka m.in. kilkunastu tomów wierszy [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 2011 nr 3 (71)]; ostatnio ukazały się: *Zapísane* (2013), *Wiersze wybrane* (2014), *Błyski zebrane* (2014), dwa tomy rozmów: *Życie to podróż, to ocean* (2014) i *Największe szczęście, największy ból* (2014) oraz *Dziennik* tom 2 (2014). Mieszka w Warszawie.

Zbigniew Herbert (1924–1998), poeta, dramatopisarz, eseista [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 1 (17), 1999 nr 2 (22) i dodatek do nr. 2/2008 (58)]; w 2011 w Wydawnictwie a5 ukazał się tom wierszy Herberta w większości wcześniej niepublikowanych pt. *Utwory rozproszone. (Rekonosans)* pod redakcją Ryszarda Krynickiego, suplement do wydanych w 2008 *Wierszy zebranych*; ostatnio ukazały się: *Barbarzyńca w podróży* (2014) oraz wznowienie *Króla mrówek. Prywatnej mitologii* (2014).

Tomasz Hrynac ur. w 1971, autor ośmiu zbiorów wierszy; ostatnio wydał książki: *Praski raj* (2009), *Prędką przędza* (2010), *Przedmowa do 5 smaków* (2013). Mieszka w Świdnicy Śl.

Marcin Jurzysta, ur. 1983 w Elblągu, autor tomików wierszy i literaturoznawca; opublikował ostatnio zbiór wierszy pt. *Abrakadabra* (2014). Mieszka w Toruniu.

Vytautas Karalius, ur. w 1931 w Kłajpedzie, litewski poeta i aforysta oraz tłumacz współczesnej poezji niemieckiej; autor zbiorów poetyckich i aforyzmów, m.in. *Endspurt der Schnecken (Finis ślimaka)*. Mieszka w Wilnie.

Marek Kędziński, ur. 1953 w Łodzi, prozaik, eseista, tłumacz, reżyser; ostatnio ukazała się w jego przekładzie powieść Thomasa Bernharda *Korekta* (2013). Mieszka m.in. w Paryżu.

Ryszard Krynicki, ur. 1943 w Sankt Valentin (Austria), poeta, tłumacz poezji niemieckiej, edytor wierszy m.in. Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta [patrz m.in. „Kwartalnik Artystyczny” 1998 nr 2 (18) i 2013 nr 2 (78)]; ostatnio opublikował *Wiersze wybrane* (2014) i tomik pt. *Haiku. Haiku mistrzów* (2014). Mieszka w Krakowie.

Antoni Libera, ur. 1949 w Warszawie, pisarz, tłumacz, reżyser; ostatnio opublikował *Niech się Panu darzy i dwie inne nowele* (2013) oraz przekład *Trylogii Tebańskiej* Sofoklesa (2014). Mieszka w Warszawie.

Krzysztof Lisowski, ur. 1954 w Krakowie, poeta, prozaik, krytyk literacki; redaktor Wydawnictwa Literackiego; ostatnio ogłosił *Motyl Wisławy. I inne podróże* (2014). Mieszka w Krakowie.

Jerzy Madejski, ur. 1960 w Chlebówku, historyk i teoretyk literatury, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Szczecińskiego; opublikował m.in. *Deformacje biografii* (2004). Mieszka w Szczecinie.

Jarosław Mikołajewski, ur. 1960 w Warszawie, autor tomików wierszy, prozaik, publicysta, reporter, tłumacz; ostatnio wydał zbiór wierszy *Wyręka* (2014) i reportaż *Wielki przypływ (Dowody na Istnienie)*, (2015). Mieszka w Warszawie.

Tatiana Giorgijewna Michajłowska, ur. 1946, poetka i prozaik; autorka zbiorów poetyckich i aforyzmów; redaktorka pisma „Nowoje Litieraturnoje Obozrienię”. Mieszka w St. Petersburgu.

Tomasz Mizerkiewicz, ur. 1971 w Pleszewie, krytyk literacki; profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza; ostatnio opublikował *Literatura obecna. Szkice o najnowszej prozie i krytyce* (2013). Mieszka w Poznaniu.

Krzysztof Myszkowski, ur. 1952 w Toruniu, prozaik, eseista; autor m.in. powieści *Funebre* (1998); od 1995 redaktor naczelny „Kwartalnika Artystycznego”. Mieszka m.in. w Bydgoszczy.

Jan Polkowski, ur. 1953 w Bierutowie, poeta, prozaik, dziennikarz; ostatnio opublikował tomik wierszy *Głosy* (2012), powieść *Ślady*

krwi (2013), *Gorzka godzina* (2015). Mieszka w Krakowie.

Krystyna Rodowska, ur. 1937 we Lwowie, poetka, tłumaczka, krytyk literacki; opublikowała *Wiersze przesiane 1968–2011* (2012). Mieszka w Warszawie.

Marcin Sas, ur. 1983 w Warszawie, autor dwóch tomików wierszy i próz poetyckich, ostatnio wydał *Bezpowrotne wakacje Tourette’a* (2013). Mieszka w Warszawie.

Sven Sellmer, ur. 1969 w Kolonii; adiunkt w Katedrze Orientalistyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu; tłumacz m.in. Elzenberga i Miłosza. Mieszka w Berlinie.

Janusz Styczeń, ur. 1939 w Białolinach Szlacheckich, poeta; ostatnio opublikował tom wierszy *Furia instynktu* (2011). Mieszka w Wrocławiu.

Leszek Szaruga, ur. 1946 w Krakowie, autor tomików wierszy, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz poezji niemieckiej; profesor Uniwersytetu Warszawskiego; ostatnio opublikował *...zmowa kontrolowana* (2014) i *Dane elementarne* (2014). Mieszka w Warszawie.

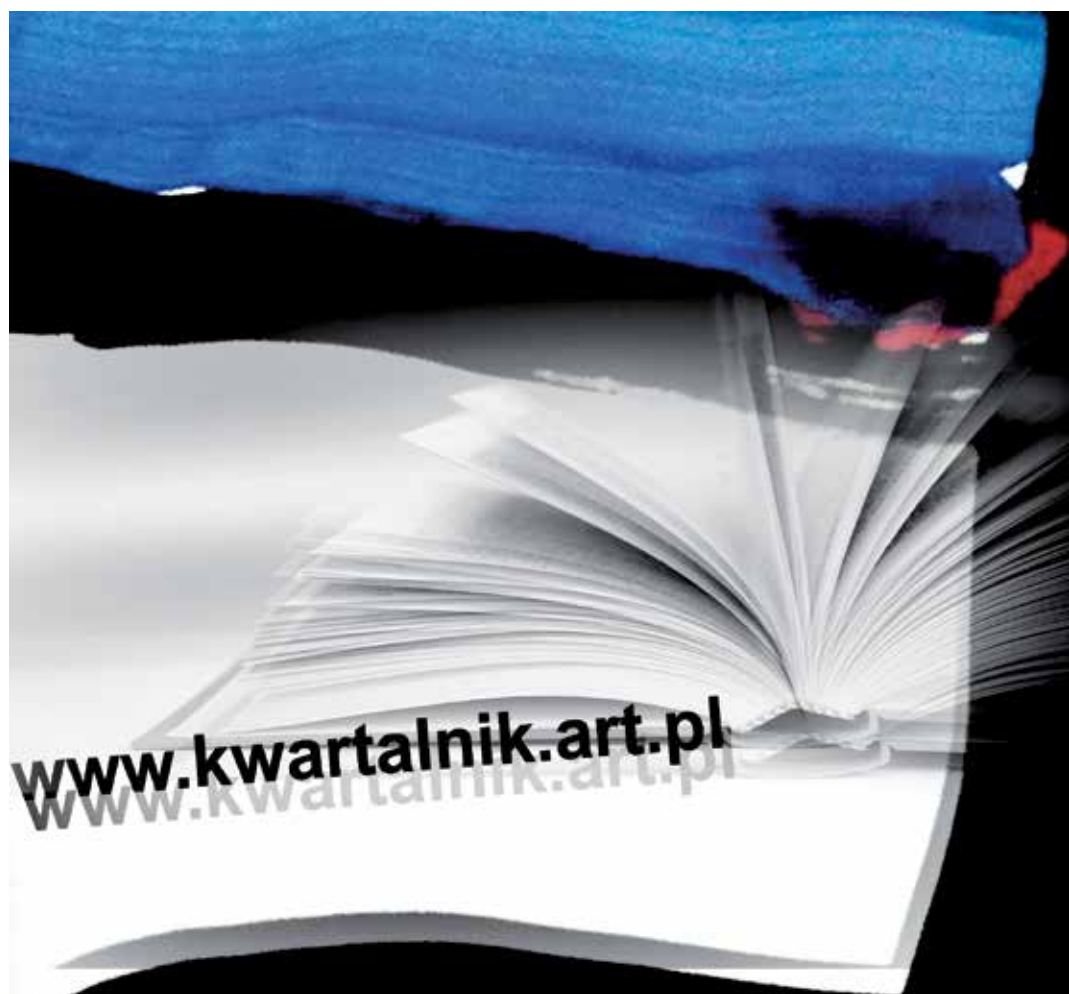
Piotr Szewc, ur. 1961 w Zamościu, prozaik, poeta, krytyk literacki; redaktor „Nowych Książek”; ostatnio opublikował tom wierszy *Cienka szyba* (2014). Mieszka w Warszawie.

Artur Szlosarek, ur. 1968 w Krakowie, poeta, tłumacz, eseista; ostatnio ogłosił *Święto szparagów* (2010) oraz *Ołówek rzeźnika* (2012). Mieszka w Berlinie.

Andrzej Szuba, ur. 1949 w Gliwicach, poeta, tłumacz poezji anglojęzycznej; ostatnio opublikował zbiór wierszy *44 strzępy* (2015). Mieszka w Katowicach.

Paweł Tański, ur. 1974 w Toruniu, autor tomików wierszy, krytyk literacki; pracownik naukowy Uniwersytetu Mikołaja Kopernika; ostatnio opublikował *spod siódmego zebra* (2015). Mieszka w Toruniu.

Konrad Zych, ur. 1985 w Wołominie, krytyk literacki; redaktor portalu literatki.com. Mieszka w Strykach.



www.kwartalnik.art.pl

ANKIETY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Po co piszę?

Czesław Miłosz – nr 4/1995 (8), Ryszard Krynicki, Julian Kornhauser – nr 1/1996 (9), Jan Józef Szczepański, Tadeusz Konwicky, Zbigniew Żakiewicz, Aleksander Jurewicz, Andrzej Stasiuk – nr 2/1996 (10), Henryk Grynberg, Stefan Chwin, Kazimierz Brakoniecki – nr 3/1996 (11), Tadeusz Różewicz, Urszula Koziół – nr 4/1996 (12), Michał Głowiński, Bogdan Czaykowski – nr 1/1997 (13), Kazimierz Hoffman, Janusz Styczeń – nr 2/1997 (14), Grzegorz Musiał, Krzysztof Karasek – nr 3/1997 (15), Florian Śmieja, Maciej Niemiec – nr 4/1997 (16), Bolesław Taborski, Ewa Sonnenberg – nr 1/1998 (17), Marek Kędziński, Leszek Szaruga – nr 2/1998 (18), Ludmiła Marjańska, Janusz Szuber, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski, Bohdan Zadura – nr 3/1998 (19), Adriana Szymańska, Ewa Kuryluk, Urszula M. Benka – nr 4/1998 (20), Józef Kurylak, ks. Jan Sochoń – nr 1/1999 (21), Ryszard Kapuściński, Aleksandra Olędzka-Frybesowa – nr 2/1999 (22), Maciej Cisło, Mirosław Dzień, Piotr Szewc – nr 3/1999 (23), Krzysztof Cwikliński, Krzysztof Lisowski – nr 4/1999 (24), Stanisław Lem – nr 1/2000 (25), Anna Nasiłowska, Tomasz Jastrun, Jarosław Klejnocki – nr 2/2000 (26), Maria Danilewicz-Zielińska, Jerzy Gizella – nr 3/2000 (27), Małgorzata Baranowska, Teresa Ferenc, Bogusław Kierc – nr 4/2000 (28), Jacek Bolewski SJ, Jacek Łukasiewicz, Artur Szlosarek – nr 1/2001 (29), Zbigniew Jankowski, Kazimierz Nowosielski – nr 2/2001 (30), Joanna Pollakówna, Janusz Anderman, Jerzy Pilch, Wojciech Wencel – nr 3/2001 (31), Anna Janko, Piotr Michałowski, Piotr Mitzner – nr 4/2001 (32), Katarzyna Boruń, Bogusława Latawiec, ks. Janusz A. Kobierski, Henryk Waniek – nr 1/2002 (33), Krzysztof Myszkowski – nr 2/2002 (34)

Trzy wiersze

Czesław Miłosz – nr 3/1997 (15), Stanisław Lem – nr 4/1997 (16), Jan Józef Szczepański

– nr 1/1998 (17), Ryszard Krynicki – nr 2/1998 (18), ks. Jan Twardowski – nr 3/1998 (19), Jarosław Marek Rymkiewicz – nr 4/1998 (20), Kazimierz Hoffman – nr 1/1999 (21), Julian Kornhauser – nr 2/1999 (22), Leszek Szaruga – nr 3/1999 (23), Piotr Sommer – nr 4/1999 (24), Gustaw Herling-Grudziński – nr 1/2000 (25), Maria Danilewicz-Zielińska – nr 2/2000 (26), Ryszard Kapuściński – nr 3/2000 (27), Michał Głowiński – nr 4/2000 (28), Zbigniew Żakiewicz – nr 1/2001 (29), Bogusław Kierc – nr 3/2001 (31), Julia Hartwig – nr 2/2004 (42)

Jaki jest terazniejszy stan literatury polskiej?

Czesław Miłosz – nr 3/2001 (31), Henryk Grynberg, Stanisław Lem, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 4/2001 (32), Julia Hartwig, Jerzy Gizella, Mieczysław Orski, ks. Jan Twardowski, Piotr Wojciechowski – nr 1/2002 (33), Ludmiła Marjańska, Adriana Szymańska, Edward Balcerzan, Kazimierz Brakoniecki – nr 2/2002 (34), Anna Nasiłowska, Mirosław Dzień, Michał Głowiński, Jarosław Klejnocki, Kazimierz Nowosielski – nr 3/2002 (35), Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Piotr Michałowski, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski – nr 4/2002 (36)

Po przełomie – najważniejsze książki dwudziestolecia 1989–2009

Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber – nr 1/2009 (61), Mirosław Dzień, Andrzej Zawada – nr 2/2009 (62), Anna Nasiłowska, Ewa Sonnenberg – nr 3/2009 (63), Wojciech Ligęza, Arkadiusz Morawiec, Andrzej Skrendo – nr 4/2009 (64)

Moi mistrzowie

Julia Hartwig – nr 1/2013 (77), Stefan Chwin, Marek Skwarnicki – nr 2/2013 (78), Janusz Szuber, Leszek A. Moczulski, Renata Górczyń-

ska – nr 3/2013 (79), Kazimierz Brakoniecki, Jacek Gutorow, Leszek Szaruga – nr 4/2013 (80), Bogusław Kierc, Urszula Kozioł, Anna Nasiłowska – nr 1/2014 (81), Jacek Bocheński, Piotr Matywiecki, Andrzej Szuba – nr 2/2014 (82), Krzysztof Lisowski, Krystyna Rodowska, Ewa Sonnenberg – nr 3/2014 (83), Ireneusz Kania, Piotr Sobolczyk, Artur Szłosarek – nr 4/2014 (84), Krzysztof Myszkowski – nr 1/2015 (85)

Po co literatura?

Julia Hartwig – nr 4/2012 (76), Stefan Chwin, Renata Górczyńska – nr 1/2013 (77), Piotr Matywiecki, Leszek A. Moczulski, Marek Skwar-

nicki – nr 2/2013 (78), Kazimierz Brakoniecki, Krzysztof Lisowski, Krystyna Rodowska – nr 3/2013 (79), Krystyna Dąbrowska, Jakub Momro, Anna Nasiłowska – nr 4/2013 (80), Jacek Gutorow, Jacek Napiórkowski, Leszek Szaruga – nr 1/2014 (81), Anna Frajlich, Ireneusz Kania, Bogusław Kierc – nr 2/2014 (82), Jacek Bocheński, Stanisław Dłuski, Kazimierz Nowosielski – nr 3/2014 (83), Maciej Cisło, Joanna Jurewicz, Andrzej Szuba – nr 4/2014 (84), Jerzy Plutowicz, Artur Szłosarek, Jarosław Zalesiński – nr 1/2015 (85), ks. Janusz A. Kobierski, Piotr Sobolczyk – nr 2/2015 (86), Andrzej Zawada – nr 3/2015 (87).

MISTRZOWIE LITERATURY W FILHARMONII

- WILLIAM STAFFORD • ALLEN GINSBERG • CZESŁAW MIŁOSZ • ANDERS BODEGÅRD
- ADAM ZAGAJEWSKI • RYSZARD KRYNICKI • KS. JAN TWARDOWSKI • ZYGMUNT KUBIAK
- JULIA HARTWIG • PIOTR SOMMER

GŁOSY I GŁOSY W „KWARTALNIKU ARTYSTYCZNYM”

1996 nr 4 (12)

– Samuel Beckett

Samuel Beckett, Václav Havel, Edward Beckett, Andre Bernold, Roger Blin, Harold Bloom, Gottfried Büttner, John Calder, Steven Connor, Ria Endres, Charles Julliet, Martin Esslin, Georges Pelorson (Belmont), Rosemary Poutney, David Warrilow, Billie Whitelaw, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Myszkowski

1997 nr 4 (16)

– Jerzy Andrzejewski

Aleksander Fiut, Henryk Grynberg, Jarosław Klejnocki, Julian Kornhauser, Ryszard Matuszewski, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Wajda, Andrzej Fietz

1998 nr 3 (19)

– 5 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Jacek Bocheński, Jerzy Giedroyc, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Zbigniew Herbert, Ryszard Kapuściński, Zygmunt Kubiak, Stanisław Lem, Czesław Miłosz, Jarosław Marek Rymkiewicz, Jan Józef Szczepański, ks. Jan Twardowski, Andrzej Wajda

1999 nr 2 (22)

– Zbigniewowi Herbertowi *in memoriam*

Alain Besançon, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jerzy Gizella, Krzysztof Karasek, Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Bronisław Maj, Czesław Miłosz, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Jan Józef Szczepański, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, ks. Jan Twardowski, Zbigniew Żakiewicz

2001 nr 2 (30)

– Czesławowi Miłoszowi w 90. rocznicę urodzin Julia Hartwig, Joanna Pollakówna, Stanisław Lem, Krzysztof Myszkowski, Jan Józef Szczepański, Jan Błoński, Irena Stawińska, Aleksander Fiut, Janusz Szuber, Zofia Zarębianka

2002 nr 1 (33)

– o *Drugiej przestrzeni* Czesława Miłosza

Jacek Bolewski SJ, Mirosław Dzień, Krzysztof Myszkowski

2002 nr 4 (36)

– o *Orfeuszu i Eurydyce* Czesława Miłosza

Krzysztof Myszkowski, Irena Stawińska, Zbigniew Żakiewicz

2003 nr 2–3 (38–39)

– Alberto Giacometti

Jacques Dupin, Jean Genet, Magnus Hedlund, Tahar Ben Jelloun, Charles Juliet, Jean-Paul Sartre, Ernst Scheidegger, David Sylvester

2003 nr 4 (40)

– 10 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Julia Hartwig, Czesław Miłosz, Krzysztof Myszkowski

2004 nr 3 (43)

– Czesławowi Miłoszowi *in memoriam*

Jan Paweł II, Marzena Broda, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Jacek Gutorow, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Grzegorz Kalinowski, Julian Kornhauser, Ryszard Krynicki, Antoni Libera, Rafał Moczkodan, Grzegorz Musiał, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Ewa Sonnenberg, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Wisława Szymborska, Zbigniew Żakiewicz

2005 nr 3 (47)

– w 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosza

Kazimierz Brakoniecki, Mirosław Dzień, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Bogusław Kierc, Janusz Kryszak, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Grażyna Strumiłło-Miłosz, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, Bolesław Taborski, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 2 (50)

– na 85. urodziny Tadeusza Różewicza

Wisława Szymborska, Robert Cieślak, Mirosław Dzień, Anna Frejlich, Aleksander Jurewicz, Bolesław Kierc, Olga Lalić, Jacek Łukasiewicz, Piotr Michałowski, Stanisław Różewicz, Andrzej Skrendo, Piotr Sommer, Agata Stankowska, Leszek Szaruga, Zbigniew Żakiewicz

2006 nr 3–4 (51–52)

– o *Wierszach ostatnich* Czesława Miłosza
Miroslaw Dzień, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Julian Kornhauser, Agnieszka Kosińska, Krzysztof Myszkowski, Marek Skwarnicki, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2007 nr 3 (55)

– o Arturze Międzyrzeckim
Aleksander Jurewicz, Wojciech Ligęza, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2008 nr 2 (58)

– w 10. rocznicę śmierci Zbigniewa Herberta
Stefan Chwin, Miroslaw Dzień, Henryk Grynberg, Julia Hartwig, Maria Kalota-Szymańska, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Piotr Michałowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Kazimierz Nowosielski, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2008 nr 4 (60)

– o *Znakach* Kazimierza Hoffmana
Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Leszek Szaruga

2009 nr 1 (61)

– o *Tutaj* Wisławy Szymborskiej
Edward Balcerzan, Aleksander Jurewicz, Julia Hartwig, Bogusław Kierc, Zofia Król, Krzysztof Myszkowski, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 2 (62)

– o *Jasne niejasne* Julii Hartwig
Krystyna Dąbrowska, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber

2009 nr 4 (64)

– w 100. rocznicę urodzin
Jerzego Andrzejewskiego
Julia Hartwig, Antoni Libera, Krzysztof Myszkowski, Dariusz Nowacki, Leszek Szaruga

2010 nr 1 (65)

– w 1. rocznicę śmierci Jana Błońskiego
Krzysztof Myszkowski, Aleksander Fiut, Marek Kędziński, Paweł Mackiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga

2010 nr 2 (66)

– o *Kręgach obcości* Michała Głowińskiego
Julia Hartwig, Wojciech Gutowski, Wojciech Ligęza, Jacek Łukasiewicz, Arkadiusz Morawiec, Krzysztof Myszkowski, Andrzej Skrendo, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Wojciech Tomasik

2011 nr 2 (70)

– najważniejsze książki i wiersze Czesława Miłosza
Jacek Bolewski SJ, Kazimierz Brakoniecki, Václav Burian, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Olga Glondys, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Henryk Grynberg, Jacek Gutorow, Wojciech Gutowski, Julia Hartwig, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, ks. Janusz A. Kobierski, Antoni Libera, Krzysztof Lisowski, Paweł Mackiewicz, Piotr Matywiecki, Leszek A. Moczulski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Mieczysław Orski, Jerzy Plutowicz, Jan Polkowski, Marek Skwarnicki, ks. Jan Sochoń, Sergiusz Sterna-Wachowiak, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Andrzej Szuba, Janusz Szuber, Marta Wyka, Joanna Zach, Andrzej Zawada

2011 nr 3 (71)

– na 90. urodziny Julii Hartwig
Krzysztof Myszkowski, Jacek Bocheński, Kazimierz Brakoniecki, Renata Gorczyńska, Anna Janko, Grzegorz Kalinowski, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka, Leszek Szaruga, Wisława Szymborska

2012 nr 1 (73)

– *Wisławie Szymborskiej in memoriam*
Julia Hartwig, Krzysztof Myszkowski, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Wojciech Gutowski, Bogusław Kierc, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Jacek Łukasiewicz, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 2 (74)

– o *Wystarczy* Wisławy Szymborskiej
Julia Hartwig, Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Wojciech Ligęza, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Janusz Szuber, Marta Wyka

2012 nr 4 (76)

– 20 lat „Kwartalnika Artystycznego”

Julia Hartwig, Kazimierz Brakoniecki, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Marek Kędzierski, Bogusław Kierc, Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Piotr Matywiecki, Anna Nasiłowska, Marek Skwarnicki, Leszek Szaruga, Janusz Szuber

2013 nr 1 (77)

– w 1. rocznicę śmierci Wisławy Szymborskiej
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Krystyna Dąbrowska, Aleksander Fiut, Michał Głowiński, Renata Gorczyńska, Wojciech Gutowski, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Marta Wyka

2013 nr 2 (78)

– na 70. urodziny Ryszarda Krynickiego
Julia Hartwig, Katarzyna Herbert, Jacek Gutorow, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Adam Michnik, Krzysztof Myszkowski, Michał Rusinek, Jakub Kornhauser, Krzysztof Lisowski, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2013 nr 4(80)

– o *Zapiscane* Julii Hartwig

Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Bogusław Kierc, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Li-

sowski, Jacek Łukasiewicz, Krzysztof Myszkowski, Anna Nasiłowska, Iwona Smolka, Leszek Szaruga, Piotr Szewc

2014 nr 1 (81)

– o wierszach Wisławy Szymborskiej
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Michał Głowiński, Bogusław Kierc, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Janusz Szuber

2014 nr 2 (82)

– w 10. rocznicę śmierci Czesława Miłosza
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Piotr Kłoczowski, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga, Marek Tomaszewski

2014 nr 3 (83)

– Tadeusz Różewicz *in memoriam*
Julia Hartwig, Stefan Chwin, Aleksander Fiut, Renata Gorczyńska, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Krzysztof Myszkowski, Leszek Szaruga

2015 nr 2 (86)

– w 1. rocznicę śmierci Tadeusza Różewicza
Julia Hartwig, Kazimierz Brakoniecki, Jacek Gutorow, Bogusław Kierc, Piotr Matywiecki, Arkadiusz Morawiec, Anna Nasiłowska, Leszek Szaruga, Artur Szlosarek, Andrzej Zawada

ROZMOWY „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

- z AGNIESZKĄ HOLLAND: 0/1993
z JÓZEFEM TISCHNEREM: 1/1994
z TADEUSZEM RÓŻEWICZEM: 2/1994, 4/2011 (72), 3/2014 (83)
z CZESŁAWEM MIŁOSZEM: 3/1994, 3/2000 (27), 3/2005 (47), 3–4/2006 (51–52)
z MICHAŁEM GŁOWIŃSKIM: 3/1994, 2/2010 (66)
z TADEUSZEM KANTOREM: 4/2010 (68)
z JOHNEM BANVILLE’EM: 1/1995 (5)
z JANUSZEM STYCZNIEM: 2/1995 (6)
z MARIANEM CZUCHNOWSKIM: 3/1995 (7)
z JANEM BŁOŃSKIM: 4/1995 (8), 2/2010 (66)
z EUGÈNE’EM IONESCO: 1/1996 (9)
z JACKIEM BACZAKIEM: 1/1996 (9)
z KRYSZYŃKĄ i CZESŁAWEM BEDNARCZYKAMI: 3/1996 (11)
z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM: 2/1997 (14), 1/2006 (49)
z ALLENEM GINSBERGIEM: 3/1997 (15)
z ZYGMUNTEM KUBIAKIEM: 4/1997 (16)
z ROBERTEM PINGETEM: 2/1998 (18)
z RYSZARDEM KRYNICKIM: 2/1998 (18), 2/2013 (78)
z KS. JANEM TWARDOWSKIM: 3/1998 (19)
z THORSTENEM AHRENDEM (SUHRKAMP VERLAG): 4/1998 (20)
z JAROSŁAWEM MARKIEM RYMKIEWICZEM: 4/1998 (20)
z PAWŁEM HERTZEM: 4/1998 (20)
ze STANISŁAWEM LEMEM: 4/1998 (20)
z GUSTAWEM HERLINGIEM-GRUDZIŃSKIM: 1/1999 (21), 1/2000 (25)
z KAZIMIERZEM HOFFMANEM: 1/1999 (21), 4/2008 (60)
z JULIANEM KORNHAUSEREM: 3/1999 (23)
z JÉRÔME’EM LINDONEM (EDITIONS DE MINUIT): 2/2000 (26)
z IRÈNE LINDON (EDITIONS DE MINUIT): 3/2001 (31)
z ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z JAMESEM LORDEM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z ERNSTEM SCHEIDEGGEREM o ALBERTO GIACOMETTIM: 2–3/2003 (38–39)
z JULIĄ HARTWIG: 2/2004 (42), 2 i 3 /2012 (74 i 75)
z FRANCISEM BACONEM: 4/2005 (48)
z BARBARĄ BRAY o SAMUELU BECKETCIE: 3–4/2006 (51–52), 4/2008 (60)
MAREK KĘDZIERSKI i KRZYSZTOF MYSZKOWSKI o SAMUELU BECKETCIE:
3–4/2006 (51–52), 1/2007 (53), 4/2010 (68)
z ROSWITHĄ QUADFLIEG o SAMUELU BECKETCIE: 1/2007 (53)
z WALTEREM D. ASMUSEM: 1/2007 (53)
z ALEKSANDREM FIUTEM: 2/2008 (58)
z MARKIEM SKWARNICKIM: 1/2009 (61)
z EWĄ LIPSKĄ: 1/2009 (61)
z THOMASEM BERNHARDEM: 2/2009 (62)
z PETEREM FABJANEM o THOMASIE BERNHARDZIE: 2/2009 (62)
ze STEFANEM CHWINEM: 3/2010 (67)
z ANDRZEJEM BUSZĄ o CZESŁAWIE MIŁOSZU: 2/2011 (70)
z MARIE-LAURE BERNADAC: 4/2011 (72)
z ULFEM KÜSTEREM: 4/2011 (72)
z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ: 1/2012 (73)
z JANUSZEM SZUBEREM: 3/2012 (75)
ANTONI LIBERA i O. JANUSZ PYDA OP o SAMUELU BECKETCIE: 4/2013 (80), 1/2014 (81), 2/2014 (82)
z ARTUREM SZŁOSARKIEM: 4/2014 (84)
z ADAMEM ZAGAJEWSKIM: 2/2015 (86)
z PIOTREM SOMMEREM: 3/2015 (87)

NUMERY MONOGRAFICZNE I TEMATYCZNE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

JERZY ANDRZEJEWSKI: 4/1997 (16), 4/2009 (64)
FRANCIS BACON: 4/2005 (48)
SAMUEL BECKETT: 4/1996 (12), 4/1999 (24), 3-4/2006 (51-52), 1/2007 (53), 4/2008 (60), 4/2010 (68), 1/2015 (85)
THOMAS BERNHARD: 2/2009 (62), 3/2009 (63)
JAN BŁOŃSKI: 1/2010 (65)
LOUIS BOURGEOIS: 4/2011 (72)
LOUIS-FÉRDINAND CÉLINE: 1/1998 (17)
STEFAN CHWIN: 3/2010 (67)
EDITIONS DE MINUIT: 2/2000 (26), 3/2001 (31)
ALBERTO GIACOMETTI: 2-3/2003 (38-39), 4/2013(80)
ALLEN GINSBERG: 3/1997 (15)
MICHAŁ GŁOWIŃSKI: 2/2010 (66)
JULIA HARTWIG: 3/2011 (71)
ZBIGNIEW HERBERT: 2/1999 (22), 2/2008 (58)
KAZIMIERZ HOFFMAN: 1/1999 (21), 4/2008 (60)
KONSTANDINOS KAWAFIS: 2/2013 (78)
RYSZARD KAPUŚCIŃSKI: 1/2006 (49)
RYSZARD KRYNICKI: 2/2013 (78)
„KWARTALNIK ARTYSTYCZNY”: 4/2003 (40), 4/2012 (76)
MICHAŁ ANIOŁ: 1/2008 (57)
ARTUR MIĘDZYRZECKI: 3/2007 (55)
CZESŁAW MIŁOSZ: 2/2001 (30), 3/2004 (43), 3/2005 (47), 3-4/2006 (51-52), 4/2007 (56), 3/2008 (59),
2/2011 (70), 2/2014 (82)
ROBERT PINGET: 2/1998 (18)
HAROLD PINTER: 1/2005 (45)
EZRA POUND: 3/1998 (19)
TADEUSZ RÓŻEWICZ: 3/2002 (35), 2/2006 (50), 4/2011 (72), 3/2014 (83), 2/2015 (86)
WISŁAWA SZYMBORSKA: 1/2012 (73), 1/2013 (77), 1/2014 (81)
SUHRKAMP VERLAG: 4/1998 (20)
KS. JAN TWARDOWSKI: 3/1998 (19)
LITERATURA CZESKA: 2/1997 (14)
LITERATURA IZRAELSKA: 1/2000 (25), 4/2004 (44)
LITERATURA ROSYJSKA: 2/1996 (10)
POECI AMERYKAŃSCY: 1/1999 (21)
POECI CHORWACCY: 1/2008 (57)
POECI MACEDOŃSCY: 1/2009 (61)
POECI Z SARAJEWA I ZE SŁOWENII: 3/1995 (7)



Tylko prenumerata zapewnia
stałe i szybkie otrzymywanie
„Kwartalnika Artystycznego”



Wydawca:

Kujawsko-Pomorskie Centrum Kultury w Bydgoszczy
przy finansowej pomocy Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.**

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. 52 585 15 01
e-mail: kwartalnik@kpck.pl
www.kwartalnik.art.pl

Prenumerata: Ewa Krupa, tel. 52 585 15 04
Korekta: Hanna Borawska, Barbara Laskowska

Projekt okładki i stron reklamowych:
Ewa Bathelier

Warunki prenumeraty:

Cena rocznej prenumeraty „Kwartalnika Artystycznego“:

- krajowej – 40 zł
- zagranicznej – 20 USD / 15 EUR

Cena egzemplarza archiwalnego (wraz z wysyłką):

- krajowa – 12 zł
- zagraniczna – 10 USD / 8 EUR

Wpłaty prosimy kierować na konto:

PKO SA II Oddział Bydgoszcz 68 1240 3493 1111 0000 43057874
„Kwartalnik Artystyczny”

*Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje
Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu,
Urzędowi Miasta Bydgoszcz i Urzędowi Miasta Torunia za pomoc finansową w wydaniu numeru 4/2015*



Województwo
Kujawsko-Pomorskie



Miasto
Bydgoszcz



Miasto
Toruń

Realizacja poligraficzna:

Dom Wydawniczy „Margarfsen”
ul. Białogardzka 13, 85-808 Bydgoszcz
tel./fax 52 370 38 00

N O W E

Dom Wydawniczy Elipsa
Joanna Jurewicz, *Wędrówka za przestrzenią. Krąg drugi*, Warszawa 2015

Fundacja Zeszytów Literackich
Ewa Bieńkowska, *Historie florenckie. Sztuka i polityka*, Seria *Podróże*, pod redakcją Marka Zagańczyka, Warszawa 2015

„Inter- Literatura-Krytyka-Kultura”. Zakład Antropologii Literatury i Edukacji Polonistycznej. Instytut Literatury Polskiej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Piotr Sobolczyk, *100% ARABICA/chINO-ISEry*, Biblioteka „Inter-”, Seria poetycka, tom 2, Toruń 2015

K.I.T. Stowarzyszenie Żywych Poetów, Miejska Biblioteka Publiczna im. Księcia Ludwika I w Brzegu

Szymon Bira, *3,5*, Brzeg 2015
Aleksandra Wrona, *Falochroń*, Brzeg 2015

Miejska i Powiatowa Biblioteka Publiczna w Nowym Tomyślu
Dorota Nowak, *Opium*, Nowy Tomyśl 2015

Oficyna „Z bliska” Biblioteki Publicznej w Gołdapi

Czesław Mirosław Szczepaniak, *Bądź zdrów!*, Gołdap 2015

Stowarzyszenie Inicjatyw Wydawniczych
Łukasz Białkowski, *Nieszczere pole. Szkice o sztuce*, Katowice 2015

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział Kraków

Katarzyna Grzesiak, *Wzajemność*, seria Krakowska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pod redakcją Gabrieli Matuszek i Wojciecha Ligęzy, tom 15, Kraków 2015

Jadwiga Malina, *Tu*, seria Krakowska Biblioteka Stowarzyszenia Pisarzy Polskich pod redakcją Gabrieli Matuszek i Wojciecha Ligęzy, tom 16, Kraków 2015

Towarzystwo Przyjaciół Toposu
Jan Erik Vold, *Powiedział twórca snów*, przełożył Andrzej Słomianowski, Biblioteka „Poezji” / Biblioteka „Toposu”, tom 117, Sopot 2015

K S I A Ǫ Ź K I

Wojciech Kass, *Przestwór. Godziny*, Biblioteka „Poezji” / Biblioteka „Toposu”, tom 118, Sopot 2015

Wydawnictwo Episteme
Kazimierz Kummer, *Opowiadania i słuchowska. Klatka*, wstęp Tomasz Burek, seria *Odnalezione*, tom 1, Lublin 2015

Wydawnictwo Literackie
Jan Andrzej Kłoczowski OP, *Autobiografia*, rozmawiają Artur Sporniak i Jan Strzałka, Kraków 2015

Wydawnictwo MG
Giovanni Boccaccio, *Dekameron*, przełożył Edward Boyé, Warszawa 2015
Fiodor Dostojewski, *Biesy*, przełożył Tadeusz Zagórski, Warszawa 2015

Wydawnictwo Miniatura
Piotr Lamprecht, *Ewangelia gruzu*, Kraków 2015

Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Mikołaja Kopernika

Janina Surynowa-Wyczółkowska, *Listy do redaktorów „Wiadomości”*, tom 6, seria: *Dokumentacja życia literackiego kręgu londyńskich „Wiadomości” (1945–1981)* pod redakcją Wacława Lewandowskiego, opracowała i przypisami opatrzyła Joanna Krasnodębska, Toruń 2014

Wydawnictwo Nowy Świat
Agata Sobczyk, *Wypadek*, Warszawa 2015

Wydawnictwo Prasa Beskidzka Sp. z o.o.
Anna Fabrowicz, *Swoją drogą*, Bielsko-Biała 2015

Wydawnictwo WAM
Grzegorz z Nyssy, *O tytułach psalmów*, wstęp, tłumaczenie, przypisy Marta Przyszchowska, *Źródła Myśli Teologicznej*, tom 72, Kraków 2015

Wydawnictwo W drodze
Wierzę Bogu, ufam człowiekowi. Rozmowy z o. Janem Andrzejem Kłoczowskim OP, Poznań 2015

CENA 14 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1232-2105 04



9 771232 210505

INDEKS 36294